

AREK
BOROWIK

Z GÓRY WIDAĆ TYLKO NIC

mocna rzecz
o namiętnościach



AREK
BOROWIK
**Z GÓRY
WIDAĆ
TYLKO NIC**

mocna rzecz
o namiętnościach



Copyright © by Arkadiusz Borowik
Copyright © by Grupa Wydawnicza Literatura Inspiruje Sp. z o.o., 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Redakcja: **Agnieszka Brach**
Korekta: **Agnieszka Brach, Jolanta Chrostowska-Sufa, Justyna Jakubczyk**
Projekt okładki i stron tytułowych: **Ilona Gostyńska-Rymkiewicz**
Zdjęcie na okładce: **Copyright © by frameworks2014 (fotolia.pl)**
Skład graficzny: **Justyna Jakubczyk**

ISBN: 978-83-65897-11-4

Słupsk 2017

Wydawnictwo Dobra Literatura
zamowienia@literaturainspiruje.pl
www.dobraliteratura.pl
www.literaturainspiruje.pl

Skład wersji elektronicznej: **Marcin Kapusta**

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Wprowadzenie do opowieści, z którego dowiadujemy się, że pracownik śpi w biurze, a prezes tego nie lubi

Monika, czyli duch bez dna

Wprowadzenie do opowieści, z którego dowiadujemy się, że wino jest zdrowe, ale prezesa to nie obchodzi

Joasia, czyli przebudzenie w pełni

Wprowadzenie do opowieści, w którym okazuje się, że poszukiwania idealnej partnerki mogą być powodem wielu nieporozumień

Anka, czyli mój albo chuj

Cygan zwany Rzygim. Część I

Cygan zwany Rzygim. Część II

Tadzio

Patryk zwany Trykiem

Krzystian zwany przez matkę Pupuniem, a w przyszłości Wieprzem

Bolek zwany Lolkiem

Po prostu Pchela

Aureliusz zwany Łajzą

...Wtenczas przemówił doń sługa:

*– Tak bardzo chciałbym wiedzieć to, o czym nie wiem,
a jednocześnie zapomnieć, czego się dowiedziałem...*

I odrzekł mu na to Pan:

– Spierdalaj.

Wprowadzenie do opowieści, z którego dowiadujemy się, że pracownik śpi w biurze, a prezes tego nie lubi

Strawiński lubił spać w biurze. Właściwie to wcale nie lubił spać. W domu przesiadywał na kanapie do białego rana. Był przekonany, że gdyby zasnął, straciłby dużo czasu. Według Strawińskiego ludzie zrobiliby znacznie więcej niż dotychczas, gdyby tylko ograniczyli swój obłąkańczy popęd do snu. Podczas bezsennych nocy wyobrażał sobie, co sam może zrobić. Męczyło go to dużo bardziej, niż gdyby wprowadził te wyobrażenia w czyn, ale dobiegał czterdziestki i przyzwyczał się do zmęczenia. Poza tym wiedział, że odsapnie w biurze.

Miejscem, które Strawiński szczególnie sobie upodobał, była podłoga pod biurkiem. Opierał się o ścianę z kaloryferem, który zimą go ogrzewał, a latem chłodził. Śpiąc w biurze, nie miał poczucia straty czasu. To raczej poza tym miejscem, kiedy Strawiński tam nie spał, czas strasznie mu się dłużył i przeciekał przez palce.

W środę spóźnił się do pracy półtorej godziny. Na kąśliwą uwagę paniienki z recepcji odpowiedział beczelnie, że zasnął. W biurowej kuchence, gawędząc na temat pracy z przygodnie spotkanymi pracownikami, zaparzył sobie kawę. Lubiał ją pić przed południem. Usypiała go.

Zanim wszedł pod biurko, włączył komputer i sprawdził pocztę. Tego dnia miał mieć kilka spotkań, na których inni mieli mu coś zaplanować. Na pierwsze z nich nie zdążył, ale dostał już tabelkę, w której odszukał swoje nazwisko. Zadanie było łatwe, ale wiedział, że już wkrótce okaże się trudne, potem niewykonalne, a wreszcie zostanie wyrzucone do kosza. Planujący też o tym wiedzieli, ale lubili grać na zwłokę. Poza tym gdyby zbyt szybko

wyrzucali do kosza rzeczy, które dla niego zaplanowali, musieliby planować więcej. Nie byli w stanie zwiększyć swoich mocy przerobowych, w związku z czym trzeba by było zatrudnić nowych planujących, a budżet projektu nie był z gumy. Wszyscy o tym wiedzieli, bo prezes co poniedziałek organizował spotkanie, które zawsze kończył słowami: „Pamiętajcie, że jest, jak jest, ale nasz budżet nie jest z gumy”.

Strawiński wypił kawę i zapatrzył się w brązowe dno, które stawało się coraz mniej wyraźne. Opadające powieki zawęziły i rozmazały obraz, a mężczyzna poczuł rozkoszne mrowienie w karku, które pojawiała się zawsze wraz z nadchodzącą sennością.

Rozejrzał się dookoła. Pracownicy byli skupieni, wpatrując się w ekrany monitorów. Pozorowanie pracy wykańczało ich i Strawiński nieraz im to wypominał. Pozorowana praca mężczy – zwykły mawiać. Nie wiedział, czy ktoś zwraca na to uwagę, ponieważ było mu to obojętne.

Odsunął krzesło i wszedł pod biurko. Jego wzrok szybko przyzwyczał się do półmroku, a nozdrza wciągnęły zapach pastowanych butów. Była jesień, większość pracowników miała skórzane buty. Strawiński uwielbiał glany faceta, który siedział po przeciwnej stronie jego stanowiska. Zawsze ociekały pastą i pachniały tak intensywnie, że kręciło mu się w głowie. Raz nawet zwymiotował, ale podejrzewał, że powodem było raczej połączenie woni glanów i alkoholu, który Strawiński bez umiaru wlał w siebie w czasie bezsennej nocy.

Kiedy oparł się o kaloryfer i wygodnie ułożył nogi w plątaniu przewodów, założył słuchawki. Muzyka była dopełnieniem szczęścia, które sobie aplikował. Były to momenty, w których czuł się wolnym człowiekiem. W połowie drugiej piosenki opadły mu powieki i zaczął widzieć więcej.

Spał czterdzieści pięć minut i śniło mu się, że śpi pod biurkiem. Kiedy podniósł powieki, zobaczył nogi. Od razu rozpoznał, że to nogi Blondyny, bo zawsze bardzo mu się podobały. Powiedział kiedyś, że Blondyna ma bardzo ładne nogi, i został wezwany do działu zatrudnienia na umoralniającą pogadankę, podczas której zapowiedziano mu, że nie wolno mówić, że ktoś ma ładne nogi. Strawiński wziął sobie upomnienie do serca, więc na jednym z firmowych bankietów powiedział, że Blondyna wcale nie ma takich ładnych nóg. Został wtedy wezwany na cykl pogadarek na temat jego stosunku do pracy. Nie mógł zrozumieć, dlaczego rozmawiają z nim o stosunku do pracy w kontekście nóg Blondyny, ale pracował w firmie od dziesięciu lat i po

pierwszym tygodniu uznał, że nigdy nie zrozumie, o co tu chodzi. Pogodził się z tym ze stoickim spokojem. W wieku czterdziestu lat Strawiński doskonale wiedział, że człowiek nie jest wszechwiedzący.

Żałował, że Blondyna założyła spodnie.

– Dlaczego śpisz? – spytała, kucając.

– Nie śpię – odpowiedział zgodnie ze swoim przekonaniem, a nawet z prawdą.

Kiedy się obudził, śniło mu się, że się obudził. Co prawda śniło mu się, że obudził się z zupełnie innego powodu, ale postanowił zataić to przed Blondyną. Miewał swoje małe sekrety.

– Przecież widzę. – Blondyna skierowała wzrok na krocze Strawińskiego, co mu schlebiło, dopóki nie odkrył, że jest ono połączone z jego ustami nitką śliny. Kiedy spał na siedząco, często się ślinił. Wytarł wargi wierzchem dłoni i uśmiechnął się niewinnie.

– Śniło mi się, że jem cytrynę – skłamał.

– Przed chwilą powiedziałeś, że nie śpisz – zauważyła triumfalnie.

– Bo nie śpię.

– Ale spałeś.

– Każdy kiedyś spał.

– Ale nie w pracy.

– To prawda – zgodził się z nią, co ją zirytowało.

– Zrobiłeś to, co ci zaplanowałam na dzisiaj?

– Jeszcze nie – przyznał. – Ale zrobię.

– Kiedy?

– Dzisiaj.

– Dlaczego dopiero dzisiaj?

– Wcześniej się nie wyrobię.

Patrzyła na niego oskarżycielsko.

– Znowu pójdziesz spać?

– Nie. Już się wyspałem – zapewnił, przeciągając się na boki, ponieważ od góry blokował go blat biurka.

– Zobaczmy – stwierdziła i wstała.

Popatrzył na jej oddalające się pośladki i wygramolił się spod biurka. Półtorej minuty później za pomocą firmowego komunikatora został wezwany na dywanik do samego prezesa Wiktora Jędrzeja Maksymiuka.

Gabinet prezesa znajdował się w samym centrum biura i był przeszkłony jak

akwarium. Zgodnie z polityką firmy prezes nie miał nic do ukrycia. Wiktor Jędrzej Maksymiuk siedział na środku, w fotelu z wysokim oparciem. W kącie przycupnęła sekretarka z laptopem. Miała sporządzić raport ze spotkania, ponieważ zgodnie z polityką firmy wszystkie spotkania przywołujące pracowników do porządku były jawne.

Strawiński otworzył przezroczyste drzwi i podniósł rękę w geście powitania. Maksymiuk wskazał mu gestem krzesło z niskim oparciem. Był zatroskany i jego gest również wyrażał troskę. Zgodnie z polityką firmy wszyscy martwili się pracownikami, którzy nie spełniali wysokich standardów firmy.

– To nie będzie miła rozmowa – zastrzegł prezes, a jego długie palce poruszały się, jakby grał na fortepianie.

Strawiński skinął głową, wyrażając zrozumienie, a nawet aprobatę.

– Dochodzą do mnie słuchy, że nie traktujesz pracy poważnie. – Maksymiuk wskazał na niego palcem, żeby nikt nie miał wątpliwości, o kogo chodzi. – Co masz na ten temat do powiedzenia?

– Traktuję moją pracę poważnie – poważnie odpowiedział Strawiński.

Prezes prychnął i natychmiast spoważniał. Rozejrzał się na wszystkie strony, sprawdzając, czy ktoś ich obserwuje. Całej scenie przyglądały się tylko cztery osoby, rozplaszczając na szklanych ścianach swoje nosy. Prezes poprawił krawat idealnie pasujący do jego garnituru.

– Poza tobą nikt tak nie uważa – skonstatował.

– To niedobrze – zmartwił się Strawiński.

– Nawet bardzo niedobrze – zgodził się prezes.

Strawiński ucieszył się, że tak szybko wypracowali wspólne stanowisko. Maksymiuk wstał i ruszył wzdłuż ścian, od których odklejali się wścibscy pracownicy. Lubił chodzić i mówić jednocześnie. Dywan jego gabinetu przy ścianach wyłysiał.

– Gdybym postępował tak jak ty, nigdy nie doszedłbym do tego, do czego doszedłem. Mało tego, gdybym postępował tak jak ty, nie doszedłbym do niczego. Ha! Gdyby ludzie postępowali tak jak ty, też nie doszliby do niczego.

Strawiński zastanowił się nad słowami prezesa. Najbardziej intrygowało go pytanie: co oznacza dojście do czegoś? Było wiele definicji, ale w tej chwili liczyła się tylko wersja prezesa, a Strawiński za nic w świecie nie chciał przerywać tyrady, którą raczył go prezes przy monotonnym stukocie klawiatury laptopa sekretarki.

– Zaczynałem od zera. Mój ojciec był prezesem banku, ale ani myślał mi pomagać. I wiesz, co ci powiem?

– Nie wiem – odpowiedział Strawiński.

– Nie przerywaj mi – powiedział Maksymiuk. – Jestem mu za to wdzięczny. Człowiek powinien do wszystkiego dojść sam. Tylko wtedy czuje, że do czegoś doszedł. Kiedy będę miał swoje dzieci, też im nic nie dam.

Strawiński zgodnie pokiwał głową, bo był tego samego zdania.

– Pamiętam, miałem piętnaście lat, siedziałem przy pękniętym biurku i myślałem tylko o jednym...

Prezes zatrzymał się tuż przed Strawińskim, który spodziewał się poznać garść pikantnych szczegółów, ponieważ kiedy sam miał piętnaście lat, też myślał tylko o jednym. Pauza dramatyczna trwała kilkanaście sekund i Strawiński zaczął się obawiać, że zmorzy go sen.

– ...żeby mieć dobre, mocne biurko. Z pięknym mahoniowym blatem – rozmarzył się prezes. – I wiesz co? – Spoważniał. – Zdobyłem je. Poprosiłem matkę o pożyczkę, a ona mi nie odmówiła, bo wiedziała, że kiedyś jej oddam. I oddam jej. – Prezes powiódł po twarzy Strawińskiego wyzywającym wzrokiem. – Potem poszedłem na studia. Na początku gnieździłem się w śmierdzącej trzypokojowej norze i moim jedynym marzeniem było godnie mieszkać. I co zrobiłem? Wynająłem piękny apartament z dwoma łazienkami. Mogłem sobie na to pozwolić, bo miałem doskonałe wyniki w nauce i matka nie żałowała pieniędzy na moje utrzymanie. Tak jak przyszła matka mojego przyszłego dziecka nie będzie żałowała pieniędzy na jego utrzymanie. Strawiński zastanowił się, kiedy to nastąpi. Prezes miał dwadzieścia sześć lat i od trzech dni był w stałym związku z Aldoną Szczyt z działu zatrudnienia. Całe biuro huczało o ich szalonej miłości.

– Myślisz, że mając to wszystko, spocząłem na laurach? – zapytał prezes.

– Nie – odpowiedział Strawiński.

– Nie przerywaj mi – powiedział Maksymiuk. – Nie spocząłem. Ukończyłem studia z wyróżnieniem i do dzisiaj moje zdjęcie wisi w gablocie najlepszych studentów w dziejach uniwersytetu. Dzięki ciężkiej pracy, determinacji i mojemu samozaparciu świat stanął przede mną otworem. Mogłem mieć każdą pracę, ale nie chciałem pracować byle gdzie. Chciałem pracować w naszej firmie. Ponieważ moja matka była w niej główną księgową, poprosiłem ją o przedstawienie mojej kandydatury zarządowi. Oczywiście bez kumoterstwa. I wiesz co?

Strawiński otworzył usta, żeby odpowiedzieć, że nie wie, chociaż się domyślał, ale prezes nie dał mu dojść do słowa.

– Moja kandydatura została rozpatrzona pozytywnie. Nie interesowało mnie marnowanie czasu i zaczynanie od zera. Życie jest na to zbyt krótkie. Dlatego zostałem szefem marketingu. Dzięki mnie sprzedaż wzrosła. Ale myliłby się ten, kto by uznał, że mnie to zadowoliło. Dlatego po tygodniach ciężkiej pracy wyjechałem z zarządem na obóz żeglarski. Odpoczynek wszystkim nam się należał. Wyjechałem jako szef marketingu, a wróciłem jako prezes.

Strawiński znał tę historię z różnych opowieści. W firmie każdy miał swoją teorię na temat tego, co się zdarzyło na żaglówkach. Tylko Strawiński nie miał swojej teorii, ponieważ nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Prezes Wiktor Jędrzej Maksymiuk usiadł w fotelu.

– Pewnie taki ktoś jak ty by się tym zadowolił – prychnął z goryczą.

Strawiński nie odpowiedział, ponieważ wydawało mu się, że ma nie odpowiadać na pytania.

– Pewnie taki ktoś jak ty by się tym zadowolił – powtórzył prezes.

Strawiński zerknął na sekretarkę, ale ta była równie zdezorientowana jak on i poprawiała literówki w protokole ze spotkania.

– Tak – przyznał ostrożnie – ja bym się zadowolił.

– A właśnie! – zatriumfował Maksymiuk. – A ja się tym nie zadowolę. W życiu każdego człowieka jest coś, czego nie ma. I należy zrobić wszystko, żeby to zdobyć. Rozumiesz?

– Tak – powiedział Strawiński, chociaż nie był tego pewny.

– A teraz spakuj swoje rzeczy. Zwalniam cię – zakończył rozmowę prezes.

– Ale teraz? – zdziwił się Strawiński.

– A kiedy?

– Nie wiem, myślałem, że to będzie kiedy indziej.

– Mój ojciec zawsze mawiał: „Synu, zrób dzisiaj to, co masz zrobić kiedy indziej”.

– To bardzo mądre, ale myślałem, że dostanę tylko upomnienie.

– Upomnienie to by było, jakby cię przyłapano na spaniu pod biurkiem raz... Albo dwa razy... Albo trzy razy...

Strawiński obawiał się, że prezes będzie chciał mu udowodnić, do ilu umie liczyć, co przy jego wyższym wykształceniu i szalonej ambicji zwiastowało siedzenie w gabinecie długi czas.

– Ale jak mi doniesiono, ty sypiasz pod biurkiem codziennie. – Prezes na

szczęście przestał liczyć.

W gabinecie zapadła cisza przerywana stukotem klawiatury.

– Masz mi coś do powiedzenia na zakończenie? – zapytał Maksymiuk.

– Tak – odpowiedział Strawiński – Niech mnie pan nie zwalnia.

Prezes roześmiał się krótkim kpiącym śmiechem. Liczba gapiów za ścianami wzrosła.

– Czym mnie chcesz przekonać, żebym tego nie robił?

– Opowiem panu ciekawą historię. – Strawiński lubił opowiadać ciekawe historie. W czasie bezsennych nocy wymyślił ich wiele.

– On mi opowie ciekawą historię – parsknął Maksymiuk.

– Tak. On, to znaczy ja, opowie, to znaczy opowiem panu ciekawą historię.

– A jak mnie nie zaciekawi?

– To mnie pan zwolni.

Prezes zamyślił się, szczypiąc swoje ucho.

– Dobrze. Podoba mi się. To jest uczciwie postawiona sprawa. A ja lubię uczciwie postawione sprawy. Mów.

MONIKA, czyli DUCH BEZ DNA

Bęben prakki wszedł na wysokie obroty tak gwałtownie, że gdyby był samochodem, zapiszczałyby opony, a plecy asfaltu zostałyby pokryte przez pręgi gorącej gumy. Przez chwilę kolory i faktury ubrań rozmazały się w plamę barwy chaosu, po czym siła odśrodkowa i ograniczona pojemność sprawiły, że ubrania odnalazły swoje ostateczne tymczasowe miejsce. Czerwona bluzka odcinała się od reszty i wirowała jak wskazówka busoli na okręcie, który wpadł w magnetyczną burzę. Jaki wskaże kierunek, kiedy bęben znieruchomieje dla nabrania mechanicznego odpowiednika tchu?

Niespełna trzydziestoletnia kobieta siedziała na posadzce po turecku. Białe dłonie zwisały z szeroko rozstawionych kolan jak dojrzałe pięciopalczaste owoce. Wyraźny makijaż podkreślał jej urodę. Na wąskiej twarzy zieleniły się zniecierpliwione oczy, a ich kolor pasował do orzechowych loków rozsypanych po plecach.

Monika wpatrywała się w wirujące ciuchy jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką. Wówczas to było coś więcej niż zabawa. Coś pomiędzy hazardem a wróżbiarstwem. Uśmiechnęła się na wspomnienie wagi, jaką niegdyś przykładała do odgadnięcia miejsca, w którym znieruchomieje czerwona szmata. Jeżeli obstawiła dobrze, prakkowa ruletka miała jej przynieść wymierne korzyści. Czasami grała o dobry stopień z klasówki, czasami o to, żeby nauczycielka posadziła ją w jednej ławce z ulubioną koleżanką. Wróżby nie zawsze się sprawdzały, ale jej to nie przeszkadzało. Liczyły się emocje. Bęben, tocząc pianę jak wściekły, znieruchomiał wreszcie. Czerwona bluzka wskazywała południowy zachód. Monika obstawiła północ. Naprawdę znów nic z tego nie będzie? Telefon nie zadzwoni? Postarała się, i to bardzo. Przygotowała kilka wariantów, które najpierw zaprezentowała Jackowi. Był zachwycony. „I co z tego? Zawsze jest tobą zachwycony” – wykpiła się bezlitośnie. Tym razem jednak sama czuła, że jest w porządku. Czuła, że JEST matką, która zamordowała własną córkę. Była pewna, że matki mordujące własne córki mają takie właśnie myśli, takie uczucia. Jak ona.

Rola Heleny była dla niej stworzona. Całkowicie przypadkowo, bo facet, który napisał sztukę, z której zrobiono scenariusz filmowy, mieszkał w Londynie, w dodatku umarł dwadzieścia lat temu. Nawet nie wiedziała, jak wyglądał (w internecie nie zamieścili jego zdjęcia), a jednak miała wrażenie, że go zna. On, pisząc sztukę, udowodnił, że zna ją, chociaż Helena pojawiła się w jego głowie, zanim Monika urodziła się w małym prowincjonalnym szpitalu. Poród trwał osiemnaście godzin. Ciekawe, jak długo Robertson rodził swoją sztukę...

Pralka zapiszczała na znak, że zrobiła, co do niej należało. Monika prychnęła z irytacją. Pieprzona półautomatyczna pralka. Jak można było dać się tak nabrać? „Co to znaczy, że pralka jest półautomatyczna?” – w sklepie Jacek jak zwykle był dociekliwy. „Właściwie to niczym nie różni się od pralek automatycznych” – sprzedawca jak zwykle był sprytny. „Wszystko robi sama. No, prawie wszystko”. – Uśmiechnął się porozumiewawczo, jakby cała trójka świetnie znała się na pralkach. – „Natomiast kosztuje o połowę mniej” – dodał już z profesjonalną powagą.

„Prawie wszystko, kurwa”. Wyciągała mokre ubrania i wrzucała je do wanny. Mlaskały jak ciężkie ryby. Nienawidziła słowa „prawie”. Było formą owiniętego w bawełnę oszustwa. Kiedy w szkole profesor mówił im, że zagrali coś prawie dobrze, było jasne, że będą musieli zagrać to jeszcze raz. Dlaczego nie pamiętała o tym w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego? „Bo miałaś kasę na pralkę prawie automatyczną, głupia dupo”. Mimo złości uśmiechnęła się do siebie. Jacek zawsze namawiał ją do tego, żeby w trudnych chwilach popatrzeć na wszystko z boku. Tylko że on był pisarzem i na tym polegało jego zajęcie. Na pieprzonym staniu z boku.

Ręce rozbolały ją przy grubej płóciennym narzucie. Poskręcany materiał wyglądał jak wąż, którego Bóg po pijanemu wymalował na skórze Beduinów na wielbłądach. W ramach odpoczynku od wykręcania mokrych szmat Monika zapakowała pralkę drobniejszymi ubraniami. Wraz z nimi włożyła do bębna czerwony biustonosz i obstawiła kierunek *north–north–west*. Jeszcze w liceum zrobiła kurs sternika żaglówki. Mieszkała w małym, urokliwym miasteczku na pojezierzu, a piękna okolica znudziła jej się, zanim zdążyła docenić jej piękno.

Przesunęła terkoczący potencjometr ustawiający czas prania, żałując, że prawie pralka prawie odwirowuje, a nie prawie odmierza czas. Z dwóch „prawie” wolałaby to drugie. Wcisnęła guzik z napisem *on/off*. Nic. Po chwili

ponowiła czynność. Pralka nie zwróciła na to uwagi. „Świetnie. Nie chcieli Żydzi manny, dostali psie gówno” – przypomniało jej się powiedzenie mamy. Mama Moniki składała się z powiedzeń i cytatów. Według córki wiodła bezsensownie nudny żywot, ale pralkę miała w pełni automatyczną.

„Do trzech razy sztuka” – pomyślała Monika, naciskając guzik, który powinien być się rozświecić, ale tego nie zrobił. „Pralka się zepsuła” – stwierdziła Monika, nie mając pojęcia o pralkach, ale światło w łazience działało bez zarzutu, więc prąd był. „Ciekawe, czy zepsuła się prawie, czy na amen” – pomyślała kwaśno, po raz kolejny starając się zachować dystans, tak jak radził jej mąż.

– No i co ja mam z panem zrobić, panie Jacku? – wysapał Musielik, rozpierając się na swoim obrotowym fotelu przy zwalistym biurku stojącym w jego przestronnym gabinecie.

Jacek przez chwilę zastanowił się, czy ten gruby facet jest w stanie siedzieć na jakimkolwiek krześle, nie rozpierając się na nim, ale był przygnębiony, więc zostawił tego typu dociekania na czas, kiedy jego duszę podbije nieco lepszy nastrój.

– Ze mną nic – bąknął szczupły mężczyzna o chłopczej twarzy ocienionej kilkudniowym zarostem i smutnym spojrzeniu. – Przyszedłem tu w sprawie mojej książki.

– Bardzo zabawne.

Jacek na próżno szukał rozbawienia na nalanej twarzy wydawcy.

– Ma pan na myśli powieść? – Wiedział, że nie.

– A czy to miała być komedia? – Przynajmniej teraz Musielik nie udawał jowialnego dobrego wujka, którym nigdy nie był. Pewnie nawet dla swoich siostrzeńców.

– Nie – odpowiedział Jacek, czując, że przegrał, zanim jeszcze zaczął idiotyczną grę w „kto ma rację”.

– No właśnie. – Musielik założył ręce za głowę i się odchylił. Fotel zaskrzypiał z wysiłku.

„Za chwilę popuści pasa i beknie. Zachowuje się, jakby skończył jeść, a raczej zjeść obiad” – przemknęło Jackowi przez myśl.

– Powiada pan, że nie jest to komedia. A mnie przychodzi do głowy następne pytanie. – Wydawca zrezygnował z pozy relaksacyjnej i oparł się o blat biurka pełnego nowoczesnych gadżetów, na którym obaj mogliby się

wygodnie położyć. Matador szykujący szpadę do zadania ostatecznego ciosu. – Co to właściwie jest? Według pana oczywiście – zastrzegł, jakby sam doskonale wiedział.

– Powieść obyczajowa. – Jacek nie cierpiał obłąkanej manii wydawców do klasyfikowania wszystkiego, co tylko wpada im w łapy.

– Pięknie – potwierdził Musielik zbyt szybko, aby wierzyć, że się z nim zgodził. – A kto jest jej głównym bohaterem? – indagował, zerkając na swoje zadbane paznokcie.

– Marek Sawicki. – Rozmowa zamieniała się w przesłuchanie.

– Marek Sawicki – powtórzył Musielik. – Pierdołowaty podstarzały księgowy wielkiej firmy, któremu rozpadło się życie.

– Tak mu się wydaje – zgodził się autor. – Ale się myli. Tak samo jak się mylił, uważając, że sukces zawodowy da mu szczęście. I o tym jest ta książka. – Jacek słyszał rezygnację w swoim głosie.

– Wie pan, że dobrą historię można streścić jednym zdaniem?

Jacek znał tę zasadę. I wiedział, że Musielik o tym wie. Jak każdy, kto kiedykolwiek cokolwiek napisał. Dlatego Jacek miał ochotę uderzyć go w ten pewny siebie nalany pysk, któremu tłuszcz ograniczał mimikę. Następną książkę napisze o głupim, zadufanym w sobie skurwysynu, któremu się wydaje, że pociąga za sznurki. Przyniesie ją Musielikowi, a ten palant nawet się nie zorientuje, że to historia o nim.

– Tak – odpowiedział spokojnie. – Moja książka opowiada o tym, że nic nie jest takie, jak nam się wydawało. Jest pan zadowolony? – dorzucił. Może niepotrzebnie.

– W zasadzie tak – przytaknął wydawca. – Właśnie udzielił pan sobie odpowiedzi na swoje pytanie.

– Jeszcze o nic nie zapytałem. – Ten facet irytował go coraz bardziej.

Milion razy dziennie radził Monice, żeby starała się podchodzić do spraw z dystansem. Teraz Jacek miał okazję przetestować tę zasadę na sobie.

– Ależ zapytał pan. – Brwi wydawcy wygięły się w dwa włochate półksiężyce. – W momencie, kiedy przyniósł pan to dzieło do naszej redakcji, a następnie umówił się pan ze mną na spotkanie. – Mimo że Musielik go drażnił, Jacek nie mógł odmówić mu elokwencji. A to, że był tandetnym fiutem, to już zupełnie inna sprawa. – Pana postępowanie to nic innego jak pytanie o to, czy wydamy pańską świetną książkę.

– Nie powiedziałem, że jest świetna – wtrącił autor, chociaż uważał, że mu

się udała.

– Ale pan tak uważa, panie Jacku... Czy pan myśli, że jest pierwszym pisarzem, z którym rozmawiam? – Ton Musielika stał się pobłażliwy. – Zatem pozwolę sobie posłużyć się parafrazą pańskiego zdania. Otóż ta książka nie jest tak dobra, jak się panu wydaje.

– Rozumiem – powiedział Jacek, żeby po prostu się odezwać.

– Oczywiście to tylko moja subiektywna opinia. – Wydawca ponownie przyjął pozę relaksacyjną. Nic dziwnego, właśnie spławił Jacka. – Życzę panu, żeby ta powieść odniosła sukces. Jeżeli konkurencja zarobi na niej kokosy, będę pierwszym człowiekiem, który do pana zadzwoni z gratulacjami.

„Kłamiesz – pomyślał Jacek. – Jeżeli zarobię na tym dziesięć złotych, będziesz pierwszym człowiekiem, którego trafi szlag. I między innymi właśnie dlatego ją wydam”.

– Do widzenia – powiedział i odwrócił się, zanim Musielik zgramoliłby się z krzesła, żeby podać mu rękę przez stół. Musieliby się bardzo mocno nachylać.

Z tą myślą Jacek opuścił gabinet prezesa firmy Musielik Press, potentata na rynku wydawniczym.

Zaparkował ośmioletnie clio przy nabrzeżu. Z wysokiej skarpy spojrzął na rzeczny łączę wgrzającą się w leniwy nurt. Jak zwykle o tej porze roku roilo się od spragnionych słońca mieszczuchów. Kobiety farbowały ciała słonecznym pigmentem. Mężczyźni uganiali się za piłkami, lotkami, wciągając zdemaskowane nagością brzuchy. Dzieciarnia taplała się w ciepłej rzece, znajdując w tym po prostu przyjemność.

Minął sprzedawcę waty cukrowej, dziękując za biały wiecheć podsunięty pod sam nos, i zszedł po drewnianych schodach. Lubił to miejsce. Najlepiej spacerowało mu się wzdłuż rzeki poza sezonem na wrzaski, ale – jak mawiała jego teściowa – jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Uśmiechnął się. Lubił tę starzejącą się kobietę bez pretensji do życia. Z takim nastawieniem dożyje setki jak nic. Odszukał kawałek zwalonego drzewa z pniem białym od słońca i gładkim ze starości. Nie umiał zapanować nad ciężkim westchnieniem. Musielik Press to nie pierwsza agencja, do której zaniósł swoją książkę. Teraz zastanawiał się, jak rozegrać czekającą go w domu scenę pod tytułem: *Dostałem kosza, kochanie*. Sama myśl, że nie będzie z Moniką szczerą, napawała go obrzydzeniem. Może jednak

powiedzieć: „Moniś, spuścili mnie na szczaw. Ale to nie znaczy, że się poddałem”? Jeszcze rok temu pewnie by tak zrobił. Ale później coś się zacięło. Świetnie zapowiadający się pisarz młodego pokolenia Jacek Sobczyk chwilowo porzucił na świetnym zapowiedzeniu się.

W tym roku stuknie mu trzydziestka i już wkrótce stanie się Jackiem Sobczykiem – świetnie zapowiadającym się pisarzem średniego pokolenia. W dodatku jego żona po dużej roli w tasiemcu *To nie jest tak, jak myślisz* praktycznie przestała otrzymywać propozycje. Sytuacja nie była zabawna. Nawet gdyby na nią spojrzeć z kilometrowego dystansu. Dlatego będzie musiał sprzedać żonie bajkę, że w zasadzie podpisał kontrakt, tylko... I tu miał już pełne pole do popisu. Uzasadnianie różnych „tylko” i „dlaczego” przychodziło mu z łatwością polityka. Musi jedynie uważać, żeby nie patrzyła mu w oczy. Najlepiej, jeśli w czasie rozmowy zajmie się czymś. Może coś naprawi. Pieniądzy było coraz mniej, więc i drobne naprawy mnożyły się w domu jak króliki. Załóżmy, że ją oszuka czy też uspokoi (zdecydowanie wolał to drugie określenie), ale nie zmieni to faktu, że jeżeli nie podpisze umowy, zostaną bez pieniędzy. Poprzednia powieść sprzedała się dobrze, ale napisał ją trzy lata temu i chwilowo nie planowano wznowień. Pieniądze za zbiór opowiadań, które ukazały się pół roku temu, szły na pokrycie bieżących rachunków i topniały jak smalec na patelni. Monika, zaczynając pracę w serialu, zrezygnowała z etatu w teatrze.

Potrzebowali stałego dopływu gotówki. Bardziej niż kiedykolwiek.

Po raz kolejny uderzyła w pralkę. Tym razem pięścią. „Dlaczego ludzie uważają, że walenie w popsute urządzenie może je naprawić?” Uznała, że to idiotyzm, co nie przeszkodziło jej zadać kolejnego ciosu „prawie automatycznej”. Syknęła z bólu. „Złam sobie nogę, idiotko. Wtedy będziesz mogła zagrać kapitana piratów” – roześmiała się w duchu. – To pewnie histeria”. Powinna ryczeć przy stole, zasmarkując tony chusteczek. To byłaby naturalna reakcja. Bo dlaczego nie dzwonią? Przestała umieć grać? Tak nagle? W czasie trwania serialu Monika nie mogła się opędzić od propozycji. Nie mogła ich przyjąć. Nie dałaby rady trzymać dziesięciu srok za ogon. Zresztą wolała złapać jedną, za to mocno. No to teraz ma. Serial się skończył, a propozycje urwały się jak ręką odjął. Przestali też pisać o niej w portalach plotkarskich. Udane małżeństwo działa na dziennikarzy jak czosnek na wampiry.

Spojrzała na zegarek. Jacek powinien już wrócić. Ile można gadać z wydawcą? „Tak, proszę pana. Oczywiście, że wydamy pana książkę. Marzyliśmy o tym. Jaką pan chce zaliczkę? Trylion? A może nonylion?” lub „Przykro nam, ale pana książka jest do dupy, niech pan stąd grzecznie wypieprza”. Byleby mu nie powiedzieli, że do niego zadzwonią. Monika bardzo nie chciała, żeby Jacek dowiedział się kiedyś, co to znaczy czekać na telefon.

Wyciągnął telefon. W towarzystwie niewątpliwie zwracałby nim uwagę. Stary sony nie miał nawet kolorowego wyświetlacza. Bateria wystarczała średnio na sześć SMS-ów lub pół minuty rozmowy, mimo to Jacek go lubił. Poza tym nie bywał w towarzystwie. Monika przyzwyczaiła się do tego. Przestała chodzić na okolicznościowe bankiety, na których mogła się pokazać, a jeśli nie miała wyjścia, to szła sama. Swego czasu stało się to nawet źródłem plotek. Ale na krótko.

Postanowił do niej zadzwonić. Przez telefon nie widać oczu, łatwiej oszukiwać. Wystukał numer. Odebrała, zanim przebrzmiało pierwsze „piii”.

– Halo? – W głosie Moniki było słycać paletę uczuć, od czającej się euforii poprzez nieśmiałą nadzieję po stuprocentową rezygnację.

– Cześć, Monior. – Uśmiechnął się, wyobrażając sobie żonę. Miała niezwykły temperament. Mimo trzydziestki na karku podskakiwanie z radości było u niej naturalne jak śnieg w styczniu.

– I co tam? – Bardziej wyczuł, niż usłyszał lekkie rozczarowanie w jej głosie.

– Spodziewałem się większej radości. – Zboczył z tematu, zanim go rozpoczął.

– Myślałam, że dzwonią w sprawie roli. – Monika poczuła się głupio, że bardziej ucieszyłby ją telefon od jakiegoś palanta w sprawie castingu niż telefon Jacka. Nawet nie sprawdziła, kto dzwoni.

– No wiesz... Gwiazdy filmowe stać chyba na telefony, na których wyświetlają się numery dzwoniących. – Uśmiechnął się, bo wiedział, jaka będzie reakcja.

– Jeszcze raz powiesz na mnie „gwiazda” i śpisz na kanapie.

– Gwiazda! – Nie zastanawiał się ani chwili.

Monika roześmiała się szczerze. Warto było.

– Co tam w świecie wielkiej literatury? – zagadnęła.

– W porządku. U mnie też nie najgorzej. – To była dobra opcja. Powie jej o tym na wesoło.

– Halo?! Nie mógłbyś znaleźć jakiegoś cichszego miejsca, gdy dzwonisz do żony?

Miała rację. Był tak skupiony na sposobie, w jaki przedstawi jej swoje kolejne fiasko, że nie zwrócił uwagi na hałas. Zawsze tak było, kiedy się skupiał. Podczas pisania ledwie kojarzył, jak się nazywa.

Do sielankowych odgłosów płynących od strony rzeki dołączył wrzask przerażenia. Jakaś kobieta stała na plaży i wskazywała palcem nurt. Jacek osłonił oczy. Kilkanaście metrów od brzegu zauważył głowę chłopca, która jak spławik na fali to znikła, to pojawiała się na powierzchni. Poza kobietą nikt nie zauważył tonącego. Plażowicze zbierali się wokół niej, nie rozumiejąc powodu hysterii. W końcu jeden z mężczyzn zrozumiał, co się dzieje, i gestami pokazywał chłopcu, jak ma płynąć. Drugi, nieco bardziej przedsiębiorczy, zaczął zrzucać ubranie. Jacek wiedział, że zanim facet rozbierze się do slipek, chłopiec przestanie walczyć. Wbiegł do wody, wzbijając krople, na których załamane światło namalowało tęczę, po czym dał nura. Zielona mętność przykleiła mu ubranie do ciała.

Maurycy chciał być zwyczajnym pięciolatkiem. W swoim mniemaniu nawet był zwyczajnym pięciolatkiem. Owszem, miał dziwne imię, ale na to, żeby naprawdę zaczęło go swędzieć, był jeszcze czas. Na razie łaskotało jak marsz biedronki po chłopięcej rączce. Nie miał mamy jak inni chłopcy, ale od urodzenia był półsierotą, więc nie wiedział, co stracił. Miał za to opiekunkę Kasię, którą bardzo lubił, bo pozwalała mu bawić się, gdzie chciał i w co chciał. Na przykład bez wiedzy tatusia wpuszczała go do rzeki. Obiecał jej, że nigdy się nie wygada, a ona trzymała go za słowo. Był dumny, że opiekunka traktuje go jak dużego chłopca, na którym można polegać.

Przyjechali na plażę tuż po obiedzie. Maurycy od kilku dni wiedział, że we wtorek pojedą nad rzekę.

– Gdy będzie ładna pogoda, to we wtorek pojedziemy się wykapać – powiedziała mu w zeszły piątek Kasia, dodając zwyczajowe: – Tylko cicho sza.

Nie wspomniał tatusiowi ani słowem o planowanej kąpieli, chociaż zawsze wszystko mu mówił. Kochał tatusia najmocniej na świecie, ale opiekunka wytłumaczyła mu kiedyś, że nawet jak się kogoś kocha, to można mieć przed

nim malutkie tajemnice.

Tuż po południu spałaszował obiad (rybę, za którą nie przepadał, ale tego dnia żadna potrawa nie była w stanie zepsuć mu humoru) i ze zdumieniem zauważył, że nie zamawiają taksówki, jak to zwykle robili. Nawet zaczął się martwić, że Kasia nie dotrzyma słowa, ale potem się okazało, że taksówka nie była potrzebna. Przyjechał po nich Piotrek. Był to facet wielki jak góra, a kiedy się witali, rączka Maurycego całkiem zniknęła w jego dłoni, jakby połknął ją kosmaty rekin. Piotrek opowiadał śmieszne kawały, robił dziwne miny i Maurycy od razu go polubił. Kasia też go lubiła, bo cały czas się śmiała.

Podróż nad rzekę była bardzo wesoła. Potem zeszli na plażę i rozłożyli na piasku kraciasty koc. Maurycy najpierw wykapał się z Piotrkim, potem z Kasią, a potem chciał jeszcze, ale oni nie chcieli. Kasia powiedziała, że muszą trochę wyschnąć, zanim się ubiorą. Chłopiec przyjął to ze zrozumieniem. Bardziej intrygowało go to, jak na siebie patrzą, niż co do niego mówią. Maurycy nie znał tej wymowy spojrzeń. Było w nich coś, co go niepokoiło. Kiedy Kasi i Piotrkowi wydawało się, że nikt ich nie widzi, mówili sobie jakieś tajemnice na ucho. Raz Kasia zrobiła się całkiem czerwona, zupełnie jak Maurycy, kiedy pewnego razu przyłapała go na oglądaniu własnego siusiaka.

Kasia była fajna, bo można jej było wytłumaczyć różne rzeczy, więc chłopiec postanowił spróbować.

– Jeśli wy nie chcecie, to mogę iść sam.

Spojrzeli na niego tak, jakby dopiero teraz zauważyli, że z nimi przyjechał.

– Jesteś jeszcze za mały, żeby kąpać się sam – powiedziała Kasia.

Wyczuł w jej tonie przykrą nutę stanowczości, która była na tyle silna, że mały postanowił odejść obrażony.

Usiądzie w odległości kilku metrów od ręcznika i nie będzie na nich patrzył. Tak robi.

– Bez przesady – pomoc nadeszła niespodziewanie. Piotrek uśmiechał się do Kasi, chociaż nie patrzył jej w oczy, tylko zdecydowanie niżej. – Ja w jego wieku potrafiłem przepłynąć staw.

– Miałeś szczęście, że nie byłam twoją opiekunką.

„Kasia raczej nie da się przekonać” – stwierdził Maurycy.

– Bardzo tego żałuję, ale w sumie to nic straconego, nie? – Przynął się do niej tak blisko, że dotykali się nogami.

- To co, mogę? – Chłopiec zwietrzył swoją szansę.
- Przecież tu jest płytko. – Piotrek zwietrzył swoją.
- No dobrze, ale przy samym brzegu, Maniuś.

Maurycy miał ochotę rzucić się na szyję tego wielkoluda i uściskać go tak, jak ściskał tylko tatusia. Opanował się jednak. Starał się zachowywać jak dorosły, a dorośli nie rzucają się sobie na szyję.

– Najlepiej weź sobie łódkę i pobaw się w przybijanie do brzegu – poradziła Kasia.

– To nie jest łódka, tylko żaglowiec, a brzeg to jest port, a nie brzeg. – Wszystkich rozbawił znużony głos, jakim ją pouczył.

Piotrek klepnął go poufale w plecy, tak jak tylko chłopaki się klepią, i rzeka stanęła przed Maurycym otworem, kiwając na niego swoim pokręconym mokrym palcem.

W tym samym czasie Jacek parkował dopiero samochód na podjeździe. Monika po raz kolejny nokoutowała niepodjemującego walki przeciwnika, stojącego w narożniku niebieskim od popękanych płytek.

Był to jeden z momentów, które potem określa się jako zbieg okoliczności. Roztrząsa się, co by było, gdyby okoliczności były inne. Niektórzy uważają, że przypadkowe zdarzenia zaplatają warkocz zwany rzeczywistością. Inni twierdzą, że rzeczywistość to plastelina, którą lepimy sami. Jeszcze inni są też przekonani o tym, że nad wszystkim czuwa Wielka Siła. Nie brakuje takich, którzy na pytanie o znaczenie zbiegów okoliczności w życiu napełniają kieliszki. Efekt motyla... Jacek uważał, że gdyby w 2032 roku przed naszą erą w starożytnym Egipcie pewien kapłan nie zdybał dziewczki niosącej w koszu na głowie zboże do magazynu, Hitler byłby mecenasem sztuki. Niestety świat nie doczekałby tego, ponieważ w siedemnastym wieku Isaak Newton, zamiast leżeć pod jabłonią, zaprojektowałby broń masowego rażenia. Newton był geniuszem i rażenie jego wynalazku byłoby naprawdę masowe.

Na początku Maurycy bawił się jak zwykle. Puszczal stateczek, który płynął przy akompaniamencie leniwego nurtu. Różnica polegała na tym, że chłopiec był sam i żaglowiec nie miał dokąd dopłynąć. I to było najfajniejsze. Maurycy musiał go wyprzedzić i poczekać, aż nadpłynie z naprzeciwka. Zabawa była świetna i wcale mu się nie nudziła. Jak każde dziecko w trakcie zabawy tracił poczucie czasu. Wkrótce zatracił również poczucie przestrzeni. Cóż go mogło

obchodzić, że po dwustu metrach od miejsca, gdzie wszedł do wody, rzeka gwałtownie zakręca, a nurt, jakby zawstydzony własnym lenistwem, stawał się tu narowisty jak pierwszy raz osiodłany koń. Wymyte dno opadało na głębokość dwóch metrów, ale Maurycy nie mógł o tym wiedzieć, ponieważ nigdy nie zapuścił się tak daleko. Zdumienie chłopca było ogromne, kiedy w pewnej chwili zamiast znajomego przyjaznego gruntu jego stopy napotkały tylko niedającą oparcia wodę. Jego postrzeganie otoczenia zmieniło się w ułamku sekundy. Słońce nie było już takie jasne. Docierające do niego odgłosy zamieniły się w przytłumiony bulgot, a powietrze... To był największy problem. Powietrza tutaj nie było.

Bardzo szybko zabrakło mu go też w płucach. Gdyby wiedział, że nie będzie mógł oddychać, pewnie jakoś by się przygotował, a tak... Pozostało mu beładne machanie rękami. Był zbyt przerażony, żeby zauważyć, że dzięki temu machaniu jego głowa pojawiała się na powierzchni, mimo że zdradzone stopy wciąż na próżno szukały podparcia. Chciał wołać o pomoc, ale woda tylko czekała, żeby wedrzeć się w jego usta.

Tracił siły i wiedział o tym, a fakt, że nie może oddychać, stał się obsesją. Kilka razy poczuł, że woda wokół ust zamieniła się w powietrze, ale nie zdążył nim odetchnąć. Raz nawet wściekłość zapanowała nad przerażeniem. Na krótko. Ile czasu można nie oddychać? Był małym chłopcem i nie miał pojęcia. Wydawało mu się, że topi się od godziny. Trwało to dostatecznie długo, żeby zdążył stanąć w mrocznym korytarzu świadomości umierania.

Utopię się! Już to wiedział, chociaż dotąd jak każde dziecko sądził, że jest nieśmiertelny. Teraz był istotą, która umierała. Marzył o jednym łyku świeżego powietrza. Co tam świeżego. Mogło być śmierdzące jak wyziewy z wysypiska śmieci, które kiedyś mijali, wracając z tatusiem z wycieczki. Albo jak martwy ptaszek, którego znalazł pod oknem. Ten to dopiero cuchnął. Maurycy wtedy o mało nie zwymiotował. Teraz mógłby go wachać z rozkoszą. Nagle doznał olśnienia. Tatuś powiedział mu kiedyś: „Maurycy, pod wodą można widzieć. Otwórz oczy. Zobaczysz, jakie to proste. Tylko trzeba się odważyć”. Wtedy się odważył. Otworzył oczy i widział. Teraz też będzie podobnie. Otworzy buzię i będzie oddychał. To nic, że pod wodą. Potem ją wypluje, ale nie będzie tak bolało. Robiło mu się ciemno przed oczami. Nie mógł dłużej wytrzymać. Otworzył usta i głęboko wciągnął zalatującą glonami wodę.

Jacek płynął jak automat. Starał się nie myśleć o tym, że od niego zależy czyjeś życie. Jego umysł był wyćwiczony i na zawołanie umiał myśleć o czymś innym. Teraz nedorzecznie zastanawiał się, czy Monika dostała rolę. Jeżeli nie, będzie musiał ją jakoś pocieszyć. Będzie się w niego wtulała jak mała dziewczynka. Mimo całej swojej witalności bała się życia. Bała się, że przegra. Przytuli ją.

Jeszcze kilka ruchów ramion. Głowa chłopca przestała się wynurzać, ale powinien być w tym miejscu. Jacek zanurkował. Topiel była mętna, a spieniona woda nie ułatwiała szukania. Macał rękami na oślep i sam przypominał tonącego. Po chwili, która wydała mu się wiecznością, natrafił na coś stawiającego opór. Koszulka. Ręka wykonała błyskawiczny ruch ku górze, tam, gdzie powinny znajdować się włosy. Nie był pewien, ale z daleka wyglądało na to, że rodzice dzieciaka nie ulegli kretyńskiej modzie i nie ostrzygli swojej pociechy na jeża. Poczul na palcach włosy i zacisnął pięść tak mocno, że paznokcie wbiły mu się w skórę. Następnego dnia Monika zapyta go o czerwone półksiężycy na dłoni. Ale to będzie dopiero jutro. Potężnymi ruchami drugiej ręki i nóg wy dostał się na powierzchnię. Odetchnął, otwierając usta jak ryba. Zerknął na siną twarz chłopca. Nie miał pojęcia, czy zdążył. Chłodna woda wydała mu się gorąca. Płynął do brzegu, uważając, żeby usta i nos chłopca znajdowały się na powierzchni. Płynął, dopóki nie chwyciły go mocne ręce. Dwóch młodych mężczyzn pomogło mu wygramolić się na piasek. Nie słyszał, co do niego mówili. Położył chłopca na plecach i zaczął rytmicznie uciskać mu klatkę piersiową, wciskając do niej wytęsknione powietrze. Dziecko nie zdradzało oznak życia, a Jacek nie miał pojęcia, że na twarz małego kapie nie tylko woda. Szlochał bezwiednie. To były łyzy wściekłości, bezradności, rozpacz i żalu.

I wtedy mały się zakrztusił. Jednocześnie ludzie dookoła usłyszeli zduszony jęk wrywający się z piersi reanimującego. Jacek odwrócił chłopca na bok i pozwolił mu zwymiotować na piasek wodę oraz częściowo przetrawioną rybę. Tak niewiele brakowało, a dalekie krewne tych resztek miałyby okazję do rewanzu.

Zmęczenie dawało znać o sobie coraz wyraźniejszym łupaniem w głowie. Do jego mózgu dotarło wreszcie, ile wysiłku kosztowało go ratowanie topielca. Nie dotarło natomiast, że uratował dziecko. Opadł na rozgrzany piasek, pozwalając mu panierować ubranie. Leżał i coś w nim wzbierało. Coś potężnego. Coś, czego jego ciało z pewnością nie pomieści. W tamtej chwili,

leżąc na brzegu niedoszłej zabójczyni, doświadczał rozkoszy. Nieporównywalnie większej niż ta, która ogarnęła go po napisaniu pierwszej książki. Potężniejszej od spełnienia, jakiego doznał, kiedy okazało się, że jego książka się spodobała. Silniejszej nawet od tej, kiedy pierwszy raz obudził się i zobaczył przy sobie twarz Moniki, opuchniętą miłością i niewyspaniem.

Jacek przeżywał niepowtarzalną ekstazę. Nad nim latały ptaki, a obok niego słychać było cudownie żywe odgłosy rzygającego dziecka. Nie leżał długo, ale kiedy wstał, wydawało mu się, że świat się zmienił. Wszystko było inne. Usiadł na rozgrzanym piasku. Ludzie uśmiechali się do niego, a on odwzajemniał uśmiechy. Oddawał uściski. Przyjmował gratulacje. Obok niego nie było już chłopca, którego zabrał rzece. Na skarpie stał ambulans.

– Co z dzieckiem? – wymamrotał, z trudem sterując sztywnym językiem, jakby mówił pierwszy raz od miesiący.

– Wezwałam karetkę. Tak na wszelki wypadek, bo otworzył oczy, zaraz gdy pan, gdy pan... – Tłusta kobieta o ujmująco delikatnej, miękkiej twarzy nie umiała się wysłować.

– To dobrze. – Podniósł się z piasku. Zmiana postawy na pionową sprawiła, że zakręciło mu się w głowie. Oparł się o kobietę, która dzielnie to zniosła. Wydawała się zadowolona, że może mu pomóc. Nie przerywając bycia bohaterem, szedł w kierunku miejsca, gdzie zostawił saszetkę z dokumentami. I pieniędzmi. Miał nadzieję, że złodzieje nie okradają ludzi ratujących dzieci.

Zapłakana opiekunka zerkała do wnętrza ambulansu. Jak większość ludzi czuła zabobonny lęk przed jego sterylnym wyposażeniem. Z wnętrza buchał chemiczny swąd odkaźników. Maurycy siedział na rozkładanych noszach i oszołomiony odpowiadał na pytania lekarza. Nie wyglądał źle. Sina bladość powoli schodziła mu z twarzy, choć do naturalnego koloru było jeszcze daleko.

Do skarpy zbliżał się warkot pracującego na wysokich obrotach silnika. Kiedy hałas odnalazł furtkę do świadomości Kasi, był już naprawdę natarczywy. Pisk opon spłoszył kilka mew żerujących na plastikowych koszach ze śmieciami. Czarne bmw z przyciemnianymi szybami zaparkowało tuż obok karetki pogotowia, całkowicie tarasując drogę. Kierowca zdawał się nie zwracać na to uwagi. Był szpakowatym mężczyzną w średnim wieku, rzucającym przenikliwe spojrzenia spod gęstych brwi. Ubrany był w sportowym stylu, ale czuło się, że naturalnym środowiskiem dla niego są

drogie garnitury. Szybkim krokiem podszedł do otwartych drzwi ambulansu. Ludzie schodzili mu z drogi, mimo że nie odezwał się ani słowem. Przemówił dopiero w środku karetki.

– Jak się czujesz, synku? – Głos był drżący i nie pasował do reszty ciała.

– W porządku, tatusiu – odpowiedział Maurycy i nawet spróbował się uśmiechnąć. Właśnie to sprawiło, że ojciec się rozkleił.

Przerwał spotkanie rady nadzorczej, gdy tylko dowiedział się o wypadku. Zwymyślał protestującego prezesa amerykańskiej firmy, z którą miał podpisać lukratywny kontrakt. Przybył na ratunek swojemu synkowi i nie oczekiwał od niego pomocy. Dlatego ta próba tak bardzo go poruszyła. Tulił do piersi drobne ciało, które godzinę temu traciło szansę na to, żeby dorosnąć. Chłopiec pachniał mieszaniną glonów i lekarstwa.

– Już dobrze. Już dobrze – powtarzał mężczyzna, jakby nie usłyszał tego od Maurycyego. Nie miał pojęcia, co ma mówić. Nigdy nie był w takiej sytuacji. I nigdy już nie będzie. Delikatnie odsunął od siebie chłopca. Odszukał wzrokiem lekarza. Nie zadawał pytań. Ludzie i tak zawsze wiedzieli, o co mu chodzi.

– Jest w lekkim szoku, poza tym zaaplikowaliśmy mu leki na uspokojenie i może być trochę otepiały, ale do jutra wszystko minie – wyrecytował lekarz.

– Dziękuję. – Ojciec dziecka nie był wylewny, a mimo to doktor poczuł się jak zdobywca Oscara. Mężczyzna zwrócił się do dziecka: – Poczekaj tu na mnie, synku. – Już ze zwykłym dla siebie wdziękiem zeskoczył z podłogi ambulansu.

Kasia obserwowała całą scenę z ponurym spokojem. Wiedziała, że nie ucieknie od tego, co nieuchronne. Czuliła się jak skazaniec w celi śmierci, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nasłuchuje kroków dobiegających zza drzwi. „Taki skazaniec musi mieć niesamowicie wyćwiczony słuch” – pomyślała, kiedy Goldfisch stanął przed nią. Nie było takiej siły, która zmusiłaby ją do spojrzenia mu w oczy.

– Patrz na mnie. – Goldfisch wskazującym palcem podniósł jej brodę.

Uciekła wzrokiem w bok, koncentrując go na kępie przesuszonej trawy. Wtedy mężczyzna uderzył ją w policzek. Niezbyt mocno. Kępa trawy zniknęła z pola widzenia.

– Nie tak ostro, kolego!

Przez ostatnie piętnaście minut Kasia się zastanawiała, gdzie zniknął

Piotrek. Potrzebowała go, i to bardzo, a on zjawił się dopiero teraz. Wszystko na opak. Chyba nie był dobrym wyborem.

Goldfisch lekko odwrócił głowę w stronę Piotra.

– Milcz – powiedział jakby od niechcienia. – A ty... – Znow patrzył na Kasię. – Jesteś zwolniona.

Opiekunka zgodnie kiwała głową. Jej bierność przyniosła niepożądany efekt, bo Goldfisch skrzywił się z pogardą.

– Oskarżę cię o próbę morderstwa – powiedział zimno.

– Chyba cię pogięło, facet! – Piotrek tym razem wydawał się bardziej zdziwiony niż wściekły. – Wiesz, gdzie se możesz wsadzić takie groźby?

– Daj spokój, Piotrek – szepnęła i dopiero teraz jej spojrzenie zderzyło się ze wzrokiem człowieka, który ją zatrudniał.

Głęboko osadzone szare oczy były puste niczym oczy kamiennych posągów – martwe, bo pozbawione tęczy i źrenic. Te ludzkie miały jednak jedno i drugie, ale to im nie przydawało życia. Goldfisch przemówił cicho, chociaż Kasia bardzo pragnęła, żeby na nią krzyczał.

– Zrobię wszystko, żebyś zdechła z głodu. – Odwrócił się, nie czekając na jakąkolwiek reakcję.

Powstrzymała Piotrka przed podążeniem za swoim byłym pracodawcą. Goldfisch bez przeszkód ponownie zniknął w furgonetce pogotowia ratunkowego.

Jacek sprawdził portfel. Nie brakowało niczego. Spróbował otrzepać piasek ze schnącego ubrania. Miał go wszędzie. We włosach, w uszach, a między zębami zgrzytał jak surowy kuskus. Splunął raz, potem drugi. Bez większego skutku. Wreszcie wspiął się na skarpe. Miał wrażenie, że wszystko w nim trzeszczy, chociaż na prawdziwe doświadczenie skutków akcji ratunkowej przyjdzie czas dopiero następnego ranka.

Doczłapał do samochodu. Otworzył drzwi dotknięte już wysypką rdzy. Na siedzenie pasażera wrzucił saszetkę, nazywaną przez Monikę pedałówką.

– To pan, prawda?

Głos zza pleców odwrócił go o sto osiemdziesiąt stopni. W jego stronę szedł wysoki, postawny mężczyzna. Opalona twarz emanowała serdecznością. „Wygląda jak właściciel kortów Wimbledonu” – pomyślał Jacek. Nieznajomy wyciągnął do niego wypielęgnowaną dłoń ze złotym sygnetem na małym palcu. Sygnet miał wygrawerowany wizerunek wygiętej w łuk ryby.

– Adam Goldfisch. Ojciec Maurycego – powiedział mężczyzna. Wobec braku reakcji Jacka dodał: – Chłopca, którego pan uratował.

– Jacek Sobczyk – wymamrotał bohater.

Uścisnęli sobie ręce. Jacek bardziej od dotyku dłoni czuł na sobie wzrok Goldfischa. „Tak muszą się czuć ładne dziewczyny latem” – pomyślał i natychmiast się zreflektował. Bzdura. Im to sprawia przyjemność. Inaczej nie pakowałyby się w takie ciuchy. Postanowił przy najbliższej okazji porozmawiać o tym z Moniką.

– Inaczej mnie pan sobie wyobrażał? – przerwał milczącą inspekcję swojej osoby.

– W ogóle sobie pana nie wyobrażałem. – Ani cienia niedawnego uśmiechu. Tylko skupienie.

– Cóż. Cieszę się, że mogłem się przydać – zabrzmiało to Jackowi idiotycznie nawet we własnych uszach. „Rany boskie, jak nie przestanę być tak banalny, będę musiał zmienić zawód. Może na ratownika tonących dzieci”. Uśmiechnął się w duchu za siebie i za Goldfischa. Facet budził w nim niepokój.

– Nigdy się panu nie odwdziczę. – Zero mimiki.

„W ten sposób opisują w książkach Indian” – pomyślał Jacek, który w dzieciństwie przeczytał chyba wszystkie. „Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy Goldfischa”.

– I nigdy nie przestanę próbować. – Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, z której wyjął portfel ze skóry krokodyla, a Jacek powtórzył w myślach jego słowa.

Były trochę patetyczne, ale ciekawe. Czasami jako pisarz rodził patetycznych bohaterów, więc będzie musiał to zapisać. Jak już się uwolni od kłopotliwego towarzystwa wodza Ten, Który Okazuje Wdzięczność.

Tymczasem Goldfisch wysupłał z portfela wizytówkę. Na eleganckiej (czego można było się spodziewać) szarości kartonu o gruboziarnistej fakturze widniało logo złotej ryby w niewiadomym celu wyskakującej z morza liter zdradzających informacje o właścicielu wizytówki.

– Proszę.

– Dziękuję. Niestety nie mogę się panu zrewanżować. – Jacek był skromny. Czasami nawet naprawdę.

– Pan nie musi – wreszcie rozmówca się uśmiechnął. Dziwny był to jednak uśmiech. W pełni kontrolowany. Tak Jacek by go opisał w książce. – Niech się

pan zastanowi, jak mogę zacząć spłacać dług, i do mnie zadzwoni.

– Nie ma o czym mówić – powiedział szczerze Jacek.

– Myli się pan. – Twarz Goldfisch'a związała się jak schnący cement. – Jest pan uczynnym człowiekiem. Pomógł pan mojemu synowi. Proszę pomóc również mnie.

– Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. – Facet zaczynał Jacka irytować.

– Wiem. W przeciwnym razie nie miałbym kłopotu. Po prostu dałbym panu pieniądze. – Goldfisch znowu pozwolił sobie na cień uśmiechu. – Niech się pan nie spieszy. Będę czekał na instrukcje.

– To jakaś... – zaczął mówić, ale rozmówca podniósł rękę i Jacek zamilkł.

Był zły, że to zrobił, ale poczuł, jakby mówienie nagle stało się stosowne jak śmiech na pogrzebie.

– Zanim pan odjedzie, ktoś jeszcze chciałby z panem zamienić kilka słów.

– Kto?

W odpowiedzi Goldfisch przeniósł wzrok za plecy Jacka. Kolejna niema instrukcja i po raz kolejny Jacek się do niej zastosował.

Kilkanaście metrów za nim stał chłopiec, którego wyciągnął z rzeki. Wyglądał tak bardzo inaczej niż wtedy. „Życie jednak ogromnie zmienia rysy twarzy” – pomyślał Jacek i ruszył w stronę dziecka.

Niepokoiliła się coraz bardziej. Zdarzało się, że traciła z nim kontakt, ale najczęściej w domu, kiedy pisał. Zazwyczaj był punktualny, a jeżeli coś mu w tym przeszkadzało, zawsze ją informował. Dziwne rozłączenie rozmowy z początku nie wydało jej się podejrzanym. Jacek miał przedpotopowy telefon, który rozładowywał się od samego patrzenia. „Przepraszamy, abonent jest czasowo niedostępny”. Minęło kilka godzin, a abonent nie wracał. Stała w oknie i bardzo się bała. O niego. O siebie. Gdyby coś mu się stało? Dlaczego świadomość odwiedza ludzi dopiero wtedy, kiedy coś się dzieje? Może to lepiej, bo w przeciwnym razie nikt nikogo nie wypuszczałby z domu.

Po raz setny zadała sobie pytanie, czy umiałaby sobie bez niego poradzić. W obecnej sytuacji Jacek jako samiec utrzymujący rodzinę spisywał się dość marnie, ale Monika nie myślała teraz o pieniądzach. Nikt tak jak on nie potrafił zamienić jej smutku w brak tego uczucia. Gdyby zostali bez grosza, przy nim i tak czułaby się bezpiecznie. Tylko czy na pewno? Mogła tak myśleć, bo jeszcze nigdy nie zostali bez grosza.

Jacek nie wracał, a kontury jej myśli nabierały coraz ostrzejszych krawędzi.

Pytania stawały się coraz bardziej nachalne i niedelikatne. Po co jej to wszystko było?

Czternastoletnia Monika siedzi w swoim pokoiku w rodzinnym domu z widokiem na jezioro. Okno jest otwarte i do mieszkania wpada zapach kwitnących róż, który miesza się z wonią glonów oblepiających o tej porze roku młazszące brzegi.

Dziewczyna siedzi na łóżku, bo w pokoju stoją cztery dziecięce łóżka i na krzesła nie ma miejsca. Pokój jest jeden, a ich czworo. Monika jest najstarsza. Oprócz niej są jeszcze siostra i dwaj bracia. W drugim pokoju mieszkają rodzice. Monika stara się skupić na lekcjach. Czyta książkę do historii. Mija 15.23. Za dwie minuty wróci tata. Pracuje na kolei, ale nie jeździ pociągami. Chodzi na siódmą rano i pracuje do trzeciej po południu. Dwadzieścia pięć minut zajmuje mu powrót do domu. Mama pracuje w restauracji. Jest kelnerką. Do domu wraca raz o osiemnastej, a raz o dwudziestej pierwszej. Pięć razy w tygodniu. Monika w drodze ze szkoły wchodzi do restauracji i bierze od mamy obiad dla całej rodziny. Codziennie. W poniedziałki jest kotlet mielony. W piątki ryba. W soboty mama jest zmęczona i tata smaży placki ziemniaczane. Niczego innego nie potrafi ugotować. W niedzielę jest rosół, bulgoczący w garnku od rana, i pieczony kurczak. Zawsze. Wszyscy są szczęśliwi. Kiedy coś dzieje się inaczej, wpadają w panikę. Matka została kelnerką w wieku siedemnastu lat. Była bardzo piękną dziewczyną. Monika lubi oglądać jej zdjęcia z tamtego czasu. Wierzy, że kiedyś też będzie taka piękna. Tyle że ona nie zostanie kelnerką. Widziała, jak podchmieleni goście klepią matkę po tyłku. Ciekawe, czy jak będzie pięćdziesięcioletnią kelnerką, też będą ją klepać. Nie będą. Ale nie dlatego, że im zabroni. Kiedy przestaną? Czy matka zadaje sobie takie pytania? Czy ojciec wie, że kiedy co niedzielę zabiera dzieciarnię na lody, Monika nie może już patrzeć na ich szczęście? Rodzice nie rozumieją, o co jej chodzi. A ona marzy, żeby ojciec raz przyszedł do domu pół godziny wcześniej. Albo żeby nie poszli na lody, tylko na pączki.

– Jest w trudnym wieku – tłumaczy matka.

– Wyrośnie z tego – dodaje ojciec i ją przytula.

I tak sobie wszystko tłumaczą i tak się przytulają, odkąd pamięta. Nigdy się nie kłócą. Ma szczęśliwe dzieciństwo.

Kończy osiemnaście lat, pakuje się i wyjeżdża. Matka płacze. Ojciec zafrasowany chodzi po pokoju. Rodzeństwo nie reaguje, chociaż jest

w trudnym wieku. Nie mogą jej zabronić. Chce zdawać do szkoły aktorskiej. Wie o tym od czterech lat. Rodzice wiedzą o tym od czterech dni.

– Dziecko, czy ty masz pojęcie, co cię czeka? – pyta matka.

Monika nie ma pojęcia. I nie chce wiedzieć, co ją czeka. Nie chce znać przyszłości. Wyjeżdża. Dostaje się za drugim razem. Jest szczęśliwa.

Zaparkował tak ciasno, że nie mógł wysiąść. Jazda samochodem nie była jego mocną stroną. Nużyła go, więc uciekał w świat fantazji, stając się niebezpiecznym kierowcą. Wreszcie jakoś się wygramolił i chyba nawet nie porysował samochodu sąsiada. Był wykończony, a czekało go przeżywanie wszystkiego od początku. Monika na pewno będzie chciała poznać szczegóły. Uwielbiał z nią rozmawiać. Lubił jej nie rozumieć. Lubił, kiedy ona nie rozumiała jego, bo najciekawsze było dochodzenie do porozumienia. Wiedział, że ją też to bawi. Kiedyś powiedział jej, że niektórzy rozumieją się bez słów, a oni nie rozumieją się ze słowami. Jacek zdecydowanie wolał tę drugą opcję. Na studiach miał kolegę, z którym rozumiał się bez słów. Zrozumieli się do tego stopnia, że bardzo szybko nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Wszedł do klatki, a ciągle drżące łydki wolno pokonywały schody prowadzące na trzecie piętro.

– Jak ty wyglądasz?

Dyplomacja nie była mocną stroną Moniki, a Jacek rzeczywiście wyglądał oryginalnie. Nigdy nie przywiązywał wagi do wyglądu zewnętrznego, ale to, co zobaczył w lustrze, wykraczało poza normę. Wymięte ubranie nie wyszło do końca, a spodnie złośliwie zostawiły mokrą plamę w okolicach krocza. W zgięciach materiału czaił się wszędobyłski piasek. Największe wrażenie robiła fryzura – zaschnięte bez rozczesania włosy sterczały mu na wszystkie strony. Były sztywne od mulistej wody. Makijaż zrobiony przez wyczerpanie i napięcie dopełniał efektu.

– Jakbym chodził po śmietnikach – mruknął.

– Co się stało, dlaczego nie odbierasz moich telefonów i... – Jej wzrok powędrował niżej. – Dlaczego zsikałeś się w spodnie?

Wyczuł, że to ostatnie interesuje ją najbardziej. Nic dziwnego, bo odkąd się poznali, nigdy nie zsikał się w spodnie.

– Miałem mały wypadek. To znaczy nie ja, tylko Maurycy. I komórka mi zamokła. A w spodnie nie sikam od trzydziestu lat.

Monika obróciła go dookoła własnej osi i oglądała podejrzliwie jak kobiety zwykle oglądają suknie. W przeciwieństwie do podejrzliwości Goldfisch'a to jej zachowanie wydawało się Jackowi urocze.

– Mogę ci opowiedzieć wszystko po kolei, chcesz? – dotknął jej policzka.

– Nic ci się nie stało? – upewniała się.

– Czuję się świetnie. – Mówił prawdę, mając na myśli nastrój. Nie sądził, że tego dnia będzie w tak świetnym humorze.

To może być świetny sposób leczenia depresji. Hasło reklamowe: „Jest ci źle? Uratuj jakieś dziecko”...

Weszli do pokoju, który był również jadalnią i pracownią. Jacek usiadł na fotelu i zaczął opowiadać. Monika przeżyła bardzo realistycznie jego przygodę. Nie przerwała mu ani razu.

Już w sypialni, kładąc się do łóżka, Jacek marzył o spotkaniu z Morfeuszem, tymczasem wpadł w ramiona swojej żony, które nie puszczały go przez dwie godziny.

Leżeli obok siebie, nasłuchując nocnych odgłosów miasta. Gdzieś zapiszczały opony. Jakiś pijak katował wojskową piosenkę, a co pięć minut noc rozdzierało metaliczne piłowanie kół tramwaju po szynach. Rozjazd torów był tuż pod ich oknami.

– Ku-pi-łeś mi pa-pie-ro-sy? – spytała.

– Kupiłem. Kiedyś pójdę do więzienia za trucie własnej żony – mruknął sennie.

– Gdzie masz pedałówkę? – Przed zaśnięciem obudził się w niej pragmatyzm.

– Na krześle. Smacznego i dobranoc. – Jacek odwrócił się na drugi bok.

Usłyszał szuranie ciała o pościel, zgrzyt rozsuwanego zamka torebki, szelest papierów i zamiast spodziewanego świstu rozpakowywanej folii pytanie Moniki:

– Skąd to masz?

Zdumienie w jej głosie ponownie wstrzymało sen Jacka. Usiadł na łóżku. Z podobnym zdziwieniem wpatrywał się w zwitek banknotów, który trzymała w dłoni.

– Skąd to masz? – powtórzył jak echo, co ją zirytowało.

– Proszę cię, nie żartuj. – Przeliczyła banknoty. – Tu są dwa tysiące. Były w wewnętrznej kieszeni.

– Niemożliwe. – Usiłował się skupić. – Sprawdziłem wszystko po wyjściu z wody, bo się bałem, że mnie okradli.

– I nie zauważyłeś takiej kupy forsy?

– Nie zauważyłem, bo jej tam nie było! – Też zaczynał się złościć.

– Rozumiem. To znaczy po całej akcji z ratowaniem chłopca wsiadłeś do samochodu i po drodze wpadły ci do pedałówki dwa tysiące. Jak mogłam od razu się tego nie domyślić. – Czasem lubił jej sarkazm. Ale nie teraz.

– To ten facet – ucieszył się, że rozwiązał zagadkę, chociaż wyjaśnienie mu się nie podobało.

– Jaki facet? – Przyglądała mu się podejrzliwie jak wezwana do szkoły matka wpytująca dziecko, w jakim celu nauczyciele chcą z nią rozmawiać.

– Ojciec chłopaka. Tam powinna być jego wizytówka. Musiał mi wcisnąć pieniądze, kiedy rozmawiałem z Maurycym.

Monika wyciągnęła szary kartonik.

– Adam Goldfisch – przeczytała.

– Dziwne nazwisko – skomentował.

– Nie powiedziałeś mi, że uratowałeś syna Goldfischa! – Monika była dziesięć razy bardziej zdumiona niż po znalezieniu pieniędzy.

– Zapomniałem, jak się nazywa, a co?

– Czytałeś listę dziesięciu najbogatszych ludzi w kraju? – Spoglądała na niego, jakby odkryła, że jej mąż nie zna tabliczki mnożenia.

– Nie. I nie mam zamiaru czytać, dopóki nie wejdę do pierwszej piętnastki.

– Wzruszył ramionami. Rozwazał, czy opieprzyć Goldfischa natychmiast, czy odłożyć to do rana. Zanim rozstrzygnął swój dylemat, Monika już rozkładała na łóżku laptop Jacka. Włączyła internet. Na ekranie pojawiło się zdjęcie faceta, którego Jacek poznał tego dnia.

– To on – stwierdził trochę bezsensownie, bo pod zdjęciem widniał ogromny podpis „Adam Goldfisch”.

– Rano do niego zadzwonię i powiem mu, żeby sobie wsadził te pieniądze w...

– Dlaczego? – przerwała mu, jakby nie chciała usłyszeć słowa „dupa”. – Facet chciał ci się odwdzięczyć i stać go na to. Jak ty byś się zachował na jego miejscu?

– Nie wiem. Nie mam dziecka, nie mam pieniędzy i nie mam ochoty zastanawiać się, co by było, gdybym to wszystko miał.

– Jacek – przerwała mu ponownie – daj mu szansę. Poczuj się lepiej.

– Myślisz? – Nie przekonała go.
– Nie myślę, tylko wiem. Nikt nie lubi mieć długów. A nam te pieniądze się przydadzą.
– Masz rację. Kupimy nową pralkę.
– Mamy wiele potrzebniejszych rzeczy, których nie mamy – wiedziała, że lubi zabawę słowami.
Jacek poczuł, że teraz Monika chce go wprowadzić w dobry nastrój.
– Na przykład?
– Jutro zrobię ci listę.
– Dobra. A teraz pójdziemy spać, dobrze?
Cmoknęła go w policzek i runęła na poduszkę. Zgasił lampkę. Długą chwilę leżeli w milczeniu. Oddech Jacka zaczął się wyrównywać.
– Kochanie...
– Mmm?
– Nie zadzwonili do mnie w sprawie obsady.
– Może jutro zadzwonią. – Nie był w stanie dłużej trzymać w ryzach snu, który rozlewał się po wnętrzu ciała z ciepłą precyzją. – Nie martw się.
– Nie martwię się.
Nie czuł już, jak wtuliła się w niego ciepłymi piersiami.

Kupiła dwie pary spodni. Dla siebie i dla Jacka. Kilka par butów na wyprzedaży. Sukienkę w kolorze łososiowym, zamszową kurtkę i wełniany płaszcz na aukcji internetowej. Resztę wydała na naprawę pralki, która z całkiem zepsutej znów stała się prawie automatyczna.

Telefon nie zadzwonił.

„Skurwysyny, mogliby chociaż człowiekowi powiedzieć, że nie ma na co czekać” – za każdym razem wpadała w pułapkę rozpatrywania ludzi z branży filmowej w kategoriach uczciwości.

Jacek zaniósł powieść do kolejnego wydawcy. Czekał na opinię i udawał, że jest spokojny. Nie był dobrym aktorem. Zawsze wiedziała, kiedy jest źle. A teraz było.

Poznała go w akademiku. Napisał sztukę i próbował zainteresować nią studentów szkoły teatralnej. Wtedy nie był jeszcze dobrze zapowiadającym się pisarzem. Był Jackiem – facetem, który na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniał. Średniego wzrostu, o lekko przygarbionej sylwetce. Facetem, który nosił flanelowe koszule i bujał w obłokach. Nie zwracał uwagi na przytyki.

Zwracał uwagę na nią. Był w tym tak nieporadny, że aż uroczy. Zakochała się w nim, kiedy spóźnił się na pierwszą randkę. Właściwie to było spotkanie w sprawie roli, którą chciał jej zaproponować. Spóźnił się czterdzieści minut, a ona czekała tylko dlatego, że nie miała nic lepszego do roboty. Właściwie nie czekała, bo była pewna, że nie przyjdzie. Był pierwszym facetem, który spóźnił się na spotkanie z nią. W dodatku zamiast ją przeprosić za spóźnienie, ucieszył się, że przyszła wcześniej, bo uważał, że umówili się na zupełnie inną godzinę. Zanim zdążyła sprostować, otworzył skrypt. Oczy mu błyszczały, kiedy opowiadał o tekście. Miesiąc później błyszczały jeszcze bardziej, kiedy obudzili się pierwszy raz obok siebie.

Pobrali się po roku wspólnego pomieszkiwania. Trzy lata później napisał powieść, która sprawiła, że zyskał miano dobrze zapowiadającego się pisarza, a ona dostała rolę w serialu. Rolę, która wygrzebała ją z czeluści i świat poznał twarz Moniki. I wszystko było na dobrej drodze...

Sygnał telefonu przyłapał ją na czytaniu niewydanej książki Jacka. Numer był zastrzeżony. Pewnie jakaś dziennikarka chciała się dowiedzieć, co znana aktorka myśli na temat pryszczu na dupie.

– Słucham? – spytała obcesowo.

– Witam, pani Moniko! – Głos Huberta Pańczyka, kierownika produkcji, był miły. Zbyt miły.

– A ja już myślałam, że pan o mnie zapomniał. – Filuterną serdecznością starała się pokryć zdenerwowanie.

– O kimś takim jak pani nie da się zapomnieć.

Nie smaruj nikomu dupy miodem, bo ci się ręce będą kleiły – kolejna pozycja z katalogu *Mądrości mojej mamy*.

– Strasznie się cieszę. – Zagrała „straszną” radość dużo za mocno. Z premedytacją. Niech się sukinsyn męczy. Nie męczył się.

– Z przyjemnością obwieszcza się – rozmówca usiłował być nieznośnie zabawny – że jest pani już prawie główną bohaterką nowego filmu Andrzeja Witkowskiego.

– Słucham? – Wiadomość była pokrętna, więc Monika nie zdążyła wyłowić z niej sensu.

– Gratuluję.

– Co to znaczy „prawie”? – zapytała, jakby nie wiedziała.

– To znaczy, że mistrz zastanawia się jeszcze, czy wybrać panią, czy panią Jolantę, ale...

- Jolantę Barczyk?
„Kurwa, tylko nie ona”.
- Tak jest – ucieszył się niczym prowadzący teleturniej. – Pokonała pani czterdzieści siedem kandydatek i mistrz chciałby, żeby pani jeszcze się z nim spotkała...
- Dzięki – wyłączyła telefon.
- Czego nie rozumiesz?! – krzyczała, stojąc nad Jackiem.
– Twojej wściekłości.
W tej wersji też mu się podobała.
- Dostałam prawie rolę, którą prawie zagram i za którą dostanę prawie pieniądze. Tylko że ciągle jeszcze nie nauczyłam się prawie żyć!
- Jeszcze nie wiadomo, na kogo się zdecydują. – Starał się mówić z przekonaniem, chociaż wiedział, że Monika ma rację.
- Barczyk jest gwiazdą, a ja nie. Barczyk ma układy, a ja nie. Barczyk sypia ze wszystkimi, a ja nie!
- O przepraszam – wtrącił.
Poczucie humoru zwykle na nią działało, ale nie tym razem.
- Mam tego dosyć – wyszeptała i rozplakała się jak mała dziewczynka.
Objął ją. Opierała się, ale tylko przez chwilę. Poczuli jej łzy spływające po jego szyi.
- Jakoś to będzie – powiedział jak zwykle w sytuacjach, kiedy nie wiedział, co powiedzieć.
- Bezczelne sukinsyny...
- Nie rozumiem tylko, po co do ciebie zadzwonili.
Prychnęła kpiąco.
- Mówiłam ci, mistrz chciał się ze mną spotkać. Jak myślisz, po co?
- Taki zawód. – Znalazł argument, ale pozałował tego natychmiast.
Odbiła się od niego jak na sprężynie.
- Byłam dobra, rozumiesz? Wiem, kiedy jestem dobra. A to jest oszustwo. Nie prawie oszustwo! Tylko prawdziwe! Skurwysyńskie oszustwo!
Czekał, aż się uspokoi. Wyrównała oddech, więc zaryzykował.
- Nic na to nie poradzimy. – Tym razem mówił szeptem.
- My? Jakie my? – Nie chciała się na nim wyżywać, ale nie umiała rozmawiać spokojnie o sprawach, które doprowadzały ją do szału.
- Jesteśmy razem. Pokazać ci akt ślubu? – próbował zażartować, ale nawet

on się nie uśmiechnął.

– Nie. Są miejsca, w których jestem sama. – Nie patrzyła na niego.

– Podaj mi adres, odwiedzę cię – szepnęła.

Powoli odwróciła głowę w jego stronę.

– Kiedyś powiedziałeś, że nie umiesz sprzedawać swoich książek, bo nie jesteś dobry w chwaleeniu samego siebie.

Zaniepokoiło go dziwne napięcie w jej głosie.

– Powiedziałem, że gdybym był swoim agentem, to już dawno bym się wyrzucił z pracy – mruknął.

– A moim? – wstrzymała oddech.

– Ja? – wybałuszył oczy, stając się w tej jednej chwili personifikacją zdumienia.

– Tak. – Jej głos przybrał rzeczowy ton. Widocznie uznała, że pomysł, który przyszedł jej do głowy, jest dobry.

– Przecież pół roku temu zrezygnowałaś z prawdziwego agenta.

– To był akurat prawie agent. Pobierał dwadzieścia procent ze wszystkiego, co sobie sama załatwiłam. – Pełne usta Moniki wydęły się pogardliwie na samo wspomnienie.

– Dobra, o co chodzi? – Wiedział, że Monika ma już bardzo konkretny plan.

– Goldfisch ma wobec ciebie dług wdzięczności – wypaliła.

– Nie ma, bo go spłacił. – Nie spodobał mu się ten pomysł.

– Dwa tysiące za życie syna?

– A ile według ciebie warte jest życie dziecka? – Takiej jej nie lubił.

I nigdy tego nie ukrywał.

– Masz rację. Ale może warto byłoby z nim porozmawiać? – Świadomie stąpała po kruchym lodzie i właśnie obsunęła jej się noga.

– A co on może? – Otworzył jej tym pytaniem furtkę.

– Wszystko. Ma pakiet większościowy banku BTK. A bank BTK wykłada kasę na film Witkowskiego.

– Skąd wiesz?

– Sprawdziłam.

Zrozumiał, że starannie przygotowała się do tej rozmowy. Po raz nie wiadomo który zastanowił się, gdzie są granice aktorstwa. Czy łyzy nie były udawane? Na ile prawdziwe jest spojrzenie zielonych oczu, którymi teraz z determinacją ślizgała się po jego twarzy?

Wszedł do ogromnego, zimnego od marmuru holu, w którym poczuł się mały i zagubiony. Takie jest zadanie ogromnych holi. Dwadzieścia metrów dalej od przeszklonego wejścia srebrzyły się prostokąty wind, do których dostępu broniła recepcja. Za kontuarem swoją bazę miała ładna recepcjonistka, a obok niej stał mniej urodziwy, za to postawny strażnik z miną neandertalczyka, któremu nie wyszło polowanie na mamuta. Kluczem doboru strażnika do pomieszczenia musiały być jego gabaryty, i trzeba przyznać, że pasował do tego miejsca niczym właściwa torebka do właściwych butów. Przyglądał się gościowi spojrzeniem przepełnionym zawodową nieufnością.

– Dzień dobry, ja do pana Goldfischa. – Własny głos wydał się Jackowi nieporadny, co również pasowało do tego miejsca.

– Był pan umówiony? – wyćwiczony uśmiech dziewczyny zaczynał się na ustach i na nich też się kończył.

– Dzwoniłem do niego. Moje nazwisko Sobczyk.

Recepcjonistka wystukała coś na klawiaturze i przysunęła głowę do ekranu. Mimo młodego wieku już była krótkowidzem, ale widocznie nic z tym nie próbowała robić. Po chwili studiowania tabelek jej uśmiech pogłębił się, nie sięgnął jednak oczu, odsłonił tylko śnieżnobiałe pasujące do pomieszczenia zęby.

– Proszę bardzo. Ochrona pana zaprowadzi. – Wskazała ręką kierunek.

– A identyfikator? – wtrącił strażnik.

– Ten pan nie potrzebuje identyfikatora – warknęła, co pasowało nie do jej uroczej twarzy, tylko do strażnika oraz wnętrza.

Chwilę później Jacek szybował windą na osiemnaste piętro w towarzystwie faceta, który w dużym stopniu wypełniał dziesięcioosobową windę o ścianach koloru kości słoniowej. Strażnik milczał i wyglądało na to, że kłopotliwa cisza, jaka panuje zwykle w windach, nie robi na nim żadnego wrażenia. Jacek denerwował się coraz bardziej. Ułożył sobie szkielet rozmowy, ale z doświadczenia wiedział, że takie plany rzadko się sprawdzają. Wiedział też, że nie potrafi iść na rozmowę bez jakiegokolwiek koncepcji.

Blisko minutę kluczyli po przestronnych pachnących nowością korytarzach i Jacek zastanawiał się, w jaki sposób trafiłby na miejsce, gdyby nie przydzielona mu opieka.

Drzwi odgradzające świat od Goldfischa nie miały numeru. Znajdowała się na nich tylko duża tabliczka z wygrawerowanym napisem „Prezes”. Miały dwa skrzydła, więc nawet potężny ochroniarz nie musiałby się przez nie przeciskać.

Ten jednak poprzestał na otwarciu drzwi i odsunął się dyskretnie, pozwalając Jackowi przekroczyć próg gabinetu.

– Witam serdecznie! – Goldfisch podszedł do gościa. Z szeroko rozpostartymi ramionami przypominał drapieżnego ptaka kołującego w przestworzach. W poszukiwaniu ofiary.

Po sekundzie oburącz potrząsał mocno dłonią Jacka.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać. – Jacek był pod wrażeniem gabinetu.

Jeżeli budynek nosił w sobie znamiona przepychu, to w porównaniu z miejscem urzędowania prezesa wyglądał jak kurnik. Wszystko tutaj było drogie i dopasowane do siebie z chorobliwą starannością. Uwzględniono każdą potrzebę urzędującego. Jacek był pewien, że gdyby nagle zaczął rodzić, z bocznej szafy wychynęłaby akuszerka z gorącą wodą i świeżymi ręcznikami.

– Zgodził? – zdumiał się Goldfisch. – Nie... To dla mnie zaszczyt. Jeżeli myśli pan, że to, co powiedziałem podczas naszego poprzedniego spotkania, było nieprawdą, to mam nadzieję, że dziś uda mi się udowodnić, że Goldfisch nigdy nie kłamie.

– Nigdy nie wątpiłem w pana szczerłość. – Zgodnie z przewidywaniami Jacka rozmowa zaczynała się zupełnie inaczej, niż sobie to wyobraził, ale Goldfisch nie był postacią z jego książki, więc nie mógł ingerować w jego myśli jako autor.

– Proszę, niech pan siada.

Jacek zapadł się w fotelu tak wygodnym, że chętnie spędziłby w nim resztę życia.

– Czego się pan napije? – Goldfisch musiał uruchomić jakiś mechanizm, bo fragment jednej ze ścian złamał się, ukazując armię butelek wszelkiego koloru i kształtu.

– Może wody – powiedział Jacek.

Gospodarz skrzywił się rozczarowany, ale posłusznie napełnił jedną ze szklanek.

– Wierzę, że pańskie kolejne życzenia będą nieco bardziej... hm... wyszukane. – Sobie nalał martini i wrzucił do kieliszka zieloną oliwkę nadzianą na wykałaczkę. Zamieszał alkohol.

– Życzenia? – Jacek pociągnął spory łyk wody. Zaszło mu w gardle.

– Panie Jacku! – Goldfisch bardzo się starał, żeby politowanie w jego

głosie nie było przykre.

– Przede wszystkim chciałem panu powiedzieć, że rozumiem, dlaczego podrzucił mi pan pieniądze, ale nie jestem tym zachwycony – wyrzucił z siebie jednym tchem Jacek.

– Dlatego je podrzuciłem, a nie wręczyłem, tak jak powinno się to robić. Przepraszam, że zamiast królewskiego podziękowania otrzymał pan zwykłą zapomogę, ale nie miałem więcej gotówki przy sobie. Żyjemy w wirtualnych czasach. – Goldfisch wzniósł stożkowy kieliszek na długiej nóżce i zwilżył usta. – Domyślam się również, że nie przyszedł pan do mnie z pretensjami. – Drobnym ruchem dłoni zamknął Jackowi usta, zanim ten zdążył się odezwać. – Nie chodzi również o podziękowanie. Jedno i drugie mógł pan zrobić przez telefon.

– Jest pan bardzo domyślny – bąknął Jacek.

„W przeciwieństwie do mnie” – dodał w myślach, obiecując sobie, że nigdy więcej – przynajmniej jeżeli chodzi o relację z tym facetem – nie będzie planował przebiegu rozmowy.

– O tak. W moim przypadku nie może być inaczej. – Goldfisch przyjął komplement jak człowiek nawykły do takich słów.

– W takim razie pewnie wie pan, po co przyszedłem. – Jacek okraślił złośliwość niewinnym uśmiechem.

– Przyszedł pan prosić o to, co się panu należy. – Goldfisch mówił poważnie. – Zaciągnąłem u pana kredyt i zamierzam spłacać go sumiennie.

„Więc tak wyglądają ludzie, którzy dochodzą do takiej pozycji” – pomyślał Jacek. Goldfisch był nie tylko pewny siebie. On był pewnością siebie. Jacek usiłował sobie wyobrazić zdziwienie na twarzy tego człowieka, ale bezskutecznie. „A inne uczucia? Strach... Ból... Miłość... Czy zdejmował kiedyś maskę? Czy maska założona nie wiadomo kiedy wrosła tak głęboko w jego twarz, że sama stała się twarzą?” Poczł lęk, a jednocześnie ulgę, że ten człowiek uważa się za jego dłużnika.

– Ponieważ jest pan człowiekiem nieśmiałym, przyszedł pan w cudzej sprawie – stwierdził Goldfisch, nie patrząc na gościa. Nie chciał onieśmielać go jeszcze bardziej.

Jacek nie potrafił opanować zdziwienia, ale przynajmniej udało mu się nie zakrztusić. Goldfisch skwitował to skinieniem głowy, przyzwalając swojemu gościowi na dziwienie się w czasie tej rozmowy.

– Chodzi o żonę? – powiedział to takim tonem, jakby sugerował pytanie, ale

Jacek nie miał złudzeń. Goldfisch wiedział, że chodzi o Monikę.

– Skąd pan wie? – Miał dosyć niedomówień.

Goldfisch zakręcił stożkowatym kieliszkiem i obserwował oliwkę bujającą się po rozkołysanej powierzchni alkoholu jak zielona boja. Mówił, nie odrywając wzroku od kieliszka.

– Lubię wiedzieć. – Ponownie zwilżył wargi alkoholem. – Zbieram informacje o sprawach, rzeczach, ludziach. Jestem jak chomik. Jakże miałbym nie sprawdzić, kim jest człowiek, który zrobił dla mnie więcej niż moja matka? – Spojrzał na Jacka, a ten nie umiał odgadnąć, co się kryje w tym wzroku.

– Przesadza pan – irytacja w głosie Jacka była wyraźna i nieskrywana.

– O nie. Gdyby pan mnie bliżej poznał, wiedziałby, że nigdy nie przesadzam. W ogóle bardzo wielu rzeczy nie robię NIGDY. Dla równowagi sporo rzeczy robię ZAWSZE. – Goldfisch z pietyzmem odstawił kieliszek na misternie rzeźbioną srebrną podstawkę, która pasowała do szklistej czerni stolika. Nachylił się w kierunku Jacka, który coraz bardziej żałował, że tu przyszedł. – Pan też lubi poznawać ludzi. Czytałem pańską książkę.

„Kolejny palant, któremu się wydaje, że każdy pisarz pisze o sobie” – Jacek rozważał, czy mu tego nie powiedzieć. Czy nie powiedzieć mu czegoś, co przerwie tę pieprzoną, wszechwiedzącą przemowę.

– Zgłębianie natury drugiego człowieka bywa fascynujące. – Rozmarzony wyraz twarzy Goldfischa gdzieś się ulotnił. – Ważne, żeby nie przesadzić.

Jacek czuł się zagubiony i chciał przestać słuchać. Niestety spokojny, sugestywny głos gospodarza bez trudu pokonywał zdolność pisarza do panowania nad sobą.

– Nie poznać ani o sekundę za długo. Na tym polega sekret. Zgodzi się pan ze mną? – Z twarzy Goldfischa zniknęły emocje, tak jakby nie chciał zdradzać prawidłowej odpowiedzi.

– Nie rozumiem – wchodził ostrożnie w dyskusję Jacek.

Gospodarz jednym haustem opróżnił kieliszek, przegryzając oliwką. Wstał i przez chwilę wahał się, w którą stronę pójść. Wreszcie zbliżył się do impresjonistycznej wizji biegnącego konia. Jacek był pewien, że na ścianach tego gabinetu nie ma ani jednej reprodukcji. Goldfisch mówił, patrząc na rozbryzgiwaną kopytami wodę.

– Mnie poznawanie drugiego człowieka przypomina grzebanie w ziemi. Z każdym dniem poznajemy go coraz głębiej. Jak poszukiwacz złota, który

natrafił na żyłę i nie może przestać kopać.

– Nie wiem, o czym rozmawiamy. – Jacek był dumny, że odważył się przerwać monolog gospodarza.

Goldfisch nie zwrócił na to uwagi.

– Ale jest moment, kiedy złota żyła się kończy, a ściany za głęboko wygrzebanego dołu... zawalają się. – Przestał studiować obraz i ponownie odwrócił się do Jacka. – Oczywiście nikt nie wie, ile złota jest jeszcze do wydobycia, więc kopie jak opętany. Gorączka złota prowadzi do zatracenia.

Jacek zapatrzył się w jakiś nieskonkretyzowany punkt. Czekał na ciąg dalszy, ale usłyszał tylko chłopot kolejnego martini w kieliszku.

– Dlaczego pan mi o tym powiedział? – W jego pytaniu nie kryło się nic poza ciekawością.

– Bo to najciekawsza refleksja, do jakiej doszedłem. – Gospodarz uśmiechnął się rozbijając i przysiadł na biurku. Swobodne zachowanie również do niego pasowało.

Jacek zastanawiał się, co by do niego nie pasowało, ale nic nie wymyślił.

– Nie chcę zabierać cennego czasu. W czym mogę pomóc?

Mniej więcej w ten sposób Jacek wyobrażał sobie początek rozmowy, tyle że to nie był początek.

– Widzi pan, moja żona jest aktorką – zaczął niezdarne.

– Udało mi się nawet obejrzeć jedną z jej ról. Bardzo interesująca. – Dżentelmen w każdym calu.

– Sam pan wie, że talent nie zawsze wystarczy.

„Jak mam, do cholery, załatwić tę sprawę i nie wyjść na palanta?” – Jacek poczuł złość do Moniki. Przez nią czuł się tu jak łapówkarz.

– Nawet mój Maurycy wie, że bez szczęścia i... sprzyjających wiatrów Kolumb nigdy nie odkryłby Ameryki.

Uśmiech Goldfischa zachęcał, więc Jacek zebrał się na odwagę i wyrzucił jednym tchem:

– Monika stara się o rolę, w której jest świetna. Gdyby nie była, nigdy bym do pana nie przyszedł. – Spojrzał wyzywająco na gospodarza, oczekując sprzeciwu. Nic z tego. – Niestety, obawia... obawiamy się, że na skutek czynników pozamerytorycznych... – zaczął cytować zdanie, które sobie zanotował. Na kartce wyglądało jakoś lepiej niż teraz, kiedy je usłyszał. – Rolę dostanie ktoś inny. – Odetchnął z ulgą. Przerzucił piłeczkę na boisko przeciwnika.

Goldfish długo milczał. Ponownie kołysał kieliszkiem, obserwując przezroczystość cieczy sięgającą krawędzi, i wreszcie odezwał się pogodnie:

– Nie ma sprawy.

Za kolejną porcję milczenia odpowiedzialny był Jacek. Spodziewał się rozmaitych wariantów. Dyskusji, a przynajmniej prośby o więcej szczegółów.

– To wszystko, co mam zrobić? – rzucił Goldfish, jakby rozczarowany błahością przysługi.

– To nie jest mało. – Jacek był wdzięczny temu do niedawna kompletnie obcemu facetowi nie tylko dlatego, że spełnił jego prośbę, ale przede wszystkim dlatego, że oszczędził mu tłumaczenia.

„Na razie jeszcze niczego nie spełnił” – włączył się do wewnętrznej dyskusji „sceptykoJacek”.

– Musielibyśmy się zastanowić, czym jest małość. Chyba żaden z nas nie ma na to ochoty, a już na pewno czasu. Niech pan wraca do domu.

Jacek wygramolił się z fotela, odkrywając, że dużo łatwiej było na nim usiąść, niż z niego wstać.

– Dziękuję – przemówił najpoważniejszym głosem, zarezerwowanym na najpoważniejsze sytuacje.

– To ja dziękuję. Dzięki naszemu dzisiejszemu spotkaniu będę czuł się lepiej. Odrobinę lepiej, ale zawsze to coś. Proszę pamiętać, że nasze rachunki bynajmniej nie zostały wyrównane.

– Moim zdaniem zostały – powiedział stanowczo Jacek, patrząc Goldfishowi w oczy.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Portier czeka na pana za drzwiami.

– Poradzę sobie.

Ponownie lekko uniesiona ręką w geście nieznoszącym sprzeciwu. Pytanie dogoniło Jacka, kiedy stał już przy dźwiękoszczelnych drzwiach.

– To ona się o tym dowiedziała, prawda?

Z perspektywy kilku metrów lepiej ogarniał sylwetkę Goldficha. Tym razem miał on na sobie drogi garnitur, który nosił z niedbałym wdziękiem.

– Pan nie miał pojęcia, że jestem właścicielem banku BTK.

– Monika jest bardziej zorientowana. – Jacek uśmiechnął się przepraszająco. – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Ależ skąd.

Z daleka widział uśmiech, ale nie mógł odczytać spojrzenia. Wyszedł,

pozwalając Goldfischowi być tym, kim był naprawdę.

Czekała na niego w progu. Nie zdążył zamknąć drzwi, a ona już wisiała mu na szyi, obsypując pocałunkami.

– Co się stało? – zdołał wreszcie wysapać, uwalniając się częściowo z jej uścisku.

Kiedy cieszyła się jak dziecko, była nie do opanowania. Być może dlatego tak bardzo się w niej zakochał.

– Dostałam rolę! Kocham cię. Nigdy ci tego nie zapomnę, słyszysz? Nigdy! Jesteś najcudowniejszym człowiekiem na świecie! – Oczy jej świeciły jak zielone światła na przejściu dla pieszych.

– Dostałaś rolę? – wybełkotał lekko rozczarowany.

– Nie cieszysz się? – odsunęła go na odległość ramion.

– Pewnie, że się cieszę – mruknął zły, że sam nie cieszy się bardziej. – Szkoda tylko, że nie zdecydowali się, zanim poszedłem do tego dziwoląga.

– Nie rozumiesz, że to właśnie dlatego? – Pokręciła głową. – Ten dupek zadzwonił do mnie piętnaście minut temu.

– Jaki dupek? – zgubił się Jacek.

– Kierownik produkcji, tym razem jak całkowicie inny facet, kulturalny – zaczęła wyliczać na palcach – rzeczowy. Przestał pieprzyć te swoje farmazony, tylko obiecał przesłać do soboty harmonogram zdjęć, a stawka za dzień...

– Poczekaj, zadzwonił piętnaście minut temu? – Wszystko działo się dla Jacka za szybko.

– Dokładnie siedemnaście – poprawiła się, jakby dwie minuty miały znaczenie.

– Ale ja wyszedłem od Goldfischa wpół do dwunastej, czyli niecałą godzinę temu.

– A ty myślisz, że ile czasu taki jak on potrzebuje na załatwienie jednej głupiej roli? – obruszyła się, jakby znała na pęczki ludzi typu Goldfischa.

– Naprawdę myślisz... – Jacek zaczął pytanie, ale go nie dokończył. Wiedział, co ona myśli. Po raz kolejny poczuł dziwny, zabobonny lęk przed Goldfischem.

Cieszył się radością Moniki, ale gdzieś w czeluściach duszy zaczynał żałować, że tamtego dnia znalazł się nad rzeką. Że to on, a nie jakiś inny facet, wyciągnął dzieciaka z wody i że... „Śmiało, dokończ. Pamiętasz, jak się

umówiliśmy? Zawsze będziemy ze sobą szczerzy”. „Nie wiem, czy to dobrze, że wykorzystałem dług wdzięczności”. Dokończył myśl.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz, czy zacząłeś pisać kolejny rozdział? – Monika zmaterializowała się tuż przed jego nosem. Siedziała na nim okrakiem i znowu wyliczała na palcach rozliczne korzyści.

– Przepraszam. Jasne, że cię słucham. – Uśmiechnął się służbowo, ale nie zwróciła na to uwagi. W obecnym stanie na takie drobiazgi nie zwracała uwagi.

– Zaproponowali mi piętnaście tysięcy za dzień, a z dobrze poinformowanych źródeł wiem, że mieli dać pięć dla mnie albo, jak dla Barczyk, jedenaście i pół.

– Podnieśli stawkę o trzysta procent? – Jacek był wstrząśnięty.

– Aha... – obserwowała go nie bez przyjemności. – Oczywiście nie ma też tematu spotykania się z mistrzem – wykrzywiła się pogardliwie.

– To znaczy, że...

– To znaczy, że teraz będzie wielka radość w domu Gucia! – wrzasnęła mu w ucho, aż zaswędziało.

– U jakiego Gucia? – Z tego wszystkiego zaczynała go boleć głowa.

– Nie znasz powiedzenia mojej mamy? – zdziwiła się, jakby powiedzenia jej mamy były obowiązkowym przedmiotem w szkołach.

– Znam milion powiedzonek twojej mamy, ale tego nie kojarzę.

– Bo to był tylko początek. – Pocałowała go w nos i zacytowała własną mamę, niezwykle wiernie odtwarzając jej przeciągły, trochę nosowy sposób mówienia. – Wielka radość w domu Gucia, Gucio gumę ma do zucia.

– Rzeczywiście zabawny wierszyk. – Spodziewał się jakiegoś morału, jak w przypadku większości powiedzonek jej mamy.

– Gucia gumę zjadła Lucia. Gucio gówno ma do zucia – dokończyła Monika ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy i wybuchła beztróskim śmiechem.

Przytulił ją.

*

Nie zaprzepaściła szansy. Rolę Heleny docenili widzowie, krytycy, a także znajomi. O następną nie musiała się starać. Telefon dzwonił często i natarczywie. Miała to, o czym nawet nie marzyła – możliwość wyboru. Wreszcie, po wyczerpujących dyskusjach z samą sobą, zdecydowała się

wcielić w postać lesbijki we francuskim filmie z czasów fin de siècle'u. Produkcja rozpoczynała się na początku kwietnia i miała z przerwami trwać do końca sierpnia. Gaża była adekwatna do rozmachu, z jakim przygotowywano produkcję. Monika po raz pierwszy miała wystąpić w filmie kostiumowym i nie mogła się doczekać pierwszego klapsa.

Jacek opublikował swoją powieść w małym wydawnictwie. Radość, że szef wydawnictwa nie zamierza ingerować w tekst, „mając do autora pełne zaufanie”, ustąpiła miejsca rozczarowaniu, kiedy okazało się, że wydawca w najmniejszym stopniu nie będzie również ingerował w promocję książki. Mimo minimalnego nakładu księgarnie zwróciły sześćdziesiąt procent egzemplarzy. Jacek nie wiedział, czy ludzie nie chcą czytać jego myśli, czy tylko nie wiedzą, że takie posiada. Nie chciał też wiedzieć, jakich myśli oczekują od niego czytelnicy, co sugerowali więksi wydawcy, oferując reklamę i pieniądze, jeżeli napisze, co mu każą.

Pół roku zajęło mu osvajanie się z myślą, że z „dobrze zapowiadającego się młodego autora” przeszedł do kategorii „niespełnionej nadziei literackiej”. Pomogło wino i pomogła Monika. W tej kolejności. Żona była zbyt zajęta, a on zbyt zamknięty w czterech ciasnych ścianach swojego cierpienia, żeby tę kolejność odwrócić. Pół roku później ponownie stanął twarzą w twarz z czystą kartką. Historia, którą miał w głowie, nijak miała się do sugestii renomowanych firm wydawniczych, ale świadomość tego, że napisze kolejną książkę, która nie zostanie doceniona, sprawiała mu jakąś wariacko masochistyczną satysfakcję. Świadomość ta pchała go do całkowitego zatracenia w fikcyjnym świecie rozsadzającym głowę. Pisał niemal bez przerwy. Pisał i skreślał. Kiedy nie siedział przy komputerze, notował na kartkach. Mieszkanie zasypane białymi fiszkami wyglądało tak, jakby z sufitu spadły wielkie płaty śniegu.

Po sukcesie Moniki kupili wygodny apartament na zamkniętym osiedlu. Jacek nie zgodził się na sprzedaż starego mieszkania. Lubił tam pisać. Potrafił się koncentrować wszędzie, ale miejsce pod oknem kojarzyło mu się z czasem, kiedy jego pisanie interesowało ludzi.

Oboje zapracowani, w kompletnie różnych światach, spotykali się wieczorami, kiedy Jacek był już mocno wstawiony, a Monika zbyt zmęczona, żeby na to reagować. Zatracenie, którego oboje tak potrzebowali i które nigdy dało tyle radości, zmieniło tory, a oni w pełni świadomie przesunęli zwrotnice i pędzili coraz szybciej. W różnych kierunkach.

Monika bywała przerażona zachowaniem Jacka, kiedy mogła sobie pozwolić na wolną chwilę. Z mężczyzny, w którym się zakochała, pozostało niewiele. Wyglądał inaczej, czuł inaczej, mówił inaczej (jeżeli w ogóle coś mówił) i przede wszystkim kochał ją inaczej. „Tak jakby chciał udowodnić, że też umie” – myślała, leżąc obok niego w ich nowym przepastnym łóżku. Przyglądała się śpiącemu mężowi. Kiedy ostatnio się uśmiechał? Ale szczerze, bo z kpina, napędzaną bólem, uśmiechał się zbyt często. Cynizm był jego murem obronnym. Nie cierpiała tego, ale zdawała sobie sprawę, że być może właśnie dzięki takiej postawie udaje mu się nie oszaleć. Wychodząc za niego, nie wiedziała, że jest tak delikatny. A może to wcale nie kwestia delikatności? Może został niezwykle precyzyjnie trafiony w swój czuły punkt? Matka mówiła, że „każdego chłopa można kopnąć w jaja, byle wiedzieć, gdzie je ma”. Najwyraźniej ostatni rok skutecznie odnalazł jaja męża Moniki. I je skopał.

Nachyliła się, żeby pocałować usta cuchnące trawionym alkoholem. Nie obudził się. Już wcześniej postanowiła, że mu pomoże. Jacek nie będzie zachwycony, ale trzeba spróbować. Jeszcze przed wyjazdem do Francji.

– O czym ty mówisz? – siedział w starym mieszkaniu przy oknie i patrzył na nią przekrwionymi oczami.

– O tym, że warto, żebyś pomógł sobie, tak jak kiedyś pomogłeś mnie. – Przyjęła jego ostre spojrzenie. Cofnęła się, kiedy gwałtownie wstał z krzesła. „Boże, przestraszyłam się własnego męża”.

– Mam pójść do jakiegoś faceta i prosić go o pomoc? – Bardziej wypluł słowa, niż je wypowiedział.

– Tak.

– W jaki sposób on może mi pomóc? Nauczy mnie pisać? Wydaje ci się, że pisać można się nauczyć?! – poczuła od niego wódkę, chociaż nie było jeszcze południa. – Nie można! – odpowiedział sobie z pasją.

– Nikt nie musi uczyć cię pisać – powiedziała spokojnie. – To umiesz. Teraz tylko ktoś musi to udowodnić.

– Święte słowa – ponownie usiadł. – Facet nazywa się Jacek Sobczyk.

– Kochanie... – usiadła mu na kolanach. Robiła to tyle razy, ale było to dawno temu.

Nie odtrącił jej. Spoglądał na nią, przechylając głowę jak pisklę czekające na robaka. Gdzieś na dnie jego oczu dostrzegła dawną czułość. Tonęła

zupełnie jak chłopiec, którego uratował.

– Jeżeli będziesz nieszczęśliwy, to... – Umilkła, a łzy zaburzyły ostrość widzenia.

– To co?

Czułość była już zbyt głęboko, żeby Monika mogła ją zobaczyć.

– To wszystko nie ma sensu. – Dwie łzy jak zwiadowcy wypłynęły jej z oczu i dosięgły kącików ust.

Milczał. Zaczęła płakać. Nigdy nie pozwolił jej płakać tak długo.

– Poradzę sobie – powiedział wreszcie i uśmiechał się bez sensu. – Nie płacz. – W odpowiedzi tylko głośno pociągnęła nosem. – Jedź do Francji i zagraj najpiękniej, jak potrafisz.

– A ty? – wychlipała z bezradnością małej dziewczynki.

– Gdy wrócisz, to aż się zdziwisz, za jakiego fajnego faceta wyszłaś. Oczywiście, jeżeli jeszcze będzie cię to interesowało. – Przymrużył zawadiacko jedno oko.

Przytuliła jego głowę. Wiedziała, że kłamie. Nie miał pomysłu na życie. Nie miał pomysłu na siebie. Dlaczego, do cholery nie potrafił jej oszukać?

Odezwał się telefon. Dzwonił kostiumograf.

Wróciła cztery miesiące później, w dniu, w którym skończył pisać. Uprzedziła o swoim powrocie, ale nie wyjechał po nią na lotnisko. Było jej przykro, ale postanowiła tego nie komentować. Pod koniec zdjęć tęskniła już tak bardzo, że sprzeczka na jakikolwiek temat byłaby świętokradztwem.

Dom był pusty i sprawiał wrażenie niezamieszkanego. Na stole nie było okruszków chleba. W zlewozmywaku nie stały kubki po kawie. W domu nie było Jacka. Nie zdenerwowała się, bo dzwoniła z lotniska w Paryżu.

W starym mieszkaniu zastała zmęczonego człowieka z kępami siwizny na nieogolonej twarzy. Włosy miał tłuste i zmierzwione jak wtedy, kiedy przyjechał do domu po przygodzie nad rzeką. Patrzył na nią i uśmiechał się, ale miał problem ze skupieniem niesforne go wzroku. Przekrzywiła głowę w umownym geście powitania i uśmiechnęła się uśmiechem zarezerwowanym tylko dla niego. Kiedy ją przytulił, poczuła, że drży.

– Dzień dobry, kochanie – odgarnęła mu włosy z czoła.

– Wszystko w porządku? – zapytał tak, jakby to nie on przypominał zaszczute zwierzę.

Monika wyglądała świetnie.

– U mnie tak, a u ciebie? Wyglądasz na zmęczonego – mówiła od niechcienia, zdejmując płaszcz.

– Bo jestem zmęczony! Potwornie zmęczony! – krzyknął.

Monika przerwała w połowie ruchu. Jeden z rękawów tańczył po podłodze.

– Dobrze się czujesz? – spytała ostrożnie.

– Jak nigdy – wycedził jej prosto w twarz. – Skończyłem książkę. Nigdy w życiu nie napisałem nic lepszego, rozumiesz? – Oczy płonęły gorączką. – Jeżeli tego nie kupią, to znaczy, że nie ma po co pisać – powiedział wprost do jej ucha, przypominając sobie jej zapach. Monika z przerażeniem zadała sobie pytanie, czy w jego obecnym stanie „pisać” i „żyć” robi jakąś różnicę.

Z nieba spłynęła ciemnoszara kurtyna chmur. Było zimno i Monika obstawiała, że zacznie padać śnieg. Aura idealnie pasowała do scenerii cmentarza. Kobieta szła wzdłuż pomników, czytając napisy na nagrobkach. W równych odstępach leżeli jej pradziadkowie, potem dziadkowie, a w końcu rodzice. Nie pamiętała, żeby umarli, a jednak widok ich nazwisk wyrytych na granitowych płytach nie dziwił. Przystanąła przy przedostatnim grobie. Pod imieniem mamy napisano: „Żyła, żyła, aż się zmęczyła”. Monika uśmiechnęła się, wpuszczając do ust falę listopadowego wiatru. Mama zawsze żartowała, że chce taki nagrobek. Dopiero teraz córkę zastanowiło, dlaczego szereg jej rodzinnych grobów nie kończy się na rodzicach. Zmusiła się do tego, by spojrzeć na tablicę informacyjną ostatniego pomnika. Napis był lapidarny: „Jacek Sobczyk – zabił się”.

„To niemożliwe. Tak się nie pisze na nagrobkach – pomyślała. – A w ogóle to od kiedy samobójcy mają prawo leżeć na cmentarzach?”. Była wściekła. Jeszcze bardziej zirytowała ją wyraźna wesoła odpowiedź Jacka. Najwyraźniej świetnie się bawił w tych zaświatach: „Od kiedy na tych samych cmentarzach mogą się wylegiwać kuglarze”.

Jak mógł jej to zrobić? Obiecywał, że jej nigdy nie zostawi. Przysięgał.

– Gdzie jesteś, sukinsynu?! – wrzasnęła, podnosząc twarz ku niebu, a pierwsze płatki śniegu przykleiły się jej do policzków. Nie liczyła na odpowiedź.

– Nigdzie, skarbie! I muszę ci powiedzieć, że tu „nigdzie” jest całkiem w porządku. Dużo lepiej niż tam „gdzieś”. Można powiedzieć, że jak się jest „nigdzie”, to gdzieś ma się „gdzieś”! – W jej uszach rozdzwonił się zwielokrotniony echem upiorny chichot.

Przycisnęła rękę do skroni.

Siadła na łóżku, oddychając ciężko. Noc była widna, a obok spał Jacek. Nie umiała się powstrzymać i przystawiła dłoń do jego nosa. Oddech miał ciepły. Idiotyczny sen. Wstała, żeby się napić wody i strząsnąć resztki koszmaru. Nie miała ochoty zasypiać, jednak była tak zmęczona, że pół godziny później ponownie spacerowała wśród grobów swoich bliskich.

– Chciałam z tobą porozmawiać, kochanie. Wiedział o tym, bo od kilku godzin pod różnymi pretekstami zaglądała do pokoju, sprawdzając, czy skończył pracę albo zrobił sobie przerwę.

Jacek robił autokorektę książki i nie zamierzał przerywać. Gdyby chodziło o coś błahego, przerwałaby mu, tymczasem czekała aż do kolacji. Stał się nieufny, kiedy podała mu lasagne. Bardzo lubił tę potrawę.

– Rozmawiamy – wybełkotał, przerzucając językiem gorący ser.

– Dostałam propozycję zareklamowania perfum.

– Dobrze perfumy? – Był rozczarowany i jednocześnie odetchnął z ulgą.

– Markowe... – odpowiedziała zdumiona jego pytaniem.

– Chodzi mi o to, czy z czystym sumieniem powiesz ludziom, że są dobre, bo jeżeli tak, to się nie zastanawiaj.

– W zasadzie to już się zdecydowałam.

Na chwilę przestał grzebać w talerzu. Przeczucie go nie myliło.

– To o co chodzi?

– O zabezpieczenie. – Dużo by dała, żeby mieć tę rozmowę za sobą. Oczywiście tylko wtedy, kiedy zakończy się po jej myśli.

– Wiesz, jak to jest. Dzisiaj mam propozycje, ale jutro...? Bycie aktorką to sezonowe zajęcie.

– Nie przesadzaj. – Wrócił do jedzenia, ale przestało mu smakować.

– Oczywiście bywają stare aktorki, które utrzymują się z grania, ale zakładać, że akurat mnie się uda... – Wzruszyła ramionami. – Zbytek optymizmu.

– Do rzeczy. – Nie lubił długich wstępów.

– Pomyślałam sobie, żeby otworzyć firmę – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Tym razem odłożył sztucce na talerz. Wyglądały jak wskazówki zegara i pokazywały godzinę szesnastą dwadzieścia.

– Możesz mi powiedzieć, jaki związek ma reklamowanie perfum i otwarcie interesu?

– Chciałabym produkować perfumy. Miała wrażenie, że cała podskakuje w takt łomoczącego serca.

– Czy ty wiesz, ile kosztuje wciśnięcie takiego produktu na rynek? Od linii produkcyjnej po zatrudnienie kogoś takiego jak ty do reklamy? – Pomysł żony wydał się Jackowi tak niedorzeczny, że nie był w stanie się nim przejąć.

– Wiem. Zrobiłam dokładny biznesplan.

– Ty?

– We Francji poznałam człowieka, który się tym zajmuje. Teraz, kiedy zareklamuję perfumy, będę się z nimi kojarzyła ludziom. To najlepszy moment, żeby spróbować.

– Tylko błagam cię, nie wspominaj o tym właścicielom firmy, która zapłaci ci górę pieniędzy za reklamę – roześmiał się tak beztrosko jak kiedyś.

Po napisaniu książki wyraźnie się rozluźnił. Wiedziała, że to tylko cisza przed burzą. Na razie nikomu jej nie pokazał.

– Nie ma obawy. Jak sam zauważyłeś, to musi potrwać – zawiesiła głos. – I będzie kosztowało bardzo dużo pieniędzy.

– Skarbie, zachowujesz się tak, jakbym ja miał ci je dać. – Znów stawał się nieufny. – A przypominam ci, że to ty utrzymujesz ten dom.

– Tylko dzięki tobie. – Decydujący moment zbliżał się wielkimi krokami.

– Dzięki Goldfischowi, który dał ci szansę, i dzięki tobie, bo ją wykorzystałaś – upierał się.

– Dobrze wiem, ile cię kosztowało, żeby do niego pójść.

– Rzeczywiście, łatwe to to nie było. – Wzdrygnął się na samo wspomnienie.

– A gdybym cię poprosiła, żebyś poszedł do niego jeszcze raz?

Wreszcie. Powiedziała to.

Jacek patrzył na nią długo. Rozbawienie zniknęło, a mieszanina złości i niedowierzania namalowała mu na twarzy rozczarowanie.

– Z jakiej racji? – Nie był pewien, czy to najlepsze pytanie, ale żadnego innego nie wymyślił.

– Z takiej, że to jedyny człowiek, który może nam pomóc finansowo.

– A dlaczego nie papież albo prezydent Stanów Zjednoczonych? – Wierzchem dłoni przerzucił widelec na drugą stronę talerza, a ubabrany brunatnymi resztkami krążek zamienił się w zegar wskazujący pięć minut do

siódmej.

– Bo ani jednemu, ani drugiemu nie uratowałeś syna – odparowała.

– Goldfisch spłacił swój dług. – Nachylił się do niej przez stół, jak zwykle, kiedy chciał ją pocałować. Ale teraz nie chciał.

– On tak nie uważa.

– A ty postanowiłaś mu pomóc i altruistycznie stuknąć go na parę baniek. – Jego sarkazm bolał ją zawsze. Umiał go używać.

– Nie chcę, żeby mi te pieniądze dał, tylko pożyczył. – Nie musiała udawać urażonej. – Na bardzo konkretnych warunkach, obwarowanych bardzo konkretną umową.

– Domyślam się, że masz już projekt takiej umowy. – Uśmiechnął się sardonicznie, opierając głowę na splecionych dłoniach.

– Mam – stwierdziła krótko.

Potem rozmawiali o tym jeszcze wiele razy. Jacek poddał się pewnego wtorkowego popołudnia, kiedy wrócił z wydawnictwa Musielik Press z wiadomością, że jego powieść dostała bardzo dobre recenzje od redakcji. Monika postanowiła to wykorzystać, a on wiedział, że to robi. Jednak tego dnia przebiegłość żony wcale mu nie przeszkadzała. Zadzwonił do Goldfischa, którego nie zdziwiła propozycja spotkania. Tym razem zaprosił go do swojej podmiejskiej posiadłości. Monika była szczęśliwa. Jacek – wręcz przeciwnie. Życie zdawało się jednak spoglądać na nich łaskawym okiem.

– Jak ci się podoba moja hacjenda?

Szli wzdłuż szpaleru liniejących platanów, łopoczących żaglami wielkich liści. Szeroka alejka, wysypana opalizującymi kamieniami z błękitnym odcieniem, prowadziła na łąkę, na której pasło się stadko koni. Jezioro trawy opierało się plecami o ciemną ścianę lasu.

– Robi wrażenie – przyznał Jacek. Wiedział, że ma do czynienia z bogatym człowiekiem, ale nie spodziewał się, że bogactwo może być tak dosadnie wyrażone.

Dzień był słoneczny. Zapach lata zdążył się ulotnić, a jesień jeszcze nie przyniosła swojej wilgotnej zapowiedzi końca cyklu. Goldfisch prowadził gościa, stawiając sprężyste kroki. Ubrany był w piaskową koszulę i tego samego koloru spodnie. „Gdyby jeszcze założył korkowy hełm, wyglądałby jak wiktoriański odkrywca nieznanych lądów” – pomyślał Jacek.

– Przepraszam, ale nie pamiętam, czy przeszliśmy na ty.

Jacek był pewien, że Goldfish doskonale pamięta, że nie przeszli.

– Tak jest OK – stwierdził.

– Świetnie. To, że tkwię w głupich konwenansach po uszy, nie znaczy, że je lubię. – Gospodarz się uśmiechnął, prześwietlając Jacka iście rentgenowskim spojrzeniem.

– Jak się do czegoś takiego dochodzi? – Jacek wykonał ręką nieokreślony gest obejmujący otoczenie. Nie zazdrościł Goldfishowi. Po prostu był ciekawy.

Właściciel fortuny przystanął przy krzewie róży i z uwagą przyglądał się omdlewającemu kwiatowi, jakby nie usłyszał pytania.

– To proste. Wystarczy tylko nie ufać nikomu. – Uśmiech Goldfisha był gorzki i idealnie pasował do odpowiedzi.

– I... już? – Jacek prowadził wzrokiem gospodarza, który ruszył w kierunku łąki, po czym podążył za nim jak giermek za swoim rycerzem.

– Moje próby zaufania – ciągnął Goldfish – zawsze kończyły się katastrofą. Byłeś świadkiem jednej z nich.

– Jak się miewa junior? – zapytał Jacek szczerze zainteresowany.

– Poszedł do szkoły. Wydaje mi się, że dobrze wybraliśmy – zerknął na gościa. – Ma teraz trzy opiekunki.

– Którym musiałeś zaufać. – Jacek nie mógł się powstrzymać od złośliwego przyłapania Goldfisha na niekonsekwencji.

– Nie. Ale jestem spokojniejszy, ponieważ nienawidzą się i donoszą na siebie nawzajem.

Jacek był wstrząśnięty. Nie słowami, a sposobem, w jaki zostały wypowiedziane. Determinacja. To ona przyniosła mu fortunę. Zimna, wyrachowana determinacja, która zdominowała wszystko. Znalazł się w świątyni determinacji, a Goldfish był jej kapłanem.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że będę tak długo czekał – odezwał się Goldfish, kiedy wypłynęli na szeroki przestwór oceanu trawy. Jacek próbował doszukać się w jego głosie satysfakcji, pobjazania, wyższości albo czegokolwiek.

– Czekał na co? – zapytał, znając odpowiedź.

Na masce twarzy Goldfisha pojawiła się irytacja. Szybko zniknęła, ale Jacek odczuł przedsmak tego, jak może wyglądać jego dobroduszny gospodarz, kiedy przestaje być dobroduszny.

– Na ciebie – odpowiedź była nieco zbyt uprzejma.

– Adam – po raz pierwszy i ostatni zwrócił się do Goldfischa po imieniu – ja pomogłem tobie, ty pomogłeś mnie. Rachunki, jeżeli w ogóle jakieś były, zostały uregulowane.

– Popatrz na tego źrebaka. – Kilkadziesiąt metrów od nich mały gniady konik wyczyniał jakieś dzikie nieskoordynowane harce. – Ma kawałek wolnej przestrzeni i jest szczęśliwy. Zazdroszczę tego koniom. – Goldfisch z podziwem kręcił głową.

– Jeżeli chcesz mi coś powiedzieć, to zrób to wprost. Przenośnie i metafory są dobre w literaturze. – Jacek postanowił rozmawiać konkretnie.

– Przepraszam – roześmiał się Goldfisch. – Zapomniałem, że mam do czynienia ze specjalistą. – Jego uśmiech trwał nie dłużej niż pożar słomy. – Ale jeżeli mamy rozmawiać wprost, to obaj musimy się do tego zastosować. Przyjechałeś odwiedzić starego znajomego?

Jacek poczuł, że się czerwieni.

– Nie. Rzeczywiście przyjechałem prosić o pomoc. Ale nie ma to żadnego związku z tym, że uratowałem twoje dziecko – zastrzegł, podnosząc wskazujący palec.

– Mylisz się. – W głosie Goldfischa pojawiła się cierpliwość wytrawnego nauczyciela, który ma do czynienia z niezdolnym uczniem. – Dla mnie wszystko, co dotyczy ciebie, jest z tym ściśle związane.

Jacek ucieszył się, że nigdy nie będzie musiał negocjować z tym facetem. Nie miałby żadnych szans.

– W każdym razie tym razem sprawa nie dotyczy... – zastanowił się nad odpowiednim doborem słów – spłaty długu... Ani darowizny, tylko pożyczki.

– Pożyczki? – Warto było przyjechać, żeby zobaczyć zdziwienie na wszechwiedzącej twarzy.

– Tak. Moja żona, to znaczy: my z Moniką chcemy założyć firmę produkującą perfumy.

Reakcja Goldfischa zdumiała go, co było już tradycją – wybuchnął śmiechem. Jacek poczuł się jak idiota, który publicznie nie zrozumiał banalnego dowcipu.

Gospodarz przysiadł na zwalonym głazie. Wszędzie indziej Jacek uznałby, że głaz został przyniesiony dzięki siłom natury, ale nie tutaj. Tutaj nic nie było dziełem natury. No, chyba że za naturę uznać Goldfischa.

– Przepraszam, ale byłem pewien, że chodzi o nagrodę. – Goldfisch

starannie wycierał chusteczką załzawione oczy. Materiał był ozdobiony monogram rybki, znanym Jackowi z wizytówki i sygnetu.

– Jaką nagrodę? – Jackowi zdziwienia przychodziły łatwo. Dziwił się, odkąd pamiętał. I nawet to lubił.

– Na festiwalu. Dla najlepszej aktorki. Przyznasz, że w tym kontekście słowo „pożyczka” mogło mnie rozbawić. – Goldfisch wracał do pełnej sterowności umysłu.

To już nie było zdziwienie, Jacek oniemiał. W końcu odezwał się z niedowierzaniem:

– Pomyślałeś, że przychodzę prosić o to, żebyś załatwił mojej żonie nagrodę?

– Myślisz, że to niemożliwe? – zdumiał się równie szczerze Goldfisch.

– Nie wiem – zirytował się Jacek. – Jeżeli ma dostać nagrodę, to chciałbym, żeby to było uczciwe.

– To nigdy nie odbywa się uczciwie – odpowiedział biznesmen, znudzony niczym stary nauczyciel historii, który po raz tysięczny musi opowiedzieć dzieciom o bitwie pod Maratonem. – Chodzi tylko o to, czy to my dymamy, czy nas dymają. – Po raz pierwszy w obecności Jacka pozwolił sobie na wulgaryzm. I to też do niego pasowało. – Ale nieważne. Opowiedz mi coś więcej o firmie, którą twoja żona, to znaczy wy z Moniką – poprawił się, nie ukrywając ironii – chcecie otworzyć.

Jacek opowiedział mu wszystko, co wiedział i czego się domyślał. Było o czym mówić. Monika nie próżnowała przez ostatni miesiąc.

– I ja, i Monika mamy pracę, która nie gwarantuje nam spokoju, więc... Sam rozumiesz. – powtarzał jej argumenty, bo sam nie znalazł lepszych.

– Rozumiem – poważnie pokiwał głową Goldfisch. – Nie ma nic złego w chęci zarabiania pieniędzy. Tyle tylko, że nie istnieje praca, która gwarantuje spokój.

– Pewnie masz rację, ale chodzi o coś... – „O co, kurwa, chodzi?” – zastanowił się, bo tego prostego pytania jak dotąd sobie nie zadał. Było jednak za późno, więc dokończył: – Bardziej stabilnego.

– Mhm. – Goldfisch kiwał potakująco głową, ale go nie słuchał. – Ile konkretnie mam ci dać?

– Nie dać, tylko pożyczyć – sprostował Jacek.

– W tej chwili nie ma to znaczenia – powiedział łagodnie gospodarz, skubiąc gałązkę akacji z małych listków, jakby sobie wróżył.

- Dla mnie ma. W każdej chwili.
- Zmierzyli się wzrokiem. Jacek patrzył wyzywająco, Goldfish w zadumie.
- Dobrze – stwierdził wreszcie.
- Jeżeli się zgodzisz...
- Już się zgodziłem.
- W takim razie o szczegółach porozmawiasz z Moniką i... ludźmi, z którymi współpracuje – powiedział Jacek. O ile poprzednio czuł dyskomfort, o tyle teraz czuł się jak szmata.

Spotkanie zorganizowano w wynajętej restauracji. Monika przyszła w towarzystwie mężczyzn, których zamierzała zatrudnić na kluczowych stanowiskach. Jeden z nich miał zostać dyrektorem, drugi – głównym księgowym. Natomiast młody, z wyglądu głodny sukcesu chłopak miałby zająć się stroną marketingową.

Jacek nie lubił mówić o swoich spotkaniach z Goldfishem, ale Monika widziała, że mąż jest nim zafascynowany. Nie było to jednak zdrowe urzeczenie. Znała wielobarwną paletę lęków swojego męża i czuła, że Jacek boi się Goldfische. Dlaczego? Spotkanie mogło pomóc nie tylko w rozkręceniu firmy kosmetycznej, lecz także w wyjaśnieniu jej tej dziwnej relacji. Wprawdzie Goldfish zgodził się wyłożyć pieniądze, ale jak dotąd niczego nie podpisał. Z drugiej strony jednak już udowodnił, że można mu ufać.

Goldfish przyszedł sam, czym zaskoczył Monikę. Spodziewała się, że biznesmen zjawi się otoczony wianuszkami prawników i ochroniarzy. Tymczasem do restauracji z widokiem na centrum miasta wszedł wysoki mężczyzna ubrany w garnitur w odcieniu ciemnej szarości. Zapięta pod szyję marynarka na stojącej przywodziła na myśl styl dalekowschodni. Nie epatował bogactwem, ale też nie starał się go ukrywać. Stał przed Moniką i uklonił się z wdziękiem. Miał zniewalający uśmiech.

„Jak to możliwe, żeby taki facet był sam?” Po raz pierwszy Monika uświadomiła sobie, że nigdy nie zapytała Jacka, dlaczego Goldfish samotnie wychowuje syna. Czytała o nim sporo, ale nigdzie nie natknęła się na wzmiankę o pani Goldfish. Była znaną aktorką i wiedziała, jak trudno współczesnym bogaczom ukryć prawdę lub uniknąć plotek. Podała mu rękę. Uścisk miał zdecydowany i delikatny jednocześnie. Przedstawiając się, patrzył w oczy.

Wszedł do restauracji swobodnie. Przez najbliższą godzinę będzie balansował między okazywaniem stanowczości a uprzejmym zainteresowaniem. W rzeczywistości będzie się nudził. Wiedział, co chce zrobić. Tak, zrobi to. Życie przestało go zaskakiwać. Zawsze dążył do takiego stanu, a kiedy już go osiągnął, odkrył, że wpadł w pułapkę. Gdyby wierzył w Boga, zastanawiałby się, czy On miewa podobne rozterki. Czy własna potęga i nieomylność nie doprowadzają go do szału? Goldfisch nie wierzył w Boga. Wierzył tylko w siebie, a jedynym jego pragnieniem było to, żeby Maurycy był szczęśliwy. Nie wierzył, że będzie mógł nad tym zapanować. I właśnie ta niewiara doprowadzała go do szału.

Monika przyszła w towarzystwie trzech mężczyzn. Widział ją na ekranie i na zdjęciach. W rzeczywistości była dużo ładniejsza. Nigdy nie lubił przestylizowanych kobiet. Tego dnia, mimo że na pewno spędziła sporo czasu przed lustrem, wyglądała świeżo i naturalnie. Fryzura jej – starannie uformowany bałagan – sprawiła, że poczuł przypływ pożądania. Na krótko, bo nauczył się panować nad instynktem. Nie ufał mu.

Przywitał się z nią w pierwszej kolejności. Miała chłodną dłoń, co mogło być pierwszą oznaką kłopotów z krążeniem. Nie pociła się. Potem przedstawiła swoich współpracowników. Nie zdziwił się, że nie było wśród nich nikogo, kto by się znał na produkcji perfum. Żyli w czasach, w których produkt był efektem spotkań finansowych, a nie odwrotnie.

Dyrektor firmy był łysiejącym człowiekiem po pięćdziesiątce. Duży brzuch i małe podskórne wylewy nie rokowały mu wielu kolejnych lat życia. Jego drobna dłoń drżała, kiedy ją podawał. Był typem histerycznego choleryka, co według Goldfischa dyskwalifikowało go jako dyrektora.

Drugim był główny księgowy – cwany skurwysyn o rozbieganym wzroku. Jego oczy zachowywały się jak mucha latająca pod żyrandolem. Biznesmen znał ten typ, wiedział, że sprzeda Monikę przy pierwszej okazji. Powinna się cieszyć, jeżeli sam nie zacznie szukać do tego sposobności. Świat, w którym obracał się Goldfisch, w dziewięćdziesięciu procentach składał się z takich ludzi.

Trzeci był młody i pewny siebie. Człowiek od marketingu. Uśmiechał się wyzywająco, a cała jego postawa zdawała się mówić: „I co, dupku? Nadchodzę. Zacząłeś się bać?”. Goldfisch nie zaczął. Ostatni raz strach wbił w niego swoje zęby w dniu, kiedy topił się jego syn.

Zajmowali swoje miejsca przy okrągłym, niezbyt dużym stoliku. Biznesmen

obserwował zachowanie młodego w stosunku do Moniki. Usiadł obok niej. Podczas spotkania zrobi wszystko, żeby zaprezentować przed nią pióropusz męskiej doskonałości. Goldfisch był ciekawy jej reakcji. To była jedyna interesująca rzecz, jaka go czekała podczas spotkania. Obserwacja samiczki i samczyka. On był w rui, a ona? Jeżeli tak, będzie musiał zareagować. Jego serce pokrywała jałowa gleba, ale to, co czuł do Jacka, było prawdziwe. Słowa wypowiedziane tamtego dnia na skarpie były pretensjonalne i Jacek tak je odczytał. Tyle że Goldfisch mówił szczerze. Nie był naiwny i wiedział, że nie może dać Jackowi szczęścia. Ale zrobi wszystko, żeby nie był nieszczęśliwy. W trakcie tych rozmyślań Goldfisch toczył wstępną, niezobowiązującą i kompletnie bezsensowną rozmowę z dyrektorem i księgowym, podczas gdy młody specjalista od marketingu szeptał coś do ucha Moniki. Słuchała go, kiwając ze zrozumieniem głową.

Wtedy też tak to wyglądało? Spotkanie w interesach. Garnitury. Teczki. Szelest papieru. Okrągłe, wielokrotnie złożone zdania. Wytarte uśmiechy i podświadomy magnetyzm. Na pewno usiadł obok niej, tak jak ten tutaj. Był do niego łudzaco podobny. Niewykluczone, że pożądanie upodabnia facetów do siebie.

Z nieukrywaną wrogością spojrział na młodego człowieka siedzącego naprzeciw. Monika wyczuła tę zmianę i tym mu zaimponowała. Opanował się błyskawicznie. To tylko kolejny gówniarz, któremu się wydaje, że świat leży u jego stóp.

Kiedy Goldfisch zabrał głos, wszyscy słuchali go w nabożnym skupieniu. Nawet specjalista od marketingu przestał patrzeć na niego z wyższością. Goldfisch mówił płynnie. Bezbłędnie znajdował miejsca na dowcipy, które rozluźniały słuchaczy i usypiały ich czujność. Sam nie słuchał tego, co mówi. Był jak szewc, który po raz tysięczny wykonał ten sam model buta, myśląc jednocześnie o niedzielnym meczu. Ale Goldfisch oczami wyobraźni widział coś innego – damską nogę, która pod osłoną stołu ocierała się o nogawkę spodni. Noga nie należała do Moniki, tylko do Klary. A spodnie były częścią eleganckiego garnituru Abdula ibn Musifa – syna arabskiego szejka, który sześć lat temu zerznął jego żonę. Kobietę, która wypełniała jego wnętrze, nie pozostawiając miejsca na nic innego.

Monika wróciła wcześniej, niż się spodziewał. Od razu poznał, że wszystko poszło dobrze. Żona świeciła jak stuwatowa żarówka. Zdała mu tak

chaotyczną relację, że gdyby jej nie znał, nic by z tego nie zrozumiał. Kilka kontrolnych, przekrojowych pytań skróciło wywody na temat spotkania i uświadomiło mu, że jego żona ma duże szanse zostać prezesem firmy kosmetycznej.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – spytała przytomnie.

– Nigdy jeszcze nie miałem żony bizneswoman.

– Podobam ci się w takiej wersji? – Splotła ręce pod biustem.

Uwielbiał ten gest, a ona doskonale o tym wiedziała.

– To się okaże – westchnął z udawanym zblazowaniem.

– Oferował mi więcej, niż się spodziewałam. – Wróciła do informacji. – Mój księgowy twierdzi, że w życiu nie widział, żeby ktoś podpisał tak ryzykowną umowę.

– Powiedz swojemu księgowemu, że jak wyciągnie z wody małego Goldfisch, to będzie miał okazję zobaczyć więcej takich cudów – mruknął.

– A teraz mów. – Zajrzała mu w oczy z bardzo bliska.

– Co?

– Jak mam ci dziękować. Możesz żądać wszystkiego. Jestem jak dżin z lampy. – Stała na środku pokoju i złożyła dłonie jak do modlitwy, po czym zabawnie poruszyła szyją w taki sposób, że głowa przesunęła się w prawo i w lewo.

– Zrób mi... – przeciągnął głoskę i zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał.

– Tak...? – Naśladowała go.

– Zupę pomidorową – dokończył.

– Tylko tyle? – Była rozczarowana.

– Nie tylko. Aż tyle. – Nie pamiętał, kiedy ostatnio gotowała. W dawnych czasach wychodziło jej całkiem smacznie.

– No dobrze. Ja to się zawsze w coś wpakuję. – Pocałowała go w policzek i wyszła z pokoju.

Jacek przestał się uśmiechać. Wszedł do kuchni, kiedy z hałasem upuściła garnek na podłogę. Gotowanie w jej wykonaniu było niezwykle głośnym przedsięwzięciem.

– Nie powiedziałaś mi, co o nim myślisz. – Usiadł przy stole i obserwował rozbijającą się po kuchni Monikę.

– Bo nie wiem, co o nim myśleć.

– A co czujesz? – Jacek cenił intuicję żony.

– Jest bardzo silny. – Zalała mięso zimną wodą. – Myślisz, że cię lubi?

Zaskoczyła go tym pytaniem, bo sam nigdy go sobie nie zadał.

– Nie wiem – odpowiedział z wahaniem. – Ludzie na ogół nie przepadają za tymi, wobec których mają dług.

– To głupie, prawda?

– Każdy lubi mieć czyste konto.

– Mówisz tak, jakbyś ratując jego dziecko, zrobił mu coś złego.

– Złego nie. Ale niewygodnego owszem. Pomyśl, żył sobie spokojnie i niezależnie, aż tu nagle ma na głowie Jacka Sobczyka, któremu musi być dozgonnie zobowiązany.

– Nie musi.

– Jest honorowy i dumny. A ja go ubezwłasnowolniłem.

– Jak to możliwe, żeby taki facet jak on żył sam? – Przestała siekać włoszczyznę, dzięki czemu niczego sobie nie odcięła.

– Bo ja wiem... – Też zadawał sobie to pytanie.

– Nigdy jeszcze nie widziałam go w towarzystwie żadnej kobiety.

– Ciągłe prowadzisz śledztwo internetowe? – prychnął.

– Ciebie to nie zastanawia? Nawet nie wiadomo, kim jest matka jego dziecka, a chyba sam go sobie nie urodził.

– Powiem ci, że nie byłbym jakoś bardzo zdziwiony. Jeżeli jest na świecie facet, który urodzi dziecko, to stawiam na Goldfischa.

– Głupek. – Wróciła do gotowania. – Chciałam z nim pogadać, wiesz, tak bardziej... – zawahała się – bezpośrednio. Zasugerowałam nawet, żebyśmy wypili razem kawę, ale kulturalnie mnie spławił.

– To chyba pierwszy facet, który dał ci kosza. – Mimo wszystko poczuł sympatię do Goldfischa.

– Drugi. Pierwszy co prawda przyszedł, ale spóźnił się o godzinę.

– Niecałą.

Przytulił ją. Objęła go rękami o wyprostowanych pomidorowych palcach.

Nie mogła zasnąć. To był jeden z dni, które mogą być początkiem. Zwykle te same dni oznaczały koniec. Wszystko szło dobrze i igielki podniecenia tarposiły jej układ nerwowy, ale pojawił się też atawistyczny lęk przed nowym. Czy sobie poradzi? Goldfisch zaproponował pomoc nie tylko finansową, lecz także logistyczną. W najśmielszych marzeniach nie liczyła na taki protektorat. Dlaczego nie chciał z nią rozmawiać sam na sam? W ogóle patrzył na nią jakoś dziwnie. Nie była pewna, czy przychylnie. „Za wszystko,

co w życiu dobre, przyjdzie nam zapłacić” – matka była z nią we dnie i w nocy. „Nie, kochana mamusiu. To on musi płacić za to, co się stało, my nie” – ciekawe, co by matka na to odpowiedziała. Monika była pewna, że znalazłaby jakieś odpowiednie pasujące do kontekstu powiedzenie. Zamknęła oczy i po raz kolejny obejrzała jednoaktówkę pt. *Spotkanie z Goldfischem*.

Przez cały czas obserwowała go uważnie i – jak jej się wydawało – niepostrzeżenie. Był niezwykle sprawny, a jego rutyna nie była lekceważąca. Poświęcał jej tyle samo czasu co innym, a to było dla niej nowością. „Dlaczego jest sam?” Miał pięćdziesiąt cztery lata, ale trzymał się świetnie. Homoseksualista? Znała wielu gejów i mimo że byli bardzo różni, nauczyła się ich identyfikować. „Widocznie nie trafiła kosa na kamień” – uśmiechnęła się, bo zastosowanie akurat tego powiedzenia wydało jej się idiotyczne. „Ale dziecko chyba nie urodziło się z probówki”. Jacek nie miał pojęcia, ile godzin spędziła na zdobywaniu informacji na temat Goldfische. Nigdzie nie było ani słowa o matce jego dziecka. W ogóle, jak na człowieka jego pokroju, informacji było mało, a te, które znalazła, zdawały się ocenzurowane. Nawet dociekliwi, bezkompromisowi i niezależni dziennikarze pisali o nim oszczędnie.

Zmęczona domysłami zaczęła zasypiać. Do tej pory nie poznała nikogo takiego. „Pewnie dlatego, że takich ludzi nie ma” – była to ostatnia zarejestrowana myśl po tej stronie lustra. Monika zasnęła, przeżywając we śnie po raz kolejny spotkanie z Goldfischem. Z kokonu ciekawości wykluwał się motyl fascynacji.

Na festiwal do Francji pojechała w kiepskim nastroju. Jacek nigdy nie brał udziału w takich imprezach, ale tym razem otrzymała nominację za najlepszą rolę żeńską i uważała, że powinien się poświęcić. Jacek obstawał, że nie powinien. Bardzo się starała, żeby nie robić mu wyrzutów i to jej się udało. Co innego w głowie. Tam pretensje utworzyły własną republikę.

Nie lubiła środowiska, w którym pracowała, i już zauważyła, nikt z tego środowiska nie lubił tego środowiska. A jednak nie przekonało jej tłumaczenie Jacka, że musi dopilnować spraw wydawniczych. W jaki sposób? Będzie stał w drukarni i sprawdzał, czy nie robią błędów? Kiedy okazywało się, że mąż nie jest w stanie poświęcić dla niej wszystkiego, zawsze było jej przykro, mimo że ciągle mu powtarzała, że nie chciałaby, żeby cokolwiek dla niej poświęcał.

Pojechała ze swoją agentką, która jeszcze w samolocie uwikłała się w romans z niemieckim operatorem.

Jacek nie oglądał transmisji z rozdania nagród. Długo rozmawiał przez telefon z kierownikiem sieci księgarń, usiłując się dowiedzieć, w jaki sposób będzie promowana jego książka. Musielik, którego udało mu się przekonać do książki, odesłał go do swojego zastępcy, a ten odesłał Jacka do firmy dystrybucyjnej. Człowiek odpowiedzialny za tytuł był akurat na urlopie i nie można się było do niego dodzwonić. W każdym razie Jacek nie był w stanie się do niego dodzwonić. Zorientował się, że przegapił telewizyjną relację, kiedy wściekły lał sok pomarańczowy do solidnej porcji wódki i jego wzrok zahaczył o błądą tarczę ściennego zegara. Włączył telewizor, ale trafił na reklamy. Poczucie winy zdenerwowało go jeszcze bardziej. Zbyt kategorycznie odmówił Monice towarzyszenia w podróży do „kurwiarni”, jak nazywał tego typu zbiegowiska, a teraz nawet nie udało mu się być z nią za pośrednictwem satelitarnego łącza. Grzebał w internetowych newsach, kiedy otrzymał od niej SMS.

„The winner is... – rozrywana kopertka – Monika Sobczyk. Kocham”.

Z niedowierzaniem gapił się w wyświetlacz. „Myliliś się, sukinsynu. Wreszcie się pomyliłeś” – mruknął, przypominając sobie słowa Goldfische o uczciwości w kwestii nagród.

Potem zaczął się cieszyć, ale kolejność myśli mu się nie podobała. Zadzwonił do Moniki – nie odebrała.

To był męczący wieczór, ale adrenalina utrzymywała ją na nogach. Wzruszenie założyło różowe okulary i dała się ponieść lawinie gratulacji, pytań i błysków fleszy. Nikt jej tu nie znał. Nikt się nie spodziewał. Czy to jej pierwsza duża rola? Czy ona wierzyła? Czy jest szczęśliwa?

Rozdawała uśmiechy i zdawkowo odpowiadała na pytania. Nie, to nie jest jej pierwsza duża rola. Nie wierzyła. Tak, jest szczęśliwa...

Koło północy mozaika zaintrygowanych twarzy, kreacji suto przyprawionych biżuterią i jednostajnego szumu podekscytowanych głosów zlała się w jeden chaotyczny koktajl. Wiedziała, że jeżeli szybko się z niego nie wyrwie, przypląci to koszmarnym bólem głowy. Na szczęście w krytycznym momencie (zupełnie jak na filmie) pojawiło się przed nią dwóch postawnych mężczyzn w czarnych garniturach, którzy bez trudu wyciągnęli ją z wirującego tłumu.

Zanim zorientowała się w sytuacji, siedziała już na obitej skórą kanapie limuzyny. Niepokój zniknął, kiedy rozpoznała człowieka naprzeciwko. Był to Adam Goldfisch.

– Gratuluję, mademoiselle – powiedział teatralnie.

– Dziękuję. Nie wiedziałam, że pan... – nie dokończyła, bo reszta zdania wydała jej się głupia. Zrozumiała, jak bardzo nie chce opowiadać głupot przy tym człowieku.

– Dokąd panią zawieźć?

– Marzę o drinku i spokojnym pokoju hotelowym.

– W takim razie ten, w którym panią zakwaterowali, odpada. – Roześmiał się.

Jeszcze nigdy nie widziała, jak się śmieje.

– Pewnie ma pan rację.

– Dlatego pojedziemy do mojego hotelu. – Odwrócił się, żeby wydać dyspozycję kierowcy.

– Nie, nie, ja... – Tym razem chciała dokończyć zdanie, ale jej nie pozwolił.

– Powiedziałem „mojego hotelu”, a nie „mojego pokoju”. – Uśmiech zmienił odcień. – Za kogo mnie pani uważa?

– Przepraszam. – Jednak wyszła na idiotkę.

– Swego czasu chciała pani wypić ze mną kawę. Czy to jest aktualne?

– Tak. – Patrzyła mu w oczy, próbując dostać się głębiej.

Siedzieli w przytulnej kawiarence hotelu La Mer, której byli jedynymi gośćmi pomimo późnej pory. Monika była pewna, że to nie przypadek. Sączyła drugi kieliszek szampana, a odprężenie zdobywało przyczółek za przyczółkiem. Goldfisch przejął obowiązki barmana i był w tym równie swobodny jak we wszystkim, co robił.

– Nie pierwszy raz jestem na tym festiwalu, ale po raz pierwszy werdykt jury mnie zaskoczył – stwierdził, wkręcając korkociąg w ziemisty od piwnicznego powietrza korek butelki z winem.

– Według pana tak słabo zagrałam?

Nawet jeżeli tak myślał, mógł sobie oszczędzić szczerości.

– Źle mnie pani zrozumiała. Wygrana na tym festiwalu nigdy nie była sprawą... – urwał, szukając odpowiedniego słowa – bezinteresowną.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Była mu wdzięczna za to, że

oszczędził jej przykrości.

– Wie pani, co chcę przez to powiedzieć. – Uśmiechał się do niej opiekuńczo. – Takie osoby jak pani... dają światu nadzieję.

– Przesadza pan. – Niemożliwe, żeby podrywał ją w tak tani sposób. Nie on.

– A tacy jak ja go niszczą. – Uniósł kieliszek w toaście. – Skutecznie.

– Jest pan niesprawiedliwy. Pomaga pan ludziom. I ja wiem o tym najlepiej. Jego wzrok stał się nagle przenikliwie niewidzący.

– Jest pani bardzo miła – powiedział wreszcie.

Rozmawiali jeszcze pół godziny, oboje przyzwyczajeni do kurtuazyjnych pogawędek. Goldfisch nie zwracał uwagi na to, co mówiła. Raczej czytał między wierszami. Patrzył na nią nie nachalnie, ale uważnie. Dopiero teraz przyznał przed samym sobą, że nie przyjechał tu na festiwal. Przyjechał, bo wiedział, że ona tu będzie. Cała fasada obojętności, jaką zbudował podczas pierwszego spotkania, rozpadła się jak domek z kart. Goldfisch posługiwał się kłamstwem jak murarz kielnią, ale nigdy nie oszukiwał siebie.

Monika była podobna do Klary. Inna uroda, włosy, figura... A jednak nieznośnie podobna.

– Cóż, nie chcę być natrętny... – Dopił swoje wino.

– Nie jest pan. – Rozmowa toczyła się po torach konwenansów i działała na Monikę kojąco.

– Jest pani zmęczona, a to dopiero początek cyrku, który panią czeka. Proszę odpocząć. W moim hotelu nikt nie będzie pani niepokoił.

Zaskoczył ją nagłym zakończeniem spotkania. Zorientowała się, że miała nadzieję na przejście od nic nieznaczącej rozmowy do... czegoś znaczącego. Cokolwiek miałoby to być.

– Nie wiem, jak bym sobie poradziła, gdyby nie pan – przyznała szczerze.

Wstali. Podjęła decyzję.

– Nawet nie zdążyłam spytać o synka.

Goldfisch zeszywniał.

– Co pani chce wiedzieć? – spytał krótko.

– Nic konkretnego. – Wiele razy grała w życiu naiwną, ale nigdy przed tak wymagającą publicznością. – Mąż dużo o nim opowiadał. Zresztą poznaliśmy się z panem dzięki niemu.

– To prawda. – Goldfisch nie rozumiał, po co ta komedia, ale wiedział, że dowie się tylko wtedy, jeżeli nie zapyta.

– Wiem, że to nie czas i miejsce, ale zawdzięczamy panu bardzo wiele...

– Nic mi nie zawdzięczacie. Okazało się tylko, że nie jestem niewdzięcznikiem.

– Nie będę się sprzeczać. – Obdarzyła go swoim najbardziej czarownym uśmiechem, a on nie umiał uciec od jego czaru. – Ale my również nie jesteśmy niewdzięcznikami i... Miło byłoby nam zaprosić pana na kolację. – Ciągłe nie wiedział, o co chodzi. – Oczywiście z rodziną.

W tym momencie zrozumiał, w czym rzecz, a jego szare oczy zamarły. Monika pożałowała, że zapytała, ale stało się.

– Przecież pani wie, że jestem sam – powiedział bez pretensji. I emocji.

Mierzył ją surowym wzrokiem. Siedziała na rogu rozgrzebanego łóżka i nerwowo zapinała bluzkę.

– Wiedziałem, że to się kiedyś skończy – usłyszał swój głos, jakby dobiegał z innego pokoju. – Wszystko się kończy. Ale nie miałem pojęcia, że to będzie tak banalne.

– Nic nie rozumiesz! – zaatakowała z pasją, jakby to on przed chwilą został przyłapany na zdradzie.

– Proszę nie mieć do mnie pretensji – poprosiła Monika. – Ma pan dziecko, więc miałam prawo pomyśleć, że...

– Ma pani rację, każde dziecko musi mieć matkę. – Uprzejmie nie dał jej dokończyć.

– Nie rozumiem – przyznał. – Chcę tylko wiedzieć, z kim jesteś w ciąży.

– Jak śmiesz o to pytać?! – Wreszcie skończyła się ubierać i zaczęła płakać, jakby nie umiała robić tych dwóch rzeczy jednocześnie. – Może chcesz wiedzieć, dlaczego tak się stało?! Może gdybyś...

– Nie chcę wiedzieć – przerwał jej. Podłoga parzyła go w stopy. Musiał wyjść.

– Matka Maurycego – zawahał się – nie żyje. I to musi pani wystarczyć. – Skłonił się lekko.

– Przepraszam.

Monika została sama. Czuła się głupio.

Goldfish szedł długim ciemnym korytarzem hotelowym. Tuż za nim podążały równie ciemne wspomnienia.

Monika usiadła na złotym krześle obitym purpurowym pluszem. Pokój urządzony w klasycznym stylu jakimś cudem nie sprawiał wrażenia pretensjonalnego. Łóżko z baldachimem wabiło pachnącą pościelą. Kobieta była zbyt zmęczona, żeby zasnąć. Końcowa część rozmowy zneutralizowała działanie alkoholu.

„Matka Maurycego nie żyje i to musi pani wystarczyć”. Nie wystarczyło. „Zwariowałam” – pomyślała. – Odniosłam największy sukces w życiu i zamiast się cieszyć, dręcę się, że jakiś obcy facet ma przede mną tajemnice”.

Nie tylko nie potrafiła się cieszyć. Przez ostatnią godzinę kompletnie zapomniała nawet to, z jakiego powodu ma się cieszyć.

Piętro wyżej w bliźniaczym apartamencie Goldfish, przebrany w atłasową piżamę, opadł na miękkie łóżko, które zareagowało nieśmiałym skrzypnięciem sprężyn. Odwrócił się na bok. Nie lubił sufitów. Zbyt dużo ich w życiu obejrzał. Zbyt dużo i zbyt dokładnie. Zamknął oczy, a wtedy wspomnienia stały się bardziej wyraziste.

– Wybacz mi... – Klara klęczała przed nim, a makijaż rysował jej twarz mokrymi strużkami.

– Dlaczego? – zapytał ciekawy uzasadnienia.

– Bo cię kocham. – Wykrzywiła twarz w bolesnym grymasie, a Goldfish skonstatował, że jego żona jest brzydka. „Kiedy płacze, wygląda jak obłąkana”.

– Dobrze – powiedział i wyszedł, uciekając od histerycznych podziękowań.

Przez całą ciężą prawie się nie widzieli. On był w ciągłych rozjazdach, a ona wiedziała, że to tylko pretekst. Poród odbył się bez komplikacji. Zbadano genotyp dziecka. Nie było wątpliwości, Maurycy był synem Goldfische. Teraz biznesmen mógł przystąpić do wykonania planu.

Postanowiła zadzwonić do Jacka, ale zrezygnowała, zanim wystukała ostatnią cyfrę jego numeru. Było wpół do czwartej nad ranem.

Jej poczta głosowa była zapchana gratulacjami, ale nie miała siły ani ochoty ich odsłuchiwać. „Jeżeli umarła, to dlaczego nic o tym nie wiadomo?” – korniki obsesji drażyły kanaliki w korze mózgowej Moniki. „Czy to możliwe, żeby zablokował wszystkie informacje?”

Żeby odpędzić myśli od dręczącego tematu, wzięła gorący prysznic. Zwykle

była to najlepsza metoda. Tym razem nie poskutkowała. „Jeżeli nie może czy nie chce powiedzieć nic więcej, to co to oznacza...? Że zmarła w niezwyklej okolicznościach?” – nie umiała znaleźć innego uzasadnienia. Nie potrafiła też zdefiniować „niezwykłych okoliczności”. Stała w jasnej łazience, słuchając szumu wody.

Pamiętał, jak na niego patrzyła. Rozpacz i zrozumienie. Na sali sądowej nie uрониła ani jednej łzy. Znała wyrok. Dla nikogo nie był zaskoczeniem. Świadcowie i dowody były wystarczające, żeby ją pogrążyć. Zaniedbanie obowiązków macierzyńskich spowodowane zażywaniem narkotyków, co nieomal doprowadziło do tragedii. Goldfish wniósł oskarżenie po tym, jak o mały włos nie utopiła Maurycego w czasie kąpieli. W jej krwi wykryto heroinę. Klara nie wiedziała, że ją zażywa, ale nie umiała przekonać o tym sądu. Goldfish miał dużo czasu na dopracowanie szczegółów. I miał dużo pieniędzy.

Prawie rok zastanawiał się, co będzie czuł po ogłoszeniu wyroku. Nie czuł żalu, kiedy patrzyła na niego w pełnej napięcia ciszy. Teraz też nie czuł żalu w tej pełnej niczego nocy. Na sali sądowej myślał, że Klara wpadnie w histerię. Ale ona wtedy też miała już swój plan.

Do zakończenia rozprawy wszystko szło po myśli Goldfische. Odbyło się za zamkniętymi drzwiami, bez rozgłosu. Sytuacja skomplikowała się, kiedy znalazł żonę martwą. Dostosowała się do narzuconych standardów i umarła dyskretnie, w swoim pokoju. Tym razem wiedziała, że zażywa narkotyki. Wiedziała też, że wzięła za dużo. Ostatnie spojrzenie szklistych oczu, niebieskawa piana na ustach. Tych samych...

Zatarcie śladów samobójstwa, a potem stopniowe usuwanie śladów istnienia Klary kosztowało go dużo pieniędzy. Od lat regularnie opłacał dziennikarzy, niektórych szantażował. Unikał kobiet. Co go pociągało w Monice? To, że wydawała się podobna do Klary, czy to, że miał nadzieję, że jest inna? Nie wmawiał sobie, że to zwykłe pożądanie zbudzone wieloletnim postem. Był zły, kiedy wymykał się spod własnej kontroli.

Szedł po śliskiej ścieżce. W przeswitach między drzewami zauważył już miejsce, w którym ścieżka rozchodzi się w przeciwnie strony. Jeżeli do niego dotrze, będzie musiał wybrać. Chciał zawrócić, ale tego nie zrobił.

*

Tak sobie siedzę, córcia, i nie mogę w miejscu usiedzieć. Ojciec mówi, że się zachowuję, jakbym w dupie owsików dostała. Może i ma rację, ale jego też, widzę, nosi. Jakby nie kłopoty z nerkami, to pewnie już dawno by do ciebie pojechał. Nawet kupił sobie nowy garnitur, bo mu powiedziałam, że nie będzie ci wstydu robił. Oczywiście do lekarza nie pójdzie. Uparty jest jak niewykastrowany kocur, a na starość jeszcze bardziej. Ludzie pytają, kiedy przyjedziesz, to ja im mówię, że nie masz czasu. Nie masz pojęcia, jakie rzeczy tu o tobie opowiadają, ale same dobre. Przynajmniej w oczy, bo za plecami to nigdy nie wiadomo. Ludzie, jak to ludzie, gębę posmarują ci miodem, ale w dupę wsadzą wykałaczkę. Oglądamy cię w telewizji i zbieram wszystko, co o tobie piszą. Krawczyńska – wiesz, ta co w kiosku pracuje – odkłada wszystkie gazety. Nie mieszczą się już pod oknem. Nawet nie wiesz, Moniś, co to dla nas znaczy. Gdy słuchałam w piątek, co o tobie mówił ten redaktor w telewizji, to beczałam jak srające jagnię. Cieszymy się twoim szczęściem. Nie pytam, kiedy przyjedziesz, bo wiem, że masz ważniejsze sprawy na głowie, ale dzwoń jak najczęściej. Choćby i po nocy, jak ostatnio, kiedy...

Ciągły sygnał informował o przekroczeniu limitu nagrania. Monika odłożyła telefon na toaletce obok zegarka, który pokazywał 16.40. Przeciągnęła się, ale nie chciało jej się wstawać. Obok łóżka piętrzył się stos scenariuszy. Próbowwała się skupić i czytać, ale tylko w jednym przypadku doczytała do pierwszego punktu zwrotnego. Historie były nudne, a role, które miała zagrać, płaskie i napisane bez polotu. Od pięciu miesięcy nie była na planie. Pięć miesięcy temu po awanturze z reżyserem zerwała kontrakt. Kary umowne mogły ją zrujnować, ale w ostatniej chwili producent odstąpił od sprawy. Nie mogła tego zrozumieć, bo miał ją na widelcu. Podejrzewała nawet, że Jacek był w tej sprawie u Goldfischa, ale zarzekał się, że nie. Wierzyła mu.

Po tym, jak jego ostatnia książka doczekała się osiemdziesięciu procent zwrotów, był w fatalnym stanie. W jego przypadku objawiało się to apatią i skłonnością do nadmiernej szczerości. Całymi dniami siedział w starym mieszkaniu i próbował zrozumieć, dlaczego nikogo nie obchodzą jego opowieści. Obsesyjnie poprawiał tekst, a jej miał do powiedzenia tylko tyle, że „jeszcze się, kurwa, zdziwią”. Nie drażyła tematu. W zeszłym tygodniu

Jacek kilkakrotnie nie wrócił do domu na noc. Mieli dużą posiadłość z dobrym dojazdem do centrum. Kosztowała krocie, ale firma kosmetyczna rozwijała się w zastraszającym wręcz tempie. Perfumy marki Auratus, produkowane przez jej firmę i asygnowane jej podpisem, sprzedawały się świetnie. Zarząd radził wypuszczenie na rynek męskiej linii.

Na początku nowa praca wydała jej się atrakcyjna. Była przyjemną odskocznią od użerania się na planie. Udane interesy wciągają tak samo szybko, jak nieudane odstręczają. Przeprowadzili się. Następnie wspomogli finansowo całą liczną rodzinę. A potem przestali zwracać uwagę na pieniądze. Firma rozwijała się siłą rozpędu i dzięki ciężkiej pracy dobrze opłacanych pracowników.

Zadzwoił telefon. Wyłączyła go, nie sprawdzając, kto dzwoni. Musi porozmawiać z mamą, ale później. Jak już poczuje się na tyle dobrze, żeby uwierzyła, że czuje się dobrze. Sukces, który osiągnęła, przepełnił ją tak bardzo, że przestała go zauważać. Tymczasem powodzenie lało się nieprzerwanym strumieniem. Monika dotarła do momentu, w którym karmiony smakołykami żołądek zaczyna wymiotować. Torsje były przewlekłe i częste. Po nich pojawiały się niesmak i pustka.

Czekał w napięciu. Od miesiąca bronił się przed tym, jak umiał. A umiał się bronić całkiem niezłe. Od ich spotkania w Paryżu minęło ponad pół roku, mimo to czas nie tępił wspomnień. Nie rozmazywał wrażeń. I nie spłycał emocji, które pleniły się w nim jak chwasty po deszczu. Nie odebrała. Kolejna próba, tym razem udana. W słuchawce odezwał się lekko schrypnięty głos dyrektora firmy Auratus.

– Mówi Adam Goldfisch.

– A witam, witam! – Zawsze to samo. Jego nazwisko zmieniało głosy ludzi, do których dzwonił. – W czym mogę pomóc?

– Kiedy macie najbliższe zebranie rady nadzorczej?

– Dopiero co mieliśmy. Myślę, że w przyszłym miesiącu – dokończył zmartwionym tonem na wszelki wypadek, bo wyczuł, że rozmówcy zależy na czasie.

– A nie może jej pan zorganizować wcześniej?

– Ale...

– Chciałbym złożyć wam pewną propozycję.

– Brzmi obiecująco.

Oczami wyobraźni Goldfisch zobaczył, jak dyrektor, którego nazwiska nie pamiętał, a którego na telefonicznej liście kontaktów zapisał pod hasłem „Monika – dyrektor”, zaciera ręce.

– To co, w piątek?

– Dobrze. Przygotuję spotkanie w sali konferencyjnej. Może być?

– Do zobaczenia. – Goldfisch nie słuchał pożegnania. Ze złością wyłączył telefon.

„Zachowuję się jak gówniarz”. Od ponad pół roku bezskutecznie czekał na kontakt. Ale niczego od niego nie potrzebowali. Obserwował ich z ukrycia. Przestał ją intrygować? Potraktowała go jak szczebel kariery? Goldfisch wiedział, że Monika jest suką, ale miała w tym klasę.

Drzwi gabinetu uchyliły się i do pokoju wszedł Maurycy. Goldfisch się uśmiechnął.

– Co tam, synku? – zapytał.

Maurycy błędnął wzrokiem jak zawsze, kiedy miał problem.

– Mateusz zaprosił mnie do swojego domu.

– Mateusz to ten chłopiec, który w zeszłym tygodniu wyśmiał cię przed koleżankami? – Goldfisch źle zniósł towarzyską porażkę syna.

– Tak, ale on mnie przeprosił i...

– Powiedział im, że się usmarkałeś.

– Ale ja... Naprawdę się usmarkałem. Normalnie glut mi wisiał taki, że...

– Nie mówi się glut – wtrącił ojciec.

Maurycy przewrócił tylko oczami, ale szybko ukrył zniecierpliwienie.

– No... Piotrek opowiedział kawał i...

– Posłuchaj, synku... – Goldfisch posadził sobie chłopca na kolanach. Odruchowo powąchał włosy dziecka. Kochał ten zapach. – Mateusz cię oszukał. Ty mu zaufałeś, a on tego nie docenił.

– Przeprosił – powtórzył chłopiec.

– Wiesz dlaczego?

– Nie.

– Bo wie, że możesz mu się do czegoś przydać.

– Ja? – Brwi Maurycygo uniosły się wysoko. Patrzył zdumiony na ojca kiwającego głową. Ufał mu. Nawet nie wiedział, że może być inaczej.

– Mówisz, że cię przeprosił. – Dziecięce włosy przelewały się przez palce ojca. – A ja wolałbym, żeby nie przeproszał, tylko pomyślał, zanim zrobił ci krzywdę.

– To mam nie jechać do niego? – Chłopiec chciał już zakończyć nieprzyjemną dyskusję.

– Jeżeli pojedziesz, Mateusz niczego się nie nauczy, a ty będziesz wyśmiewany, kiedy mu się tak spodoba.

Maurycy patrzył na surową twarz ojca. Bardzo chciał usłyszeć coś innego. Lubił Mateusza.

– Nikt cię nie będzie szanował, jeżeli pozwolisz się poniżyć. – Goldfisch założył przydługie włosy chłopca za uszy.

– Ale to co ja mam mu powiedzieć? – spytał żałośnie Maurycy, bojąc się konfrontacji.

– Żeby zaprosił innego kolegę. Takiego, który nie smarka, kiedy opowiada się żarty.

Maurycy zsunął się z kolan ojca. Nawet nie pomyślał, żeby zaprotestować.

Wystąpienie Goldfischa było krótkie i wzbudziło ogólny zachwyt. Propozycja złożona firmie Auratus była niewiarygodnie dla niej korzystna. W mniemaniu Goldfischa członkowie rady nadzorczej, przyjmując jego warunki, wykazali się skrajną głupotą. Zajmował się biznesem od trzydziestu lat i jedno, co wiedział na pewno, to to, że najbardziej podejrzaną rzeczą w interesach są wspaniałe propozycje.

Siedziała u szczytu stołu. Dokładnie naprzeciwko niego. W stroju bizneswoman wyglądała równie uroczo jak w wieczorowej sukni. Mimo starannego makijażu nie udało się jej ukryć podkrążonych oczu. Kolejne podobieństwo do Klary.

Monika zachowywała się swobodnie, ale wiedział, że udaje. Nie dlatego, że udawała źle. Po prostu była jedyną osobą na sali, która przyjęła pomysł Goldfischa bez entuzjazmu. Była aktorką i umiała zagrać rolę. W improwizacji nie czuła się już tak pewnie. A jego propozycji nie mogła przewidzieć.

Po spotkaniu podszedł do niej, kiedy zbierała dokumenty ze stołu w kształcie elipsy.

– Bardzo się pani spieszy? – zagadnął swobodnie.

– Właściwie to nie.

– W takim razie zapraszam na kawę.

Obrzuciła go nieufnym spojrzeniem.

– Nie sądzi pani chyba, że spotkaliśmy się tylko po to, żeby rozmawiać o perfumach – powiedział, czekając na jej reakcję.

– Nie? – Monika poczuła się jak ryba w wodzie. I połknęła haczyk. – A jaki jest inny powód?

– Zdecydowanie bardziej osobisty.

Gdyby była kimś innym, sytuacja by go bawiła. Monika patrzyła na niego swoimi zbyt jasnymi oczami, w których nieufność mieszała się z ciekawością. Za chwilę nie będzie po niej śladu.

Pojechali do jego ulubionej kawiarni i zajęli stolik w loży, którą wynajmował tylko dla wybrańców. Przytulną salę na piętrze zdobiły dwa okna w pięknych ramach. Wychodziły na starówkę i wyglądały jak dwa ruchome obrazy zawieszzone na ścianie.

Monika była lekko spięta, ale spotkanie było przyjemną odskocznią od codzienności ostatnich miesięcy. Znowu czuła przypływ emocji, bez których wiedła jak niepodlewana roślina.

– No więc o co chodzi? – Lubiła uprzejme rozmowy z interesującymi ludźmi, ale wolała znać przedmiot rozmowy. Umiała też pytać wprost, co przysparzało jej tyle samo zwolenników, ile przeciwników. Siedzieli przy kawie i uznała, że już wystarczająco długo rozmawiają o niczym.

– O pani męża. – Spodziewał się zobaczyć na jej twarzy rozczarowanie i nie pomylił się.

– Nie rozumiem – odpowiedziała mało błyskotliwie, mając tego świadomość.

– Szczerze mówiąc, martwię się o niego. – W tej chwili twarz Goldfische mogłaby zostać uznana przez malarzy za klasycznie zmartwioną.

– Ale – zawahała się – czy jest coś, o czym nie wiem?

– Jego ostatnia powieść okazała się fiaskiem. Zakładam, że pani o tym wie.

– To świetna książka.

– Zgadzam się. Szkoda, że tak mało osób się o tym przekonało.

– Jacek nie pracuje dla pieniędzy. – Nie umiała ukryć rozdrażnienia w głosie.

– Pisarz bez czytelników jest jak król bez królestwa, i oboje o tym wiemy. – Wolno przesuwając palec po krawędzi filiżanki. – Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że przyjdzie do mnie po pomoc.

– Jacek jest zbyt dumny, żeby prosić o pomoc.

– Ja jestem zbyt dumny, żeby nie spłacać długów.

– Pomógł nam pan, i to bardzo, zresztą dług, który ma pan wobec Jacka, nie jest wymierny.

Przez chwilę jeszcze bawił się filizanką, po czym odsunął ją od siebie.

– Moniko... Mogę mówić do pani po imieniu?

– Oczywiście – Zbił ją po raz kolejny z tropu.

– Adam. – Ucałował jej dłoń. – Masz rację. Wdzięczności nie da się zmierzyć ani zważyć. Można ją za to zniszczyć.

– Mam wrażenie, że tylko jedno z nas wie, o co chodzi w tej rozmowie.

– Chciałbym, żeby Jacek jeszcze raz wydał swoją powieść, ale wiem, że nie zgodzi się na to, żebyśmy ja był wydawcą.

– Na pewno.

– Natomiast gdyby twoja firma rozszerzyła działalność... – Kiwnął na kelnera, który bezszelestnie pojawił się za jej plecami. Podziękowała, więc poprosił o rachunek.

– *Zatoka bydłaków* to świetna książka. Potrzebuje tylko odpowiedniej promocji.

– Przy odpowiedniej reklamie można sprzedać wszystko – przyznała mu rację.

– Właśnie. Skoro można wcisnąć ludziom chłam, to dlaczego nie zrobić tego z czymś wartościowym. Sztuka już dawno przestała sama się bronić. Na szczęście wciąż nie brak szaleńców, którzy nie zwracają na to uwagi.

Poczuła się zawstydzona. Zarabiała naprawdę duże pieniądze, a nie wpadła na pomysł, żeby pomóc własnemu mężowi. Biernie obserwowała, jak ztraca się w mrocznym świecie frustracji. Tymczasem obcy człowiek podsunął jej proste rozwiązanie. Oczywiście.

– Proste pomysły są najlepsze – powiedział łagodnie. Zgodziła się z nim. – Dlatego niełatwo na nie wpaść. Zresztą proste wydają się tylko post factum.

Gwałtowny przypływ wdzięczności poraził ją jak prąd. Goldfisch nie tylko zadbał o Jacka. Troszczył się też o nią.

Biznesmen tymczasem obserwował całą paletę uczuć, które przewinęły się przez twarz Moniki w czasie rozmowy. Ostatnią była spontaniczna radość. Zapamiętane obrazki będą musiały wystarczyć mu na długo. Niemniej czuł się świetnie tamtego popołudnia.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się pana. – Musielik przyjął go, siedząc jak zwykle przy swoim biurku, z którym według Jacka był zrośnięty. Zerkał na gościa, ale dużo więcej uwagi poświęcał monitorowi komputera. Jacek zastanawiał się, czy ustawia pasjansa, czy ogląda nagie kobiety.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że tu przyjdę. – Położył na blacie trzy grube tekturowe teczki.

– Cóż to takiego? – Musielik odpiął już spojrzenie od monitora na dłużej, ale dłoń nadal spoczywała w gotowości na myszce.

– Zestawienia giełdowe. – Depresja nie stępiła u Jacka sarkazmu.

Musielik wyciągnął rękę po jedną z teczek, ale jej nie dosięgnął ze względu na rozmiary biurka. Jacek popchnął teczkę i patrzył, jak pulchne palce rozwiążają sznurek i wyciągają zadrukowany papier.

– W ciągu tak krótkiego czasu napisał pan trzy książki?

– Nie.

– Panie Jacku... – zwracał się takim tonem do swoich dzieci, kiedy były nieposłuszne.

– To jest moja ostatnia powieść.

– Ta, którą zgodziłem się wydać i z którą ponieśliśmy spektakularną klępkę?
– Tuż pod obojętnością kryła się pretensja.

– Może gdyby nie oszczędzał pan na kosztach promocji, to...

– Panie Jacku – przerwał mu. – Niech mnie pan nie poucza, jak sprzedawać książki.

– Można ją wydać jeszcze raz. Poprawiłem.

– To niemożliwe.

– Może ją pan wydać pod tym samym tytułem i nagłośnić sprawę, że to wersja poprawiona. Albo autorska, albo wydawnicza. Ale może ją pan też wydać pod innym tytułem. Mam kilka propozycji.

– Przykro mi...

Jacek nie zwrócił na to uwagi i mówił coraz szybciej.

– Niech pan to przemyśli, a jeżeli się pan nie zgodzi, to tutaj – popchnął w jego stronę następną teczkę – ma pan zbiór opowiadań. Na ten sam temat co powieść, tylko zmieniłem formę.

– Czy mogę coś powiedzieć?

– Jest jeszcze trzecia opcja. – Trzecia teczka pojechała w stronę wydawcy po śliskim biurku.

– Wierszowana? – Musielik pozwolił sobie na otwartą złośliwość.

– Słucham?

– Przerobił pan swoją powieść na poemat?

– A czy wtedy by ją pan wydał?

– Nie.

– Cieszę się, że jasno stawia pan sprawę. – Jacek wstał i przeszedł na drugą stronę biurka, żeby zabrać teksty. Zerknął na monitor, ale zobaczył tylko wygaszacz ekranu z pływającymi rybkami.

– Ja nawet nie mam praw do tej książki. – Musielik przyglądał mu się teraz z ciekawością.

– Jak to pan nie ma? – zapytał z zainteresowaniem Jacek. Tak mogło wyglądać pierwsze spotkanie białego człowieka z Papuasem. – Sprzedał je pan? Bez mojej wiedzy?

– Pan daruje, ale byłem pewien, że pan wie.

– Skąd?! – Nerwy puszczały mu coraz częściej.

– Od żony – Musielik nie krył satysfakcji.

– Nie rozumiem.

– Pana żona wykupiła ode mnie wszelkie prawa do powieści.

– Nie wiedziałam, że jesteś. – Nie zdążyła zdjąć płaszcza.

Jacek siedział w salonie, opierając nogi na stole, i popijał piwo z butelki.

– Mieszkam tu – powiedział, nie tłumiąc beknięcia.

– Ostatnio sporadycznie. – Nie chciała być nieprzyjemna, ale ją sprowokował.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Zdjął nogi ze stolika i stanął przed nią. Pachniał piwem i złością.

– O czym?

Wykrzywił twarz w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Bawimy się w głupiego Jacusia? W porządku. – Ujął ją pod ramię i posadził na kanapie, sam usiadł obok i wycedził z przesadną uprzejmością: – O tym, że bez mojej wiedzy poszłaś do mojego wydawcy i wykupiłaś wszystkie prawa do mojej książki.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę – szepnęła, spoglądając na kolana.

Roześmiał się. Czekala, aż coś powie, ale tylko na nią patrzył. Nigdy nie widziała u niego takiego spojrzenia.

– Otworzyłam wydawnictwo Auratus Press i chciałam, żeby twoja książka była pierwszą, jaką wydamy.

– Nie wydacie jej – syknął.

– Ale...

– Co ale?! – wrzasnął jej prosto w twarz.

– Za późno. Rusza kampania reklamowa. – Spodziewała się wszystkiego,

a on po prostu wyszedł z pokoju. Po chwili z korytarza dobiegł trzask drzwi. Podskoczyła jak przestraszone dziecko.

Monika zaparkowała samochód na osiedlowym parkingu. Jeździła zwyczajną hondą, nosiła duże ciemne okulary. Tłumy, które obstępowały ją w miejscach publicznych, szybko przestały cieszyć, potem zaczęły męczyć. Przemykała po wąskich uliczkach, a ostrożność wraz z późną porą uchroniły Monikę od powszechnego zainteresowania, które teraz kojarzyło jej się już tylko z ogrodem zoologicznym.

Zadzwoniła, ale nie otworzył. Była na to przygotowana – zabrała ze sobą klucz. W mieszkaniu było ciemno i cicho. Nie była tu od miesiący. Tuż za progiem potknęła się o rozrzucone buty. Zapaliła światło. Uderzył ją bałagan, napłynęły wspomnienia.

Jacek leżał na kanapie. Nie spał. Wszędzie walały się rozrzucone kartki. Nie spojrzał na nią, a jedyną reakcją na wejście żony było zmrużenie oczu po włączeniu lampy.

– Porozmawiajmy. – powiedziała sztywno, ale od czegoś trzeba było zacząć.

– O czym?

Przygotowała się na to, że niczego nie będzie jej ułatwiał.

– O nas? – Przysunęła krzesło do kanapy i usiadła blisko Jacka.

– Słucham. – Spojrzał na nią.

– Co masz mi do zarzucenia?

Milczał.

– Nie zrobiłam ci nic złego.

Iskierki drwiny zamigotały mu w oczach.

– Jacuś...

– Nie wydasz mojej książki – zabrzmiał w jego głosie nieprzyjemny spokój.

– Dlaczego?

– Nigdy tego nie zrozumiesz.

– Dlaczego? Bo jestem taka głupia? – Obiecywała sobie, że nie da się sprowokować.

– Każdy postępuje według swoich zasad.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że ja nie potrzebuję protekcji.

– Tak jak ja?

Milczał.

Przesiadła się na kanapę, przygniatając mu rękę.

– No, powiedz to – wysyczała z bardzo bliska.

– Tak jak ty – powiedział, nie zmieniając tonu.

– Jesteś podły.

– Szczery.

– Wolałbyś, żebym była pieprzonym frustratem?!

– Tak jak ja? – Iskierki drwiny rozpały ogień w oczach Jacka.

– Tak jak ty.

– Każdy postępuje według swoich zasad. – „Jeżeli nie przestanie być tak obrzydliwie spokojny, rozwalę mu łeb” – pomyślała. Głośno powiedziała tylko: – Słyszałam to już.

– Teraz jeszcze musisz to przyjąć do wiadomości. – Wyciągnął rękę spod jej pupy. – Autor nie wyraża zgody na wydanie książki przez wydawnictwo Auratus Press.

– Jesteś głupi.

– Ale mam swój honor.

– Ja nie mam. – Poczula do niego wielki żal. – Gdyby ktoś mi powiedział, że kiedyś wypomnisz mi to, co dla mnie zrobiłeś, nie uwierzyłabym.

– Życie lubi płatać figle.

Uderzyła go w twarz. Pierwszy raz w życiu.

– Chciałam ci pomóc, bo cię kocham – wyszeptała niczym usprawiedliwienie.

– Chciałaś to, chciałaś tamto, chciałaś sramto! – Przynajmniej jakiś cień emocji pojawił się w jego głosie.

– To źle?

– Chciałaś mi pomóc, żebym nie sprawiał ci kłopotu. Bo kłopoty są niewygodne. A ty lubisz, gdy jest wygodnie.

– Skurwysyn! – Wstała z kanapy i wyszła z pokoju.

Co by nie powiedzieć, do tego czasu był remis w wychodzeniu z pokoju.

Dom, do którego wróciła, był cichy i spokojny. Tak samo jak Jacek. I tak jak w Jacku, w tej ciszy i takim spokoju nie było ukojenia. Wzięła prysznic i założyła szlafrok. Komórka sygnalizowała nowe wiadomości głosowe. Włączyła nagrania, mając nadzieję, że jedno z nich zostawił Jacek.

Piiip!

Dobry wieczór, dyrektor Kruk z tej strony. Pani Moniko, mam bardzo dobre wiadomości w sprawie akcji naszej firmy na giełdzie. Szczegóły przekażę osobiście, proszę o kontakt.

Piiip!

Monia, dzwonię do ciebie od rana i nic. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale bardzo proszę, żebyś nie olewała swojej agentki, bo nie warto. Jak ci powiem, jaką dostałaś propozycję, to spadniesz z krzesła. Siedzisz? To uważaj, wczoraj wieczorem skontaktował się ze mną przedstawiciel Warnera – Max Rotchild. Nie wiem, czy słyszałaś, że planują ekranizację Królowej Śniegu. Budżet sto milionów i ogólny full wypas. Proponują ci rolę tytułową... Leżysz? Mam nadzieję, że za bardzo sobie nie zbiłaś swojej śnieżnokrólewskiej dupy. Jest teraz baaardzo dużo warta. Czuję, że możemy wynegocjować naprawdę dobry kontrakt, ale dopóki się ze mną nie skontaktujesz, to sobie mogę... Czekam niecierpliwie.

Piiip!

No cześć, kochanie. Dzwonię, bo się nie odzywasz i nie odzywasz. Ja wiem, że masz ważniejsze sprawy na głowie i nie chcę ci przeszkadzać, to powiem tylko, że Sylwia jest w ciąży. Jak Bóg da, to za siedem i pół miesiąca zostanę babcią, a ty ciocią. Ojciec to się aż popłakał z tego wszystkiego. Mówię ci, że na starość strasznie płaczliwy się zrobił. Całkiem jak jego ojciec, ale jak to mówią, kura kaczego jaja nie zniesie. W każdym razie cieszymy się bardzo i może znajdziesz chwilę, żeby pogratulować siostrze. Na pewno się ucieszy. To pa, córeczko... Aha, tak sobie pomyślałam, czy wy z Jackiem nie planujecie powiększenia rodziny. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale może warto o tym pomyśleć? Jesteś najstarsza, a jak wiesz, zboże rośnie dobrze, jak się je w dobrym czasie posieje. Ale ja się nie wtrącam. Sama najlepiej wiesz, co robisz. Kocham cię. Mama.

Odłożyła telefon. Jeżeli usłyszy jeszcze jedną radosną wiadomość, dostanie szału. Poziom łez osiągnął stan alarmowy i za chwilę wystąpi z brzegów. Opanowała się i poczuła tylko, jak wilgoć tajemnymi kanałami wewnątrz głowy spłynęła do gardła.

Drżącymi rękami sięgnęła po tabletki uspokajające. Dwie powinny

wystarczyć, żeby zasnęła bezmyślnie.

Rozejrzała się po salonie, jakby znalazła się w nim pierwszy raz w życiu. Był duży i świetnie zaprojektowany. Po latach gnieźdzenia się na kupie domu rodzinnego marzyła o przestrzeni. A teraz wydało jej się, że to właśnie przestrzeń wysysa z domu całe ciepło. Przestrzeń wchłoneła przytulność. Była obca i niezbadana. Potrzebowała bliskości kogoś, kto by jej wysłuchał. Dom nie miał tych zdolności, w tej chwili był tylko stertą posklejanych cegieł.

Monika skuliła się w fotelu. Sięgnęła po pilota i włączyła siedemdziesięciodwucalowy telewizor wkomponowany w ścianę. Próbowała skupić uwagę. Zanim zdążyła go wyłączyć, na jednym z kanałów informacyjnych pojawiła się relacja z konferencji prasowej. Przy stole siedział Adam Goldfish. Swobodnie odpowiadał na pytania dziennikarzy. Idealnie dawkował powagę z humorem, co sprawiało, że nikt się nie nudził. Przyłapała się na uśmiechaniu do telewizora. Konferencja dotyczyła centrum leczenia chorób nerwowych, którego był fundatorem. Czytała o tym kilka miesięcy temu, zastanawiając się, czy przypadkiem nie będzie z niego korzystać.

– Adam? – Telefon od Moniki zastał go w ogrodzie, w którym lubił wdychać aromaty nocy.

– Witam.

Usłyszała w jego głosie uśmiech. Bardzo tego potrzebowała.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale...

– Nie spałem.

– Chciałam odezwać się rano, ale nie wytrzymałam.

– Pilne sprawy nie powinny czekać i nie należy ich omawiać przez telefon.

– Wiem.

Zapadła cisza, zbyt krótka, żeby stała się krępująca.

– Wyślę po ciebie samochód.

– Sama przyjadę.

– Czekam.

Rozłączyli się. Goldfish wstał z ławki i ruszył w kierunku oświetlonej miękkim światłem posiadłości. Stanął przy drzwiach i dotarł do rozwidlenia ścieżki.

Wyglądała na roztrzęsioną. Była roztrzęsiona. Dwie tabletki nie wystarczyły.

Przestraszył go jej stan, co sprawiło, że zadał sobie bardzo wiele konkretnych pytań, na które jeszcze nie znał odpowiedzi. Przerwał jej usprawiedliwienia i poprowadził do „odprężalni”. Tak nazywał przybudówkę, w której niczym szaman odpędzał od siebie stres, ból i wyrzuty sumienia. Pomieszczenie znajdowało się na tyłach domu, a ogromne okno w dzień łąpało na gęsto posadzone, oplecione bluszczem drzewa w parku. Pokój był bardzo skąpo wyposażony – łóżko, fotel, stół, krzesło i półki uginające się pod ciężarem książek i płyt. Powietrze zagęścił zapach kadzidła.

Goldfisch podszedł do stołu, na którym przeżyły się szeregi butelek. Dopasował wino do stanu gościa i nalał spory kieliszek ciężkiego burgunda.

– Dziękuję. – Zachłannie zatopiła usta w purpurowym płynie.

Gospodarz pilotem uruchomił odtwarzacz płyt. Delikatne dźwięki kwartetu smyczkowego złagodziły ciszę.

Monika siedziała na fotelu, więc przysunął do niego krzesło i również usiadł.

– Co się dzieje? – Patrzył na nią w skupieniu.

– Muszę wycofać promocję książki.

Wino w kieliszku barwiło już tylko dno. Podniósł butelkę. Przyzwalająco skinęła głową.

– Nie mam pojęcia, jak to zrobić.

– To będzie trudne – przyznał.

– Przygotowałam wielką kampanię reklamową.

– Ale nie niemożliwe.

– Naprawdę?

Milczał, ale jego spokój rozluźniał i przywracał wiarę. Był mocniejszy od burgunda i skuteczniejszy od pastylek.

– Czy dla ciebie w ogóle istnieją rzeczy niemożliwe? – spytała wreszcie.

– Oczywiście – zdumiał się.

– Nie wierzę.

– Wiara jest jak talent. – Rozłożył dłonie. – Albo się ją ma, albo nie.

– Wiara zależy od doświadczeń.

– Twoje sprawiły, że nie wierzysz. – Nie pytał o nic więcej.

– A ty... w co wierzysz? – zapytała. Woląca zadawać pytania. Poza tym odnosiła wrażenie, że tym razem on będzie odpowiadał na wszystkie.

– W dwójkę świętą.

– Jeżeli chcesz, żebyś zrozumiała, musisz powiedzieć więcej. Jestem tylko

aktorką. – Spróbowała się uśmiechnąć.

– Bóg i Diabeł w jednej osobie. – Zależało mu na tym, aby go rozumiała.

– Dobro i zło w jednym? – Im głębiej zapuszczała się w zakamarki tego człowieka, tym bardziej ją zadziwiał.

– Rozdzielenie ich jest dla mnie niemożliwe.

– Jesteś niezwykłym człowiekiem, Adamie. – Czuła, że musiała mu to powiedzieć. Nie zareagował, więc kontynuowała: – Przyjechałam, bo... Ostatnio nie czuję się dobrze.

Delikatnie dotknął jej policzka tuż pod napuchniętym okiem, burząc tym samym bariery, za którymi drzemały zmysły.

– Opowiesz mi o tym?

– Chciałam. – Żałowała, że odsunął rękę.

– Ale...?

– Właśnie zrozumiałam, że moje problemy nie istnieją.

– Jestem świadkiem tej chwili?

– Jesteś sprawcą, że zniknęły.

Żadne z nich nie było zaskoczone, kiedy ich usta zbliżyły się do siebie.

Patrzyła na niego w ciemnościach. Wsłuchiwała się w jego oddech. Był cichy, równy i spokojny. Jak wszystko, co Adam robił. Bardzo chciała, żeby ją objął, pragnęła zasnąć wtulona w człowieka, który ją rozumiał.

Goldfisch jednak nie spał. Ze stoickim spokojem znosił niemą inwigilację Moniki. Wierciła się długo i zasnęła dopiero przed świtem. Wtedy otworzył oczy i spojrzał na nią. Sen wygładził jej rysy i można sobie było wyobrazić, jak wyglądała mała Monika. Tyle że Goldfisch wyobrażał sobie coś zupełnie innego.

Wstrzymanie potężnej maszyny promocyjnej było bardzo kosztowne, ale się udało. Kary umowne nie zrujnowały Auratusa dzięki poparciu i znajomościom Goldfischa. Jacek obserwował wszelkie możliwe media jak sęp – były hałaśliwe, ale o jego powieści nie pisnęły ani słowa. Prawie przestał wychodzić z mieszkania. Postanowił przełożyć swoją historię na formę sceniczną. Być może teatr był miejscem, który przyjmie jego zbląkaną wyobraźnię.

Dni zlewały się ze sobą, a on pracował, nie mając pojęcia o rzeczywistości. Nie chciał jej. Dobrze czuł się tylko w swojej głowie.

Goldfisch i Monika spotykali się regularnie. Ona, ponieważ bardzo chciała się z nim spotykać, on, ponieważ nie umiał przestać. Odbywało się to zawsze na terenie jego posiadłości poza wiedzą świata.

Tego wieczoru też miała przyjechać, więc Goldfisch większość popołudnia spędził z Maurycym. Wybrali się na przejażdżkę konną. Ojciec z zadowoleniem stwierdził, że syn ma talent – mimo że jechał na koniu dopiero trzeci raz, dobrze trzymał się w siodle i, co najważniejsze, nie bał się wcale. „Trzeba będzie uważać, żeby nie zamienił odwagi w głupotę” – pomyślał Goldfisch, obserwując chłopca pokonującego łąkę stępa.

Rozłożyli się w cieniu brzozowego zagajnika raczącego się wilgocią pobliskiego strumienia. Goldfisch patrzył, jak chłopak pałaszuje kanapki. Sam nie był głodny.

– Kiedy przyjdzie Monika? – zapytał Maurycy, rozsypując dookoła kaskadę okruszków.

– Dzisiaj.

– Super. – Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

– Lubisz ją?

– Jasne. – Maurycy wzruszył ramionami, jakby odpowiedział na najbanalniejsze pytanie świata.

Goldfisch sam nie był pewien, jaka odpowiedź by mu przypadła do gustu. Nie podobało mu się natomiast, że tak niewiele wiedział o wzajemnej relacji syna i Moniki.

– Chciałbym mieć taką mamę. – Chłopiec nie patrzył na ojca, więc nie mógł zauważyć zmiany na jego twarzy.

– Skąd ten pomysł?

– Wszyscy moi koledzy mają mamy.

– Bo ich urodziły.

– Monika mówi, że nie trzeba urodzić dziecka, żeby je kochać.

– Rozmawiałeś z nią o tym? – spytał Goldfisch ze zdziwieniem. Lubił słyszeć je tylko w cudzych głosach.

– Pewnie. Ona to wymyśliła.

– Powiedziała ci, że będzie twoją matką?

– Neeee. Zapytała, czy bym tego chciał. – Maurycy pomyślał, że dorośli czasami są tacy śmieszni.

– I co jej odpowiedziałeś?

– Że się namyślę. Dobrze, że dzisiaj przyjdzie, bo się namyśliłem.

Rozmawiałem nawet z Rafałem. On ma nowego tatę i mówi, że jest fajniejszy od tego pierwszego.

– Zbieramy się!

– Już?

– Tak.

Goldfisch spakował plecak z prowiantem i przymocował go do siodła. Maurycy posłusznie wskoczył na swojego wierzchowca.

Nakładała makijaż przed rozświetlonym lustrem. Kiedyś była to czynność, której nie znosiła, odkąd jednak zbliżyła się do Adama, radziła sobie z nią całkiem nieźle. Od kiedy go poznała, wszystko stało się prostsze. Radość znów zaczęła wczepiać w nią swoje pazurki.

Dzwonek zadzwonił w momencie, kiedy przeglądała szafę z sukienkami. Nie spodziewała się nikogo. Od rozmowy w starym mieszkaniu Jacek przestał się do niej odzywać. A może to ona przestała się odzywać do niego? Prędzej czy później będzie musiała coś z tym zrobić.

Przy furtce stał Adam. Zobaczyła go przez wideofon. Wiedział, gdzie zamontowano kamerę, więc patrzył jej prosto w oczy. Od rana nie mogła doczekać się chwili, w której go zobaczy, ale spotkać się mieli u niego, a Goldfisch nie był człowiekiem, który zmienia plany bez powodu. Dlatego nie cieszyła się, wpuszczając go do środka.

– Nie mogłeś się doczekać? – zażartowała, żeby pokryć zdenerwowanie.

Wszedł do salonu, nie zdejmując płaszcza. Napięcie przekroczyło stan alarmowy. Ręce jej się trzęsły.

– Adam...

Zauważył, że paznokciem palca wskazującego skubie paznokiec kciuka.

– Powiedziałaś Maurycemu, że będziesz jego matką – odezwał się spokojnie, jak zawsze.

– Skąd wiesz? – Uśmiechnęła się z ulgą.

– Nie jesteś jego matką.

– Rozmawiałam z twoim dzieckiem o nas. – Milczał. – Kocham cię, a twój syn jest dla mnie częścią ciebie i...

– Sprawy zaszły za daleko – przerwał jej.

– Co zaszło za daleko, o czym ty mówisz? Moje uczucia to są sprawy?! – Nie potrafiła utrzymać krzyku na wodzy. – Znowu milczał. – Adam, kocham cię! Kocham wszystko, co jest twoje.

– I chcesz, żeby Maurycy był twój – mówił ciszej niż zwykle.
– Chcę, żeby był szczęśliwy.
– On jest szczęśliwy. – Słowa cięły powietrze na plastry.
– Musimy porozmawiać... poważnie. – Monice nie podobała się błagalna nuta we własnym głosie. Goldfisch czekał. – O tym, co zamierzamy. O tym, co mam powiedzieć Jackowi.
– Chcesz mu powiedzieć, że jestem twój – stwierdził raczej, niż zapytał.
– A nie jesteś? – wstrzymała oddech.
– To wszystko zaszło za daleko.
– Co zaszło za daleko?! Nie kochasz mnie?! – Odważyła się złapać go za ramiona i potrząsnąć nimi.

Wysunął się z jej rąk i ruszył w stronę wyjścia.

– Błagam...

Dogonił go jej szept. Odwrócił się. Stała na środku pokoju, a kąciki jej ust wygięły się w dół. Była brzydka, kiedy płakała, a drżąca broda obłąkiwała jej twarz.

„Własność – pomyślał. – Żądza posiadania jest nieuleczalna. Chęć zdobycia wszystkiego. Tyle że dla niej to wszystko nie istnieje. Podobnie jak ułamki dzielone przez dwa, zmniejszając się, dążą do nieskończoności, do której nigdy nie dotrą. Własność – pojemnik z magicznie zwielokrotnionym dnem. Monika była przepelniona pustką i opustoszała wypełnieniem. Tak jak Klara”.

Wyszedł cicho. Wiedział, że wyjdzie. Przyjechał tu tylko po to. Nie będzie niczego żałował. A jeżeli znajdzie się jednak coś takiego, nikt się o tym nie dowie. Adam Goldfisch podejmował tylko decyzje ostateczne.

Długo patrzyła na drzwi, jakby w ich świetle zapętłono reportaż upamiętniający wyjście Goldfischa. Przerwała bezruch, ciskając z pasją wazonem w ścianę. Ciemnoniebieskie szkło roztrzaskało się na sylwetce delikatnie rozneglizowanej kobiety z obrazu nad kominkiem. Jeden z odłamków wbił się w blade ramię, a Monika przez chwilę oczekiwała, że po alabastrowej płóciennnej skórze popłynie krew. Potrzebowała jej teraz. Z zapamiętaniem niszczyła wszystko, co nawinęło się jej pod rękę. Salon, który urządziła przez kilka miesięcy, żeby jego wygląd i charakter wreszcie ją zadowolili, zdemolowała w pięć minut.

Zdyszana, dzikim wzrokiem patrzyła na swoje obecne dzieło. Wszędzie walały się odłamki szkła, drewna i strzępy materiału. W promieniach zachodzącego słońca tańczyły drobinki kurzu. Wściekłość wyparowała z niej

wraz z energią. Fala żalu wstrząsnęła ciałem i puściła potoki łez. Monika opadła na kanapę, nie zwracając uwagi na szkło. Płakała głośno i rozdzierająco.

Jacek siedział w wannie i bezmyślnie wpatrywał się w rdzawy zaciek, którym ciekająca woda pomalowała kawałek emalii, zdradzając nieszczelność kranu i nieczystość wody. Kąpiele pomagały mu w pracy, a odprężenie budziło wyobraźnię. Tak było kiedyś. Tym razem na to nie liczył. Wszedł do wody, bo poczuł, że śmierdzi. Od tygodnia nie napisał słowa, którego by nie zniszczył. Czyste kartki odradzały się jak wątroba Prometeusza i gapiły się z ekranu pustym obliczem. Natomiast rytmiczne kapanie wody pozwalało skupić się na dźwięku innym niż terkotanie własnych – coraz bardziej chaotycznych – myśli. Jacek zamknął oczy, próbując dopasować melodię, która mieściłaby się w jednostajnym tempie uderzających o powierzchnię kropli. Nie był pewien, czy dźwięk dobiegający spoza łazienki nie jest halucynacją przemęczonego umysłu. Dźwięk się powtórzył. Tym razem głośniej i w rytmie niepasującym do wodnego marszu. Jacek nie miał ochoty otwierać i rezygnować z ciepłego, mokrego azyłu. Intruz był jednak uparty i ponawiał próby, waląc w drzwi coraz mocniej. W pewnym momencie hałas stał się na tyle irytujący, że Jacek wyszedł z wanny.

Podszedł do drzwi, zawiązując granatowy szlafrok frotté. Nie bawił się w zagłądanie przez wizjer. W domu nie było nic godnego uwagi dla złodzieja – miał tutaj tylko zdewaluowane myśli. W progu stał wysoki starannie ubrany mężczyzna, którego Jacek nigdy wcześniej nie widział.

– Pan Jacek Sobczyk? – spytał nienaturalnie wysokim głosem.

– *Se mua* – odparł Jacek, drapiąc się po pośladkach.

– Niech się pan ubierze. Czekam na dole. – Cienkogłosy nie bawił się w ceregiele.

– Na co pan czeka?

– Na pana. I nie ja, tylko pan Goldfisch.

– Goldfisch?

– Zaprasza pana do siebie. – Tajemniczy gość, niezainteresowany wrażeniem, jakie wywarł na rozmówcy, zszedł po schodach.

Jacek zamknął drzwi. Wyciągnął z szafy koszulę leżącą na dnie brudnych ubrań, co znaczyło, że była dokładnie tak samo świeża jak pozostałe, ale istniała spora szansa, że nieświeżość zdążyła się ulotnić i nie była już tak

rażąca.

Nieznajomy czekał na niego przed klatką. Opierał się o bok dużego kombi i palił papierosa, którego czerwony koniec poruszał się w ciemności jak robaczek świętojański na uwięzi.

– Jestem – powiedział Jacek, stając koło emisariusza.

Jedynym komentarzem było suche pstryknięcie niedopałka i otwarcie drzwi od strony pasażera. „Facet wstydzi się swojego falsetu” – pomyślał Jacek, ciesząc się, że nie myśli o tym, co napisał, czy raczej – czego nie napisał.

Jechali po ulicach spokojnie. Było późno, chłodno i miasto zamknęło się w sobie. Jedynie kolorowe neony malowały im twarze. Nieznajomy prowadził w skupieniu. Jacek nie przerywał ciszy. Zmieniające się obrazy za oknem nie nudziły, a perspektywa tajemniczego spotkania intrygowała.

Goldfish czekał na niego w gabinecie zastawionym matowymi czarnymi meblami, na których stało pełno biurowych przyborów. Siedział w fotelu, kiedy Farinelli, jak nazywał swojego kierowcę, otworzył przed Jackiem drzwi i natychmiast się ulotnił.

Jacek zamrugał oczami, przyzwyczajając je do jaskrawego światła spływającego z sufitu. Goldfish wstał i uścisnął mu dłoń.

– Witam.

– Dobry wieczór. – Jacek rozglądał się po gabinecie. – Nie będę cię przekonywał, że nie jestem zaskoczony, bo jestem.

– Zaprosiłem cię na szczerą rozmowę, więc niczego nie udawaj – usłyszał w odpowiedzi.

Usiedli na bliźniaczych fotelach.

– Dawno się nie widzieliśmy.

Zapadło milczenie. Niezbyt zręczne w pojęciu Jacka i kompletnie naturalne w pojęciu Goldfische.

– Dużo się zmieniło od naszego ostatniego spotkania.

Jacek wzruszył ramionami. Była to prawda, ale na tyle przykra, że nie miał ochoty o tym rozmawiać.

– Jak się miewa Monika?

– Świetnie. Jest sławna i bogata.

– Taaak... – Goldfish przeciągnął samogłoskę. – Kochasz ją?

Pytanie było zaskakujące, a odpowiedź wymagała namysłu.

– Dlaczego pytasz? – Spróbował ją ominąć.

– Odpowiem na wszystkie twoje pytania, ale dopiero wtedy, gdy ty odpowiesz na to jedno.

„Przyjechałeś do faceta, który w stawianiu warunków zdobył czarny pas, więc nie dziw się, że to robi” – pomyślał Jacek.

Otumanieni z Moniką własnymi problemami oddalili się od siebie, ale traktował ten stan jako przejściowy. Ostatnia awantura była gwałtowna, a wzajemny żal – jak na ich standardy – niespotykane duży. Jacek był jednak pewny, że zdołają go pogrzebać. Kiedyś.

Czy ona też była tego pewna? Nagle odczuł potrzebę znalezienia się blisko Moniki. Chciał ją przytulić i powiedzieć, że jakoś to będzie.

– Tak. Kocham Monikę – powiedział z przekonaniem.

– Ja też. – Goldfisch był nie mniej szczery.

Sok, który popijał Jacek, zatrzymał mu się w ustach, jakby zabłądził w drodze do gardła.

– Słucham? – wykrztusił wreszcie.

– Widzisz... – Goldfisch nieznośnie wolno dobierał słowa. – Całe życie poświęciłem na to, żeby poznać samego siebie.

– Nie zmieniaj tematu.

– Tylko dzięki samopoznaniu mamy szansę nad sobą panować. – Gospodarz nie zwrócił uwagi na protest Jacka. – A tylko panując nad sobą, można do czegoś dojść.

– Cieszę się, że jesteś, kurwa, doskonały.

– Niestety okazało się, że nie. Bardzo nie chciałem się w niej zakochać, a jednak... – Trywialnie rozłożył ręce.

– Zapewniam cię, że takich jak ty jest więcej – zakpił Jacek.

– Tyle że oni z nią nie sypiają. – Ani jeden miesiąc nie zmienił wyrazu twarzy Goldfischa.

Twarz Jacka pozostała równie nieruchoma, zmieniając jednak kompletnie barwę. Była teraz biała jak kartki, które starał się zapisać z takim mozołem.

– Po co mi to powiedziałeś? – wymamrotał.

– Bo jestem ci to winien.

– Co mi jesteś winien, skurwysynu?! – Fala wściekłości przerwała wszelkie tany.

– Uczciwość.

Jacek patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Mówiłem, że nie ma takiej rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił.

Po tych słowach Jacek zerwał się i uderzył Goldfischa w twarz. Głośne kłaśnięcie odbiło się od ścian.

– Dlatego poniosę konsekwencje braku samokontroli. – Goldfisch jakby nie zwrócił uwagi na cios, który pozostawił na jego na policzku czerwone pręgi.

– Nie trzeba. – Uderzenie uspokoiło Jacka.

Stał koło fotela i przecierał oczy. Goldfisch czekał.

– Monika nie jest kobietą, która miewa... przygody – powiedział Jacek, nie bardzo wiedząc, skąd to wie.

– To prawda – powiedział z przekonaniem gospodarz.

– Jeżeli się zdecydowała, to znaczy, że... – mówił coraz wolniej Jacek, jakby słowa były zbyt duże i nie mogły przecisnąć się przez usta – ...że cię kocha.

– I co z tego? – Goldfisch wyglądał, jakby naprawdę się zdziwił.

– Nie będę wam przeszkadzał. – Jacek podszedł do drzwi. Chciał się stąd wydostać jak najszybciej.

– Zrobisz, co zechcesz, ale nie ma żadnego „nas”. – Goldfisch nie ruszył się z miejsca.

– A co się stało? – Jacek nie miał pojęcia, jaką odpowiedź chciałby usłyszeć.

Goldfisch milczał, a w jego milczeniu nie było bezradności.

– Powiedziałeś, że odpowiesz mi na każde pytanie.

– To prawda.

– Dlaczego postanowiłeś się przyznać?

– Gdybyś mi powiedział, że jej nie kochasz... Wmówiłbym ci, że chciałem zagrać z tobą w szachy.

– To nie jest odpowiedź. Jak długo to trwa?

– Trzy miesiące i dwanaście dni.

– I nagle, dzisiaj w nocy stwierdziłeś, że musisz mi o tym powiedzieć, tak? Bo co?

– Poznałem ją o sekundę za długo. – Głęboka pionowa zmarszczka pogłębiła się na czole Goldfischa. – Ale dzięki temu wreszcie mogę się odwdzięczyć.

– Co ty pieprzysz? – Jacek nie miał ochoty słuchać dłużej tego człowieka. – Nie chcę żadnej wdzięczności. Ponoś sobie konsekwencje, jakie chcesz, ale ją zostaw w spokoju, rozumiesz?

Wyszedł, trzaskając drzwiami, co stawało się ostatnio jego zwyczajem.

Gdyby ktoś zajrzał do gabinetu, spotkałby w nim starego zmęczonego człowieka.

Ale nikt nie zajrzał.

Dźwięk telefonu obudził Monikę śpiącą na kanapie. Otworzyła oczy, które zaprotestowały pieczeniem powiek. Dzwonił Jacek.

– Cześć, co się stało? – odebrała, chociaż wymodulowanie naturalnego głosu kosztowało ją sporo wysiłku, a efekt i tak nie zachwycał.

– Rozmawiałem z Goldfischem – odpowiedział spokojnie Jacek, a Monice wydawało się, że nie udaje. – Nie będę wam przeszkadzał.

– Nic nie rozumiesz... – powiedziała pierwsze, co przyszło jej do głowy. Miała za mało czasu do namysłu nad lepszymi słowami.

– Nie dzwonię po to, żeby rozmawiać o mojej inteligencji.

– Zastanowiłeś się chociaż przez chwilę, co mogłam czuć po tym, jak zamknąłeś się w swoim pieprzonym pokoju?! – Sen zregenerował Monice siły, ale też przywrócił rozpacz. – Nie, nie w pieprzonym pokoju, tylko w pieprzonej głowie!

Sygnał przerwane połączenia nie przerwał wściekłości. Z całej siły ścisnęła telefon, a ciałem wstrząsały dreszcze. Wystukała numer do Jacka. Automat natychmiast poinformował o niedostępności abonenta. Po dłuższym namyśle spróbowała dodzwonić się do Adama. Również nie odebrał. Nie włączyła się też automatyczna sekretarka.

Monika nie mogła doczekać się poranka. Czas nigdy nie płynął tak wolno. Kiedy wybiła upragniona ósma (z jakiegoś powodu kobieta uznała, że to odpowiednia pora na składanie wizyt), była już po czterech kawach, a niedopałki wysypywały się z popielniczki.

Jadąc przez zatłoczone ulice i przeciskając się między samochodami pełnymi sfrustrowanych kierowców, zazdrościła im. Marzyła o tym, żeby korek na drodze był jej jedynym problemem.

Posiadłość Adama znajdowała się niecałe dwadzieścia kilometrów od centrum, a dotarcie do niej zajęło Monice prawie dwie godziny. Zatrzymała samochód pod szpalerem żółto-czerwonych o tej porze roku klonów, które prowadziły wzdłuż muru do wykutej z żelaza bramy. Z każdym krokiem narastał w niej lęk, który przy bramie przeobraził się w proste pytanie: „Właściwie to po co tu przyjechałaś?”. Nie odpowiedziała, tylko zadzwoniła. Nikt nie odebrał, więc ponowiła próbę. Drażniło ją to, że brak odzewu

sprawia ulgę. Wreszcie zza rogu domu wyszedł Farinelli. Niczym skazaniec objęła rękami zimne pręty i czekała, aż podejździe do bramy.

– Dzień dobry pani – przemówił Farinelli swoim niedorzecznym falsetem.

– Przyjechałam do Adama.

– Pan Goldfisch wyjechał.

– Nie kłam. Jeszcze wczoraj tu był.

– Wyjechał dzisiaj rano.

– Dokąd? – Nie miała złudzeń, że powie jej prawdę.

– Pan Goldfisch nie informuje mnie o swoich planach.

– Kiedy wróci? – Farinelli tylko wzruszył ramionami. Korzystał z gestów, kiedy tylko się dało.

– Powiedz mi, że byłam. – Zgodne skiniecie głową. – Albo nie.

Nie wiedziała, czy wykonał kolejną pantomimę, bo ruszyła w stronę samochodu. Farinelli z zainteresowaniem, o które nikt by go nie posądził, patrzył na jej rozkołysane biodra.

Goldfisch wszedł do wielkiego salonu, po którym szybowały na uwięzi kryształowe żyrandole. Nigdy nie rozumiał bezguścia panującego w Hollywood, ale zdawał sobie sprawę, że jest ono ogólnie przyjęte, a w tym świecie znaczyło to tyle samo co obowiązujące. Przynajmniej jeżeli chodzi o producentów filmowych.

Wymienił zwyczajowe uprzejmości z opalonym mężczyzną o nienaturalnie białych zębach i natychmiast przeszedł do interesów.

Maciej Kruk – łysiejący grubas i dyrektor firmy Auratus – poprosił ją o spotkanie w cztery oczy na kilka godzin przed posiedzeniem rady nadzorczej. Ucieszyła się, bo każdy nieosobisty problem pozwalał jej choć trochę oderwać się od prywatnych problemów. Spotkali się w pustej sali konferencyjnej. Kruk, mający naturalne skłonności do hysterii objawiającej się pociąganiem nosem, powitał ją, ocierając chusteczką czoło zajmujące już ponad pół głowy. Poczwała od niego alkohol, co wywołało u niej tylko litość. Wyglądał na cierpiętnika.

– Co się dzieje, panie Maćku?

– Niedobrze się dzieje. Co ja mówię, niedobrze, bardzo niedobrze – odpowiedział, kraszając swoją wypowiedź całą gamą dźwięków wydobywających się z nosa.

- A konkretnie?
- Nie wiem, jak mam to powiedzieć.
- Najlepiej wprost. – Zachęciła go uśmiechem.
- Grozi nam bankructwo – wypowiedzenie tego krótkiego zdania musiało wysuszyć mu gardło, bo nalał sobie szklankę wody i wypił ją jednym tchem.
- To chyba jakiś żart. – Monika pomyślała, że ma nauczkę, żeby następnym razem nie zatrudniać histeryków, nawet jeżeli legitymują się świetnymi kwalifikacjami.
- Chciałbym żartować, co tam chciałbym, bardzo bym chciał.
- Dyrektor usiadł na wygodnym krześle, z rodzaju tych, na których spędzał większą część życia, i odpiął górny guzik koszuli, starając się nie poluzować krawata, żeby nie wyglądać jak flejtuch.
- Wiem, że ostatnio nie poświęcałam firmie tyle czasu, ile powinnam. – Monika potrafiła być dla siebie wyrozumiała. – Ale znam wyniki sprzedaży i zestawienie bilansów z zeszłego miesiąca.
- Ale co mi pani mówi o zeszłym miesiącu?! – Kruk nigdy dotąd nie podniósł na nią głosu. Zwykle się umizgiwał. – Zainwestowaliśmy potężne pieniądze w nową fabrykę z całą infrastrukturą!
- Pamiętam. Stać nas na to. – Nudził ją.
- Było nas stać, bo współpracę zaoferowało konsorcjum Goldfische.
- No i...? – Ogarnęło ją złe przeczucie.
- I wycofało się!
- To niemożliwe! – Próbowała zebrać myśli.
- Owszem, możliwe. W dodatku umowa została tak skonstruowana, że możemy ich pocałować... Przepraszam... – poprawił się pośpiesznie.
- Oparła kolana o kant konferencyjnego stołu i poddała się bezmyślnej obserwacji błyszczącego od potu czoła dyrektora.
- Jakie mamy szanse? – spytała wreszcie, domyślając się odpowiedzi.
- Żadnych. Jeżeli się z nim nie porozumiemy, zlicytują nas.
- Ktoś z nim rozmawiał? – Odpowiedź na to pytanie również znała.
- Tylko z prawnikami. Sam Goldfisch przepadł jak kamień w wodę. Zapadła przytłaczająca cisza.
- Dlaczego to zrobił? – Kruk patrzył na nią z bezradnością małego dziecka.
- Nie wiem – szepnęła, zastanawiając się, czy na pewno.

Goldfisch nie lubił długich lotów. Gdyby ktoś wymyślił szybszy sposób

przemieszczania się, nie wahałby się ani chwili i zainwestował w to przedsięwzięcie cały swój majątek.

Od samego rana Atlantyk mrugał do niego błękitem z wysokości dziesięciu kilometrów. Mimo że biznesmen wykupił najdroższy bilet w najdroższym samolocie, czuł się fatalnie. Nogi mu spuchły i przypominały miękkie, sparciałe balony. Minęli majaczące w dole Bermudy, o czym poinformował pilot. Wyglądały jak wszystkie inne wyspy. Na wschód od nich samolot wbił się w pasmo burzowych chmur, o czym nikt pasażerom nie wspominał.

Adam śledził film emitowany z podsufitowego monitora. Zainteresował się nim dopiero w momencie, kiedy monitor zgasł, a na wyświetlaczu nad siedzeniem pojawiła się informacja o konieczności zapięcia pasów. Mężczyzna miał swój zapięty, chociaż nie wiedział, przed czym może go to uchronić. Parę razy się nad tym zastanawiał jeszcze w czasach, kiedy takie tematy zajmowały jego uwagę.

Niebo za oknem ciemniało z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę. Tapnięcie było gwałtowne i tylko dzięki zapiętemu pasowi Goldfisch nie rozbił sobie głowy o sufit. „A jednak uczymy się przez cały czas” – ucieszył się, śledząc szklankę z drinkiem sączonym przez sąsiada w rzędzie przed nim. Szklanka szybowiała ku górze, przyczepiona do dłoni. Twarze pasażerów zamarły w skupieniu. Ich mózgi jeszcze nie zaczęły się bać.

Poczuł, że zatkało mu uszy. Ciśnienie gwałtownie spadało. Szklanka wciąż nie uwolniła się od uchwytu współpasażera, ale drink (sądząc po zapachu – gin z tonikiem) dużym chlustem opuszczał szklaną przystań. „Teraz powinno mi przebiec przed oczami całe życie” – pomyślał Goldfisch z autentycznym zainteresowaniem, czy rzeczywiście tak będzie. Przed oczami miał jednak tylko szybującą bezbarwną ciecz, a w uszach ciszę i ucisk. „Jakieś ostatnie refleksje? Złote myśli dla syna?” Kiedyś czytał o ludziach, którzy pisali SMS-y ze spadających samolotów. Co miałyby napisać? Że życie to ciągła pogoń za szczęściem i ucieczka przed cierpieniem? Nawet jego mały synek porzygałby się, czytając taki banał. A może napisać mu, że ucieczka przed cierpieniem szybko sama w sobie staje się bólem? Niestety, sama pogoń za szczęściem nie staje się radością. „Tak zwane szczęście, nawet złapane i zamknięte na cztery spusty w sejfie, wietrzeje i staje się złudzeniem”.

Podejrzewał, że człowiek rodzi się ze zdolnością odczuwania szczęścia bądź jej brakiem. „Może w DNA jest odpowiedzialne za to ogniwo? Ależ jestem nienasycony” – roześmiał się do swoich myśli. – Zupełnie jak one”.

Gin z tonikiem ominął go wysokim łukiem, kierując się w stronę pasażerów siedzących w tylnych rzędach.

Miał łatwy start. Nie pamiętał dziadka, który zdeponował w szwajcarskim banku ogromny majątek, zanim przerobili go na mydło. Adama wychowywała matka, która wpoila mu żelazną konsekwencję w życiu. Była inna niż wszystkie kobiety, które później spotkał. Zanim umarła, powiedziała mu, żeby nie zaprzepaścił szansy. Teraz byłaby z niego dumna.

Szklanka opróżniona z ginu wylądowała mu na ramieniu, po czym stoczyła się na podłogę. Przełknął ślinę, dzięki czemu usłyszał odgłos tłuczonego szkła. Zerknął na zegarek. Gdyby nie to, że nie wylądują, za dwie godziny powinni znaleźć się w Europie.

Zabezpieczył Maurycego na wszelkie możliwe sposoby. Chłopak jest mądry, poradzi sobie. Goldfisch zamknął oczy, żeby przypomnieć sobie jego twarz. Niestety, pojawiła się zupełnie inna. Ucieszył się, że spadają tak szybko.

Na pokładzie ciągle panowała cisza. „Zdążą zacząć krzyczeć?” – zastanowił się w obawie, że zaraz zrobi się głośno. Usadowił się wygodniej, kiedy samolot przestał spadać. Wyczuł to każdym nerwem, podobnie jak inni pasażerowie.

Z zakątków całej przestrzeni pasażerskiej zaczęły dobiegać pierwsze nieśmiałe odgłosy przerażenia. Facet siedzący obok rozluźnił chwyt, którym miażdżył oparcie fotela. Jeszcze kilka, może kilkanaście sekund oczekiwania na kolejne tąpnięcie. Nie nastąpiło. Na pokładzie rozpętała się histeria.

Adam patrzył na młodą stewardesę aplikującą valium kobiecie, która opowiadała jej, że ma dwoje dzieci. Dziewczyna dzielnie udawała, że słucha, chociaż sama przed chwilą spadała podobnie jak pasażerka. Nie miała co prawda dzieci, ale sama ledwie przekroczyła próg dorosłości.

Goldfisch rozpiął pas i podszedł do stewardesy. Objął ją w pasie. Odwróciła się gwałtownie, jakby był sprawcą burzy. Uśmiechnął się do niej najserdeczniej, jak potrafił.

– Pomogę pani – powiedział.

Samolot ustabilizował lot.

Piiip!

Cześć, Monia, słuchaj, musimy się koniecznie zobaczyć. Niestety nie mam dobrych wiadomości. Amerykański producent się wycofał. Nie mam pojęcia

dłaczego. Mieliliśmy dograne szczegóły kontraktu. Mogę ci pokazać mail, w którym się zarzeka, że nie wyobraża sobie nikogo innego do tej roli i albo zrobi ten film z tobą, albo wcale. Kłamał, bo z tego co wiem, trwają prace przygotowawcze. Na razie nie udało mi się go namierzyć, ale...

Zwinęła dłoń w pięć.

Następna wiadomość.

Piiip!

Cześć, córeczko, mówi mama. Bardzo się z tatą martwimy. Krawczyńska, wiesz, ta z kiosku, przyniosła gazety i tam bardzo źle o tobie piszą. Podobno nie mieszkasz z Jackiem. Nie wiem, co się stało. Dlaczego się nie odzywasz? On też nie odbiera. W internecie napisali, że twoja firma zbankrutowała. Ja tam nie wierzę w to, co oni wypisują, ale się martwię. Wiesz, jak to jest, jak człowiek ślepy, to wszędzie diabła wypatrzy. Odezwij się. Mama.

Jacek przystąpił do swojego nowego porannego rytuału. Na zawalonym papierami stole ustawił kubek z kawą, po czym zamasyście rozprostował gazetę z ogłoszeniami o pracę. Wysunął z za ucha ołówek i zawiesił ostrze nad zadrukowanym papierem. W miarę jak z kubka ubywało kawy, ołówek wędrował coraz niżej. W połowie kubka Jacek przewrócił stronę. Był coraz mniej wybredny, jednak ciągle nie na tyle głupi, żeby rzucać się na oferty pracy, o której nie miał pojęcia.

Właśnie rozważał sens zadzwonienia do firmy oferującej zatrudnienie przy utrzymywaniu zieleni miejskiej. Pogoda była wredna, ale zajęcie nie napawało go wstrętem. No i nazwa firmy całkiem niezła: Zielen Miejska. Sięgnął po telefon w momencie, kiedy ten się rozedrgał (Jacek wyłączał dźwięk, odkąd zaczął sypiać w najmniej oczekiwanych porach). Numer, z którego dzwoniono, był zastrzeżony.

– Słucham?

– Witam serdecznie – powitał go głos tak miły, że Jacek natychmiast wyobraził sobie rozmówcę. Musiał to być młody uroczy blondyn o śnieżnobiałym uśmiechu i oczach nieskażonych podłością. Na pewno zaraz spróbuje mu coś sprzedać. – Czy mam przyjemność rozmawiać z panem Jackiem Sobczykiem?

– To ja – bąknął Jacek, zadając sobie pytanie, kto ostatnio miał jakąkolwiek

przyjemność z nim konwersować.

– Moje nazwisko Igielski. Kiedy moglibyśmy się zobaczyć?

Facet nie owijał w bawełnę.

– W jakiej sprawie?

– Z gatunku tych, które nie nadają się na telefon. – Uśmiech rozmówcy musiał się poszerzyć.

– Nie pytam o szczegóły.

– Jeśli panu powiem, o co chodzi, zapyta pan natychmiast.

– Brzmi ciekawie.

– Prawda?

– Kim pan jest? – Gdyby mu nie odpowiedział, odłożyłby słuchawkę.

– Dziennikarzem.

Taka odpowiedź Jacka zaintrygowała, więc umówił się na spotkanie.

Wyobraźnia lubi płatać figle. Przy stoliku w samym rogu pretensjonalnej kawiarni siedział gruby trzydziestolatek. Jasnoszara marynarka przykrywała koszulę w kolorze spranego błękitu. Spod rozpiętego kołnierzyka wystawała kępka włosów. W kawiarni było duszno. Jacek przedstawił się grzecznie i uścisnął miękką dłoń Igielskiego.

– Polecam tort bezowy – zareklamował dziennikarz ciastko, którego kruche resztki walały się po stojącym przed nim talerzyku. Jego głos ciągle brzmiał, jakby mówiący się uśmiechał, ale teraz Jacek już wiedział, że to cecha wrodzona – Igielski był poważny.

Pisarz dostrzegł też, że w spojrzeniu dziennikarza nie brakowało podłości.

– Dziękuję, jestem na diecie.

– Pan? Nie wierzę.

– Przejdźmy do rzeczy. – Jackowi nie spodobał się ten typ, ale tym bardziej był ciekawy, czego od niego chce.

– Cenię sobie konkretnych ludzi – powiedział Igielski, po czym wpakował sobie do ust ostatni kęs tortu.

– To jest nas dwóch.

– Konkretny i błyskotliwy. – Rozmówca dopiero teraz się uśmiechnął, odsłaniając drobne zęby.

Jacek poczekał, aż dziennikarz sporym łykiem coli przepłucze gardło po ciastku.

– Ale tacy muszą być pisarze. – Igielski starannie oczyścił usta serwetką. –

Zanim przejdę do konkretnych pytań, pozwolę sobie przedstawić warunki współpracy.

– Chce mnie pan zatrudnić? – „Co za zbieg okoliczności” – pomyślał.

– W pewnym sensie – zagadkowo odpowiedział Igielski.

Cierpliwość Jacka ulotniła się całkowicie. Dziennikarz to wyczuł, bo natychmiast zaczął mówić i nawet trochę przyspieszył.

– Zrobię z panem wywiad, za który oczywiście dobrze zapłacę.

– To miłe. I niespotykane.

– Jeżeli zgodzi się pan ujawnić swoje personalia, zapłacę panu dziesięć tysięcy. Jeżeli nie, zapewniam panu anonimowość, ale oczywiście pieniądze będą nieco mniejsze.

Jacek patrzył na Igielskiego zbity z tropu. W swoim życiu zdarzało mu się udzielać wywiadów, ale nigdy mu za to nie płacili.

– Może mi pan powiedzieć, dlaczego miałbym się nie podpisać pod tym, co mam do powiedzenia?

– Nie każdy to lubi – sarknął dziennikarz.

– Jestem autorem, który nie ma problemu mówić o swojej twórczości i...

– Ajajajaj... Założył pan, że będziemy rozmawiać o pańskiej twórczości – bardziej wyjęczał, niż powiedział Igielski.

– To źle?

– Dobrze. Tylko że założenie jest mylne. – Igielski uśmiechnął się głupkowato.

– To o czym mam mówić?

– O żonie.

Gwałtowne rozszerzenie źrenic Jacka umknęło uwadze redaktora, ponieważ unikał wzroku rozmówcy, dlatego kontynuował, zapominając o ostrożności.

– Ostatnio w życiu naszej eksportowej gwiazdy dzieje się wiele ciekawych rzeczy, co naturalnie wzmaga zainteresowanie czytelników, a pan jako pisarz doskonale sobie zdaje sprawę z tego, że czytelnik to nasz pan.

Po tych słowach wypadki potoczyły się szybko, a ich efekty czytelnicy prasy brukowej mogli obejrzyć w obszernym fotoreportażu zatytułowanym *Agresja zapomnianego pisarza*. Do zdjęć dołączony był zjadliwy artykuł podpisany pseudonimem, ale Jacek nie miał wątpliwości, że wyrok wykonał na nim sam poszkodowany – redaktor Igielski, który na największym zdjęciu był wykopywany przez szeroko otwarte drzwi wprost w jesienną kałużę. Jacek żałował, że fotograf, który – jak się okazało – siedział przy sąsiednim stoliku,

nie zdążył uchwycić momentu, kiedy dziennikarz dupą rozpryskuje wodę wprost na przechodniów. Mimo to materiał mu się podobał. Jego ulubionym sformułowaniem było: „Oto, czym kończy się frustracja człowieka, któremu wydawało się, że ma talent”.

Człowiek, któremu wydawało się, że ma talent, podjął sezonową pracę przy pielęgnacji zieleni miejskiej, przestając o tej porze roku zasługiwać na miano zieleni. Osiem godzin dziennie grabił liście i od czasu do czasu podnosił z ziemi pomarszczone ze starości kasztany. Uspokajało go to. Zaczynał powoli żałować, że praca jest dorywcza i prawdopodobnie nie będzie mógł utrzymywać w porządku miejskiej bieli, którą czuło się w porannym powietrzu.

Mariusz wchodzi do salonu, w którym na kanapie leży przykryta kocem Weronika. Mariusz staje nad nią i chwilę jej się przypatruje. Weronika otwiera oczy. Przeciąga się w taki sposób, że koc zsuwa jej się z ramion. Jest kompletnie naga.

Weronika: Wiedziałam, że przyjdiesz.

Mariusz: Widzę.

Weronika wstaje i zaczyna całować namiętnie Mariusza. Po chwili go rozbiera i oboje lądują w łóżku. Następuje perwersyjna scena erotyczna.

Cięcie.

Monika zapaliła kolejnego papierosa. Zaciągnęła się mocno i wystukała numer do swojej agentki.

– Co to za gówno?

– Powiedziałaś mi, żebym ci załatwiła cokolwiek.

– Ale nie wspominałam, że to ma być pornos!

– Reżyser twierdzi, że to bardzo poetycki film.

– Jestem w trzech scenach. W dwóch się pierdołę, a w jednej rozmawiam o pierdoleniu! Nago!

– Ale to są jedyne sceny erotyczne w tym filmie.

Monika zgasiła dopiero co zaciętego papierosa tylko po to, żeby zapalić następnego. Już sama nie wiedziała, czy bardziej uspokaja ją palenie, czy niszczenie papierosów.

– To może niech Weronikę zagra jakaś młoda dupa, a ja...

– Monia, przecież cię znam. Pierwsza rzecz, o którą zapytałam, to to, czy nie mogłabyś zagrać Oliwii. Niestety reżyser uważa, że nikt tak jak ty nie nadaje się do roli Weroniki.

– W takim razie powiedz mu, że on tak jak nikt nadaje się do roli zwiędłego kutasa. Oczywiście w bardzo poetyckim filmie.

Nie słyszała już reakcji agentki, bo wyłączyła telefon.

Matka przyjechała dwa dni później. Niezapowiedzianie. Stała w progu dwadzieścia pięć minut po czwartej. Monika wiedziała to dokładnie, bo zanim zadzwonił dzwonek, w skupieniu studiowała tarczę zegara, po której biegały wskazówki.

Mama miała ze sobą dużą skórzaną torbę, którą córka pamiętała z czasów dzieciństwa. Torba starannie konserwowana przez ojca pastą do butów dzielnie opierała się zębom czasu.

Matka długo tuliła Monikę do piersi, aż ta przypomniała sobie, jaka jest malutka. Mechanicznie głaskała matkę po plecach, przejeżdżając po śliskim materiale zbyt obszernego płaszcza.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że przyjeżdżasz? – wyszeptwała.

– Bo nie wiedziałam. – Matka wygramoliła się z płaszcza i rozglądała za wieszakiem.

Monika odebrała ubranie i powiesiła w zabudowanej szafie wnękowej.

– Od rana mnie nosiło. To ojciec wreszcie powiedział: „Jak cię ma nosić, to już lepiej jedź”.

– Mogłaś zadzwonić z pociągu, wyjechałabym po ciebie.

Głaskała matkę po włosach, nie mogąc przestać jej dotykać.

– Po co dzwonić, jak nie odbierasz? – stwierdziła bez pretensji.

– Czasem to się nawet zastanawiam, czy masz telefon. – Monika uśmiechnęła się przeproszająco, bo wiedziała, że to przytyk.

Przeszły do salonu, uprzątniętego, ale ciągle noszącego ślady rozpacz. Matka nie kryła ciekawości.

– Jesteś głodna? – zagaiła sztywno. Zrezygnowała z oględzin i spojrzała smutno na córkę.

– Co? – nie wytrzymała Monika.

– Co się tu dzieje? – Zwykle uśmiechnięta kobieta wyglądała teraz na pięć lat starszą niż chwilę wcześniej.

– Nic się nie dzieje. Co się ma dziać?

Matka usiadła i rozpakowała torbę. Powidła śliwkowe zrobione przez nią. Biała kiełbasa zrobiona przez ojca. Monika bez zaglądnia do środka mogła zrobić inwentaryzację. Milczenie matki drażniło ją tak samo jak jej pytania.

– Tu masz powidła śliwkowe. Z tego roku. Było dużo słońca i wyszły bardzo dobre. A tu biała kiełbasa. Czosnkowa. Tatuś wie, że ją uwielbiasz i...

– Przywiozłaś mi jedzenie? – bezlitośnie ucięła wyliczanie Monika.

– Nie – matka na chwilę przestała rozpakowywać torbę, po czym ponownie zanurzyła ręce w jej sparciałej otchłani.

– Zostaw tę cholerną torbę! – Monika wyszarpnęła torbę z pomarszczonych dłoni, pęto kiełbasy smętnie zawisło ze stołu. – I przestań patrzeć na mnie jak wyrzut sumienia!

– Ja na ciebie patrzę jak matka na córkę. Inaczej nie umiem – powiedziała starsza kobieta z przejęciem.

– Co jeszcze wyszpiegowałaś?! Co jem? Z kim sypiam?! No co?!

– Wiem, z kim nie sypiasz. I martwi mnie to, bo Jacek to dobry chłopak.

– Skąd wiesz?! Bo zjadłaś z nim obiad w pierwszy dzień świąt?! Skąd go, kurwa, znasz?! – Miała ochotę potrząsnąć wątlymi ramionami matki. Była wściekła, że się wściekła.

– Znam go przez ciebie – mówiła cicho matka, z jakimś uporem. – I kocham, boś ty go wybrała.

– W takim razie kopnij go w dupę, bo wybrałam źle! – wycedziła Monika.

– Co się stało? Opowiedz mi o tym... – Matka podjęła kolejną próbę porozumienia.

– Nie będę o tym rozmawiać.

– To źle.

– Pewnie, że źle! Nie zauważyłaś, że ja wszystko robię w życiu źle?!

– Nigdy nie umiałaś się cieszyć. – Matka podniosła rękę, żeby odsunąć kosmyk włosów, który opadł Monice na czoło, ale ta odsunęła głowę.

– Kiedy to zauważyłaś? Jak byłam dzieckiem? Z czego się miałam cieszyć? Z tego, że nie mam swojego kąta? Że na nowe gacie muszę czekać w kolejce? A może z tego, że każdy tydzień jest pieprzoną kalką poprzedniego tygodnia?!

– Dbaliśmy o ciebie.

– Masz rację, powinnam wam być wdzięczna – prychnęła Monika. – Pokazaliście mi, jak beznadziejne może być życie.

– Moje życie nie jest beznadziejne. – Starsza kobieta dumnie podniosła głowę.

– Jak bardzo trzeba się oszukiwać, żeby w to uwierzyć? – Monika tak bardzo chciała, żeby matka cierpiała tak jak ona.

Patrzyły na siebie pełne żalu i braku wiary, że wypowiedziane słowa zostaną zapomniane. Wreszcie matka wstała i zaczęła metodycznie zapinać torbę. Monika powstrzymała odruch, żeby ją objąć. Już nigdy nie zapomni momentu, w którym zwalczyła w sobie chęć przytulenia matki.

– Zostań... – wykrztusiła.

Kobieta powoli pokręciła głową.

– Proszę... – szepnęła Monika.

Matka wolno weszła do przedpokoju. Postawiła torbę na podłodze i założyła płaszcz. Zobaczyła na nim plamkę i potarła ją wierzchem dłoni. Plamka nie zeszła. Kiedy zapięła ostatni guzik, podniosła głowę. Była niska, a chciała popatrzeć córce w oczy.

– Monisiu... – Broda lekko jej zadrżała. – Żyj tak, żeby miał ci kto zamknąć oczy. – Na chwilę ujęła jej buzię w dłonie.

Wyszła. Nie pozwoliła się odprowadzić.

Jacek zgarnął kolejną porcję brązowych powyginanych suchych liści w duży stos. Musiał zwalczyć chęć zanurzenia się w tym dużym pachnącym jesienią kopcu. Odstawił grabie i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął zapalki. Wygrzebanie nory w liściach i napakowanie tam zmiętej gazety zajęło kilka sekund. Papier zajął się ogniem, który niczym nowotwór trawił liście od środka, szybko zamieniając się w mleczny dym. Mdlącośłodkawy zapach przyjemnie nęcił nozdrza. Jacek stanął do wiatru tak, żeby dym okadzał całą jego sylwetkę. Przymknął oczy i uśmiechnął się do wspomnień.

Październik był miesiącem, w którym cały sierociniec uprzętała ogródki działkowe. Jacek lubił ten czas. Potem następowały trudne listopadowe wieczory, kiedy płakał w poduszkę, tęskniąc za nieznanym.

„Dzisiaj tęsknię za sierocińcem” – pomyślał, otwierając oczy, które zaczęły łzawić. Z trudem powstrzymał kaszel.

– Sobczyk?! – Wydało mu się, że to dalszy ciąg wspomnień z dzieciństwa. – Sobczyk, jak Boga kocham!

Z bocznej alejki parkowej wylała się zwałista postać w małym kapelutku, pod którym jaśniała rozradowana gęba. Musielik wyglądał jak kretyn bez względu na miejsce i porę roku.

– Mówią, że świat jest mały, a przypadki chodzą po ludziach, ale żeby do

tego stopnia, panie Jacku? – wysapał, ściskając zmarzniętą dłoń.

– Dzień dobry. – Jacek nie lubił wylewności prawie tak jak prezesa firmy Musielik Press.

– Tropię pana od tygodnia, a pan tu liście sobie pali? – udawał złość wydawca.

– Tropi mnie pan? – Jacek oparł się o grabie, obejmując je oburącz.

– Wydzwaniam ja, wydzwania moja sekretarka.

– Zmieniłem numer telefonu.

– Nie zostawił pan adresu mailowego, więc pomyślałem, że wyśle telegram, ale telegramów już nie ma – gderał Musielik.

– Czego pan ode mnie chce? – spytał Jacek, ciesząc się, że go to już nie obchodzi.

– On się mnie pyta, czego ja od niego chcę! – wrzasnął mu wprost do ucha mężczyzna. – A czego może chcieć wydawca od pisarza? – Musielik zapłonął świętym oburzeniem.

– Może chcieć zerwać z nim kontrakt – wtrącił nie bez satysfakcji Jacek.

– Oczywiście, ale nasz kontrakt już został zerwany, więc to by było bez sensu.

Ten facet miał tak zasadniczy umysł, że pewnie nawet po wypiciu litra wódki byłby w stanie bezbłędnie wyrecytować dziesięć największych sukcesów wydawniczych swojej firmy wspak.

– W takim razie nie mam pomysłu.

– Nie jest pan zbyt domyślny, ale to pewno przez ten smród – powiedział Musielik i rozkaszał się dla potwierdzenia swoich słów. – Chcemy wznowić kontrakt.

– Ja nic nie napisałem. – Jacek przeszedł kawałek dalej i zaczął grabić niezgrabione liście.

– Ale owszem, napisał pan. Mówi panu coś tytuł „Zatoka bydlaków”?

– Tak. Największe fiasko pana wydawnictwa. – Ściągał liście nabite na zęby grabi i rzucał na kupę.

– Oj tam... – skrzywił się Musielik z niesmakiem.

– Tak mi pan powiedział.

– Powiedziałem, bo to było fiasko. Rozumie pan? Było!

– A co takiego się zmieniło?

– A to, że odkąd jest pan sławny, księgarnie dzwonią na wyścigi. Wie pan, na ile egzemplarzy złożono zamówienia?

– Sławny?

„Grubasowi cholesterol musiał rzucić się na mózg” – pomyślał Jacek.

– Niech mi pan tu nie udaje skromnisa – oburzył się Musielik. – Nie czytał pan *Agresji zapomnianego pisarza*?

W jednej chwili cała ta rozmowa nabrała dla Jacka surrealistycznego wymiaru. Oto dwóch facetów rozmawia ze sobą w scenerii wyłysiałego parku, w oparach gryzącego mlecznego dymu. Starają się nie udusić. Kiedy uzmysłowił sobie, że spotkanie ma charakter biznesowy, wybuchnął śmiechem.

Przekręciła klucz bez trudu. Nie zmienił zamka. Wieszak był pusty, a na podłodze nie było butów. „W butach chyba nie sypia” – pomyślała.

Mieszkanie też było puste, a panujący w nim bałagan przekraczał wszelkie wyobrażenie. Nawet ona podczas pamiętnej nocy gniewu nie umiała doprowadzić pokoju do takiego stanu. Spodziewany bajzel niespodziewanie ją wzruszył. Otworzyła okno. Kto wie, może za dwa, trzy dni zapach niepranej garderoby zacznie przegrywać z wilgotnym powietrzem.

Usiadła na kanapie, przygniatając jakieś notatki, pod którymi znajdował się spodeczek z niedojedzoną kanapką. Masło umazało jej spódnicę i ręce. Weszła do łazienki, która nigdy nie wydawała jej się duża, ale w tej chwili wyglądała niczym pudełko po butach. Monika zapierała materiał, powiększając ciemną plamę, i cieszyła się, że znalazła zajęcie. Czekanie na Jacka w ciszy własnych myśli byłoby nieznośne.

W kącie łazienki piętrzyła się sarta wymiętych ubrań. Monika otworzyła prawie automatyczną pralkę i zaczęła pakować do niej koszule. Prania było tyle, że na jej oko nie będzie się nudzić, nawet jakby Jacek wrócił po Nowym Roku. Z chrzęstem nastawiła programator i wcisnęła guzik, który powinien rozbłysnąć na czerwono. Nie rozbłysnął. Sprawdziła, czy wtyczka tkwi w kontakcie, a ponieważ była na swoim miejscu, spróbowała ją poruszyć to w jedną, to w drugą stronę. Na tym jej możliwości elektrotechniczne się wyczerpały. Fala bezradności sprawiła, że Monika osunęła się na pachnące Jackiem ubrania. Oparła łokieć o pralkę. Po co tu przyszła? Na co liczyła? Przecież musiała sobie zadać te pytania, malując rzęsy, zakładając buty, wsiadając do samochodu (jednej z ostatnich rzeczy, którymi komornik jeszcze się nie zainteresował).

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała w łazience. Z odrętwienia wyrwał ją trzask drzwi. Nie zdążyła się zdenerwować, kiedy zobaczyła go w progu.

Nieogolony, chudszy o dziesięć kilogramów, w kurtce, której nie znała – ale w dalszym ciągu ten sam Jacek. Widok Moniki siedzącej na stercie brudów w łazience musiał zrobić na nim wrażenie, ale nie powiedział słowa. Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Cześć – wykrztusił wreszcie, a ona uśmiechnęła się nieznanym dla niego uśmiechem.

Dotąd Jacek był przekonany, że zna wszystkie uśmiechy żony.

– Cześć – odpowiedziała.

Znów zapadła cisza.

Po głowie kołatało jej się zapętlone pytanie: „Czy to jest facet, który zamknie mi oczy?”.

Z czeluści pamięci dochodziły do niego zwielokrotnione echem słowa: „Poznanie drugiego człowieka jest jak grzebanie w ziemi. Jak wygrzebiemy zbyt głęboki dół, ściany się zawalą”.

– Poznaliśmy się o sekundę za długo... – szepnął.

Monika stanęła przed nim.

– To możliwe? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze.

Strawiński skończył mówić. Prezes zachowywał się tak, jakby nie skończył słuchać. Patrzył w jakiś punkt. Strawiński podążył za jego spojrzeniem, ale nie znalazł nic wartego uwagi. Sekretarka poprawiała literówki, co oznaczało, że jego opowieść znajdzie się w repozytorium dokumentów firmy.

– Zgadzam się – powiedział Maksymiuk, nie odrywając wzroku od czegoś, na co patrzył.

– Z czym? – zainteresował się Strawiński.

– Ze wszystkim.

– To dobrze.

– Ludzie nie potrafią docenić tego, co mają.

– To prawda.

– Nienasycenie – wycedził prezes, wstając z krzesła. – Nowotwór, który drąży ludzkość od niepamiętnych czasów.

Stanął przed Strawińskim i ciężko westchnął.

– To była dobra historia. Kto ci ją opowiedział?

– Nikt.

– Jak to nikt?

– No... – Strawiński zastanowił się nad odpowiedzią, ponieważ wydała mu się trudna. – Tak jak jest ktoś, to jego odwrotnością jest nikt.

– I on ci to opowiedział? – upewniał się prezes.

– Tak.

– Dobrze. Nie wyrzucę cię.

– Dziękuję.

– Pod warunkiem, że już nigdy nie usłyszę, że śpisz pod biurkiem.

– Dobrze.

Prezes poklepał Strawińskiego po plecach i odprowadził do drzwi.

Współpracownicy łypali na Strawińskiego z ciekawością, kiedy wracał do swojego biurka. Zerknął na zadanie, jakie mu zaplanowano na ten dzień, i zaczął liczyć. Do końca pracy zostało jeszcze półtorej godziny. Zrobienie zadania zajmie mu jakieś dwadzieścia minut. Jeżeli odda je zbyt wcześnie,

jeszcze tego samego dnia dowie się, że wszystko, co zrobił, nie nadaje się do niczego. Jeżeli odda je przed samym wyjściem, o tym, że zrobił je źle, dowie się następnego dnia. Zdecydowanie wolał drugą opcję, dlatego wgramolił się pod stół. Opowiadanie wyczerpało jego siły i zrobił się okropnie senny.

Wprowadzenie do opowieści, z którego dowiadujemy się, że wino jest zdrowe, ale prezesa to nie obchodzi

W pewien wtorek Strawiński przestraszył się, że jest poważnie chory. Nie znał się na medycynie, ale szczyił się tym, że dobiegając czterdziestki, jeszcze nigdy nie był u lekarza. Objawy, które u siebie wypatrzył, były niepokojące. Okazało się, że Strawiński nie może zasnąć. Zwyczajowo nie chodził spać przed świtem, ale tamtego wieczora uznał, że jest przemęczony i potrzebuje snu, więc położył się przed dwudziestą drugą. Zamknął oczy i czekał. Tymczasem sen nie nadchodził. Dziesięć po dziesiątej zaczął się denerwować. Przed jedenastą chodził po pokoju, usiłując zrozumieć, a o północy był już wrakiem człowieka. Nie czekając do rana, zadzwonił po pogotowie, które przyjechało rano. Pielęgniarka musiała długo dzwonić do drzwi, ponieważ wycieńczony oczekiwaniem na sen i pogotowie Strawiński po prostu zasnął. Kiedy się obudził, był tak rozedrgany, że bez trudu przekonał personel karetki, że jest z nim źle. Został zawieziony na ostry dyżur, na którym przyjął go lekarz specjalizujący się w nocnych dyżurach, ponieważ sam od lat cierpiał na bezsenność.

Szybko znaleźli wspólny język. Doktor wysłuchał Strawińskiego spokojnie. Nie oceniał ani nie krytykował jego diagnozy i przyznał mu całkowitą rację. Był starym lekarzem, który nauczył się, że pacjent wie o swoim zdrowiu znacznie więcej niż ktokolwiek inny. Kiedy Strawiński zapytał drżącym głosem, czy wyczerpanie organizmu, które zaobserwował u siebie, jest uleczalne, usłyszał twierdzącą odpowiedź. Spodobała mu się ona do tego stopnia, że wziął telefon od lekarza i obiecał, że nigdy już nie będzie się leczył u nikogo innego. Co prawda wcześniej nigdy nie leczył się u żadnego lekarza,

ale miał złe przeczucia. Według nich z leczeniem jest jak z heroiną – jeśli raz się zacznie, to potem trudno przestać.

Doktor Babieno polecił Strawińskiemu pić lampkę czerwonego wina zawsze wtedy, kiedy poczuje się przemęczony. Strawiński z niedowierzaniem przyjął lekarstwo, a jego zdziwienie znacznie się zwiększyło, kiedy doktor Babieno przyszpilił go udokumentowanymi medycznie argumentami na temat leczniczych właściwości czerwonego wina. I tak w czasie dwuipółgodzinnego wykładu, podczas którego pacjent i jego lekarz wypili cztery butelki bordeaux, Strawiński dowiedział się, że wino ma zbawienny wpływ również przy leczeniu nadciśnienia, zapobiega zawałowi, wylewowi, udarowi, a także obniża ryzyko zachorowania na raka. Ponadto gdyby Strawiński był kobietą, czerwone wino pomogłoby mu zajść w ciążę. Oczywiście gdyby Strawiński był kobietą, która ma problemy z zajściem w ciążę. Z takim kompendium wiedzy pacjent wyczołgał się z gabinetu lekarza w poczuciu nieśmiertelności.

Następnego dnia, zaopatrzony w butelkę siedmioletniego chianti, udał się do biura. Był prawie pewien, że tym razem wyczerpanie nie spustoszy jego steranego zdrowia. Swoje pierwsze kroki skierował do kuchni i odkrył, że firma nie dysponuje korkociągiem.

Przez następną godzinę Strawiński odbył po biurze regularną pielgrzymkę. Zatrzymywał się przy każdym pracowniku, a ponieważ mimo dziesięcioletniego stażu pracy nikogo tu nie znał, wycieczka wydała mu się pouczająca, chociaż po paru minutach znudziła go jej powtarzalność. Dosiadał się do każdego biurka i udawał, że nie widzi tego, że ludzie udają, zamiast pracować. Dawał im czas na pochowanie aktualnie pootwieranych stron i dopiero wtedy zagajał. Po kilku bezpiecznych pytaniach typu „kiedy ostatnio ktoś był w zoo” albo „co myśli o polityce rządu w Bułgarii” przechodził do konkretów. Na pytanie o prywatny korkociąg ludzie milkli i kurczyli się w sobie, chociaż Strawiński zawsze uważał ich za milczących i skurczonych.

Nikt nie dał mu korkociągu, a Strawiński nie wiedział, czy dlatego, że nikt go nie miał, czy z jakiegoś innego, nieznanego mu powodu. Sikając w toalecie męskiej, rozmyślał o krokach, jakie powinien przedsięwziąć. Tuż obok stanął Bobik, a właściwie Mirosław, którego wszyscy w biurze, oprócz niego samego, nazywali Bobikiem.

– Uważaj – szepnął, zbliżając się do ściany.

– Dobrze – zgodził się Strawiński. Nie wiedział, na co ma uważać, ale Bobik był tak zestresowany, że nie chciał mu robić przykrości.

– Oni tu tego nie lubią.

Strawiński nie wiedział, kim są oni i czego nie lubią. Zastanawiał się, czy drażnienie tematu pomoże, czy zaszkodzi Bobikowi. Skończył sikać i uznał, że ich toaletowa rozmowa dobiegła końca. Mylił się, bo kiedy mył ręce, Bobik ponownie stanął obok niego i też zaczął myć ręce. Różnica była taka, że Strawiński patrzył na swoje ręce, a Bobik nerwowo strzelał oczami na prawo i lewo. Odkąd został zatrudniony w firmie, panicznie się bał, że go zwolnią, i znowu zostanie bez pracy.

– Słyszałem, że jeden gość napił się piwa w godzinach pracy i go wyrzucili – szepnął tak cicho, że Strawiński musiał się do niego nachylić, chociaż wcześniej i tak stali blisko. – A to nie był byle kto – dodał.

– A kto to był?

– Ktoś ważny.

Bobik podstawił ręce pod suszarkę i rozluźnił się, jakby szum powietrza go uspokajał.

Wtedy Strawiński zrozumiał, że być może będzie musiał wybierać między karierą zawodową a zdrowiem. Tylko czy człowiek dobiegający czterdziestki ma taki wybór? Zadając sobie to pytanie, utracił szybkę swojego chianti. W biurze poza brakiem korkociągu występował też brak kieliszków do wina. Strawiński był estetą, ale umiarkowanym i szybko doszedł do wniosku, że nic nie może stanąć mu na drodze do szczęścia, zwłaszcza naczynie.

Rozkoszował się winem, z obawą zerkając na utraconą butelkę, którą postawił za nogą biurka. Wina było coraz mniej, a on nie był pewien, czy zdrowieje.

Blondyna przysłała po niego, kiedy zaczynał kończyć piątą szklaneczkę i snuł dalekosiężne plany pójścia do sklepu po kolejną butelkę.

– Boss chce z tobą rozmawiać – powiedziała, zaglądając mu w oczy.

– O czym? – zapytał Strawiński, zaglądając jej w dekolt, ponieważ Blondyna, zaglądając mu w oczy, musiała się zniżyć do jego poziomu.

– Nie domyślasz się?

– Nie.

– Myślałam, że jesteś inteligentniejszy. – Pogardliwie wydeła wargi.

– Dlaczego? – zainteresował się Strawiński, jak zawsze, kiedy rozmawiano o nim.

– Nie wiem – poddała się szybko.

Strawiński trochę się zmartwił, bo lubił się z nią przekomarzać, a poza tym

po raz kolejny otrzymał dowód na to, że ludzie często formułują teorie niepoparte wiedzą. Zmartwił się jeszcze bardziej, bo zrozumiał, że Blondyna wzywa go na rozmowę z szefem osobiście, czego nigdy dotąd nie robiła. Wszystko wskazywało na to, że sprawa jest poważna.

Wiktor Jędrzej Maksymiuk czekał na niego w swoim gabinecie. Siedział na wysuniętym na środek krześle z łokciami opartymi o kolana i twarzą ukrytą w dłoniach. Pod ścianą przycupnęła sekretarka. Z palcami rozcapierzonymi nad klawiaturą laptopa przypominała Strawińskiemu sępa z pomalowanymi na czerwono szponami.

Strawiński zamknął za sobą drzwi, ale zrobił to tak cicho, że Maksymiuk nie podniósł głowy. Dlatego po minucie otworzył drzwi ponownie i zamknął je tym razem głośno. Poskutkowało i szef podniósł głowę. Powieki miał podpuchnięte, a na twarzy malował się ból.

– Siadaj – westchnął.

Strawiński usiadł i patrzył, jak przełożony wciska sobie knykcie w oczy. Trwało to długo.

– Mogę panu jakoś pomóc? – zaoferował się Strawiński.

Maksymiuk wyjął knykcie z oczu jak za dotknięciem różdżki.

– Jeszcze nigdy w życiu nie zatrudniłem równie bezczelnego pracownika – wycedził.

– W takim razie nie będę panu pomagał.

W zaistniałej sytuacji Strawiński uznał, że najbezpieczniej będzie przyjąć postawę ugodową.

– Mieliśmy tu takich, którzy szargali dobre imię naszej firmy – ciągnął swój wywód szef, jakby nie słyszał swojego podwładnego, co zresztą było całkiem prawdopodobne.

– Byli tacy, którzy nie szanowali szansy, jaką im dałem. Był człowiek, który zażywał amfetaminę, twierdząc, że bez niej nie potrafi pracować przez osiemnaście godzin na dobę. Był taki, który popełnił samobójstwo z powodu złej oceny kwartalnej, a jeden na moją uwagę na temat niechlujnego wyglądu miał czelność pokazać mi genitalia.

– Który? – zainteresował się Strawiński.

– Nieważne – uciał przełożony. – Żaden z nich nie pracuje już w naszej firmie.

Strawińskiemu zrobiło się przykro. Najbardziej żałował Człowieka z Genitaliami.

– Firma jest jak pole – kontynuował szef. – Żeby wyrosły na nim plony, trzeba o nie dbać. Potrzebny jest odpowiedni klimat, wilgotność...

– Nawóz – dorzucił Strawiński, bo kiedyś interesował się rolnictwem.

Maksymiuk zgromił go wzrokiem.

– Tylko chwasty plenią się bez żadnej pomocy, zabierając glebę szlachetnym roślinom.

– To prawda – przyznał Strawiński, ponieważ jego wiedza na temat rolnictwa była zbieżna z tyradą przełożonego.

– Dzisiaj przyszedłem do pracy z uśmiechem na twarzy, bo wierzyłem, że będzie to dobry dzień. Dzień pełen konstruktywnych pomysłów, które wyniosą nasz projekt na wyżyny. A co zastałem? Od samego progu uderzył mnie fetor, smród, odór...

Strawiński przypomniał sobie, że kiedyś widział na biurku szefa słownik synonimów.

– W moim biurze cuchnęło jak w podrzędnej knajpie.

Strawińskiemu przyszedł do głowy pomysł, żeby zaprotestować, bo siedmioletniego chianti nie można spotkać w podrzędnych knajpach, ale w porę się zorientował, że lepiej nic nie mówić.

– Myślałem, że się rozpłaczę – szepnął Maksymiuk i o mało się nie rozpłakał.

Sekretarka spojrzała na Strawińskiego, a w jej spojrzeniu było coś rybiego. Strawiński zrozumiał, że nie jest dobrze.

– Zanim cię wyrzucę i sprawię, żebyś nie został przyjęty do pracy w żadnej szanującej się firmie, powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zbezczęściłeś dobre imię tego miejsca? Dlaczego pijesz w pracy?

– Lekarz mi kazał – powiedział Strawiński.

– Lekarz ci kazał? – spytał Maksymiuk.

– Tak. Doktor Babieno. Bardzo dobry fachowiec.

Maksymiuk zamilkł. Musiał przetrwać niespodziewaną linię obrony. Być może wolał, żeby Strawiński po prostu pokazał mu genitalia.

– Nasza firma współpracuje z firmą Great Medicamenting Group i tam są najlepsi fachowcy – zawyrokował.

Strawiński tylko pokiwał głową, ale wiedział, że nie pójdzie do lekarza z Great Medicament Group, ponieważ tym samym zdradziłby doktora Babieno, którego powoli zaczynał traktować jak brata.

– Co ci dolega? – Nie wiadomo, czy Maksymiuk rzeczywiście się tym

zainteresował.

– Skrajne wyczerpanie.

– Dlatego uciekasz w alkohol?

– Lampka wina stawia na nogi. Tak twierdzi doktor Babieno.

– Doktor Babieno mnie denerwuje – prychnął Maksymiuk, ale nie mógł zwolnić doktora Babieno z pracy, co go frustrowało. Nagle na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. – Skoro przepisał ci lampkę wina, dlaczego wychlałeś całą butelkę?

– Nie wychlałem całej – sprostował Strawiński, bo rzeczywiście według jego obliczeń w butelce zostało około dziewięćdziesięciu mililitrów napoju.

– Nie doprowadzaj mnie do szału – warknął Maksymiuk. – Nie wolno przekraczać dawki żadnego lekarstwa, a ty przekroczyłeś swoją pięciokrotnie.

– Nie – zaprzeczył Strawiński.

– Nie... – powtórzył Maksymiuk.

– Nie – powtórzył Strawiński.

– Nie? – zapytał Maksymiuk.

– Nie – potwierdził Strawiński.

Zapadła cisza. Na twarzy szefa pojawiła się cała paleta barw, od bieli przez soczystą zieleń, na krwistej czerwieni kończąc. Strawińskiemu skojarzyło się to z kolejnymi fazami kolorów liści. Symbol przemijania. Ale nie powiedział tego nikomu.

– Zanim wezwę policję, zapytam – powiedział Maksymiuk, zażywając potrójną porcję relanium.

Strawiński nie wspomniał, że nie należy przekraczać dawki żadnego lekarstwa. Był zbyt delikatny na to, żeby posługiwać się prymitywną metodą przyłapywania ludzi na niekonsekwencji.

– Dlaczego wypiliśmy całą butelkę?

– Pierwsza lampka zapobiegła wyczerpaniu, druga sprawiła, że nie dostanę zawału, trzecia obniżyła mi ciśnienie, dzięki czemu znacznie ograniczyłem wystąpienie wylewu, czwarta miała zapobiec udarowi i, jak pan widzi, zapobiegła, a piąta sprawiła, że ewentualne komórki rakowe, które każdy z nas nosi w sobie, nie rozwiną się i nie umrą.

– I to ci powiedział doktor Balbina?

– Nie. To mi powiedział doktor Babieno.

– Zwolnię cię.

– Dlatego, że chcę być zdrowy?

– Dlatego, że jesteś pijakiem.

– Uznałem, że moja śmierć źle wpłynie na rozwój firmy, która zainwestowała we mnie bardzo dużo pieniędzy – bronił się Strawiński.

– Tak. Zainwestowaliśmy w ciebie bardzo duże środki, ale twoje odejście sprawi, że firma odżyje. Musisz wiedzieć, że firma jest jak żywy organizm. Trzeba dbać o to, żeby był zdrowy. Każda infekcja może spowodować, że organizm zachoruje. A ty jesteś jak wirus. Jak czyrak. Jak wrzód. Jak torbiel. Jak nowotwór, który toczy zdrowe tkanki.

Strawiński zastanowił się, czy aby na pewno tak jest, ale nie znalazł odpowiedzi, więc powiedział z całym przekonaniem: – Przykro mi.

– Jemu jest przykro! – parsknął Maksymiuk.

– Zachowałem się jak egoista. Myślałem tylko o sobie i swoim zdrowiu. To już się więcej nie powtórzy.

– Według ciebie wystarczy przeprosić i już, tak?

– Nie.

– A co?

– Nie wiem.

– Przekonaj mnie, żebym nie wyrzucił cię na zbity pysk.

– Mogę opowiedzieć panu ciekawą historię.

– I co z tego?

– Jeśli będzie nudna, to mnie pan wywali na zbity pysk. Jeśli nie będzie, to mnie pan zostawi.

– No dobrze. Opowiadaj.

JOASIA, czyli PRZEBUDZENIE W PEŁNI

Zimne grudniowe powietrze dostrzegło swym siwym okiem ruch otwieranych drzwi balkonowych, po czym owinęło się wokół chudej sylwetki Joasi. Dreszcz wstrząsnął ciałem siedmioletniej dziewczynki, ale nie zdołał jej wepchnąć z powrotem do mieszkania. Uparła się, że wypatrzy pierwszą gwiazdkę. Tymczasem niebo było sine i puste. Słońce od kilku dni wędrowało po nieboskłonie bez świadków. Niebo pozostawało zagadką dla żywych i nadzieją dla umarłych.

Joasia z zadartą głową stała na balkonie czwartego piętra, nie zwracając uwagi na mróz, który przy każdym oddechu parzył nos i gardło. Jasne włosy związane w koński ogon zamiatały plecy w takt ruchu głowy. Dziewczynka nie dostrzegła gwiazdy. Nie było księżycy. Ciemność zapadała dyskretnie pod osłoną chmur.

– Aśka, do cholery! – głos matki opuścił wzrok dziewczynki. Teraz łatwiej było przełknąć ślinę samowolnie zbierającą się na myśl o czekających smakołykach.

– Już idę! – odkrzyknęła zniecierpliwiona. Albo Joasia nie przywykła do tego typu przywoływania, albo zbyt często słyszała podobne słowa w swoim kierunku. Ostatni raz rzuciła okiem na czerniejące niebo i schyliła się po garnek z kapustą.

Niewielkie dwupokojowe mieszkanie pachniało mieszanką smażonego oleju, ryby i kompotu z suszonych śliwek. Pachniało tak tylko raz w roku. Na środku salonu ustawiono stół. Cztery wgłębienia w owłosieniu puchatego dywanu zdradzały, gdzie mebel stał na co dzień. Tego dnia stół uginał się pod ciężarem dwunastu potraw oświetlonych światłem z żyrandola rozgałęziającego swe macki niczym kotwica. Dwa z siedmiu kloszy były ślepe. O żarówki dbano w domu mniej niż o dywan.

Do pokoju weszła Celina. Miskę z pierogami trzymała oburącz, a drewnianą łyżkę wepchnęła sobie do ust, więc wyglądała jak bocian.

– Chcesz się przeziębic na święta? – gderała, zlizując resztki kapuściano-

grzybowego farszu z drewna.

– Szukałam pierwszej gwiazdy na niebie.

– Gdzie ty zobaczysz gwiazdę w taki dzień? Trochę rozumu, dziecko, trochę rozumu. – Celina lubiła powtarzać zdania, które według niej miały czegoś nauczyć córkę. – Postaw kapustę na gazie. Zaraz przyjdzie babcia. Właściwie to już powinna być. Tyle razy ją prosiłam, żeby się przeprowadziła do nas. Co to mało mamy miejsca? – słowa wypadały jej z ust niczym kule z karabinu maszynowego.

– Babcia lubi mieszkać sama – wtrąciła Joasia. Nie mogła pojąć, dlaczego matka tego nie rozumie, skoro babcia mówiła o tym tyle razy.

– W życiu nie ma „lubi”, „nie lubi”, tylko jest to, co jest. – Wygłaszając jedną ze swoich maksym, których się nauczyła od swojej matki, Celina otworzyła szufladę i zaczęła wydobywać z niej srebro. Pokryte burym nalotem sztucce używane były tylko z okazji specjalnych okazji.

Celina była trzydziestopięcioletnią kobietą o figurze zmienionej przez ciążę i rozumowaniu zdeformowanym przez ludzi, z którymi się zadawała. Obszerna sukienka maskowała niedoskonałości sylwetki, ale liczne pasemka na starannie ufryzowanych włosach świadczyły o tym, że kobieta jeszcze się nie poddała.

Z przedpokoju dobiegł zwielokrotniony oczekiwaniem odgłos dzwonka.

– Aśka, otwórz babci! Tylko sprawdź, kto idzie! – Celina starannie wygładziła sukienkę. Nie umiała pozbyć się odruchu małej dziewczynki będącej pod ciągłym ostrzałem surowego oka matki. Drażniło ją to.

Do pokoju weszła Natalia. Jej wiek nie usprawiedliwiał starczego wyglądu, jaki sobie zafundowała. Ciemny brąz włochoatego wełnianego swetra wypuszczonego na grubą spódnicę sprawiał, że jej twarz przypominająca obrane i zeschnięte jabłko wydawała się trupio blada. Nad zapadłymi policzkami wodniste oczy rozglądały się czujnie i wszechwiedząco. Natalia wniosła ze sobą aurę poczucia winy. Tak mógłby wyglądać Bóg, gdyby był kobietą.

– Babcia przyniosła grzyby w cieście. – Dziecięcy głos Joasi obniżył napięcie spotkania dwóch kobiet. – Włożyć na patelnię?

– Sama to zrobię. Dzień dobry, mamusiu. – Matka i córka przywitały się bezmyślnym pocałunkiem. – Dokończ rozkładanie sztucców. – Celina wydała polecenie Joasi, która ochoczo wzięła się do okładania talerzy srebrem.

Dziewczynka musiała pomyśleć o czymś przyjemnym, bo nagle jej buzię

zbyt pociągłą jak na dziecko rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Przyjdzie tatuś?! – Pytanie sprawiło, że Celina wróciła do pokoju jak wciągnięta na sprężynie.

– Kto ci takich głupot nagadał? – spytała, starając się nie patrzeć, jak zmarszczki Natalii układają się w mozaikę cynicznego uśmiechu.

– Są cztery nakrycia – odpowiedziała speszona dziewczynka. Wiedziała, że mama nie lubi rozmawiać o tacie, ale w odruchu nadziei nie pomyślała o tym.

– Dziecko, nie słyszałaś, że w Wigilię zawsze przygotowuje się jedno nakrycie więcej? Czego cię w tej szkole uczą?

– Ale dlaczego? – Pytanie zatrzymało Celinę w progu.

– Nie dla czego, tylko dla kogo – odpowiedziała pierwsza babcia. – Dla zbłąkanego wędrowca... Dla bezdomnego. A twój ojciec nie jest zbłąkany ani bezdomny. Ma nawet żonę i dwoje dzieci.

– Mamo, możemy o tym nie rozmawiać przy święcie? – Celina nie zdążyła zmienić kategorycznego tonu zarezerwowanego dla Joasi.

– Możemy. Tylko pamiętaj, że jak się będziemy oszukiwać dzisiaj, tak i potem przez cały rok.

Celina i Natalia zderzyły się spojrzeniami. Joasia odniosła wrażenie, że słyszy ten jazgot brzmiący jak tłuczone szkło.

Pamiętała tatę. Wysoki, uśmiechnięty. Nigdy na nią nie krzyczał. Mama często krzyczała na niego, na przykład kiedy pozwalał jej jeść lizaka przed obiadem. Joasia lubiła lizaki. Najbardziej truskawkowe, i tata o tym wiedział. Był bardzo mądry. Nawet babci umiał wytłumaczyć, że Joasia nie musi iść na imieniny do dziadka Janusza. Joasia nie lubiła dziadka Janusza. Jego skóra cuchnęła jak gąbka do mycia naczyń. Mama się upierała. „Są jego imieniny i nie wypada”. Ale tata wszystko załatwił i zamiast na imieniny poszła do ciotki Krystyny, z którą lepiała ciastka z foremek w kształcie zwierzaków. To był miły dzień. Potem już dziadek zmarł i nie trzeba było chodzić na imieniny. Babcia powiedziała, że Bóg tak chciał. Od pogrzebu nie uwolnił jej nawet tata. Babcia Natalia płakała tak bardzo, że o mało nie wpadła do grobu. Joasia pierwszy raz widziała wtedy grób. Głęboki, wilgotny dół. Czarnoruda gliniasta ziemia poprzetykana była wijącymi się robakami. W noc po pogrzebie źle spała. Śniło jej się, że została zamknięta w trumnie. Krzyczała, że przecież jest jeszcze mała i nie może umrzeć, ale nikt jej nie słuchał. Zsuwane z łopat ciężkie grudy głucho uderzały o wieko, jakby ktoś grał na wielkich bębnach. Joasia próbowała się wydostać ze wszystkich sił, ale nie

mogła wykonać najmniejszego ruchu. Zupełnie jakby trumna z drewnianego pudełka przemieniła się w szczelnie przylegający do ciała pokrowiec. Joasia pamięta ostatnią myśl ze snu: „Trumna mnie zjadła”. Mocne potrząśnięcie za ramię przywróciło ją do świadomości. Tata siedział przy niej i uspokajająco szeptał magiczne zaklęcie: „Otwórz oczy i popatrz. To się nie dzieje naprawdę. To tylko sen, córeczko, tylko sen, już dobrze”. Świeżo otwartymi oczami wpatrywała się w człowieka, którego nigdy nie kochała tak bardzo jak tamtej nocy, kiedy wyciągnął ją z trumny. Objęła go za szyję. Pachniał tatą...

– Bierz opłatek i siadamy do kolacji. Jakaś nieprzytomna dzisiaj jesteś. – Matka już miała się odwrócić, ale na wszelki wypadek wprawnym ruchem dłoni sprawdziła, czy Joasia nie ma gorączki. – Masz ciepłe czoło. Boli cię coś?

– Nie. To ty masz zimną rękę.

Celina pokręciła głową, ale dotknęła dłonią własnego czoła. Porównanie musiało wypaść zadowolająco, bo tylko wzruszyła ramionami i podeszła do stołu zastawionego tuzinem potraw, przy którym stała babcia – strażniczka tradycji.

Natalia z namaszczeniem łamała opłatek na trzy części. Joasia bardzo lubiła opłatek za to, że nie miał smaku. Nigdy go nie gryzła. Przyciskała językiem do podniebienia i czekała, aż całkowicie się rozpuści. Nie lubiła za to składania życzeń. Od rana, a czasami nawet już od poprzedniego dnia, starała się ułożyć formułkę, co komu ma życzyć, a potem tak się denerwowała, że wszystko jej się mieszało.

– Córeczko... – rozpoczynała zwykle życzenia babcia. Tak było i teraz. Patrzyła Celinie głęboko w oczy, jednocześnie drobnymi ruchami skubiąc jej kawałek opłatka.

Słowo „córeczko” na kilka sekund zawisło w powietrzu. W ten sposób Natalia sprawiała, że wszystko, co potem mówiła, zdawało się być ważne.

Celina nienawidziła Wigilii. Nienawidziła składania życzeń i ich przyjmowania. Czy jakiegokolwiek zasrane chciejstwo jej czy kogokolwiek, szczerze czy wydumane, kiedykolwiek się sprawdziło?! Pieprzone święta. Pieprzony wydatek. Cholerna fikcja.

– ...życzę ci przede wszystkim, żeby już za rok przy twoim stole stało pięć krzeseł.

– Nie jestem w ciąży.

Joasia odniosła wrażenie, że mama powiedziała to zbyt szybko. Jakby bez

namysłu. Sama często tak robiła. Na przykład poprzedniego dnia, kiedy mama skrzyczała ją za to, że przysłała w ubłoconych butach, powiedziała: „No i dobrze”. Awantura była okropna.

– Wiem, że nie jesteś w ciąży. Jesteś samotną kobietą, a dziwki nie wychowałam. – Ciął powietrze na plastry głos Natalii.

– Nie mów tak do mnie przy dziecku. – Odpowiedź tym razem była przemyślana. Miała trafić w czuły punkt.

– Nie ty będziesz mnie uczyła, co mam mówić, a czego nie. Zapomniałaś już, co ta mała mi zawdzięcza?

– Co niby? – Celina oparła ręce na biodrach.

Joasia usłyszała cichy trzask łamiącego się opłatka, którego okruchy spadły na podłogę.

– Od trzech lat zastępuję temu dziecku ojca!

„Nieprawda” – chciała krzyknąć Joasia, ale w porę zasłoniła buzię ręką. Babcia wcale nie była taka jak tata. Joasia się jej bała. Nawet wtedy, kiedy się do niej uśmiechała. Nawet kiedy dawała prezenty.

– Jesteś jej babką! Nie musisz nikogo zastępować. A już na pewno nie tego dziwkarza! – krzyknęła Celina.

– Może sama zacznij uważać na to, co mówisz przy dziecku. – Natalia pogardliwie wydeła usta otoczone szpilkami drobnych zmarszczek.

– To jest moje dziecko.

– Ale święto Boże.

Stały pochylone, jakby za chwilę miały zderzyć się głowami.

– Nie będę prac majtek obcemu chłopu. – Celina często powtarzała te słowa.

Joasia nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego zawsze mówiła o majtkach. Zupełnie jakby chłopcy nie brudziły niczego innego.

– Nigdy nie powiedziałam i nigdy nie poradzę ci, żebyś brała sobie obcego chłopca. Masz swojego. Tego, któremu przysięgałaś przed Bogiem. A on przysięgał tobie! – wycodziła Natalia.

– Wiesz, gdzie on miał swoją przysięgę? No wiesz?! – krzyczała mama.

Babcia mówiła spokojnie i Joasia ze zdumieniem stwierdziła, że słowa babci brzmią głośnie.

– Z tego to już on sam się będzie tłumaczył, jak przyjdzie jego czas. – Natalia machnęła w powietrzu kościstą ręką o zbyt długich palcach.

Oczy Celiny wypełniły łzy. Tak jak zawsze w takich przypadkach chwilę

później oczy Joasi zrobiły się błyszczące. Zupełnie jakby oczy matki i córki były naczyniami połączonymi. Celina cisnęła resztki opłatka na stół.

– Dzięki, mamó – wycedziła. – Postawiłaś na swoim. – Wyszła, trzaskając drzwiami.

– Mamó! – zawołała jak echo.

– Zostaw ją. Zaraz do nas wróci. – Natalia chciała pogłodzić dziecko po głowie, ale jej ręka zawisła w powietrzu. Joasi nie było już w pokoju.

Natalia westchnęła. Od sześćdziesięciu lat nie mogła ogarnąć ludzkiej głupoty.

Usiadła na krześle. Trzask stawów przypomniawszy o reumatyzmie coraz śmieiej poczynającym sobie w jej ciele. Po omacku sięgnęła do talerza. Trafiała na smażonego w cieście grzyba. Sztuczne zęby zatopiły się w miękkiej wilgotnej materii, a pokój wypełniło nieapetyczne mlaskanie.

„Mam dosyć tej starej kurwy!” Wszystkie inne myśli w głowie Celiny były pochodną tej jednej. Siedziała przy oknie, nie ciesząc się płatkami śniegu opadającymi na ziemię z ostrożną ciekawością pierwszego razu. Była odwrócona plecami do drzwi, ale poczuła, że nie jest już sama. Była tego pewna, tak samo jak tego, że do pokoju nie weszła Natalia.

– Mamuś... – Ciepła twarz dotknęła jej ramienia.

Nie odwracając głowy, przygarnęła Joasię.

– Wróć do stołu. Jest Wigilia – mówiła cichutko dziewczynka. – Przecież nie wypada. – Wiedziała, że to dobry argument.

– Masz rację, córeczko. – Celina wstała z krzesła. – Nie wypada.

Joasia uśmiechnęła się szeroko.

– Tylko pamiętaj, że masz kochać swoją babcię – zastrzegła Celina, podnosząc dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym. Uśmiech zbladł na twarzy dziecka jak stary fresk.

– Dobrze, mamó – odpowiedziała posłusznie.

Wróciły do salonu, zastając Natalię układającą prezenty pod jarmarcznie rozświetloną choinką. Świąteczne życzenia miały już za sobą.

– Gotowe – zarządziła Natalia, z chrzęstem prostując kręgosłup. – Możemy siadać do wieczerzy. – Nie wspomniała o nieprzyjemnej rozmowie. Nikt o tym nie mówił.

– A kiedy obejrzymy prezenty? – Joasia była dzieckiem i korzystała z tego przywileju.

– Jak zjemy. – Odpowiedź była oczywista, padała nieodmiennie co roku, ale

Joasia co roku była dzieckiem.

Kobiety jadły z namaszczeniem. Pilnowały się wzajemnie, bo zwyczaj nakazywał przynajmniej popróbować każdej potrawy. Joasia nie lubiła tego. Nie lubiła cuchnącego szlamem karpia. Uwielbiała za to zupę grzybową, którą jej wydzielano, żeby się nie przejadła i spróbowała też karpia. Była jeszcze zbyt mała, żeby zastanawiać się, dlaczego obyczaj jest ważniejszy od ludzkiej woli.

Posiłek przerywały komentarze dotyczące potraw. Celina i Natalia prześcigały się w komplementach: „Pyszna ta kapusta, chyba jeszcze nigdy takiej nie zrobiłaś”, „Wyszły ci wspaniałe pierogi, musisz mnie takich nauczyć”. Zdania padały w jednostajnych odstępach czasu. Matce i córce cisza zaczynała doskwierać w bardzo podobnym rytmie. Wreszcie Natalia nalała do szklanek kompotu z suszonych śliwek, a to oznaczało koniec obrzędowej części wieczerzy.

– Mogę iść siku? – Joasia wstała od stołu, bo była pewna, że tego nikt jej nie zabroni.

– Jak się mówi? – Ton matki znowu był karcący.

– Dziękuję – powiedziała szybko Joasia, zasuwając krzesło.

– Nie o to pytam. – Gdyby karcąca tonacja miała skalę, to w tej chwili wskazówka poszłaby o kilka kresek w górę.

Joasia patrzyła na matkę, gorączkowo próbując odgadnąć, co ta ma na myśli. Dzieci bardzo często muszą zastanawiać się, o co chodzi dorosłym. Myśli tłoczyły się chaotycznie niczym u gracza teleturnieju decydującego się na ostateczną odpowiedź za milion. Była mała, ale już zaczynała rozumieć, jak wielki może być ciężar milczącego czasu. Olśnienie.

– Czy mogę iść do toalety? – Nie miała wątpliwości, że zgadła.

– Oczywiście. – Matka uśmiechnęła się dumna z córki.

Joasia wybiegła do łazienki, starając się nie zgubić po drodze kawałka karpia ukrytego pod bluzką. Teraz jeszcze tylko operacja sedes i można rozpakowywać prezenty.

Pierwsza paczka wyciągnięta spod choinki była przeznaczona dla Natalii. Babcia rozplątała wstążkę i jej palce o zgrubiałych stawach odwinęły papier w bałwanki. Uśmiech zmienił usta w ciekłą czerwoną kreskę. W pudełku znajdowała się metalowa szkatułka z dwoma kluczykami na srebrnym łańcuszku.

– Jakie piękna – powiedziała.

Celina wiedziała, że jej matka wypowiedziałaby te słowa nawet wtedy, gdyby w paczce było psie gównno.

– Będiesz miała gdzie trzymać pieniądze – zaszcebiotała Joasia zadowolona, że pomysł prezentu, na jaki wpadły z mamą jeszcze w listopadzie, okazał się trafiony.

– A skąd ty wiesz, że babcia ma pieniądze? – Natalia przez chwilę zapomniała, że rozmawia z wnuczką, i obrzuciła ją nieufnym spojrzeniem.

– Sama mi opowiadałaś, że po dziadku – stropiła się Joasia.

– To prawda. Ja dbałam o męża i mąż zadbał o mnie. – Wolno odwróciła głowę w stronę Celiny. – Nawet po śmierci nie muszę się o nic martwić.

– Gdyby zostawił ci złotówkę za każdy raz, kiedy cię uderzył, byłabyś milionerką – wycedziła Celina.

– Milcz! – Drobnie bąbelki śliny pojawiły się w kącikach zaciśniętych ust. Nienawiść zwięzła je bardziej niż uśmiech. – Nie ty będziesz mnie oceniała.

– Jestem twoją córką i będę mówiła wszystko, co o tobie myślę.

Joasia właśnie zaczęła się zastanawiać, czy to prawo dotyczy również jej relacji z mamą, a jeżeli nie, to kiedy zacznie, ale Natalia wstała z miejsca, zrzucając talerz na podłogę.

– Nie potrafiłaś przytrzymać przy sobie chłopca. Pozwoliłaś, żeby poleciał jak pies za inną suką.

Joasia przeniosła wzrok na matkę, czekając na odpowiedź. Była jak widz oglądający grę w tenisa.

– Przynajmniej nigdy mnie nie uderzył – powiedziała cicho Celina.

– Może dlatego cię zostawił. Może tego potrzebował. I może teraz to ma.

Joasia nie skupiała się na sensie słów. Fascynowały ją twarze. Były takie inne niż te, które mama i babcia nosiły na co dzień. Zupełnie jakby założyły maski. Była jeszcze za mała, żeby wpaść na pomysł, że może właśnie teraz je zdjęły...

– Nigdy nie będę z nikim za taką cenę. Rozumiesz? – Celina dumnie podniosła głowę. Dobrze, że nie podłączono jej do wykrywacza kłamstw. Samotność ciążyła jej coraz dotkliwiej.

– Głupia jesteś.

– Ale to moja głupota.

Natalia patrzyła na córkę, a jej wzrok zaczął przez nią przenikać, jakby Celina stała się przezroczysta.

– Posłuchaj, co ci powiem, i zapamiętaj. – Znowu długa przerwa. – Chłop

jest jak wilk. Jak nazarty, to śpi. Jak głodny, to mu trzeba krwi.

Joasia wstrzymała oddech. Słowa babci z jednej strony ją przeraziły, a z drugiej zafascynowały.

– I wtedy jest spokojny czas. Ale przychodzi dzień, że go niesie. – Natalia wolno wypluwała słowa niczym przeżute kawałki mięsa. – Tam, gdzie żadna z nas nie ma wstępu. Tam, gdzie może być basiorem. Kobieta, która tego nie zrozumie, zdechnie w zimnym łóżku.

Joasia po raz kolejny przeniosła wzrok na Celinę. Tym razem zrobiła to w zwolnionym tempie, jakby obserwowała powtórkę wyjątkowego asa serwisowego.

– Twoje jest wygrzane? – wyszeptała Celina.

– Ja jestem wdową. A z ciebie bezańska suka. – Duma Natalii w niczym nie przypominała dumy Celiny. Była niewzruszona. Prawdziwa. Nieznośna.

„Chłop jest jak wilk...” – w świadomości Joasi to zdanie wycisnęło najgłębszą bruzdę. Dziewczynka leżała w łóżku i wpatrywała się w oswojoną ciemność, a w jej głowie słowa brzmiały echem bez pogłosu. Zmieniały barwę, ton, ale nigdy nie zmieniały sensu. W pewnym momencie nawet wydało jej się, że Albert, jej chomik, przemówił ludzkim głosem. Zawsze czekała, aż przemówi w Wigilię, a on nigdy tego nie robił. Zerknęła w stronę terrarium. Niepomny świątecznego nastroju Albert zawzięcie kręcił pionowym kółkiem, nie tracąc nadziei, że uda mu się na nie wspiąć. W przeciwieństwie do Syzyfa nie robił z tego problemu. Wydawał się nawet tym cieszyć.

Sen powoli kleił oczy dziecka. Czy jej tata też był jak wilk? To znaczy, że jego też poniosło...?

Myśli błąkały się coraz leniwiej. Powolnie przechodziła na drugą stronę granicy rzeczywistości.

– Nawet nie rozpakowałaś prezentu. – Celina krzątała się po małym pokoju, a dziewczynka ze zdumieniem zauważyła, że na dworze nie jest już ciemno. Było nawet całkiem jasno. Większa w tym zasługa pierwszego śniegu niż zimowego słońca, ale od dziś dzień będzie przecież już coraz dłuższy.

Joasia obserwowała uśmiechniętą mamę. Szukała śladów wczorajszych emocji. Na próżno. Wczoraj zostało wczoraj i już nigdy nie wróci. Celina położyła na pościeli niewielki pakunek.

– No bo wczoraj... – zaczęła Joasia, ale matka była na to przygotowana.

– Ja wiem, wczoraj byłaś zmęczona, ale dzisiaj już możesz zobaczyć, co dostałaś od Gwiazdki.

– Znaczy się od babci Natki – uśmiechnęła się dziewczynka, mrużąc porozumiewawczo oko. Jej uśmiech miał w sobie tyle uroku, że Celina nie mogła go nie odwzajemnić. Kiedyś tym uśmiechem jej córka będzie wabiła wilki. Całe watahy.

– Jaka śliczna! – Joasia cieszyła się naprawdę. Trzymała w rękach czerwoną czapkę z wielkim pomponem.

– Gwiazdka sama ją dla ciebie zrobiła. Wiesz, jak bardzo musiała się namęczyć?

– Wiem... Gwiazdka ma chore paluszki. – O reumatyzmie Joasia wiedziała tylko tyle, że dopadł babcię Natalię i że bardzo boli.

– Podoba ci się? – Cecylia zapomniała już, jak to jest być małą dziewczynką.

– Pewnie! – Joasia wyskoczyła z łóżka, parując w czapce. Rozglądała się za czymś, w czym mogła się przejrzeć. Najbliższą lustropodobną rzeczą w pokoju była szyba w szafce. Dziewczynka zbliżyła do niej głowę. Czapka zdominowała odbicie jaskrawą czerwienią.

Natalia sprawdziła, czy żaluzje w oknach dokładnie odgradzają ją od świata. Na stoliku stała metalowa skrzynka, którą dostała pod choinkę. Uważała prezent za bezczelną ostentację, jednak była zadowolona. Cichy zgrzyt metalu o metal i kluczyk wsunął się w zamek. Skrzynka nie była duża, ale większej nie potrzebowała. Janusz zarabiał dobrze, ale nie był milionerem. Wspomnienie męża namalowało na twarzy Natalii dziwny wyraz. To była twarz odkrywcy. Badacza, który poświęcił swoje życie, żeby odkryć nieznaną ląd. Ląd okazał się jałową ziemią, pozbawioną jakichkolwiek bogactw naturalnych.

Poznali się na podwórku. Chodziła wtedy do drugiej klasy szkoły zasadniczej i za rok miała dostać pracę w sklepie spożywczym. Lubiła przesiadywać na murku niedaleko placu zabaw. Dorastające dziewczęta zbierały się tam wieczorami. Plotkowały o tych, które akurat nie przyszły, pilnie zbierając informacje od tych, które przyszły. Najważniejszy był trzepak. Ustawiony przy śmietniku, oddalony był o jakieś dwadzieścia metrów od murku. Tam zbierali się chłopcy. Grali w siatkówkę, palili papierosy i pili piwo. Czasami spod trzepaka dochodził niewyraźny szmer rozmowy, przerywany głośnymi wybuchami śmiechu. Wszystkie wiedziały, że chłopcy

rozmawiają o nich. Drażniło je to. Na różne sposoby.

Janusz nie wyróżniał się niczym specjalnym. Podobnie jak Natalia. Byli zwyczajni i ta zwyczajność ich łączyła. Oboje wiedzieli, że w pewnym wieku ludzie łączą się w pary. On wybrał ją. A ona nie protestowała. Był dla niej męską częścią świata w pigułce. Jedna z jej koleżanek oddała się przystojnemu studentowi. I co z tego? Zostawił ją po pół roku regularnego pieprzenia. Nie chciała tak. Wiedziała, że jak już się zdecyduje, to raz na zawsze. Nie lubiła zmian. Po co jej piękny chłopak? Zazdrosne spojrzenia innych dziewczyn szybko by ją znudziły. Zresztą niektóre pewnie nie poprzestałyby na spojrzeniach. Nie chciała zmian. Chciała wiedzieć, na czym stoi. Chciała wiedzieć, co ma w szufladach. Kiedy już się nią zainteresował, wiedziała, co zrobić, żeby podtrzymać zainteresowanie. W końcu każda to wie. Janusz skończył szkołę budowlaną i zaczął pracować, a zatem był samcem, który nie wracał z polowania z pustymi rękami. A ona była samicą, która chciała mu uwić gniazdo.

Pobrali się po roku bliższej znajomości. W czasie wzajemnego poznawania Janusz nie wydał jej się ani gorszy, ani lepszy niż na początku. Wzięła to za dobrą monetę. Półtora roku po ślubie urodziła się Celina. Natalia była dumna. Z pogardą patrzyła na koleżanki, które szły do ołtarza z brzuchami. Sypiała z Januszem na długo przed ślubem, ale miała swoje zasady.

Córkę wychowywała praktycznie sama, bo Janusz załatwił sobie zagraniczny kontrakt. Pojechał budować na Węgrzech, potem do Bułgarii, a kiedy Celina skończyła dwa latka, dostał propozycję pracy w Iraku.

Pamiętała dzień, kiedy jej o tym powiedział. Przygotowywała kolację. Stała przy kuchence gazowej i przez otwarte drzwi zerkała na bawiącą się w pokoju na dywanie Celinę. Dziewczynka lubiła układać klocki. A Janusz lubił gulasz. Nauczył się go jeść na Węgrzech. Dochodziła ósma, a jego nie było. Był w kraju od dwóch tygodni i notorycznie się spóźniał, co ją lekko niepokoiło, bo wcześniej był raczej punktualny. Koleżanki zazdrościły jej tej cechy męża. Ich okazy nie były pod tym względem tak udane. Janusz miał swoje wady, ale który ich nie miał? Najważniejsze, że nie latał za innymi.

Kontrolka w głowie Natalii po raz pierwszy rozbłysła rok wcześniej, kiedy na imieninach u znajomych mąż wypił znacznie więcej niż zwykle. Zarzygał jej całą łazienkę, a kiedy chciała mu pomóc położyć się do łóżka, odepchnął ją i zamknął drzwi na klucz.

Tego wieczoru wrócił wpół do dziewiątej, kiedy była rozerwana między

kapaniem dziecka a pilnowaniem, żeby mięso się nie przypaliło. Poznała, że jest pijany. Udzieliła mu reprimendy. Nie ostrej. Dokładnie wyważyła proporcje między pretensją a żalem. Janusz nie wazył słów. Nazwał ją głupią kurwą. Między innymi. Ale nie to zabolalo ją najbardziej.

„Jak ci się mąż nie podoba, to mąż może wypierdalać z twojego domu!” Malutka Celina zaczęła płakać. Nie była przyzwyczajona do obecności ojca, a tym bardziej do ojca krzyczącego na matkę. Natalia próbowała łagodzić. „Nie powiedziałam, że mi się nie podoba, tylko gulasz...” – w tym momencie poczuła ostre pieczenie na twarzy. Zaraz potem w ustach rozlał się smak krwi. Niektórzy próbują go porównywać, zupełnie tak jak się określa smaki wina, ale dla Natalii nic nie smakuje tak jak krew. „To zamknij mordę!” Tamtego wieczora uderzył ją jeszcze kilkakrotnie. Potem, kiedy próbowała go przeprosić, zerznął ją i zakomunikował, że za miesiąc wyjeżdża do Iraku.

Potem spał. Chrapał głośno przez całą noc. Natalia nie mogła zasnąć nie dlatego, że chrapał. Robiła plany. W Iraku będzie pracował za dewizy. Może uda im się zmienić mieszkanie. Zapomniała o rozbitej twarzy. W końcu w życiu wszystko ma swoją cenę.

W pawlaczu w przedpokoju trzymała pościel. Stojąc na taborecie, spomiędzy prześcieradeł, poszew, ręczników wyciągała poupychane banknoty. Janusz nie pozwalał założyć konta w banku. „Żaden skurwiol nie będzie dotykał moich pieniędzy” – mówił, a ona przyjęła tę zasadę.

Śmierć zastała go jako właściciela siedmiu i pół tysiąca dolarów. Szła do niego długo, dopóki wątroba całkiem nie zgniła. Wtedy Janusz zostawił Natalię na zawsze. Dopiero wtedy. I nigdy wcześniej. Nigdy by mu na to nie pozwoliła. Starannie układała pieniądze w stalowej skrzynce. Szara zieleń papieru pasowała do srebrnego metalu. Ostatnie spojrzenie. Uśmiech. Wieko zapada. Zgrzyt kluczyka w zamku. Jeszcze tylko musi wymyślić, gdzie to schować. To ważne, ale... „Żebym miała tylko takie problemy” – pomyślała.

*

– Iza... – Dziewczęcy głos zburzył starannie budowaną i rygorystycznie przestrzeganą ciszę nocną.

– Co? – odpowiedział równie dziewczęcy głos, tyle że zaspany.

– Jaki jest twój brat?

Długa chwila namysłu. Iza wyrwana z głębokiego snu usiłowała

umieścić się w czasoprzestrzeni, w jakiej się znalazła.

– Zwariowałaś?! – Wreszcie strząsnęła z siebie opary sennych marzeń. – Co ty odwalasz w środku nocy?!

– Obudzisz siostrę przełożoną – przestrzegła koleżankę Joasia.

Od trzech miesięcy mieszkały w internacie gimnazjalnym nazaretanek. Joasia co tydzień odliczała dni, a potem godziny do piątku, kiedy po zajęciach będzie mogła wrócić do domu na weekend.

– Jasne, bo to, że mnie obudziłaś, to już masz w dupie.

Joasia lubiła Izę. Lubiła jej ataki złości. Lubiła to, że używa brzydkich słów. Sama chciałaby taka być. Gdyby umiała.

– Nie wiedziałam, że śpisz. Przepraszam. To jaki on jest? – wróciła do tematu.

– Normalny. Jak każdy piętnastolatek. – Iza powoli godziła się z tym, że rano pójdzie na zajęcia niewyspana.

– Ja nie wiem, jaki jest normalny piętnastolatek.

Matka posyłała Joasię wyłącznie do żeńskich szkół.

– Taki sam jak dziesięcioletek, tylko ma większego. I myśli tylko o gołych babach. – Ostatnie słowo na skutek potężnego ziewnięcia rozszerzyło się w przeciągłe „baaabaaach”.

– Przestań. – Zdarzało się, że Iza nie znała umiaru i to, co na początku mile łaskotało uszy Joasi, po pewnym czasie zgrzytało jak paznokiec po tablicy. – Ja pytam poważnie.

– A ja ci poważnie odpowiadam. – Głos Izy zdradzał śmiertelną powagę, przez co był na jej granicy.

– To niemożliwe.

– No to jak wiesz lepiej, to po cholerę mnie budzisz? – Iza rozumowała zdroworoządkowo. Miała dobre stopnie z przedmiotów ścisłych.

W ciemności ponownie zapadła cisza. Kiedy wydawało się, że nocny dialog dobiegł końca, niespodziewanie odezwała się Iza.

– Kiedyś był fajny. Lubiłam go. Bronił mnie. Teraz się mnie wstydzi. Wiesz, że jego koleżka kiedyś mnie podejrzwał w kiblu? Dostał po ryju, ale co zobaczył, to jego, nie?

– Niby tak... – mruknęła Joasia, błędząc myślami daleko stąd.

– Nie niby, tylko tak. Oni wszyscy tacy są.

– Mój tata był inny.

– Był?

– Wyjechał na drugi koniec świata.

– Dlaczego nigdy nie chcesz o nim gadać? – zainteresowanie Izy było natarczywe.

– Bo go kocham.

Odruchowa odpowiedź spotkała się z odruchową reakcją. Iza parsknęła. Leżała na wznak i rozpylone drobinki śliny, wolno opadając, zrosiły jej twarz.

– A co ma piernik do wiatraka?

– Mama nie mówi o nim dobrze.

– A dlaczego wyjechał? – Iza nie żałowała już, że została obudzona.

Jej współlokatorka była dziwna. Jakby z innej planety. Niby w porządku, ale wyciągnąć ją na zwierzenia graniczyło z cudem. Na początku jej nie lubiła, ale potem Joasia pomogła jej na dyktandzie i jakoś poszło. Teraz pojawiła się szansa dowiedzenia się o niej czegoś więcej. Czegoś w ogóle...

– Odszedł, gdy miałam pięć lat. – W głosie Joasi nie było żalu. Zwykła informacja.

– I ty się dziwisz, że matka źle o nim mówi? Ciekawe, dlaczego odszedł, niech no zgadnę... – zawiesiła głos Iza, udając, że się zastanawia. – Pewno znalazł sobie inną. Zgadłam?

– Tak, ale... – Joasia umilkła. Nic nie przychodziło jej do głowy. Znała argumenty, które za chwilę przytoczy jej Iza. Znała je bardzo dobrze.

– Wszyscy są jednakowo beznadziejni. Dlatego ożenię się dla pieniędzy. – Banalne zdanie było niebanalne w ustach trzynastolatki.

– Mówił, że mnie kocha... – Przed oczami Joasi pojawiła się scena sprzed lat.

Bliźniacza ciemność. Jej strach i ciepły uścisk silnych ramion. To one odepchnęły koszmar. Uratował ją. Pamiętała tylko mocny uścisk i zapach. Tak bardzo inny...

– To szkoda, że z tej miłości cię zostawił. – Iza nie miała pojęcia o tamtej nocy. Tamtym śnie. O jej ojcu.

– Mama zabroniła mu się ze mną spotykać. W sądzie. – Joasia nie pamiętała ostatniej rozmowy z tatą. Nie miała wtedy pojęcia, że to będzie ich ostatnia rozmowa. On też nie. Być może gdyby wiedzieli, rozmawialiby o czymś innym. Kto wie, o czym rozmawialiby ze sobą ludzie, gdyby wiedzieli, że robią to po raz ostatni.

– A jaki jest twój tata? – Joasia zapragnęła dowiedzieć się czegoś dobrego.

– Mój tata nie żyje. Zabił się. Śpij, bo nie wstaniesz na poranny Anioł

Pański. – Po tych słowach zapadła cisza i Joasia wiedziała, że nie wolno jej już przerywać.

Otworzyła zeszyt. W piątkowe popołudnie nawet rozwiązywanie zadań z matematyki nie było takie straszne. Czekają ją trzy noce w domu. W pokoju, w którym mieszkały wspomnienia. Były tak wyraźne, że nie trzeba było się starać, żeby je przywołać. Joasia przepadała za wspomnieniami. Oczywiście tymi miłymi. Czas powiększał miłe wspomnienia kosztem tych złych. Ale złe nigdy nie znikają całkiem. Zapadały się tylko głęboko pod powierzchnię pamięci.

„Odrób lekcje zaraz po szkole, to będziesz miała spokój”. Mama miała rację. Joasia zawsze odrabiała prace domowe jeszcze w piątek. Potem czytała książki, czasami rysowała. Trochę się zmartwiła, że mama wyszła i zapowiedziała, że nie wie, kiedy wróci, ale dzięki temu może uda się obejrzeć w telewizji jakiś film, którego z mamą nie mogłaby oglądać. Mama bardzo zwracała uwagę, żeby Joasia nie oglądała filmów, w których ludzie się całują. „Jesteś na to jeszcze za mała” – twierdziła, a Joasia się z tym nie zgadzała. Iza mówiła, że kolega jej brata kiedyś ją pocałował. „Prawie tak jak na filmie”. Joasia nie wiedziała, na czym polega „prawie jak na filmie”, ale wstydziła się zapytać. Kiedyś by zapytała. Dawniej każdy zakaz matka musiała jej długo uzasadniać, bo Joasia musiała wiedzieć, dlaczego czegoś nie może, a inne rzeczy musi. Nawet za cenę awantury. Teraz też lubiła wiedzieć dlaczego. Ale wolała dowiadywać się sama. W spokoju.

– Zostaniesz na noc? – zapytał młody mężczyzna, odsuwając się od Celiny. Pot błyszczał na jego gładkiej skórze pozbawionej owłosienia.

– Nie wiem. – Celina przykryła nagie piersi kołdrą, wywołując u niego uśmiech. Lubiła, gdy przyglądał się jej, kiedy była naga, ale nie potrafiła ukryć wstydu. Wstydziłaby się nawet wtedy, gdyby jej piersi były ładniejsze. Takie jak kiedyś.

– To kto ma wiedzieć? – Zsunął materiał z jednej piersi i przypatrywał się jej, przekrzywiając głowę.

Celina uśmiechnęła się trochę nerwowo. Nie poprawiła kołdry.

– Dzisiaj piątek. Mała jest sama – powiedziała, ale nie był to zdecydowany sprzeciw.

– Mała wcale nie jest taka mała. Zrozum to wreszcie. – Nie naciskał mocno.

W sumie to jej powinno bardziej zależeć. To ona go wypatrzyła. Pierwszy raz spotkali się, kiedy robiła w sklepie inspekcję BHP. Pamiętał, jakim spojrzeniem obrzuciła go, kiedy wyjechał z magazynu swoim wózkiem widłowym. Zupełnie jakby to był jakiś pieprzony mercedes.

Był przystojnym trzydziestolatkiem i wiedział, kiedy kobieta się nim interesuje. Ta, mimo wieku, była niezwykle nieśmiała. Pewnie to go zachęciło. Nieśmiała, w dodatku niebrzydka czterdziestolatka, była przyjemną odmianą.

Spotykali się od miesiąca i na razie się nie nudził. Seks nie był już tak ostrożnie nieporadny, a nie wszedł jeszcze w fazę rutyny.

– Nie znasz jej – protestowała, a jej opór topniał.

– W takim razie poznaj mnie z nią – powiedział lekko, chociaż wcale nie był zainteresowany znajomością z trzynastoletnią panienką z katolickiej szkoły.

Celina chciała zostać. Tak długo była sama, a ten facet patrzył na nią tak łapczywie. A przecież mógł mieć każdą. Pewnie miał rację. Joasia sobie poradzi. W końcu na co dzień sobie radzi. „Tyle że w internacie nie mieszka sama” – dobrze znany głos rozsądku wystąpił przeciwko instynktowi.

– Zadzwoń do niej – zdecydowała.

– Ty tu rządysz. – Uśmiechnął się, pocałował ją w plecy i bez najmniejszego skrępowania wstał z łóżka.

Celina była gotowa przysiąc, że stanie przed nią nago sprawiało mu przyjemność.

– Kawy? – rzucił przez ramię.

– Poproszę – odwzajemniła uśmiech i przytrzymując kołdrę jedną ręką, sięgnęła po telefon. Nie umiała się powstrzymać, żeby nie zerknąć na pośladki wychodzącego z sypialni mężczyzny.

„A jednak zostanę sama”. Radość mierzyła się z lękiem. Joasia odrobiła lekcje w niecałe dwie godziny i już zaczynała się martwić, ale wtedy mama zadzwoniła, żeby powiedzieć jej, a właściwie ją zapytać, czy nie boi się zostać w nocy sama. Joasia dawno nie słyszała u mamy tak serdecznego tonu. Zdziwiła się, że mama nie wróci na noc, bo Celina nie lubiła wychodzić z domu. Pod tym względem były do siebie podobne. „Jedna znajoma zaprosiła mnie na przyjęcie. Ma dom za miastem. Nie będę miała jak wrócić”. „Nie będę się bała, mamusiu” – przyzwoliła Joasia, czerpiąc nieznaną satysfakcję z możliwości decydowania o kimś. Potem mama długo pytała, co w szkole, jak lekcje i na końcu obiecała, że w niedzielę pójdą do kina.

Robiło się ciemno, a wraz z rozpuszczającym się w mroku światłem rozpływała się pewność Joasi. Poczwała, że musi oddychać częściej. Poczwała, że ma żołądek, i mogła pokazać, w którym miejscu. Zapaliła wszystkie światła i włączyła telewizor. Spokój, z jakim ładna spikerka opowiadała o pogodzie, był kojący. Wszystko było takie normalne. Tak jak zwykle. „Dam sobie radę” – pomyślała. Uśmiechnęła się nawet, wyobrażając sobie minę Izki, gdyby ta dowiedziała się o jej problemach. „Co tam mina, najciekawsze byłoby to, co by powiedziała”. Joasia uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Będzie spać w dużym pokoju. Zostawi włączony telewizor. Podbudowana własną inicjatywą, znów zaczęła oddychać bez świadomości, że to robi. Żołądek uspokoił się na tyle, że zapragnęła zjeść kolację. Mama zostawiła dla niej sałatkę z tuńczykiem i papryką. Joasia ją uwielbiała. Już zawsze będzie jej się kojarzyć z piątkowym wieczorem podczas powrotu do domu na weekend, z dzieciństwem. A wspomnienia, w zależności od nastroju, przywołają uśmiech lub rozpylą przed oczami mgłę.

*

– Powiedz mi, Wolfgang, czy ja mam się denerwować?

Matka weszła do jego pokoju zupełnie bezszelestnie, a chłopiec drgnął, jakby został przyłapany na robieniu czegoś, czego robić nie powinien. A on nie robił niczego złego. Siedział sobie z nosem przy szybie i najzwyczajniej w świecie obserwował. Lubił widzieć, sam będąc niewidocznym. Przed chwilą wypatrzył kobietę, która idąc po chodniku, rozejrzała się dookoła, po czym poprawiła sobie majtki, które ją uwierały.

– Czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię? – Matka uwielbiała zadawać mu pytania. Najbardziej te, na które odpowiedzi znała lepiej od niego.

– Słyszę – powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

– Nie o to pytałam.

Nie zdążył zaprotestować. Matka była nauczycielką, potrafiła mówić szybko i płynnie. Nie odziedziczył po niej tej zdolności. Nie lubił mówić. Lubił patrzeć.

– To znaczy o to też, ale moje drugie pytanie wynikało z braku odpowiedzi na pierwsze, mój drogi. Więc skup się teraz, proszę, i odpowiedz mi, czy mam się denerwować?

„Po co się pytasz, jak i tak się denerwujesz. I będziesz się denerwować bez

względu na to, co ci powiem” – pomyślał Wolfgang i odpowiedział:

– Nie. Nie powinnaś się denerwować. Wszystko jest w porządku. – Nawet teraz nie spuszczał z niej spojrzenia. Matka ucieła wzrokiem. Dawno zauważył, że wszyscy uciekają. Jedni wcześniej, niemal natychmiast, jakby parzył ich jakiś niewidoczny promień, inni później, ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby to on pierwszy odwrócił wzrok. Wiedział, że mężczyźni go za to nie lubią. Oni tego nie wiedzieli.

– Dziecko, myślisz, że liceum to jest to samo co gimnazjum?

Nieraz wydawało mu się, że matka zatraciła zdolność wypowiedzania zdań oznajmujących.

– Nie. Najpierw jest gimnazjum, a dopiero później liceum – odparł, zgodnie ze swoją wiedzą.

– Ja cię proszę, tylko nie bądź bezczelny, dobrze?

– Dobrze.

– Pamiętasz, co mówiłeś przed ostatnią wywiadówką? To znaczy w tej chwili już przedostatnią – wtrąciła, zerkając na zegarek.

– Pamiętam.

– I co?

Wolfgang nie miał pojęcia, na jaką odpowiedź liczyła. Jaka odpowiedź byłaby dla niej zadowolająca? Za jakie słowa otrzymałby ocenę celującą? Nie wiedział, więc zamiast odpowiedzieć, wzruszył tylko ramionami.

– To ja ci przypomnę. Powiedziałeś, cytuję: „Nie powinnaś się denerwować. Wszystko jest w porządku”. Tak było?

Zgrzyt klucza w drzwiach uwolnił go od odpowiedzi.

– No właśnie. Zaraz się przekonamy, na ile można ci ufać.

Matka wyszła z jego pokoju. To było jego terytorium, które naruszała zbyt często. Zdawało mu się, że na swoich rzeczach widzi ślady jej rąk. Na podłodze wały się ślady jej stóp. Jakby świeciły fluorescencyjnym blaskiem. Były dla niego jak tropy na śniegu.

Słyszał, jak rodzice wdzięczą się do siebie w przedpokoju. To była ich forma wzajemnej relacji. Wieczne zrozumienie. Nawet gdyby rozmawiali w różnych narzeczach, i tak zgodnie potakiwaliby głowami. Wolfgang zastrzygł uszami. Odgłosy wdzięczenia przycichły, zmieniając się w porozumiewawcze nieregularne szepty, po czym zapadła cisza. Chłopiec wstał z krzesła ustawionego przy parapecie. Sekundę później do pokoju wsunęła się głowa ojca. Oczy zniekształcone grubymi soczewkami okularów

napotkały wyczekujący wzrok syna.

– Wolf. Pozwól do nas.

Głowa ojca zniknęła. Szpara w drzwiach została. Wolfgang wyszedł ze swojego pokoju. Zapuszczał się na obce terytorium.

Stał na środku salonu, który matka w porozumieniu z ojcem urządziła długo i bezkonfliktowo. Ojciec godził się na każdy pomysł z uśmiechem, który wykwiłał mu na twarzy na dźwięk jej głosu, zupełnie jakby jej struny głosowe były sprzężone z mięśniami jego warg.

Rodzice patrzyli na niego ze smutkiem. Wolfgang nie opuszczał głowy, chociaż wiedział, że są niezadowoleni i czeka go reprimenda. Z regularnością zegarowego wahadła zderzał się ze wzrokiem ojca, a następnie matki.

– Obiecałeś mi. Obiecałeś?

Obstawiając w zakładach, że matka odda głos ojcu, nie można było wygrać ani grosza.

– Co się stało? – Wolfgang zwrócił się do ojca, ponieważ on był posłańcem złych nowin.

– Ty się jeszcze pytasz? Kto chodzi do szkoły? Tata? – odpowiedziała za niego matka, zadając jednocześnie trzy pytania.

– Spokojnie, kochanie. – Teraz ojciec zacznie ją uspokajać. – Rozumiem, że się denerwujesz, ale naprawdę szkoda twojego zdrowia.

– Masz rację – zgodziła się matka i wyciągnęła rękę w stronę męża.

Ojciec musiał wyprostować swoją, żeby dosięgnąć jej dłoni i uścisnąć serdecznie. Przez chwilę chłopiec miał wizję, że gdyby wskoczył na ich połączone i wyprostowane ręce, byłaby szansa, że jednocześnie złamie łokcie obojgu. Wolfgang potrafił być szybki. Z wychowania fizycznego miał piątkę. Mógłby mieć szóstkę, gdyby chciał uczestniczyć w zawodach.

– Zacznijmy od początku. Dlaczego odmówiłeś panu od wufu reprezentowania szkoły na zawodach lekkoatletycznych? – Ojciec zdążył puścić dłoń matki i teraz rozprostowywał na blacie stołu kartkę z ocenami. Przy okazji zmienił okulary na „te-do-czytania”.

– Nie lubię zawodów – odpowiedział zgodnie z prawdą Wolfgang, denerwując się, że nie będzie umiał tego uzasadnić.

– A możesz mi wytłumaczyć dlaczego? – Ojciec zwykle wrzucał temat, który matka drażyła. Z precyzją i delikatnością górniczego świdra.

– Nie – poddał się bez walki Wolfgang.

– Nie bądź bezczelny, dobrze?! – Ojciec zmieniłby kolor jak kameleon, gdyby ściana, przy której siedział, była purpurowa.

Matka wolała jednak bardziej stonowane kolory. Wolfgang wiele razy zastanawiał się, czy gdyby nie przestawał być bezczelny, tak jak mu kazano, doprowadziłby do tego, że krew pociekłaby ojcu z uszu. A może z nosa...? Ale starał się przestawać być bezczelny.

Potem było już normalnie.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbyś odmówić jakimukolwiek nauczycielowi. Czy uważasz, że któryś z nich chce dla ciebie źle?

– Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego opuściłeś się z historii? Wiem, że z ostatniej klasówki dostałeś piątkę, ale pamiętam też czasy, kiedy dostawałeś szóstkę.

– Poprawiłeś chemię i bardzo mnie to cieszy. Nie rozumiem za to, dlaczego w ogóle doprowadziłeś do sytuacji, w której musiałeś się poprawiać.

Wolfgang wyłączył się szybko. Udawał, że słucha i potakiwał bądź zaprzeczał, w zależności od tego, czego od niego oczekiwano. Wszystko było wypisane na twarzach. Tak wiele można było z nich wyczytać. Nie rozumiał, dlaczego matka nie wie, że ojciec zwykle w ogóle jej nie słucha. A może wiedziała? Ona słuchała go wybiórczo. Interesowała ją tylko część rzeczy, które do niej mówił. Była jak sito odcedzające ziarno od plew. Może wszystkie kobiety takie są?

Kiedyś rozmawiał z koleżanką o klasówce z matematyki. Pytała go o to, jak rozwiązał zadanie z rachunku prawdopodobieństwa, a on czuł, że cała jej uwaga skupiona jest na jego dłoniach. Wolfgang miał bardzo ładne dłonie. Nauczycielka muzyki namawiała go, żeby zaczął grać na pianinie albo chociaż na gitarze.

– Tyle że wtedy musiałbyś wreszcie zadbać o paznokcie. Jak można nosić takie pazurzyska? – kończyła bardziej rozbawiona niż oburzona. Lubiła go. Nie tylko dlatego, że był dobrym uczniem.

Wolfgang był młody, ale spostrzegawczy i dostrzegał ciekawskie spojrzenia, jakimi obrzucały go dziewczęta. Nie miał pojęcia dlaczego tak było. Nigdy nie starał się żadnej przypodobać. Jego koledzy robili różne rzeczy za zgodę umówienia się na spotkanie. Jeden z nich nawet zjadł dwadzieścia pączków. Wybrana dziewczyna zgodnie z obietnicą przysłała na randkę niczym dwudziesty pierwszy pączek, niestety kolega nie dotarł. Porzygał się i skończyło się płukaniem żołądka.

Dziewczyny podobały się Wolfgangowi. Lubił na nie patrzeć. Nie lubił ich słuchać. Mówiły bardzo dużo i miał wrażenie, że nawet one nie są zainteresowane tym, co mówią.

Chciałby, żeby się zamknęły. Wtedy patrzyłby sobie na nie. Dotykał...

– ...Dlatego na najbliższe dwa tygodnie możesz zapomnieć o spacerach po lesie. – Wyrok wyrwał go z zamyślenia. Twarz chłopca nie zmieniła się ani trochę. Nikt nie wiedział, że przed chwilą w głęboko zamaskowanych zakamarkach swoich marzeń dotykał piersi ciotki Grażyny. Młodsza siostra matki śniła mu się coraz częściej. I coraz rzadziej w tych snach nosiła ubranie.

– Zgadzasz się ze mną, skarbie? – Rodzice uważali, że dziecko można wychować tylko za całkowitym porozumieniem stron.

– Moim zdaniem powinien dostać surowszą karę, ale niech będzie. Może to go nauczy, że chcemy tylko jego dobra.

Wolfgang nie był w stanie powiedzieć słowa. Kochał podmiejski las. Była to jedyna rzecz, którą mógł obdarzyć tym uczuciem.

– Nie! – krzyknął, a półki obstawione wydumanymi bibelotami z Dalekiego Wschodu (matka urządziła salon właśnie w tym stylu) odbiły dźwięk.

– Przykro mi. Decyzja jest nieodwołalna. Postaraj się przyjąć ją jak prawdziwy mężczyzna. – Ojciec poklepał go po ramieniu.

Dwa tygodnie. A on nie dalej jak przedwczoraj wypatrzył parę kosów wijących gniazdo w gałęziach starego wiązu. Za dwa tygodnie pewnie będą miały już młode. Jeżeli będą miały. Tej wiosny po lasu kręciło się sporo łasic. Wolfgang martwił się, że wytropią gniazdo, w którym samica złoży jaja. A może nie wytropią...? Może dopiero głupie, hałaśliwe pisklęta zwrócą na siebie uwagę drapieżników? Chłopiec był rozdarty. Z jednej strony obserwował parę kosów od miesiąca i czuł do nich sympatię. Z drugiej jeszcze nigdy nie widział prawdziwego polowania. To musiało być coś niesamowitego. Tak jak egzamin gimnazjalny, tyle że stawka większa.

Dwa tygodnie... Łzy cisnęły mu się do oczu. Ze wszystkich sił starał się je powstrzymać, żeby nie dać im satysfakcji. Użył starego, wypróbowanego sposobu. Zmienił żal w nienawiść.

Wszedł do swojego pokoju z silnym postanowieniem zapomnienia o rozmowie. Czuł, że cuchnie, jakby słowa wypowiedziane w salonie nasączyły jego ubranie zgnilizną. Świat zachwiał się w posadach. Czy dwa tygodnie życia bez sensu można jeszcze nazwać życiem? Wyrok zostanie

wykonany z zegarmistrzowską precyzją, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Ojciec, jadąc do zakładu energetycznego, będzie odwoził go do szkoły, a z powrotem chłopak wróci z matką, która z uśmiechem powita go na szkolnym parkingu. Zrobiło mu się jakoś duszno. Bezwiedne dłonie zacisnęły się w pięści. Jeżeli nie przestanie myśleć o krzywdzie, stanie się coś złego...

Kiedy zorientował się, że nie pokona instynktu agresji, podjął ostatnią rozpaczliwą próbę obrony. Obudził inny instynkt.

Wolfgang sięgnął ręką pod łóżko. Szeroko rozstawionymi palcami cesał zakurzoną podłogę. Coraz bardziej nerwowo. Jego dłoń rzeczywiście przypominała teraz dłoń pianisty grającego skomplikowane akordy.

Przeżony wsunął głowę pod łóżko. Znajomy zapach roztoczy podrażnił nozdrza. Źrenice błyskawicznie zareagowały na ciemność. Podłoga była pusta. Ślady na kurzu były beładnymi plamami zostawionymi przez jego poszukującą rękę. Chociaż... Po drugiej stronie widać było regularny prostokąt odsłaniający prawdziwy kolor drewnianych paneli podłogowych. Tam trop był wyraźny. Oczami wyobraźni widział rękę matki wysuwającą pismo spod łóżka. Wściekłość rozpała wnętrzności i zjeżyła włosy na karku. Nawet nie wiedział, że szczyrzy zęby. Kiedy był mały, zgrzytał podczas snu. Ojciec śmiał się z niego, że ściera zęby tak jak królik. Określenie to bardzo zirytowało małego chłopca. „Nie jestem królikiem!” – wrzasnął.

Zabrała mu jego tajemnicę. „Niemożliwe” – próbował powstrzymać falę gryzącego wstydu napełniającego twarz purpurą. „Przecież powiedziałyby coś. Zawsze komentowała takie rzeczy. Wszystko komentowała”. Trochę się uspokoił. Na krótko. Głos zabrał rozsądek w wersji cynicznej. „Jakie rzeczy? Jak mogła skomentować TAKIE rzeczy, skoro nigdy wcześniej nie znalazła pod łóżkiem gazety pornograficznej?” W głowie Wolfganga rozbrzmiał złośliwy chichot. Jego własny. Kpił z siebie i ze swoich nadziei. „A może to ojciec?” – wystosowała kolejny argument obrona. A jeżeli tak, jeśli to ojciec, to lepiej czy gorzej?” Lepiej. Pod warunkiem, że nie powie o tym matce. Nie powie. Tak naprawdę nie umiał z nią rozmawiać o prawdziwych problemach. Nie miała pojęcia, że od jakiegoś czasu w jego moczu pojawiła się krew. Wolfgang podsłuchiwał rozmowę telefoniczną. Ojciec przeprowadził ją, kiedy matka była na zebraniu rady pedagogicznej, a to, czego się dowiedział, musiało być przykre, bo po rozmowie nalał sobie drinka. Potem jeszcze jednego i jeszcze... Wolfgang w napięciu oczekiwał powrotu matki. Chciał wiedzieć więcej, a czuł, że nie może zapytać. Tymczasem po jej powrocie

rodzice rozmawiali chwilę o szkole, potem matka mimochodem zauważyła, że mąż wypił trochę za dużo. Ojciec przyznał jej całkowitą rację i na tym się skończyło.

Lepiej, żeby to był ojciec. „Tylko dlaczego nie próbował przeprowadzić ze mną męskiej rozmowy?” Odpowiedź była prosta. Z tego samego powodu, dla którego nic nie powiedział matce. Ojciec umiał wygłaszać banały, które wcześniej przygotował lub został o to poproszony przez matkę. Kim był człowiek, którego Wolfgang widywał, odkąd zaczął widzieć? Inżynierem.

Jak ma się dowiedzieć, które z nich ukradło jego własność? Pogwałciło jego terytorium. Zgwałciło jego samego.

Bezszelestnie wymknął się z pokoju. Dom zerkał na niego spod współprzymkniętych powiek. Nadchodziła noc. Salon tonął w ciemnościach, ale Wolfgang nie potrzebował światła, żeby przeszukać wszystkie zakamarki. W pokoju nie było nikogo. Nie było tam również pisma. Dobrze czy źle? Gdyby gazeta była w salonie, po prostu by ją odzyskał. Ale w dalszym ciągu nie wiedziałby, kto mu ją ukradł. Zatem nie wiedziałby, kto zna jego sekret. Nie wiedziałby, kogo się bać. Umysł potrafi wykonywać różne kombinacje, żeby odsunąć od siebie prawdę, jeżeli ta jest niewygodna. Pod tym względem Wolfgang niczym się nie wyróżniał.

Wyszedł z salonu. Pozbawiony okien przedpokój był jeszcze ciemniejszy. Tylko ze szczeliny niedomkniętych drzwi gabinetu ojca sączyło się brudnożółte światło, wygryzając jaskrawy pas na przeciwległej ścianie. Wolfgang przejął światło ze ściany. Przecięło go na połowę. Oko chłopca, to jedno, które zmieściło się w szparze, zarejestrowało źródło światła – biurową lampkę. Fotel był odwrócony do blatu pod kątem prostym. Chłopak pchnął drzwi, poszerzając otwór i powiększając słup światła na sobie. Ojciec drzemał w pozycji siedzącej, co mu się często zdarzało. Oprócz krwi w moczu miał cukrzycę, która nie tylko rujnowała mu wzrok, lecz także powodowała, że potrzebował więcej snu. Zanim Wolfgang podszedł do drzwi gabinetu, miał nadzieję, że ojciec ucina sobie drzemkę. Dopiero teraz otwarcie się do tego przyznał, jakby samo posiadanie nadziei zmniejszało szansę jej spełnienia.

Wsunął się do gabinetu i zaczął przeszukiwać półki i szuflady. Spod jego sprawnych dłoni nie wypełzł ani jeden szelest. Chłopak starał się też nie odgradzać sobą ojca od źródła światła, wiedząc, że cień może obudzić nawet głęboko śpiącego. Podobnie jak obecność nawet najcichszego intruza. Dlatego

się spieszył.

Nie znalazł tego, czego szukał. I to na pewno nie była dobra wiadomość. Ojciec przetrzymywał tutaj wszystkie swoje sekrety.

„Przeszukać pokój matki” – wznowił wewnętrzny dialog Wolfgang. – Po co? Przecież jeżeli nie ojciec, to wiadomo, że ukradła matka. Zresztą nawet jak znajdziesz, to co?” – rzeczowe argumenty rozzłościły go. – Gówno! Wsadzę jej gazetę do gardła i powiem, żeby się nią udławiła!” Gniew skierował jego kroki do łazienki. O tej porze matka spędzała tam większość czasu. Nigdy nie wiedział, co robiła. Nigdy też go to nie interesowało. Teraz będzie miał okazję sprawdzić.

Rozmawiała przez telefon. Wiedział to, stojąc jeszcze na schodach wiodących na piętro. Głos często się urywał, a w domu mogła rozmawiać tylko z ojcem lub z nim. Sama do siebie nie mówiła. Chłopiec opadł na czworaka i zaczął skradać się stopień po stopniu. Nie wiedział, po co to robi. Podsluchanie rozmowy matki nie równało się odnalezieniu pisemka. Tyle że w tej chwili Wolfgang nie myślał. Do krawędzi podłogi rozlewającej się za ostatnim stopniem, tworząc pierwsze piętro, zostały mu cztery schody. Słyszał ją już całkiem wyraźnie.

– Od dłuższego czasu zauważyłam, że dziwnie się zachowuje.

Wolfgang odważył się wysunąć czubek głowy, co mogło zdradzić jego obecność, ale zaryzykował.

Drzwi od łazienki były szeroko otwarte. Matka siedziała przy toalecie. Słuchawkę, niczym wytrawna skrzypaczka, umieściła między podbródkiem a obojczykiem. Pozwalało jej to prowadzić rozmowę i jednocześnie malować paznokcie.

– Grażynko, tego nie wiem, ale obawiam się, że to robi. A jak myślisz, po co trzyma te świństwa pod łóżkiem?

Rozmawiała z ciotką.

– Przecież wiesz, że przyłapanie Wolfganga na czymkolwiek jest bardzo trudne.

Chłopak poczuł się tak, jakby był beczką, do której zaczęto wlewać wściekłość. Wypełniała go, począwszy od stóp, poprzez kolana, brzuch, a jej poziom rósł niebezpiecznie szybko.

– A jak sobie z tym poradziła twoja znajoma?

Wściekłość przekroczyła poziom alarmowy szyi i zaczęła sączyć się do mózgu.

– No wiesz, mam sprawdzać jego gacie? – oburzyła się matka. – Poza tym w jego wieku to przecież mogą być polucje.

Wolfgang przestał martwić się tym, że zostanie przyłapany. Zaczął wstawać ze wzrokiem utkwionym w miękkiej, tracącej jędrność szyi matki.

– Co ty wyprawiasz, Wolf? – Zaintrygowany ojciec patrzył na syna gramolącego się po schodach.

„Jak mogłem nie usłyszeć jego człapania?” – przemknęło chłopcu przez głowę. Wściekłość stępiła wszystkie inne zmysły. Miała tę zdolność, a w momencie, kiedy ojciec podszedł do schodów, wypełniała Wolfganga już po czubek głowy. Oczy ojca, wspomagane soczewkami, przyglądały mu się z ciekawością. Nie pytał retorycznie. Czekał na odpowiedź.

Wściekłość nie wyparowała, tylko została przykryta. Będzie bulgotać wewnątrz i na pewno jej nie ubędzie.

– Ja... – zaczął niepewnie.

– Podglądał mnie – wyręczyła go w odpowiedzi matka.

– Jak to podglądał? – Ojciec sprawiał wrażenie, jakby nie znał słowa „podglądać”.

– Powiedz ojcu, jaki z ciebie mały zboczeniec.

Wolfgang zafascynowany patrzył na okrucieństwo, które deformowało twarz jego matki.

– A może mam pokazać dowody? – Do okrucieństwa dołączyła kpina, dając mu się wchłonać i jednocześnie je potęgując.

Księżyc osiągnął pełnię i jak co noc po niewidzialnych szynach sunął ze wschodu na zachód. Niebo było bezchmurne, więc bez przeszkód rozświetlał okna zimnym światłem. Napawał niepokojem. Jasność w ciemności. Strach przed nieznanym.

Joasia nie została dotknięta jego chłodną macką. Spała przy włączonym świetle. W telewizji jakaś skąpo ubrana kobieta stała przy planszy krzyżówki i namiętnym głosem zachęcała nocnych marków do odgadywania haseł.

Dziewczynka spała na niepościelonej kanapie w ubraniu, przyjąwszy pozycję embrionalną, ściskając w dłoni, niczym talizman, czerwoną czapkę. Tę samą, którą dawno temu dostała w prezencie na Gwiazdkę. Wyrosła z niej, ale od tamtego czasu zawsze przykrywała bądź przystrajała głowę czerwonymi nakryciami. Wieczorem z nudów trochę szperała po meblach i natknęła się na tę czapkę w pawlaczu. Leżała obok starych lalek, dziecięcych mebelków

i innych pamiątek omotanych pajęczyną czasu.

Wieczór przesiedziała w pokoju. Trochę się bała, ale w newralgicznych momentach zaczynała mówić do siebie. Próbowwała czytać, nie mogła się jednak skupić. Włączyła telewizor. Po raz pierwszy mogła bezkarnie oglądać to, co chciała. Skakanie po programach bawiło ją do momentu, kiedy coś zatrzymało jej palec. Nie mogła wiedzieć, o czym jest film, ale emanujący z niego nastrój przykleił wzrok do ekranu. Jakaś postać przemykała pośród drzew. Cicha, sącząca się w tle muzyka współgrała z ciemnym obrazem. Joasia patrzyła na scenę jak urzeczona, bezskutecznie starając się odgadnąć, kim jest człowiek biegający nocą po lesie. Przekonała się, kiedy wyszedł na polanę. Nie powstrzymała krzyku. Z telewizora patrzył na nią mężczyzna o czerwonych oczach i zarośniętej twarzy. Był nagi. Dziewczynka wybiegła z pokoju. Ucieczka była bardziej naturalna niż przestawienie kanału. Wróciła dopiero, gdy usłyszała bezpiecznie znajomy sygnał reklamy. Ustawiła kanał z bajkami. Nie interesowały jej, ale nudy się nie bała.

Potem zadzwoniła mama. Rozmawiały długo. Już dawno im się tak dobrze nie rozmawiało. Joasia zjadła kolejną porcję sałatki i usiadła na kanapie, miętosząc wyleniały pompon czapki. Odgłosy z telewizora stawały się coraz mniej wyraźne, oddalając się jak pomruk przelatującego samolotu. Nie pamiętała, o czym myślała przed zaśnięciem. Po drugiej stronie czekał na nią człowiek z polany. Uśmiechał się do niej. Wcale nie był taki straszny. „Nie bój się” – powiedział. – Wcale nie jestem taki straszny”. Wtedy bezwiednie zwinęła się w kłębek, przytulając do czerwonej czapki.

Wolfgang śmiało patrzył prosto w księżyc. Lubił czas pełni. Nie sypiał wtedy prawie wcale. Błady promień jak kofeina wypędzał z niego sen. Przemawiał do niego cicho i namiętnie. Przyciągał.

Znał ten głos. W dzieciństwie odzywał się do niego zawsze wtedy, gdy za karę nie mógł wychodzić z domu. Patrzył przez okno na chłopców biegających stadami. Czuł zapach wiatru na ich twarzach. Czuł, że pcha go potężną siłą, której nie umiał i nie chciał się przeciwstawić.

Księżyc go uspokoił, ale nie zmniejszył nienawiści. Wciąż widział białą szyję matki. Tuż pod skórą pulsowało życie. Była na wyciągnięcie ręki. Zamknął oczy. Wizja pozostała. Wolfgang wstał.

W lodówce znalazł trochę kabanosów, puszkę pasztetu i napoczętą wędzoną makrelę. Zapakował prowiant do plecaka, w którym nosił książki. Nie będą

mu potrzebne. Z sypialni rodziców dobiegało głośne chrapanie ojca. Za chwilę Wolfgang wyjdzie z domu. Wyjdzie i nigdy nie wróci. Rodzice będą musieli znaleźć sobie inny powód, który scali ich małżeństwo, sprawi, że będą się do siebie uśmiechać i przyznawać sobie wiekującą rację. To już nie jego zmartwienie. Drzwi były zamknięte na trzy zamki. Matka pedantycznie przestrzegająca zasad bezpieczeństwa domowników od czasu, kiedy jej koleżanka została okradziona. „Okradziona” – ta myśl zatrzymała chłopca w progu. Szybko przetrząsnął kieszenie ojca. W portfelu nie było gotówki. Oględziny torebki matki przyniosły podobny skutek. Trudno, pieniądze się znajdują. Na pewno z powodu ich braku nie będzie tkwił w tym miejscu ani chwili dłużej. Po raz drugi tej nocy otworzył drzwi. Chłodny wiosenny wiatr przeczesał mu przydługie czarne włosy i rozjaśnił oczy. Błyszcząły, kiedy schodził po schodach ganku.

Nieznane. Dopiero teraz zrozumiał, że zawsze o nim marzył.

Natrętny dźwięk dzwonka ordynarnie wdzierał się do świadomości Joasi. Jej dłoń po omacku szukała budzika. Dziewczynka zawsze miała problemy ze wstawaniem. Sen nigdy nie smakował tak słodko jak nad ranem. Dobry sen. A ten był piękny. Tata zabrał ją do siebie na wakacje. Łączność z marzeniami urwała się w momencie, kiedy Joasia oglądała stado kangurów przecinających pomarańczową równinę. Dopiero czwarty sygnał otworzył jej oczy. Kilka sekund zajęło jej zorientowanie się, że sufit, który wisi nad nią, nie jest sufitem internatu, a dzwonek masakrujący ciszę nie jest dzwonkiem budzika. Telefon umilkł, kiedy Joasia zgramoliła się z kanapy. Nie zdążyła się zastanowić, kto dzwonił o tak wczesnej porze w sobotę, kiedy telefon odezwał po się po raz drugi.

– Śpisz? – Głos mamy był całkowicie przytomny.

– Nie. – Joasia chrząknęła, ścierając nocną powłokę chrypy z gardła.

– To dobrze, mam do ciebie prośbę, kochanie. Pojedziesz do babci Natalii.

– Sama? – wyrwało się jej.

– Dziwisz się, jakbyś była małą dziewczynką, a z ciebie już prawie dorosła panna.

Odkąd Joasia pamiętała, w zależności od sytuacji była jeszcze dzieckiem lub prawie dorosłą panną.

– Ja w tej chwili naprawdę nie mogę – kontynuowała mama. – Babci zależy na tym, żeby to załatwić jak najszybciej. Wiesz, jaka ona jest. Jeżeli tego nie

zrobimy, będzie więcej krzyku, niż to warte.

– Ale co mamy załatwić? – Joasia posłusznie użyła liczby mnogiej.

– Zawieszysz jej kluczyk od skrytki. Pamiętasz, parę lat temu dostała taką od nas na Gwiazdkę?

Pewnie, że pamiętała. To było w święta, kiedy dostała czerwoną czapkę z pomponem.

– Po co babci drugi kluczyk? – spytała rzeczowo, udowadniając, że jest już całkowicie przebudzona.

– Bo swój zgubiła. Wyobrażasz sobie niezdare? – Mama pozwoliła sobie na zdawkowy żart. – Całe szczęście, że mam zapasowy. Zupełnie jakbym przewidziała, że go zgubi. Zresztą, co tu dużo mówić... przewidziałam.

– To jest bardzo daleko.

– Nie przesadzaj.

– Nigdy nie byłam tam sama.

Argumenty zaczęły się Joasi wyczerpywać. Został jej ostatni i najprawdziwszy: „Bardzo się boję”.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. – To zdanie zadźwięczało jej w uszach głośniejsz niż inne.

– Jak tam dojechać? – spytała z rezygnacją frontowego żołnierza.

– Odkąd jest metro, to w ogóle nie ma problemu.

– Mam jechać metrem? – Jej głos zadrżał.

– Pewnie. Wsiadasz na najbliższej stacji, jedziesz do końca i jesteś u babci. Żadna filozofia.

– Ale...

– Kochanie, bardzo cię proszę, zrób to dla mnie. Przecież wiesz, że gdybym mogła, pojechałabym tam sama.

– Dobrze.

– Dziękuję ci, skarbie. Kluczyk jest w kuchni, w trzeciej szufladzie od góry. I zadzwoń od babci, że wszystko w porządku.

– Dobrze – powtórzyła Joasia. „Zadzwonię, jak wszystko będzie w porządku”. Ale o tym tylko sobie pomyślała.

– Muszę kończyć, pa... – Celina odłożyła słuchawkę w momencie, kiedy młody mężczyzna przyniósł jej śniadanie do łóżka. „Kiedyś musi być ten pierwszy raz” – pomyślała.

Joasia wyszła z klatki schodowej i wpadła w objęcia wilgotnego zapachu

wiosny. Jak co roku o tej porze stworzenia jednoczyły się w niepoahamowanym pragnieniu zwrócenia na siebie uwagi. To była jej ulubiona pora. Joasia była jednak zbyt zaferowana, żeby się nią cieszyć. Nawet nie zwróciła uwagi na wróbla, który nadymany pożądaniem zwiększył swoją objętość, skacząc wokół wybranki. W innych okolicznościach dziewczynka obserwowałaby scenę z wielkim zainteresowaniem. W innych okolicznościach...

Nigdy nie jeździła do babci sama. W ogóle rzadko tam bywała. Mama nie lubiła tego miejsca. – To blokowisko jest jak dżungla – mawiała. – Nie mam pojęcia, jak ty odróżniasz swój blok od innych – drażniła babcię.

Natalia zamieszkała tam już po narodzinach Joasi. Mieszkanie w kamienicy, w której spędziła większość życia i w której wychowała Celinę, zostało zburzone. Natalia dostała przydział na mieszkanie w bloku z wielkiej płyty. W dzielnicy opętanej wielką płytą.

Joasia nigdy nie jechała metrem. Nie było takiej potrzeby. Do babci jeździły z mamą starym fiatem. Jedyną pamiątką po tacie.

Minęła skwer, na którym bawiła się z Magdą – ulubioną koleżanką z dzieciństwa, która przestała być jej koleżanką, kiedy Joasia dostała na dziesiąte urodziny wózek dla lalek. Rzeczywiście był piękny. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki sprawił, że Magda spakowała swoje uczucia i przeniosła je na inne koleżanki. Skwerek był odgradzony od ruchliwej ulicy czteropiętrowym blokiem, dzielnie wchłaniającym ryk wielkiego miasta. Jeszcze tylko krótki spacer wzdłuż szarego domu, który starsze mieszkanki rozweselały grządkami kwiatów, i przed oczami Joasi otworzyła się przestrzeń. Pędzące samochody, ludzie spieszący we wszystkich kierunkach, niezwracający uwagi na innych. Zatrzymała się na rogu, starając się ogarnąć chaos, który wprost z ulicy sączył się do głowy. Słuch przyzwyczał się do podwyższonej dawki decybeli. Wzrok wyostrzył percepcję. Nawet węch nie sprzeciwiał się i przyswajał spaliny.

Dwadzieścia metrów na prawo żółty znak z czerwoną literą „M” informował o obecności metra. Joasia widziała fragment zejścia do podziemia. Przełknęła ślinę, ale nie udało jej się zwilżyć gardła. Jak przy anginie. „Przestań, to tylko metro” – rozum rozpoczął dyskusję z sercem. Mimo trzynastu lat wierzył jeszcze, że ma szansę. Czasem nawet pięćdziesięcioletnie rozumy w to wierzą. „To takie samo miejsce jak każde inne, tyle że...” Myśl uwięzła w głowie zupełnie jak niektóre słowa w ustach. „Pod ziemią” – dokończyła dzielnie Joasia. Ruszyła w stronę schodów prowadzących w dół.

„Będę myślała o samych przyjemnych rzeczach i jakoś to będzie”. Zdolność oszukiwania siebie to cecha przypisana gatunkowi ludzkiemu. Kiedyś nauka dowiedzie, że mucha zaplątana w pajęczą sieć nie wyobraża sobie, że za chwilę zjawi się wspaniały wybawca, który uwolni ją z łap kosmatego oprawcy, cierpliwie czekającego, aż szamotanina dobiegnie końca.

Zatrzymała się przy barierce prowadzącej w głąb czeluści. Nie ciemnej niż podpowiadało przerażenie. Fragment tunelu wyłaniający się za schodami był oświetlony mocnym jarzeniowym światłem. „Nie będzie tak źle...”

Joasia ruszyła w dół schodów. Suchość zamieniła gardło w pustynię. Oddech przyspieszył. Zbyt częste pobieranie tlenu sprawiło, że dziewczynce kręciło się w głowie, a nie doszła jeszcze do bramek odgradzających od prawdziwie podziemnego świata. Z dołu narastał huk. Zobaczyła pociąg, który wychynął z czarnego tunelu na oświetloną stację. Skojarzył jej się z ogromnym tasieńcem, który za chwilę poniesie ją w głąb jelit Ziemi. Gdzie nie ma nic. Tylko przytłaczający ciężar świata nad głową.

Joasia nie miała pojęcia, że cierpi na ciężki przypadek klaustrofobii.

Nasiliły się zawroty głowy. Już nie widziała stacji. Widziała głęboki dół przypominający jej grób przesycony zimną wilgocią. Pomiędzy grudkami ziemi wiły się dżdżownice. Kolejny pociąg wtoczył się na stację, ale stukot kół był już tylko uderzeniami kamieni o wieko trumny. Podziemny świat zawirował jej przed oczami. Mocno chwyciła się zimnej poręczy bramki, do której przyniosły ją nogi, bez wyobraźni wykonujące swoje zadanie. Joasia poczuła, że ściany wokół zbliżają się do niej. Zacisnęła powieki.

Nie słyszała, że krzyczy.

Mocne potrząsanie za ramię sprawiło, że otworzyła oczy. „Tata mnie obudził” – przemknęło przez rozgorączkowany umysł. Następna myśl była kompletnie niedorzeczna: „Ciekawe, jak zdążył tak szybko przylecieć z końca świata”.

– Co jest, mała?

Po raz drugi tego dnia wracała do rzeczywistości.

Ten, który się nad nią pochylał, nie był jej tatą, chociaż dotykał tak samo i pachniał podobnie. Wyglądał zupełnie inaczej.

– Wstań, bo dostaniesz wilka. – Miał miły głos, a Joasia poczuła, że posadzka, na której siedzi, naprawdę jest bardzo zimna.

– Boli cię coś? – nieznajomy badał ją wzrokiem, jakby wierzył, że ból można zobaczyć.

– Muszę... – Mówienie przychodziło jej z trudem. – Muszę stąd wyjść.

– No to chodź. – Proste wzruszenie ramion zamiast dopytywania pobudziło ją do wdzięczności.

Spróbowała wstać. Podał jej rękę. Ciepłą. Drugą objął w pasie, a Joasia poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

Tunel metra wypułł ich na ulicę skąpaną promieniami naturalnego światła. Joasia przyjrzała się swojemu wybawcy. Chłopak był starszy od niej o jakieś trzy lata. Przewyższał ją o głowę. Czarne włosy, którymi wiatr bawił się z fantazją, sięgały mu do ramion. Jasne stalowoszare oczy były głęboko osadzone i patrzyły przenikliwie. Odezwał się do niej w momencie, kiedy mijala ich wielka ciężarówka z przyczepą. Nie usłyszała, co powiedział. Chłopak nie powtórzył pytania, tylko wziął ją za rękę i pociągnął w stronę czteropiętrowego bloku. Tam, skąd przyszła. Nie opierała się. Szła pół kroku za nim i mogła przyglądać mu się bezwstydnie. Ubrany był zwyczajnie. Wytarte dzinsy i zamszowa kurtka, przyciskana do pleców niewielkim plecakiem z nabazgranymi nazwami zespołów rockowych. Za blokiem chłopak poprowadził ją w stronę ławki. Poczekał, aż usiądzie, a sam przykucnął przy niej. Ich oczy były teraz na jednym poziomie. Blisko.

– No dobra, co się stało? Ktoś ci coś zrobił? – ponowił pytanie, a szare oczy ślizgały się po niej.

Wzdrygnęła się, bo poczuła dotyk tego wzroku.

– Nikt mi nic nie zrobił.

– Darłaś się, jakby cię obdzierali ze skóry.

– Naprawdę...? – Zawstydziała się.

– Nie powiesz mi chyba, że lubisz wrzeszczeć w miejscach publicznych – uśmiechnął się kpiąco.

Uśmiech sprawił jej przyjemność, a kpina nie zaboląła.

– Nie wiedziałam... To znaczy zrobiło mi się słabo i... – Mówiła coraz wolniej, nie wiedząc, czym zakończy odpowiedź.

– Słabo? – Zabawnie wytrzeszczył oczy, łagodząc trochę ich wyraz. – Ciekawy jestem, jak krzyczysz, kiedy nie jest ci słabo.

Joasia się uśmiechnęła, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

– Pierwszy raz ci się to zdarzyło? – spoważniał.

– Tak – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – To znaczy czasami krzyczę, ale tylko gdy mi się śni coś złego.

– A w metrze nigdy? – upewniał się.

– Nigdy nie jechałam metrem. – Joasia poczuła, że chce z nim rozmawiać. Gdzieś bardzo głęboko pojawiła się myśl, że to pewnie nie potrwa długo. Była to nieprzyjemna myśl.

– Żartujesz – naprawdę się zdziwił. Wyglądał śmiesznie z uniesionymi wysoko brwiami. – Dlaczego?

– Chyba właśnie dlatego, żeby nie krzyczeć – odparła już przytomnie.

– Dziwna jesteś.

Próbowała doszukać się na mapie jego twarzy, o jaką dziwność mu chodzi. Gdyby okazało się, że jakąś nieprzyjemną, byłoby jej przykro.

– Nigdy nie byłaś w metrze, ale wiedziałaś, że będziesz tam krzyczeć. A poza tym skoro wiedziałaś, to po cholere w ogóle tam wlaźłaś?

– Muszę jechać do babci, zawieźć jej kluczyk od skrzynki. – Czuła potrzebę szczerzej rozmowy z chłopakiem, o którego istnieniu jeszcze dziesięć minut temu nie miała pojęcia.

– To musi być jakaś ważna skrzynka, że zdecydowałaś się wejść do metra. – W jego głosie nie czuło się ciekawości. Nie czuło się nic. Tak było zawsze, kiedy był zaintrygowany.

– Babcia trzyma tam pieniądze – roześmiała się Joasia. To dziwactwo Natalii zawsze wydawało jej się zabawne. – Zgubiła swój kluczyk i wiozę jej zapasowy.

– Nagle w sobotę rano postanowiła je sobie pooglądać? – Nie patrzył teraz na nią.

– Listonosz przyniesie jej emeryturę, a babcia natychmiast musi ją ukryć. Jest trochę dziwaczna, widocznie u nas to rodzinne.

Pierwszy raz nie zobaczył w niej dziecka. Spod czerwonej czapki z daszkiem patrzyły na niego bystre, ufne oczy. Milczał dłuższą chwilę. Nie odwróciła wzroku. Nie przerwała ciszy.

– Gdzie mieszka twoja babcia? – odezwał się wreszcie.

– Na końcu świata. Wiesz, gdzie jest ulica Leśna trzydzieści osiem?

– Wiem – odpowiedział, a jego myśli biegły już dwutorowo.

– Naprawdę? – zdziwiła się spontanicznie.

– Mam tam kolegę. Mieszka pod piętnastką, a twoja babcia?

– Pod siódemką. Na pierwszym piętrze. – Zdumiała się Joasia, jak zawsze, kiedy okazywało się, że świat nie jest wielką zagadkową otchłanią.

– Kiedyś zastanawiałem się nawet, co za debil nazwał tak ulicę w samym środku blokowiska.

– Moja mama też to zauważyła. Mówi, że babcia mieszka w kamiennym kręgu. W każdym razie to jest strasznie daleko.

– Blisko nie jest, ale kto powiedział, że musisz jechać metrem?

– Mama. – Wydawało jej się, że słowo „mama” zabrzmiało oskarżycielsko, a nie chciała tego. Dopytała więc: – No, a jak inaczej?

– Jak myślisz, w autobusach też będziesz się wydzierać?

– Nie. Na pewno nie. Często jeżdżę autobusami – zapewniła go.

– W takim razie wyjdiesz na ulicę i pójdziesz w lewo. Tam jest przystanek...

– Wiem, ale stamtąd autobusy nie jeżdżą na Leśną.

– Daj mi skończyć. Wsiądziesz na następnym przystanku i wsiądziesz w sto pięćdziesiąt dwa. Za niecałą godzinę będziesz na miejscu.

– Mówisz, jakbyś często tam jeździł. – Przez zaskoczenie przebijał podziw.

– Czasami lubię zajrzeć do lasu za osiedlem.

Odniosła dziwne wrażenie, że mówi do niej, ale przestał z nią rozmawiać.

– Mama mówi, że tam jest niebezpiecznie.

– Na pewno nie ma wilków. – Na moment odsłonił zęby tak białe, że rozświetliły całą jego twarz. Fascynował ją coraz bardziej.

– I kto tu jest dziwny? – spróbowała zażartować, ale się nie uśmiechnął. Teraz była już pewna, że chłopak, którego poznała, gdzieś zniknął.

– Poradzisz sobie. – Wstał.

A więc zaraz nadejdzie ten moment. Na pewno się z nią nie umówi. „Nie z taką gówniarą” – nie pierwszy raz pożałowała, że jest dzieckiem.

– Poradzę. – Ona również wstała. Miała nadzieję, że odprowadzi ją chociaż na przystanek.

– No to trzymaj się. – Stuknął lekko palcem w daszek jej czapki.

– Cześć – odpowiedziała i skierowała się w stronę przystanku autobusowego, walcząc z pokusą, żeby się obejrzeć.

Wolfgang stał na środku chodnika. Widział, jak dziewczyna zmieszała się z przechodniami. Co pewien czas w ich gęstwinie dostrzegał czerwony punkt. To jej czapka podskakiwała w takt szybkich kroków. Był błąd niczym zdjęcie pozostawione na słońcu. Intensywny wzrok zabłądził. Decyzję podjął jeszcze w czasie rozmowy. Teraz się tylko z nią oswajał. Wreszcie odwrócił się i pobiegł do stacji metra. Tunel wydalał z siebie grupę byłych pasażerów spacerujących w górę, jednocześnie wchłaniał pasażerów przyszlých,

wędrujących w dół. Był nienasycony.

Z wysoka wyglądało to tak, jakby znudzone dziecko porozrzucało klocki. Nie było w tym ani symetrii, ani asymetrii. Nie było żadnej nadrzędnej myśli. Ptaki widziały labirynt ulic i uliczek stworzony przez większe i mniejsze prostopadłościanny bloków. Gdyby wzleciały wyżej, zobaczyłyby pas lasu od południa otaczający drewnianą fosą kamienny katafalk dla żywych. Dla pilota samolotu osiedle szybko zlewało się w płachtę pozbawioną faktury, wgrzającą się szarymi zębami w zieloną czerń lasu. Natura i człowiek rywalizowali ze sobą w konkursie na wizję mrocznej czeluści.

Wolfgang nigdy nie widział tego miejsca z wysoka. Znał za to drogę prowadzącą do lasu. Znał ją na pamięć. Za wielkopłytową wersją Stonehenge znajdował się lasek. Odgrywał ważną rolę w życiu jego rodziny. Zaspokajał jego potrzebę poznawania i przygody, a rodzicom zapewniał możliwość wychowawczego szantażu.

Tym razem jednak nie las był jego celem. Przybył tu dla pieniędzy. Dotąd w ogóle się nimi nie interesował. Nie rozumiał kolegów pracujących dorywczo. Dostarczali pizzę albo gazety przy ruchliwych ulicach. Nie potrzebował pieniędzy aż do dzisiaj. Nie chciał wracać do domu, ale nie zamierzał też umrzeć z głodu. Zapasy, które zabrał z lodówki, nie wystarczą na długo, a on miał przed sobą całe życie.

Stację końcową dzieliły od ulicy Leśnej dwie przecznice. Odnalezienie bloku numer trzydzieści osiem zajęło mu pięć minut. Obliczył, że ma dwadzieścia minut przewagi nad dziewczyną w czerwonej czapce.

Blok trzydzieści osiem nie wyróżniał się niczym. Na dole ktoś usiłował pokonać betonową dominację, sadząc rabatki, ale krzewy hortensji były rachityczne, jakby bały się drażnić kamiennego kolosa. Dom miał cztery piętra. Numer siedem musiał znajdować się w pierwszej klatce.

Przy drzwiach wmurowano domofon. Białe paski z nazwiskami biegły w stronę plastikowych guzików, z których łuszczyła się farba. Palec chłopca zawisł nad jednym z nich. Adrenalina podpowiadała mu wiele odpowiedzi na pytanie „Kto tam?”. Nie wiedział, na którą się zdecydować. Nie chciał zastanawiać się nad tym zbyt długo. W ogóle starał się nie myśleć o tym, co zrobi. Myśli mogły zaorać mózg i posiać na jego korze wątpliwości. Wątpliwości, które bez nasion i tak kiełkowały i pleniły się jak chwasty.

Wolfgang wiedział, że to, co robi, jest złe. A jednak palec się nie zawahał. Tak jak wcześniej nie zawahały się jego nogi, doprowadzając go tutaj.

– Kto tam? – Głos, który usłyszał, był lekko zachrypnięty. Należał do właścicielki mieszkania numer siedem. W bloku przy ulicy Leśnej trzydzieści osiem.

– Znalazłem kluczyk – wyrzucił z siebie jednym tchem i nie uzupełnił powietrza, czekając w napięciu. Wybrał wersję najprostszą do wykonania i najtrudniejszą do uzasadnienia. Liczył, że prostota sprawi, że nie będzie musiał niczego uzasadniać.

– Naprawdę? – ożywiła się – Proszę.

Układ elektromagnetyczny wydał bzyczący dźwięk i Wolfgang sforsował pierwszą przeszkodę.

Schody na piętro pokonał kilkoma susami. Liczyła się każda sekunda. Niemal telepatycznie czuł, jak w głowie starszej kobiety rodzą się pytania, na które nie mógłby sensownie odpowiedzieć. Mieszkanie z dużą mosiężną siódmką kryło się w małym bocznym odgałęzieniu korytarza i mimo dnia tonęło w półmroku.

Wolfgang nie wierzył w tak wielkie szczęście, ale nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

– Kto tam? – Usłyszał ją bez pomocy elektroniki i wyczuł, że podniecenie kobiety przegrywa z nieufnością, matką bezpieczeństwa.

– To ja. Znalazłem kluczyk pod pani balkonem. Nie zginął pani przypadkiem? – Opanowanie drżenia głosu kosztowało go dużo wysiłku. Jeszcze chwila. Potem będzie działał jak automat. Będzie robił tylko to, co będzie konieczne. Zda się na instynkt. Chwila wyczekiwania zdawała się nie mieć opamiętania. Jasna plama wizjera pociemniała. Właścicielka próbowała dojrzeć, kto jest po drugiej stronie. Cień korytarza chronił go skutecznie przed jej wzrokiem. Zresztą, nawet gdyby korytarz rozświetlały potężne reflektory... Przy drzwiach stał szesnastoletni chłopiec.

Wreszcie klucz zaczął przewracać system zapadni i sprężyn w zamku. Jednym, a potem drugim. Wolfgangowi przemknęła przez głowę straszna myśl, że kobieta ma zamontowany w drzwiach łańcuch uchylny, który pozwoli jej sprawdzić, że on nie ma żadnego klucza, a jemu nie pozwoli wejść do mieszkania. Na szczęście po odemknięciu drugiego zamka drzwi otworzyły się na tyle szeroko, że mógł wejść do środka. Zanim to zrobił, poczuł na sobie świdrujący wzrok sześćdziesięciokilkuletniej kobiety, która nie próbowała w żaden sposób ukryć swojego wieku. Proste siwe włosy, ciasno związane gumką, zdradzały kształt czaszki. Zmarszczki na twarzy opowiadały

bezdźwięcznie, że przez ostatnie pół wieku staruszka śmiała się rzadko. Pod powierzchnią wyblakłych oczu pływały smutne doświadczenia.

– Gdzie ten klucz? – wzrok przeszywał go na wylot. Wolfgang uśmiechnął się najserdeczniej, jak potrafił.

Grzebiąc w kieszeni kurtki, zrobił krok do przodu, chcąc wejść do mieszkania. Tym razem spotkał się ze zdecydowanym oporem ze strony lokatorki. Jej łatwowierność dogorywała w mdłym świetle kinkietu wiszącego w przedpokoju nad obrazkiem przedstawiającym jakiegoś cierpiącego świętego. Za późno. Wolfgang był dla niej za silny. Mocno pchnął drzwi. Siła, gwałtowność i zaskoczenie sprawiły, że kobieta upadła pod naporem ruchomej ściany drewna. Zaczęła krzyczeć, ale Wolfgang był już w środku i uderzył starą kobietę w twarz. Ciepło rozlało się po jego dłoni i poczuł w niej mrowienie, jakby zaczynała cierpnąć. „Uderzyłem ją”. Zrobił to tak sprawnie, że nie mogła mieć pojęcia, jak bardzo się zdziwił. Że umiał. Że przyszło mu to tak łatwo. Właściwie automatycznie. Krzyk i cios. Akcja i reakcja. Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo wierzył, że do tego nie dojdzie. Ale było za późno.

Natalia poczuła znajomy smak. Niektórzy próbują nazywać smak krwi, ale dla niej tylko krew smakuje tak jak krew. Tak dawno tego nie przeżywała. Usłyszała głos męża: „Zamknij mordę!”. I wolałaby usłyszeć tamte słowa niż to, co teraz.

– Gdzie jest szkatułka?

„Przecież to jeszcze dziecko” – pomyślała.

– Pokaż mi, gdzie ją schowałaś, a dam ci spokój – mówił spokojnie.

Zupełnie jak Janusz, kiedy ją bił. Tylko że Janusz latami uczył się bić swoją żonę bez emocji.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Był dzieckiem. Nie mógł... Następny cios odbił się głośnym echem w jej głowie. Fala sprzeciwu nadeszła cicho i niespodziewanie. Nie pozwoli się skatować jakiemuś gówniarzowi. Jej mąż mógł sobie z nią robić, co chciał, ale to było jego prawo. Nadspodziewanie szybko dźwignęła się na nogi.

– Zjeżdżaj stąd, gówniarzu – wysyczała.

„Nie krzyczy” – zdumiał się Wolfgang. – Nie boi się mnie”. Brak strachu u starej kobiety zaniepokoił go. Tego się nie spodziewał. „Nie dam rady” – pomyślał i sam nie wiedział, czy rezygnacja sprawi mu zawód czy ulgę. I wtedy to się stało. Ośmielona jego niezdecydowaniem kobieta popełniła błąd.

– Nie, nie wypuszczę cię stąd. Zaraz wezwę policję. Już oni się tobą zajmą – cedziła powoli, zbyt wczesnie rozkoszując się przewagą. – Ciekawe, co na to powiedzą twoi rodzice. – Nie zauważyła dziwnych błysków w oczach chłopca. – Wiedzą już, że mają syna bandytę? A może bandytę i zboczeńca?

W jednej chwili przed oczami Wolfganga wykwitły czerwone płatki, prawdziwe pole maków. Tuż za nim majaczyła twarz. Nie była to już twarz starej kobiety. To była twarz jego matki. Wykrzywiona kpina. „Zboczeniec” – słyszał już tylko to słowo. Przedpokój zamienił się w łazienkę domu rodziców, a Wolfgang, rzucając się do przodu, nie atakował staruszki. Nie szukał szkatułki, tylko skradzionego pisma z nagimi kobietami. Nie był już złodziejem, tylko pokrzywdzonym. Bronił się.

O ile łatwiej zadawać ciosy w obronie własnej...

Podróż do babci przebiegła bez problemów. Czas jej się nie dłużył. Cieszyła się widokami za oknem. Po kilku miesiącach szarości przeplatanej bielą świat nabrał kolorów. Słońce przyjemnie przypominało, że nie jest tylko światłem, ale przede wszystkim ciepłem. Myślała o chłopcu, który wyciągnął ją z metra. Wciąż odtwarzała spotkanie, wyciskając z pamięci coraz to nowsze szczegóły. Dopiero teraz zauważyła, że sznurówkę w jednym z butów miał rozwiązaną. Kiedy odprowadzał ją na ławkę, sznurówka tańczyła, przeskakując z jednej strony buta na drugą. Ile mógł mieć lat? Na pewno był od niej starszy. Ale tylko raz powiedział do niej „mała”. Potem traktował poważnie. „Ciekawe, gdzie mieszka. Spotkam go jeszcze kiedyś?” – mnożyła pytania, a żal rozcieńczał gęstą przyjemność spotkania. „Może mieszka gdzieś niedaleko? Jak się nazywa... Może Maciek?” – Joasia chciała, żeby tak miał na imię.

– Pętla – odezwał się gruby, nieprzyjemny głos. Kierowca pochyłał się nad nią, autobus był pusty, a silnik wyłączony. – Wsiadamy! – Mężczyzna ścisnął w ręce potężną kanapkę zakutą w metalową folię.

Joasia pokiwała głową i zeskoczyła na chodnik usiany wiosennymi kałużami.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś znaku, który stanowiłby punkt odniesienia. Z mamą zwykle podjeżdżały samochodem od drugiej strony ulicy. Mama parkowała koło stacji benzynowej, tymczasem jak okiem sięgnąć, nie było śladu stacji benzynowej. Tabliczka na najbliższym bloku potwierdzała jednak, że Joasia znajduje się na ulicy Leśnej. Dokładnie Leśnej siedemdziesiąt pięć. Następny blok miał numer siedemdziesiąt trzy.

Dziewczynka ruszyła w stronę malejących numerów, wiedząc, że blok babci będzie się znajdował po przeciwnej, parzystej stronie. Samotna podróż smakowała niczym rozwiązywanie krzyżówki bez niczyjej pomocy.

Mijając drugą przecznicę, Joasia zaczęła rozpoznawać niczym nieróżniące się budynki. Odłupany kawałek tynku nad szyldem „Salon Fryzjerski Dosia”. Następny blok to będzie blok babci. I był. Stał niewzruszenie, tuż za transparentem rozwieszonym między dwiema lampami i reklamującym jedzenie dla kotów.

Pierwszy raz przyjechała tu, mając pięć lat. Nigdy wcześniej nie używała domofonu (u nich założyli go dwa lata później), i mama obiecała, że to Joasia zadzwoni do babci. Uśmiechnęła się na wspomnienie trzech szybkich dzwonek wykonanych pulchną dziecięcą rączką. Nikt nie odbierał. „Mamusiu, nie ma babci” – pisnęła wtedy żałośnie, bo miała już przygotowaną odpowiedź na pytanie, które babcia obiecała jej zadać. „Przecież babcia nie czeka na nas przy drzwiach, głuptasku” – Celina uśmiechnęła się, chociaż nie miała ochoty na wizytę u matki. I wtedy rozległo się upragnione „Kto tam?”. „Hipo-Joasio-potam” – zaszczebotała dziewczynka, nie umiejąc powstrzymać śmiechu. Babcia ze stoickim spokojem odegrała swoją wielokrotnie omówioną rolę: „Nie otworzę, jestem sama, boję się hipo-Joasio-potama”.

Od tamtego czasu stało się to ich zwyczajem. Nigdy już nie było tak zabawne jak za pierwszym razem, ale ani Joasia, ani Natalia nie odważyły się przerwać zabawy w obawie, że któreś zrobi się przykro.

Wolfgang czekał przy oknie. Nos rozpląszczył się na szybie, nadając twarzy groteskowy wyraz. Serce wystukiwało zwariowany rytm. Wydawało mu się, że od tego łomotu cały podskakuje. Zauważył ją, jak tylko wyszła zza bloku, na którym jakaś Dosia przekonywała, że jest świetną fryzjerką. Wolfgang spodziewał się ujrzeć czerwoną czapkę. Pojawiła się. Odcinała się od otoczenia jak truskawka, którą zapomniano zjeść. Perkusista w jego piersi jeszcze bardziej zwiększył tempo. Wolfgang przeszedł do przedpokoju i stanął przy drzwiach. Jego dłoń spoczęła na słuchawce domofonu.

Trzy krótkie dzwonki – obrzęd dziecięcej spontanicznej radości spełnił się w głośniku wbudowanym w ścianę klatki schodowej. Bliźniaczy wybrzmiał w mieszkaniu na pierwszym piętrze. W odpowiedzi na trzy krótkie brzęczenia niemal natychmiast rozległo się przeciągłe brzęczenie na wyższej

częstotliwości. Refleks, z jakim babcia zareagowała na sygnał, był tak zaskakujący, że Joasia odsunęła się od domofonu. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że nie padło zwyczajowe „Kto tam?”. Czyżby babci znudziła się dziecięca zabawa? Joasi zrobiło się przykro... Brzęczenie zwalniające elektromagnes ucichło, zanim pchnęła drzwi.

„Dlaczego nie otworzyła?” – Wolfgang wpadał w panikę. – Przecież mechanizm działa... Działał jeszcze niecałe pół godziny temu. A może przestał?” Przypomniało mu się, że kiedyś ich domofon przestał działać. Ojciec tłumaczył matce, że „zepsuł się połowicznie”, użył dokładnie takiego określenia. Można było przez niego rozmawiać, natomiast mechanizm nie otwierał zamka. Ojciec naprawił go. Był inżynierem. Czy to możliwe, żeby teraz stało się to samo? Tak nagle? W najważniejszym momencie. Ale wszystko zawsze dzieje się nagle, a momenty, w których to następuje, dopiero wtedy stają się ważne. Dzwonek zabrzączał ponownie. Trzy krótkie sygnały w równych odstępach. Musiał podjąć decyzję.

– Nie możesz wejść? – przemówił do Joasi wprost ze ściany jakiś dziwny, stłumiony szept.

– Babcia? – Dziewczynka usiłowała doszukać się w nim znajomej nuty.

– Tak, kochanie.

Bezskutecznie.

– Dlaczego masz taki dziwny głos?

– Angina ropna. – Jakby na potwierdzenie diagnozy z głośnika dobiegło równie zniekształcone kasłanie.

– A dlaczego nie powiedziałaś hasła? – Nigdy nie zrozumiała, dlaczego zadała to pytanie. Może dlatego, że instynktownie nie chciała wejść.

– Ja w ogóle ledwo mówię. – Głos stał się jeszcze cichszy. Jeszcze bardziej obcy. – Masz kluczyk? – pytanie rozwiązało wszystkie wątpliwości. Tylko babcia i mama wiedziały o kluczyku.

– Jasne. Przecież po to tu przyjechałam.

Tym razem brzęczenie zamka zostało szybko zamienione na trzask otwieranych drzwi. Joasia weszła do klatki schodowej pachnącej mieszaniną papierosowego dymu, kotów i farby olejnej.

„Chciałbym, żeby to się już skończyło”. Była to ostatnia myśl, zanim drzwi do mieszkania otworzyły się i weszła do nich dziewczyna w czerwonej czapce. Potem wszystko działo się szybko. I nikt już nad niczym nie panował.

– Babciu? – Joasia weszła do przedpokoju, spodziewając się, że ujrzy babcię zaraz przy drzwiach. Nic z tego. Kolejne odstępstwo od normy.

– Babciu! – Postąpiła dalej. Minęła drzwi do kuchni, spodziewała się zastać babcię raczej w pokoju albo w sypialni. Jeżeli jest chora, to... Zgrzyt zamka w drzwiach odwrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni.

– Maciek? – wymamrotała zaskoczona, choć nie tak bardzo, jak powinna.

Chłopak od godziny siedział jej w głowie. Miała go tuż pod powiekami i jego nagłe zmaterializowanie było tylko przejściem ze świata wyobrażeń do rzeczywistości. Tak jakby się obudziła i przyjemny sen nie zniknął.

– Daj mi kluczyk – przemawiał chłopiec głosem wyższym niż w czasie poprzedniego spotkania. Cały się trząsał.

Joasia cofnęła się pod ścianę. Przyjemny sen zamienił się w nieprzyjemną rzeczywistość.

– Kluczyk! – wrzasnął, a jego twarz drżała jak słabo ścięta galaretka.

– Jaki kluczyk? – zapytała, automatycznie powtarzając jego słowo.

Stan, w jakim znajdował się chłopak, przeraził ją tak bardzo, że gdyby wrzasnął: „Joasia!”, powiedziałyby: „Jaka Joasia?”.

Wolfgang nie wiedział, co robi. Nogi poniosły go do dziewczyny i chwilę później zobaczył swoje ręce przyciskające ją do ściany.

– Kluczyk od skrzynki! – Jego oddech był gorący i chory. Nie czekał na kolejne pytanie, tak jakby obawiał się jej pytań. Chwycił ją za kołnierz kurtki i wciągnął do pokoju. Na stoliku stała metalowa skrzynka, którą razem z mamą kupiły babci na prezent gwiazdkowy. Tak strasznie dawno temu. Czy gdyby jej nie kupiły, bałaby się teraz?

– Kluczyk... – Dopiero jego szept sprawił, że Joasia zaczęła myśleć racjonalnie. Zadziałał jak nagła zmiana.

Śpiącego budzi w ciszy gwałtowny hałas. Kiedy uda się zasnąć w hałasie, zbudzić może gwałtowna cisza. Szept chłopaka był gorszy od krzyku. Bardziej nieuchronny. Dotarło do niej, że jest złodziejem. Zaraz potem ujrzała rękę wznoszącą się do ciosu. Czas zwolnił.

– Czeka! – Zdążyła.

Kiedy potem o tym myślał, kiedy był znowu zdolny do myślenia, przypominał sobie, że nie piszcziała. Mimo strachu, który zmienił rysy jej ładnej buzi i którą chciał uderzyć. Nie piszcziała.

– Masz... – Drżącymi rękami starała się wysupłać klucz z kieszonki kurtki.

Czas przyspieszył i wydawało jej się, że wyciąganie kluczyka trwa godzinami. Na szczęście złodziej był cierpliwy. Nie uderzył jej. Poczwała do niego wdzięczność. Liczyło się tylko teraz.

– Proszę. – Mały srebrny przedmiot na łańcuszku skupił ich wzrok, dopóki dłoń złodzieja nie zabrała go z pola widzenia.

Wolfgang schował kluczyk, po czym jedną ręką chwycił dziewczynę, drugą podniósł skrzynkę.

– Co robisz? – Ulga, że koszmar dobiega końca, roztopiła się jak cukier we wrzątku.

W odpowiedzi doprowadził ją do drzwi łazienki. Nigdy nie lubiła tej łazienki, bo pomieszczenie to nie miało okienka. Kiedy była mała, Joasia załatwiała się przy otwartych drzwiach, a potem pilnowała, żeby przyjeżdżać do babci bez potrzeby korzystania z toalety.

Wolfgang otworzył drzwi, za którymi była ciemność.

– Nie!!! – Tego wrzasku już nie pamiętała. Podobnie jak tego, że gwałtownie odwróciła się do oprawcy i wbiła mu swoje krótkie paznokcie w policzki. Następnego dnia ze zdumieniem obejrzy brudne paznokcie, które wyglądały jak wtedy, kiedy bawiła się w piaskownicy mokrym piaskiem.

Wolganga zaskoczył jej nagły i zaciekły opór. Bliskość końca koszmaru uspiła jego czujność. Nie czuł bólu. Skrzynka stuknęła o podłogę. Do prawej ręki chłopca dołączyła lewa. Wspólnymi siłami udało mu się odczepić od siebie niewielkie miotające się ciało dziewczynki i wrzucić je do łazienki. Następnie musiał użyć całej swojej siły, popartej ciężarem dojrzewającego organizmu, żeby zatrzaskać drzwi. Obok, oparta o ścianę, stała szczotka na grubym kiju, którą przygotował podczas półgodzinnego oczekiwania na kluczyk. Podparł drzwi, zapierając jeden koniec kija o występ w ścianie, a drugi o klamkę. Ćwiczył to kilkakrotnie. Nadspodziewanie głośne uderzenia małych pięści nie były w stanie usunąć drewnianej przeszkody. Wolfgang chciał otworzyć skrzynkę, opróżnić jej zawartość i wynieść się stąd jak najszybciej. Wtedy z głębi łazienki dobiegł go dźwięk. Nieludzkie, świdrujące wycie bez trudu przenikało przez drzwi. A może to diabeł przyszedł go ukarać? „Jesteś bandytą i zbrojnym”. Nie mógł tu zostać ani sekundy dłużej. Chwycił skrzynkę i wybiegł z mieszkania.

Od momentu, kiedy połknęła ją ciemność, do chwili, w której przestraszony listonosz odblokował drzwi, minęła niecała minuta. A jednak przez ten czas

zdążyła poznać istotę przerażenia. Zdążyła poczuć strach wszystkimi zmysłami. Czowała jego zapach, smak i dotyk. Widziała wstrętne, oślizłe łapy obmacujące jej myśli. Przez pół minuty nie przestawała krzyczeć ani na sekundę. Nie wiedziała, czy się dusi, bo krzyk nie pozwalał zaczerpnąć powietrza, czy też dusi ją własne serce, które zablokowało przełyk. Ciemność łazienki nagle nabrała gęstości smoły i zaczęła się kurczyć. Oblepiała ją. W momencie, kiedy do pomieszczenia wpadło światło, była pewna, że łazienka przylega do niej tak ciasno, że przybrała jej własny kształt.

Wolfgang zbiegał ze schodów, ściskając metalową skrzynkę. Przeskakiwał po kilka schodów naraz. Gonił go krzyk przerażenia, który sam z niej wycisnął. Przez moment wydawało mu się, że to jego własny krzyk. Bał się, że nigdy nie przestanie go słyszeć.

– Co tu się dzieje?

Wolfgang wpadł na listonosza idącego na górę. Zabrakło mu dwóch sekund. Siedmiu schodów. Odbił się od potężnego pana Bojanka i zrobił najgłupszą rzecz, jaką mógł – rzucił się na niego z pięściami. Właściwie z pięścią, bo w drugiej ręce kurczowo trzymał skrzynkę. Cios, jaki wymierzył studwudziestokilogramowemu listonoszowi, nie mógł zrobić na mężczyźnie większego wrażenia. I nie zrobił. Spowodował natomiast, że dobroduszny zazwyczaj pan Bojanek przypomniał sobie, że w dawnych czasach nie był aż tak dobroduszny. Z tego zresztą powodu został usunięty z liceum, a wkrótce potem został listonoszem. Szybko ogarnął sytuację. Krzyk przerażenia. Uciekający chłopak. Skrzynka wyglądająca jak minisejf i niespodziewany atak. Równanie było proste, jak rozwiązanie zastosowane przez Bojanka. Listonosz zasłonił się przed kolejnym ciosem furiata, a jednocześnie drugą ręką wymierzył potężny cios w głowę. Odgłos uderzenia skóry na jego tłustej pięści o napiętą skórę twarzy Wolfganga był niewspółmiernie cichy w porównaniu z tym, który usłyszał chłopiec. W jego mózgu rozległ się potężny grzmot, któremu wtórowała srebrna błyskawica. Kiedy huk grzmotu stał się nie do zniesienia, chłopiec przestał widzieć błyskawicę. Stracił przytomność.

Drzwi niektórych sąsiadów zaczęły się uchylać. Bardzo powoli. Niepewnie. Z wysiłkiem. Tak jakby lokatorzy bloku mieli pod drzwiami sterty gruzu, który skutecznie je blokował. Listonosz nawet się nie odwrócił. Zdążył tylko wyrwać skrzynkę ze zwiotczalej dłoni i wbiegł na pierwsze piętro. Nieprzytomny Wolfgang runął w dół, pokonując siedem schodów, jakby na

dole znajdował się basen, a nie zimna kamienna posadzka. Nie słyszał kolejnego grzmotu w głowie. Listonosz oszczędził mu bólu o wiele większego niż ten, który mu zadał. Nie było też kolejnego błysku.

Listonosz odrzucił kij blokujący drzwi, a dla Joasi było to jak rozprucie potwornego żołądka, który ją oblepił i trawił sokami ciemności. Listonosz pochylił się nad nią. Chciał powiedzieć coś kojącego, ale nie zdążył. Wreszcie mogła się wydostać z monstualnych trzewi. Wybiegła z łazienki. Nie wiedziała nawet, że dzieliła ją razem z babcią Natalią. W tym przypadku ciemność okazała się dobroczynna. Pan Bojanek nie miał tyle szczęścia. Wstrząśnięty wpatrywał się w Natalię leżącą w wannie. Ktoś zakleił jej usta taśmą samoprzylepną. Niepotrzebna ostrożność. Natalia była nieprzytomna. Jej lewa ręka wystawała z wanny zgięta pod nienaturalnym kątem. Ciemne ubranie kryło szczegóły pobicia przed coraz liczniej zbierającymi się w mieszkaniu sąsiadami. Listonosz wręczył jednemu z nich skrzynkę zabraną złodziejowi. Drżącą ręką starał się odnaleźć właściwe klawisze w telefonie.

Joasia schodziła po schodach, zataczając się jak pijana. Gardło drapało, jakby połknęła szklankę piasku. Nie zwracała na to uwagi. Czuła się szczęśliwa jak nigdy dotąd. Miała ochotę się śmiać. Ulga przepełniająca jej serce była podobnie ślepa jak przerażenie, które z niego wyparła.

Przy drzwiach prowadzących na osiedle skąpane wiosennymi promieniami słońca w groteskowej pozie leżał Maciek. Złodziej. Joasia znieruchomiała, jakby stała się częścią nieistniejącej fotografii. Przystanęła przy lewej nodze chłopaka, która leżała na drugim stopniu, i zmierzyła go spojrzeniem. Bruzdy na policzkach zaorane jej paznokciami wypełniała krew płynąca z jakiegoś tajemnego źródła ukrytego w gęstwinie włosów. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Wreszcie spróbowała ominąć ciało tarasujące dostęp do wyjścia. Oczy jednak nie chciały się odkleić od przymkniętych powiek chłopaka. Joasi udało się ominąć przeszkodę, nawet jej nie musnąwszy. Położyła rękę na klamce, kiedy Wolfgang drgnął i otworzył oczy. Joasia stała niezdolna do najmniejszego ruchu. Usta chłopca poruszyły się.

„No dobra, co się stało? Ktoś ci coś zrobił?” – usłyszała jego głos w sercu, ale zaraz potem ten sam głos wrzasnął: „Kluczyk od skrzynki!”. Którym głosem przemówi teraz...? Wiedziała, że jeżeli ucieknie, nigdy się tego nie dowie. Kucnęła przy głowie Wolfganga.

Patrzył na nią, a ona nie odwracała wzroku. Znow otworzył usta. Musiała przyłożyć do nich ucho, żeby usłyszeć, co mówi. Bardzo chciała to wiedzieć.

– Boję się – wyszeptał, a ona delikatnie ujęła jego głowę w swoje ręce i przycisnęła do wykluwającej się piersi. Nie umiała go nie przytulić.

— Dlaczego mi to opowiedziałeś? – zapytał Maksymiuk.

Pytanie było obcesowe, ale na twarzy przełożonego widać było smugi refleksji.

– Wydawało mi się to ciekawe – powiedział szczerze Strawiński. Nie odważyłby się opowiadać nudnej historii.

– Myślałem, że usłyszę od ciebie jakąś bajkę o tym, że ktoś nie pił i był chory, a potem zaczął pić i wyzdrowiał.

– Nie znam takich historyjek – przyznał się Strawiński. – To znaczy moja jest pierwsza. Ale nudna.

– Twoje szczęście, że nie opowiedziałeś mi o sobie – zagroził Maksymiuk.

– Ja nigdy nie opowiadam o sobie – skłamał Strawiński.

– A o kim opowiadasz?

– O innych.

– To dobrze. Wiesz, co najbardziej cenię?

Strawiński uznał pytanie za wyjątkowo podchwytliwe.

– Nie wiem – odpowiedział.

– Honor.

Strawiński ucieszył się, że nie zgadywał, bo nigdy w życiu by nie odkrył, że Maksymiuk najbardziej w życiu ceni sobie właśnie honor.

– Rozumiem – stwierdził ostrożnie.

– Mogłeś stchórzyć i próbować przekonać mnie do swoich racji, a ty byłeś odważny i przyznałeś, że to ja mam rację.

– Tak było – zgodził się Strawiński, nie mając pojęcia, o czym rozmawiają.

– Dlatego cię nie wyrzucę – zawyrokował Maksymiuk.

– To dobrze.

– Zapomnę o bzdurach doktora Balbiny.

– Babieno – sprostował Strawiński.

– Ale... – Przełożony wycelował w niego dwa palce, jakby mierzył z pistoletu. – Nigdy więcej nie lecz się już w moim biurze.

Porozumiewawczo przymrużył jedno oko i nagle wydał się Strawińskiemu

człowiekiem. Doznanie było tak silne, że aż mu się zakręciło w głowie.

Kiedy Strawiński wrócił do swojego biurka, wiedział, że będzie respektował postanowienia ustnej umowy, jaką przypieczętowali w gabinecie szefa. Ale jednocześnie był tak uskrzydłony, że pragnął czegoś więcej niż tylko tego, żeby się nie leczyć. Pragnął zachorować. Dla Maksymiuka. Za okazane zrozumienie. Dlatego w porze obiadowej wyskoczył do sklepu monopolowego i kupił najtańszą wódkę. Nie znał lepszego i szybszego sposobu na zrujnowanie własnego zdrowia.

Wprowadzenie do opowieści, w którym okazuje się, że poszukiwania idealnej partnerki mogą być powodem wielu nieporozumień

Pod koniec każdego miesiąca Strawiński odczuwał nieodpartą potrzebę zakochania się do szaleństwa. Powodem mogła być zbliżająca się wypłata. Przypływ gotówki zawsze budził w nim instynkt wicia gniazda. Strawiński nie potrafił się temu oprzeć. Nie obchodziły go lekkie zauroczenia ani przelotne romanse. W grę wchodziło prawdziwe uczucie. Wielkie wewnętrzne przeżycia, doznania emocjonalne, o których czytał w książkach. Potrzebował uczucia, które byłoby fundamentem poważnego związku dwojga ludzi. Strawiński chciał kochać bezgranicznie, a jeszcze bardziej chciał, żeby ktoś bezgranicznie kochał jego.

Mniej więcej od dwudziestego szóstego dnia każdego miesiąca zaczynał mieć obsesyjne fantazje. Wyobrażał sobie kobietę wpatrującą się w niego zachwyconymi oczami. Strawiński też się będzie nią zachwycał. Będzie wiedział o niej wszystko. Zapytany w sklepie z bielizną nie zająknie się i pewnym głosem poda rozmiar jej miseczek. Będą chodzić na spacer i rozmawiać o życiu. Potem ona urodzi mu troje dzieci, a on je wychowa. Strawiński nie miał wątpliwości, że będzie dobrym ojcem. W dzieciństwie rodzice kupili mu pisklę kaczki, które wyrosło przy nim na rozsądnego i dobrego ptaka, którego ostatecznie nie zjedzono. Obecnie Strawiński dobiegał czterdziestki i jego największym marzeniem było ustabilizowane życie. Domek z białym płotkiem, pies merdający ogonem i czeredka dzieci wybiegająca mu na spotkanie. Tymczasem był bezdzietnym kawalerem, co

rodziło w nim wielką frustrację.

Pewnego dnia Strawiński uznał, że nadszedł czas podsumowania swojego życia emocjonalnego. Z tego powodu planował wyjść z pracy wcześniej, ale ostatecznie w ogóle do niej nie poszedł. Sprawa była zbyt poważna. Kupił butelkę szampana, kawior i o 15.30 rozsiadł się w fotelu. Nie wiedział, od czego zacząć, dlatego pierwsze półtorej godziny upłynęło mu na wyobrażaniu sobie koleżanek z pracy w stroju toples. Kiedy się znudził, jego myśli wróciły na zaplanowane wcześniej tory. „Może ja jestem zbyt wymagający?” – westchnął. Rzeczywiście miał wyidealizowany obraz prawdziwej miłości i nie zamierzał iść na łatwiznę. Wiedział, że nie wolno lokować uczuć w niepewnych miejscach. Było to ryzykowne dla obu stron, a on nie chciał nikomu złamać serca. Strawiński był bardzo wrażliwym człowiekiem. Dlatego lubił się zabezpieczać.

Na pierwszą randkę zapraszał kobietę do kina, ale to ona wybierała film. Strawiński nie wyobrażał sobie, by ożenić się z kimś, kto gustuje w filmach epatujących przemocą. Był zawziętym pacyfistą. Jeżeli wybranka przeszła pomyślnie test kinowy, szli do restauracji. Strawiński stawał się wtedy spięty, ponieważ panicznie bał się mlaskania. Zawsze wybierał puste restauracje, w których nie puszczano muzyki. Tylko wtedy mógł być absolutnie pewny, czy kobieta, którą obdarzył wstępnym zaufaniem, przypadkiem nie mlaska. Jeżeli mlaskała, mówił jej o tym, ponieważ był za całkowitą szczerością w związku, nawet jeżeli jeszcze go nie było.

Po pozytywnym zaliczeniu dwóch pierwszych prób nadchodził etap prawdy, w którym Strawiński prosił potencjalną wybrankę, żeby się rozebrała do naga. Wiele kobiet wzdragało się na ten pomysł, a Strawiński, wychodząc naprzeciw ewentualnym protestom, sam się rozbierał. Miało to dodawać otuchy i stanowiło duży krok w kierunku integracji, bez której Strawiński nie wyobrażał sobie udanego pożycia. Wyczytał kiedyś, że podstawą udanego związku jest połączenie trzech rzeczy: szacunku, podziwu i namiętności. Szanował wszystkie kobiety, które przyjęły jego zaproszenie, natomiast nie wyobrażał sobie podziwiać którejkolwiek, zanim nie zobaczył jej nago. Wiązało się to bezpośrednio z namiętnością. Dlatego pozytywne zaliczenie etapu prawdy prowadziło do niezwłocznej propozycji seksualnej.

Strawiński nalał sobie kieliszek szampana. Piana poszła w górę i wypłynęła na podstawkę. Chrupał krakersa z kawiozem i usiłował sobie przypomnieć, ile kobiet doszło do etapu czwartego. Nad ranem doszedł do wniosku, że

siedemnaście procent. Nie był to wynik, który go ucieszył. Raczej zmartwił. Ale nie siedemnaście procent było najgorsze. Najstraszniejszy był paradoks. W końcu spośród siedemnastu procent kobiet, gotowych przespać się z nim od ręki, można było znaleźć tę jedną jedyną. Problem polegał na tym, że Strawiński nie chciał mieć rozwiązłej żony, ponieważ sam postanowił, że będzie wierny do szaleństwa. „Kobieta, która na pierwszej randce idzie z tobą do łóżka, prawdopodobnie pójdzie z każdym, a co wtedy będzie z naszymi dziećmi?” – zadawał sobie pytanie. Niestety wszystkie odpowiedzi działały na niekorzyść kobiet.

Pojechał do biura sfrustrowany. Odburknął recepcjonistce na jej uprzejme powitanie i wsiadł do windy, chociaż zwykle tego nie robił. Uważał, że człowiek dobiegający czterdziestki musi dbać o kondycję bardziej niż niespełna trzydziestolatek, dlatego drogę na pierwsze piętro zwykł pokonywać na piechotę, a czasami nawet lekkim truchtem.

W windzie była kobieta. Musiała jechać z podziemnego parkingu. Wywijała kluczykiem od samochodu zaczepionym na palcu z długim paznokciem pomalowanym na czarno. Strawiński pomyślał, że to zły znak, ale zignorował go. Kobieta była ładna i przewyższała go o pół głowy. Uśmiechnęła się do niego, a potem winda zacięła się na półpiętrze.

– Winda się zacięła – stwierdził Strawiński.

– I co teraz zrobimy? – odezwała się niskim głosem, pasującym do paznokci.

– Nie umiem jej zreperować – przyznał się od razu Strawiński.

– Ja też nie.

– Fatalnie.

Przez chwilę milczeli, a Strawiński wdychał zapach jej perfum.

– Pracujesz tutaj? – spytała.

– Od dziesięciu lat. – Strawiński opuścił wzrok, bo trochę się tego wstydził.

– Nigdy cię nie widziałam.

– Ja ciebie też nie.

– Ja tu pracuję od wczoraj.

– Może dlatego mnie nie widziałaś.

– Zwróciłabym na ciebie uwagę – powiedziała, poprawiając sobie duże okulary słoneczne.

– Dlaczego? – zainteresował się Strawiński.

– Bo jesteś interesujący. – Koniuszek języka delikatnie zwilżył jej wargę.

– To prawda – przyznał Strawiński. – Kobiety tak uważają.
– Lubię mężczyzn, którzy znają swoją wartość.
– Ja też.
– Jesteś gejem? – zdziwiła się, ale z jej twarzy nie zniknęło zainteresowanie.
– Wydaje mi się, że nie – powiedział po namyśle Strawiński. – Ale może po prostu nigdy nie spotkałem właściwego mężczyzny.
– Intrygujesz mnie coraz bardziej – ściszyła głos i nachyliła się nad nim. Miała miętowy oddech.
– Ty mnie też. – Strawiński zagrał w otwarte karty, ale postanowił być ostrożny. Całonocne rozmyślenia o życiu emocjonalnym nie poszły w las.
– Co z tym zrobimy?
– Zastanówmy się.
– Nie lubię się zastanawiać.
„Mamy problem” – pomyślał Strawiński. Do tej pory wydawało mu się, że są niedopasowani jedynie wzrostem, teraz zaczynały wychodzić na wierzch również różnice osobowościowe.
– Możemy wypracować jakiś kompromis – powiedział.
– W jakiej sprawie? – Małym palcem zsunęła okulary na koniec nosa. Miała błękitne oczy, równie zimne jak stalowoszare ściany windy.
– W naszej – kontynuował niezrażony pytaniem, które wydało mu się głupie.
– Jeżeli ja lubię się zastanawiać, a ty nie, to mamy kilka rozwiązań. Po pierwsze, możemy zrezygnować z zastanawiania się, tak że ty będziesz zadowolona, ale ja nie. Po drugie, możemy się zastanawiać oboje bez przerwy, co da duże pole do popisu mnie, ale obawiam się, że ciebie to unieszczęśliwi. Po trzecie, ja mogę się zastanawiać za ciebie i za siebie, co sprawi, że będziemy się czuć swobodnie, ale czy da nam to szczęście? Obawiam się, że nie. Wreszcie po czwarte, ja się nie będę zastanawiał wcale, a ty się będziesz zastanawiała cały czas. W ten sposób poświęcimy się dla siebie, co samo w sobie jest aktem wielkiego uczucia, ale nie wiem, czy jesteśmy na to gotowi.
Strawiński skończył. Popatrzyła na niego.
– Nie mógłbyś mnie po prostu zerznąć? – spytała.
– Mógłbym – powiedział Strawiński zgodnie z prawdą. Jednocześnie zaczął podejrzewać, że trwały związek z nieznajomą może być trudny. Strawiński mieszkał w wieżowcu na dziewiątym piętrze, a winda psuła się tam średnio

dwa razy w tygodniu. Bezpośredniość kobiety wydała mu się ujmująca, jednak matkę swoich dzieci wyobrażał sobie zgoła inaczej.

Dźwig został odblokowany i winda dojechała na pierwsze piętro. Kiedy otworzyły się drzwi, powymowali już ręce ze swoich spodni. Niestety Strawiński nie zdążył schować biustonosza, który zdjął sprawnie z kobiety, z czego był dumny.

Na holu przed windą zebrało się sporo osób. Winda była nieczynna przez dobrych kilka minut. Okazało się, że jednym z oczekujących był Wiktor Jędrzej Maksymiuk, a kobieta z windy to jego nowa narzeczona. W biurze sporo mówiło się o tym, że boss rozgląda się za nową narzeczoną od czasu, kiedy przestał na korytarzach zauważać swoją byłą narzeczoną. Sprawa stała się naprawdę głośna, kiedy pewnego dnia potknął się o nią i udał, że tego nie widzi.

– Co tu się dzieje? – wymamrotał Maksymiuk, a tłum ludzi czekających na windę przelał się z powrotem do biura, zupełnie jakby hol był wielką wanną zakorkowaną drzwiami.

– To nie jest tak, jak myślisz, kochanie – powiedziała kobieta, zabierając Strawińskiemu swój biustonosz.

– Ona ma rację – przyznał Strawiński, ponieważ był pewien, że prezes nie miał pojęcia, jak było.

– Ty skurwysynu – powiedział Maksymiuk.

– Czy mogę już wrócić do pracy? – zapytał nieśmiało Strawiński, któremu całkowicie już przeszła ochota na amory. Nie naszała go jeszcze ciągle ochota do pracy, ale nie uważał, żeby informowanie o tym szefa było dobrym posunięciem, zwłaszcza w zaistniałej sytuacji.

– Zostaw nas samych, Muflonku. – Maksymiuk miał taką łagodną minę, kiedy mówił do narzeczonej.

– Muflonku? – zdumiał się Strawiński, chociaż wcale nie chciał się zdumiewać.

Maksymiuk otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Tymczasem kobieta zwana Muflonkiem schowała biustonosz w rozmiarze 4D (według Strawińskiego) do torebki i z roztrzęsionymi piersiami weszła do biura.

– Dlaczego nazwał ją pan tak jak górskiego barana występującego na terenie... – Tym razem to Strawińskiemu głos uwiązł w gardle.

Jego przełożony chwycił go oburącz za szyję i ścisnął z całej siły. Po chwili

obaj zrobili się czerwoni na twarzach. Kiedy ich rozdzielano, Maksymiuk sapał, a Strawiński charczał. Potem obaj siedzieli na ławce pod ścianą i solidarnie sapali. Ochroniarz, który ich rozdzielił, stał obok i przyglądał się im nieufnie. Zapewne wyobrażał sobie, że gdy tylko zostawi ich samych, natychmiast wrócą do duszenia.

– Wsadzę cię do więzienia – powiedział Maksymiuk, nie spoglądając na podwładnego.

– Wolałbym nie – przyznał szczerze Strawiński.

– Chciałeś zgwałcić moją narzeczoną.

– Nieprawda.

– W takim razie uwiodłeś moją narzeczoną – sprostował Maksymiuk. – A to jest jeszcze gorzej.

– Nieprawda. – Strawiński potrafił być uparty, kiedy wierzył w swoje racje. – Poza tym nie wiedziałem, że Muflonek jest pana narzeczoną.

– Nie mów na nią Muflonek.

– Dobrze. W takim razie kobieta, na którą pan mówi Muflonek, powiedziała mi, że tu pracuje.

– Bo to prawda! – Maksymiuk chciał się zerwać z ławki, ale ostatecznie zrezygnował.

– Jest dyrektorem marketingu.

– A mnie powiedziała, że pracuje tu od wczoraj.

– Bo tak jest. Muf... to znaczy dyrektor Jadłodajnia nigdy nie kłamie.

– Już wolałem, jak pan na nią mówił Muflonek.

– Pani dyrektor nazywa się Jadłodajnia – szepnął Maksymiuk, a Strawińskiemu wydało się, że szef zaraz zemdleje. – Martyna Jadłodajnia.

– Gdybym wiedział, że pani dyrektor Jadłodajnia jest pana narzeczoną, nigdy bym jej nie dotknął – usprawiedliwił się Strawiński, chociaż wcale nie był tego taki pewny.

Jadłodajnia była atrakcyjna i sama wlaźła mu w rękę.

– Nie mogłeś o tym wiedzieć, bo jesteśmy ze sobą od dwóch dni. – Maksymiuk jakby trochę się rozluźnił. – Poznałem ją przedwczoraj w hotelu i od razu zrozumiałem, że jest kobietą mojego życia.

– No i że jest wybitnym dyrektorem marketingu – uzupełnił odruchowo Strawiński.

Maksymiuk przyjrzał mu się podejrzliwie, ponieważ podejrzewał, że pracownik sobie z niego kpi, ale Strawiński był zajęty masowaniem obolałej

duszeniem szyi.

– Zapewniłem zarząd i udziałowców, że nikt nie nadaje się na to stanowisko lepiej niż ona.

– Gratuluję.

Zapadła cisza, którą przerwał szef:

– Zanim wyrzucę cię na zbity pysk, powiedz mi, jak do tego doszło.

– Winda się zacięła, potem ona opowiedziała mi, że nie lubi myśleć, a potem wsadziła mi język do ucha, no to ja wtedy...

– Nie chcę tego słuchać – przerwał mu Maksymiuk.

– Dobrze.

– Musiałeś ją czymś sprowokować.

Strawiński milczał.

– Czym ją sprowokowałeś?

– Niczym.

– Przypomnij sobie.

Strawiński próbował sobie przypomnieć przebieg spotkania w windzie sprzed czasu języka w jego uchu.

– Spytała mnie, czy jestem gejem – stwierdził wreszcie.

– A jednak! – wrzasnął Maksymiuk.

– Powiedziałem jej, że nie jestem. Byłem uczciwy i za to ma mnie spotkać kara? – Strawiński odkrył, że jest autentycznie rozgoryczony.

– W tej firmie uczciwość zawsze była, jest i będzie najważniejsza – wyrecytował Maksymiuk kredo, które widniało w herbie korporacji, napisane tuż pod wizerunkiem dziobaka, który według zarządu był widocznie synonimem uczciwości.

– No właśnie.

– Ale to nie znaczy, że możesz sobie robić, co chcesz z moją narzeczoną.

– To ona robiła ze mną, co chciała, ja jej tylko pomagałem. Nigdy nie odmawiam pomocy.

– W tej firmie nikt nie ma prawa nikomu odmawiać pomocy – uniósł się Maksymiuk.

– Właśnie. Sam pan widzi, że postępuję według zasad firmy. – W głosie Strawińskiego pojawiła się nuta pretensji. – I co z tego mam? Awans? Nie. Podwyżkę? Nie. Zostanę wyrzucony na zbity pysk.

Strawiński ukrył twarz w dłoniach.

– Trochę się zdenerwowałem – przyznał Maksymiuk.

- Nie ma sprawy.
- Ale jakby ktoś wsadził język w ucho twojej narzeczonej...
- Nie mam narzeczonej.
- Dobrze, więc jakbyś miał narzeczoną i ktoś by jej wsadził język w ucho...
- To ona mi wsadziła język w ucho, ja jej wtedy zdjąłem biustonosz – sprostował Strawiński z isticronikarskim pietyzmem.
- Dobrze, w takim razie gdybyś miał narzeczoną, która wsadziła komuś język do ucha, a ten ktoś zdjąłby jej biustonosz, to jakbyś się poczuł?
- Strawiński zastanowił się głęboko, ponieważ było to pierwsze pytanie szefa, które wydało mu się godne zastanowienia.
- Ale czy byłbym szefem firmy, a facet z językiem w uchu byłby moim pracownikiem? – upewnił się.
- Co to ma do rzeczy?
- Jeżeli nie byłbym szefem firmy, a on nie byłby moim pracownikiem, to nie mógłbym go wyrzucić.
- Nie rozmawiamy o tym, kto kogo może wyrzucić.
- Ja rozmawiam, bo pan chce mnie wyrzucić.
- Sam już nie wiem. – Maksymiuk wydawał się zagubiony.
- A kiedy się pan dowie? – Strawiński lubił wiedzieć, na czym stoi.
- Potrzebuję argumentów, żeby jeszcze raz ci zaufać.
- Mogę panu coś opowiedzieć?
- Maksymiuk odwrócił twarz w jego stronę. W jego oczach pojawiła się ulga.
- No dobrze – zawyrokował.

ANKA, czyli MÓJ ALBO CHUJ

Leżał w łóżku od kilkunastu minut i jego oczy przyzwyczały się już do ciemności. Mimo to wciąż patrzył, nie widząc. Żadnych konturów. Ciemność była doskonała. Podobnie jak przenikliwa cisza, która w połączeniu z mrokiem wzmagала napięcie oczekiwania.

Roman lubił to oczekiwanie. Jednocześnie wiedział i nie wiedział, na co czeka.

Przerażający pisk rozdarł ciszę, a ciało Romana podskoczyło, wyginając się w łuk. Wraz z dziką kakofonią dźwięków pokój zalały błyskawice stroboskopowego światła, odkrywając spowite satyną okrągłe łoże. Błyszcząca srebrem czerń kontrastowała z nagim ciałem czterdziestoletniego mężczyzny. Po kilkunastu sekundach szaleństwo zgrzytliwych dźwięków urwało się równie gwałtownie, jak się rozpoczęło. Częstotliwość błysków wzrosła, a sypialnia to znikwała, to pojawiała się w zawrotnym tempie.

W ten odrealniony świat wkroczyła kobieca postać. Długi peniuar, okrywając ją, podkreślał regularne kształty. Piękna, wyniosła twarz mogła należeć do egipskiej królowej. Lidia szła w kierunku łoża, kołysząc biodrami. Czarne pukle lekko skręconych włosów opadały na piersi, między którymi kołysał się srebrny wisior w kształcie połówki jabłka.

Roman nie mógł oderwać od niej wzroku. Znał ją od dwudziestu lat. Od piętnastu był jej mężem, a jednak za każdym razem, kiedy spotykali się w sypialni, oczarowywała go tak jak za pierwszym razem. Dbała, żeby nigdy nie było tak samo.

Na co dzień sumienna farmaceutka, po zmierzchu liniała z garsonki jak wąż zrzucający skórę. Żaden z klientów nie rozpoznałby w zjawie stojącej u wezglowia małżeńskiego łoża kobiety, która jeszcze kilka godzin temu wydawała leki przeciwko migrenie.

Prawdziwą Lidię znał tylko Roman. I był z tego dumny.

– Nie mogłem się doczekać, kochanie – szepnął, a ona położyła mu palec na ustach.

Lidia cierpiała na obsesję, na którą próżno byłoby szukać lekarstwa w jej aptece. O tym nie wiedział nikt. Ani on. Ani ona.

Kiedy miała szesnaście lat, uwierzyła, że jest piękna. Męska część grona pedagogicznego stawiała jej oceny celujące bez względu na poziom wiedzy. Na pozytywne oceny u nauczycielek musiała się bardzo napracować. Bardziej niż ktokolwiek.

Lidia szybko zdała sobie sprawę, że jej uroda nie jest wieczna. Świadomość przemijania zdominowała terażniejszość, a lęk przed utratą urody był silniejszy od radości jej posiadania.

– Nie każ mi dłużej czekać. – Roman wyciągnął do niej rękę. Lidia spojrzała na niego, po czym silnym szarpnięciem rozdarła peniuar. Materiał zsunął się na podłogę, łaskocząc długie nogi. Roman przełknął ślinę. Jego oczy pierwsze zachłysnęły się rozkoszą.

– Mów – odezwała się lekko zachrypniętym głosem.

– Jesteś piękna – powiedział Roman i niczego w życiu nie był bardziej pewny.

– Jak piękna? – Agresja w jej głosie zwiększała jego pożądanie.

– Najpiękniejsza. – Kręcił głową, z uwielbieniem delektując się widokiem jedwabiście połyskującej skóry, o którą czas ciągle jeszcze się nie upomniał.

– Mów! – krzyknęła, a stroboskopowe błyski odbiły się od jej białych zębów otoczonych pełnymi wargami.

– Najpiękniejsza na świecie!

– Mów! – wrzasnęła, wbijając dziki wzrok w jego usta.

– Lidio! Jesteś najpiękniejsza na świecie!

Jęknęła, a jej skórę zmarszczyły dreszcze, tak jak wiatr marszczy tafle wody. Rytuał inicjujący był skończony. Sypialnię wypełniła muzyka smyczkowa, a błyski stroboskopu zastąpił reflektor rozlewający bursztynowy blask.

Lidia pochyliła się nad Romanem, a połówka jabłka kołysząca się między bujnymi piersiami dotknęła identycznej połówki zawieszanej na szyi Romana.

Roman nosił swoją część wisiora na rzemyku i nie wolno mu było jej zdejmować.

Nigdy.

Cygan zwany Rzygim

Część I

Wszystko zaczęło się normalnie i nic nie świadczyło o tym, że będzie to początek końca. Dochodziła dwudziesta trzecia i dworzec był przersedzony, podobnie jak fryzura Człowieka z Teczką, którego obserwował. O tej porze najlepiej było zastosować numer z padaczką. Jest skuteczny, ale rzuca się w oczy, a występ był przeznaczony tylko dla jednego widza. Starannie wybranego spośród podróżnych. Krępy dwunastolatek miał wprawę w wyszukiwaniu bogatych pasażerów. Lata praktyki nauczyły go łowić szczegóły, które odróżniały bogatych od biednych. Przede wszystkim niewielki bagaż. Bogaci ludzie rzadko podróżowali objuczeni walizami. Zwykle poprzestawali na skórzanych teczkach na laptopy. Postawa wyprostowana, pewna siebie mina. Przypominali oficerów, a ich mundurami były garnitury markowych firm. Kupowali najdroższe bilety. Niedbale wsuwali banknoty przez okienka kas. Nie podtrzymywali pieniędzy mimo przeciągu, który mógł je zwiać. Tego typu niuanse wpływały na decyzję Cygana.

Nie pamiętał, kto pierwszy nazwał go Cyganem. Był blondynem o jasnych oczach. Potem jego przywisko zdrobniono i mówiono na niego Cygi, a wkrótce potem zaczęto mówić na niego Rzygi. Tak mówili na niego sklepikarze dworcowi, właściciele tanich barów, ochrona kolei, a nawet rodzice.

Człowieka z Teczką wypatrył, kiedy ten wysiadał z limuzyny o przyciemnianych szybach. Nie przyjechał taksówką. Przez halę dworcową przeszedł, nie zwracając pozornie uwagi na otoczenie. Rzygi widział jednak, że łysiejący mężczyzna po pięćdziesiątce strzelał oczami na boki, rejestrując najdrobniejszy ruch. Swoim zachowaniem przypominał kota, i Rzygi powinien był odpuścić.

W świecie zwierząt to koty są myśliwymi.

Człowiek z Teczką miał na sobie długi płaszcz, spod którego wystawał ciemny garnitur. Z daleka wyglądał na księgowego. Z bliska również, tyle że jego „księgowość” stawała się zbyt oczywista, aby mogła być prawdziwa. Tego Rzygi nie zauważył, ale poczuł. Kolejny powód, żeby zostawić pasażera w spokoju.

Człowiek z Teczką kupił bilet w wagonie sypialnym, rezerwując cały przedział. Rzygi nie słyszał rozmowy z kasjerką, bo stał kilkanaście metrów dalej, ale umiał czytać z ruchu warg. Wiedział, że pociąg, który interesował podróżnego, odjedzie z peronu czwartego. To była dobra wiadomość. Żeby się tam dostać, Człowiek z Teczką będzie musiał przejść wzdłuż trzech innych zejść na perony i po drodze minąć zaułek wrzynający się między przeszklone witryny sklepu z odżywkami dla kulturystów i antykwariatem. Oba sklepy były o tej porze zamknięte.

Rzygi wyciągnął komórkę, wystukał umówiony kod i wysłał do rodziców, po czym ruszył na swoje miejsce.

Mirosław Wolański, zwany Księgowym, szedł równym krokiem po brudnym, mdło oświetlonym dworcu. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Pomysł, żeby podróż odbyć pociągiem, zdawała egzamin. Jego zamiłowanie do wygody było znane i nikomu nie przyszło do głowy, żeby czekać na niego na zapytającym dworcu. Księgowy nie zgodził się na żadną ochronę i to też było dobre posunięcie. Ludzie, którzy od lat zapewniali mu bezpieczeństwo, w każdym miejscu wyglądali jak papugi na Antarktydzie. Co prawda dzięki temu w czasie podróży nie zmruży oka, ale przecież nie można mieć wszystkiego. Uśmiechnął się do swoich myśli. Zasada, wpojona mu przez matkę, w jego dorosłym życiu nie znajdowała potwierdzenia. Księgowy miał wszystko, czego zapragnął. Władzę, pieniądze, kobiety, a nawet zdrowie. Badał się co kwartał i lubił słuchać lekarzy, którzy twierdzili, że ma organizm trzydziestolatka. Żeby jeszcze te cholerne włosy przestały wypadać. Księgowy nigdy nie przywiązywał dużej wagi do swojego wyglądu, ale lubił się czesać. Ta czynność go relaksowała. Podejrzewał, że pastowanie będzie nędznym substytutem czesania.

Fantazjował na temat przeszczepienia włosów, kiedy z pobliskiego zaułka dobiegł go stłumiony jęk. Jego wzrok powędrował w tym kierunku, zanim szyja przekręciła głowę. Po podłodze wił się chłopiec, wydając z siebie nieartykułowane dźwięki. Księgowy z odradzą patrzył na bąbelki śliny pieniące się na ustach dziecka. Nie mógł oderwać oczu od nieprzyjemnego widoku, co często mu się zdarzało.

Nagle w polu widzenia pojawiła się przerażona kobieta, która przykucnęła przy dziecku.

– Ma pan pasek?! – krzyknęła.

Księgowy rozejrzał się dookoła, upewniając się, czy pytanie było zwrócone do niego, ale byli sami.

– Szybko, bo odgryzie sobie język!

Księgowy wyplątał pasek ze spodni. Nieznajoma wcisnęła cielecą skórę między zęby chłopca. Gładziła go po spoconej głowie i szeptała uspokajające zaklęcia. Dziecko przestawało się miotać. Jeszcze tylko lewa noga w brudnym trampku spazmatycznie tarła posadzkę.

Księgowy obserwował scenę z ciekawością. Miał jeszcze trochę czasu. Kobieta przytuliła głowę dziecka do piersi, po czym odwróciła się w stronę wybawcy. W jej oczach było tyle wdzięczności, że Księgowy poczuł się zażenowany.

– Dziękuję – mówiła cicho kobieta, a spokój dodał jej urody, które Księgowy przed chwilą nie zauważył.

– Nie ma za co – bąknął, z niesmakiem przyglądając się zaślinionemu paskowi. Będzie musiał kupić nowy.

– Jest... – Naciskowi, z jakim wypowiedziała te słowa, towarzyszył nacisk jej ciała na jego ciało. Wyraźnie poczuł jej piersi. Dłonie przytuliły go i omiotły całą sylwetkę, zupełnie jakby kobieta była niewidoma.

W głowie usłyszał ostrzegawczy brzęczyk, bo chory chłopiec gdzieś zniknął. Kobieta wciąż tuliła się do niego, a jej dłonie prawie niewyczuwalnie błądziły w przestrzeni między płaszczem a marynarką. Księgowy odsunął ją stanowczym ruchem i dotknął wewnętrznej kieszeni. Nie wyczuł portfela i natychmiast mocno zacisnął swoją dłoń na nadgarstku kobiety.

– Portfel... – warknął.

Przedstawienie się skończyło. Wtedy poczuł na swojej szyi dotyk czegoś zimnego. Ktoś, kto podszedł z tyłu, przyłożył mu do gardła nóż. Księgowy był świadkiem podobnych scen i nieraz wyobrażał sobie, co czuje człowiek z nożem na gardle. Wyobrażenia te nie pokrywały się z rzeczywistością. Stał nieruchomo jak posąg, bojąc się przełknąć ślinę, tak jakby ruch jabłka Adama mógł spowodować przecięcie skóry. „Jak mnie poderżnie, zachłapię kobietę” – pomyślał, patrząc na stojącą wciąż przed nim złodziejkę.

– Oddaj laptopa – dobiegł go zza pleców głos nożownika. Zbyt spokojny, żeby go lekceważyć. Palce Księgowego zwolniły uścisk i czarna skórzana teczka głucho stuknęła o posadzkę. Złodzieje nie mieli pojęcia, że w jej wnętrzu nie ma laptopa, tylko dwa i pół kilograma czystej amfetaminy.

Człowiek z Teczka przymknął oczy, a kiedy je otworzył, był sam. Spikerka

dworcowa przypominała, że jego pociąg odjedzie za pięć minut.

Tylko że Księgowy nie miał już po co jechać.

*

Lidia jak zwykle obudziła się przed nim. Wsunęła się spod ciepłej kołdry i stanęła przed jednym z wielu wiszących w sypialni luster. Krytycznie obejrzała swoje odbicie. Inspekcja wypadła nieźle. Roman przewrócił się na wznak. Uśmiechnęła się lekko na widok blizn na wypukłej klatce piersiowej. Czas pokrył litery bladym różem, ale napis „Lidia” wciąż był czytelny. Roman wykroił go sobie, kiedy byli na studiach, a ona poprosiła, żeby udowodnił jej, jak bardzo ją kocha. Nie wahał się i Lidia zrozumiała, że dokonała właściwego wyboru. Tuląc się do Romana, czuła strużki ciepłej krwi spływające po rozszarpanej scyzorykiem skórze. „Za chwilę krew zaschnie, a ja się do niego przykleję” – myślała wtedy. I miała rację.

Sen leniwie wypływał z Romana, zostawiając próżnię, którą wkrótce wypełni świadomość. Pierwszym obrazem, który ukazał się umysłowi rozgorączkowanemu snem, była naga Lidia. Spod wpółprzymkniętych powiek obserwował, jak pręży się przed lustrem. Zawsze zachowywała się tak, jakby obserwowały ją tłumy.

Toster stuknął i wyrzucił z siebie dwie kromki załoczonego pieczywa. W kuchni pachniało kawą. Roman postawił dwie filiżanki na stole, kiedy weszła Lidia, upinając włosy w kok. W gustownej popielatej garsonce wyglądała elegancko i budziła zaufanie. Usiadła naprzeciwko męża i uśmiechnęła się do niego. Delikatny makijaż dyskretnie podkreślał jej urodę. Posmarowała kromkę dżemem.

– Wyglądasz tak, że ludzie zaczną symulować choroby, żeby pójść do apteki – powiedział Roman.

– Jesteś bardzo miły – skwitowała obojętnie, ale wiedział, że sprawił jej przyjemność.

– Jestem tylko szczery. – Wzruszył ramionami.

– O której wrócisz?

– Późno – mówiąc to, unikał wzroku żony.

– Zawsze wracasz późno. Chcę wiedzieć, czy tym razem będzie bardzo

późno, strasznie późno czy potwornie późno? – Nie kryła irytacji.

– Kochanie, wiesz, że praca w szpitalu... – zaczął mimowolnie się bronić.

– Wiem – przerwała mu. – Praca w szpitalu to dla ciebie powołanie, a ty jesteś mesjaszem, którego skalpel zbawia ludzkość.

Lidia wyciągnęła z torebki papierosa, a Roman podsunął jej zapaloną zapalniczkę. Od kilku lat pozwalała sobie na palenie tylko przy porannej kawie. Nikotyna szkodziła jej cerze.

– Nie bądź złośliwa – mruknął.

– Nie lubię, jak jesteś bezradny. – Wydmuchnęła mocno kłęb niebieskiego dymu w sufit. – Zarzynasz się, a tego nikt nie docenia.

– Może z wyjątkiem ludzi, których udało mi się poskładać. – Roman przyjął wyzwanie bez wiary w sukces.

– Wdzięczność to piękna cecha, ale jeszcze nikt się nią nie najadł. Od miesiąca proszę cię, żebyś porozmawiał z Komarem o podwyżce.

– Komar nie jest już dyrektorem. – Roman stwierdził, że dłużej nie może tego ukrywać.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? – Nachyliła się przez stół, spoglądając mu głęboko w oczy.

– Bo nie chciałem usłyszeć tego, co teraz usłyszę. – Nie chciał też znosić karzącego wzroku, więc dojadł śniadanie i wstawił talerz do zmywarki.

Zza pleców dobiegło go pogardliwe prychnięcie.

– Uciezka. Ulubiony sposób rozwiązywania problemów przez mojego męża.

– Przed niczym nie uciekam. Jestem chirurgiem, a nie politykiem – podniósł mimo woli głos.

– Tak. Jesteś bardzo dobrym chirurgiem. Najlepszym w tym nędznym szpitalu, i już dawno powinieneś zostać doceniony nie tylko przez łamagi, które składasz do kupy. Kto został nowym dyrektorem? – Między stwierdzeniem a pytaniem Lidia nie zrobiła pauzy.

– Kozakiewicz – mruknął, wiedząc, że to go pogrąży.

– Cudownie! – Często używała sarkazmu. – W takim razie możesz się ostatecznie pożegnać z podwyżką i stołkiem ordynatora.

– Nie interesuje mnie stanowisko ordynatora. – Jeszcze raz spróbował się postawić.

– W takim razie od razu idź do Kozakiewicza i poproś go o obniżenie pensji. Powiedz mu, że jesteś altruistą i praca za pieniądze gwałci twoją

ideologię służenia ludzkości. Zapewniam cię, że skurwysyn się ucieszy, bo cię nie cierpi. A wiesz dlaczego? Bo ty jesteś świetnym chirurgiem, a on beznadziejnym anestezjologiem!

– Masz rację – powiedział z satysfakcją. – Dlatego ja nie muszę knuć intryg, a on nie ma innego wyjścia.

– Tak. – Wstała od stołu, gasząc papierosa w popielniczce w kształcie skorupy żółwia. – Świat nie jest sprawiedliwy, a głupcy, którzy tego nie rozumieją, są nawozem dla cwaniaków.

Wyszła. Dzień nie rozpoczął się dobrze. Romanowi nie pozostało nic innego, jak mieć nadzieję, że zakończy się lepiej. Lidia w nocy i Lidia w dzień to były dwie różne kobiety.

Zdjął krawat z oparcia krzesła i zaczął go wiązać na pamięć.

Cygan zwany Rzygim Część II

Przyszli tydzień po kradzieży na dworcu. Siedem dni zajęło im namierzenie złodziei. Byli szybcy, a ojciec Rzygiego wiedział, że ludzie, którzy posiadają walizkę amfetaminy, zawsze są szybcy. Nie pozwolił nikomu tknąć zawartości teczki. Był pewien, że się o nią upomną, a on nie będzie w stanie im przeszkodzić. Nie był bandytą, tylko złodziejem. Nożem posługiwał się w celu zastraszania ofiar. Nóż działał skuteczniej niż najgroźniejsze słowa. W czasie wieloletniej kariery złodziejskiej nigdy nie przekroczył cienkiej granicy między złodziejstwem a bandytyzmem, dzięki czemu odsiedział tylko trzy krótkie wyroki. Ostatnio zamknęli go, ponieważ całą winę wziął na siebie. Wolał, żeby żona opiekowała się małym. Bardziej od celi bał się, że nie podoła wychowaniu dzieciaka. Opowiedzieć bajkę, pójść na spacer, ale żeby tak bez przerwy? Bardzo kochał Rzygiego. Nie podobało mu się, że syn będzie kontynuował rodzinny interes. Wolałby, żeby dzieciak wyuczył się na lekarza albo jakiegoś dyrektora. Chłopak był niezastąpiony w robocie, w dodatku lubił to zajęcie. Od czasu, kiedy zaczął brać udział w akcjach, ich dochody wzrosły dwukrotnie. Był niezwykle przekonujący. „Ma gówniarz talent” – zwykł mawiać do żony ojciec Rzygiego.

Mieszkali w suterenie starej kamienicy. Pomieszczenia pełne były zakamarków, co przy ich profesji było bardzo istotne. Kiedy przyszli po prochy, kazał małemu wejść do wnęki. Tak mówił na schowek w ścianie. Do naturalnego wpustu między ścianami ojciec dostawił płytę z karton-gipsu i pomalował ją na identyczny kolor, polerując gips tak, żeby nie było widać łączenia. Odrapane biurko dosunięte do ścianki maskowało skutecznie. Policja nigdy nie odkryła mistyfikacji, a rewizje odbywały się kilka razy w miesiącu. Schowek nie był tak duży, żeby pomieścić dorosłego człowieka, ale Rzygi wciskał się do niego z powodzeniem.

Kilkakrotnie przećwiczyli wizytę właścicieli prochów. Rzygi wchodził do wnęki, matka zamykała się w malutkiej kuchni, a ojciec przyjmował „delegację” z walizką.

Rzygi nie wierzył, że ich znajdą. No bo niby jak? Z drugiej strony skoro tata mówił, że znajdą, to chyba wiedział, co mówi. Chłopiec zastanawiał się, jak to będzie. Czy będą pukać? A może włamią się, kiedy nikogo nie będzie w domu? Bał się prawdziwych bandytów, a jednocześnie był ciekawy. Tata twierdził, że prawdziwi zawodowcy to ludzie interesu. Jeżeli się przekonają, że doszło do nieporozumienia, zabiorą co swoje i sobie pójdą. Mama nie mówiła nic.

Przyszli późnym popołudniem, ale jeszcze nie wieczorem. Najpierw rodzina usłyszała na korytarzu kroki, których nikt nie próbował tłumić, później mieszkaniem wstrząsnęło potężne uderzenie. Gruby stalowy łom wdarł się między drzwi a futrynę, mieszając kawałki tynku z igłami drewna. Ojciec spojrzał na chłopca, ten wsunął się do wnęki, którą matka zastawiła płytą i zasunęła biurkiem. Wszystko poszło gładko i sprawnie. Ojciec zdążył mu jeszcze przypomnieć słowa, które i tak znał na pamięć: „Pamiętaj, że masz nie wychodzić. Co by się nie działo. Masz siedzieć i nie wychodzić. Dopóki sobie nie pójdą”. Potem ogarnęła go ciemność, a wzrok stał się bezużyteczny jak u kreta. Ścianka z kartonu nie była gruba, więc słyszał wszystko.

– Spokojnie, panowie...

Głośny, mięsisty trask i rumor upadającego ciała. Rzygi zacisnął powieki i po wewnętrznej stronie oczu wyświetlił się obraz taty upadającego pod ciosem potężnego zbira.

Głuche uderzenia i stękanie powiedziały chłopcu, że ktoś kopie ojca po brzuchu.

– Proszę przestać. – Głos, który przerwał kopanie, był cichy i nawet miły.

Rzygiemu skojarzył się z głosem nauczyciela od matematyki, który często mówił do niego: „Bardzo żałuję, że nie chcesz się uczyć, a wiesz dlaczego? Bo jesteś całkiem bystry”.

„Ten, który przerwał bicie, to facet, którego obrobiliśmy” – przemknęło mu przez myśl. Pamiętał jego głos, chociaż wtedy nie skojarzył mu się z nauczycielem. Nastąpiła dłuższa chwila denerwującej ciszy. Wreszcie usłyszał szuranie okraszone westchnieniami. „Tata zbiera się z podłogi”.

– Poznaje mnie pan? – Cichy, kojący głos.

– Pewnie, że poznaję – sapał ciężko tata, ale Rzygi nie słyszał strachu w jego głosie.

Nagły przypływ miłości wylał się z serca chłopca i w postaci łez napłynął do oczu.

– To dobrze. Bardzo nie lubię tracić czasu.

– A kto lubi?

Chłopiec gotów był przysiąc, że ojciec się uśmiechnął.

– Widzę, że nie jest pan zaskoczony – mruknął człowiek, którego okradli.

– Nie jestem głupi. Gdy tylko zobaczyłem, co jest w torbie, wiedziałem, że się spotkamy.

– Skurwysyn – odezwał się chrapliwy trzeci głos.

„To pewnie ten, który wywalił drzwi, a potem uderzył tatę” – pomyślał Rzygi. Jakoś nie umiał sobie wyobrazić, żeby Człowiek z Tęczką użył siły.

– Tyle razy cię prosiłem, żebyś nie przeklinał w moim towarzystwie. – Miły ton nie był jedynym, jakiego ten mężczyzna używał.

– Niczego nie ruszyłem. Możecie sprawdzić.

– Oczywiście, że sprawdzimy.

– Walizka stoi na krześle.

Ponowne stukanie obcasów po sparciałym linoleum. Metaliczny szcęk otwieranego zamka.

– Nie wyłamał pan zamka? – zdumienie ocierało się o podziw.

Chłopiec zaczął się uspokajać.

– Po co? Taką teczkę można nieźle opchnąć.

„Teraz tata na pewno podrapał się po głowie”.

– Ale szyfr...

– Panie kochany... Nie takie rzeczy się otwierało.

– No tak.

– Wychodzi na to, że towar nie jest ruszony. – Chrapliwy głos drugiego nie

był ani trochę mniej chrapliwy.

– Mówiłem.

– Zaskakuje mnie pan, człowieku.

– Chciałem ukraść laptopa, a nie prochy.

– A ja myślałem, że chciał pan zarobić dużo pieniędzy.

– Jakbym wiedział, co jest w środku, w życiu bym się nie napalał. Nie moja działka.

– Może po prostu nie zdążył pan tego sprzedać.

– Znaleźliście mnie w tydzień, to i możecie sprawdzić, czy próbowałem to opchnąć.

– To chyba nie będzie potrzebne.

– W sumie... Po co tracić czas?

„Tata znowu się uśmiechnął”.

– Niegłupi z pana człowiek. – Tym razem podziw był oczywisty.

– W moim fachu durnie siedzą w pierdlu albo leżą w piachu. – To był jego ulubiony wierszyk. Cieszył się, kiedy udało mu się ułożyć jakiś zręczny rym.

– Myli się pan tylko co do jednej rzeczy. – Znowu denerwująco długa pauza, w czasie której Rzygi słyszał tylko szum krwi w uszach. – Nie znaleźliśmy pana, tylko was. – Intruz przerwał ciszę, a Rzygi odetchnął głębiej.

Robiło się duszno.

– Jasne – tata przestał się uśmiechać. – Jak widzicie, nie ruszyłem waszego towaru. Możecie go zabrać i jesteście kwita.

– Gdzie reszta? – Przybysz zdawał się nie słyszeć odpowiedzi ojca.

– Po co wam reszta? – „Tata się denerwuje, to pewne”.

Chłopiec podskoczyłby w swojej kryjówce, gdyby nie była tak mała. Hałas otwieranych z trzaskiem drzwi do kuchni był równie głośny, co nieoczekiwany.

– Panowie, po co te nerwy?! – krzyknął ojciec, a chwilę później dał się słyszeć drugi krzyk. Tym razem mamy. Rzygi zacisnął dłonie w pięści.

– Puść ją. Ile razy mam ci mówić, żebyś nie zachowywał się jak prostak. Dzień dobry pani. – Głos przybysza płynnie zmienił się ze stanowczego w uprzejmy.

Matka nie odpowiedziała.

– W zaciszu domowym wygląda pani dużo korzystniej niż... – moment zawahania – w pracy.

Cisza. Mama zdecydowanie nie miała nic dopowiedzenia.

– Brakuje nam jeszcze tylko naszego uroczego epileptyka.

Rzygi dotknął policzkiem ściany. Przyjemnie chłodziła rozpaloną skórę.

– Czego od niego chcecie? – usłyszał mamę.

– Chcę wam coś opowiedzieć. A nie lubię się powtarzać. Dlatego zawołajcie chłopca.

– Nie ma go tu.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy rozległo się głośne klaśnięcie. Rzygi poczuł ból, jakby sam został spoliczkowany.

– Zostaw ją! – krzyknął tata. Po raz pierwszy puściły mu nerwy.

– Obiecujemy sobie jedno – znowu spokojny głos Człowieka z Teczką, który rozpyłał ciekłą mgiełkę nadziei. – Nie będziemy robili z siebie durniów. Dobrze?

Nie usłyszał odpowiedzi, więc wyobraził sobie, że potakująco pokiwali głowami, bo... Bo nikt ich nie uderzył.

– Nie jesteśmy tutaj teraz, bo akurat przechodziliśmy nieopodal.

Rzygi usłyszał dziwny syk. „Ktoś zapalił papierosa i wydmuchuje dym” – pomyślał. Nie wiedział, czy to dobry, czy zły znak.

– Zanim zdecydowaliśmy się na odwiedzin, najpierw upewniliśmy się, że wszyscy jesteście w domu.

Cisza potrafi zrobić w głowie dużo większe spustoszenie niż hałas. Wystarczy ciemność, oczekiwanie i strach...

– W takim razie szkoda, że nie obstawiliście kamienicy. – To mama.

Rzygi wychwycił coś dziwnego w jej głosie, ale nie umiał tego nazwać.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – Człowiek z Teczką był inaczej uprzejmy dla mężczyzn, a inaczej wobec kobiet.

– To, że jak tylko tu weszliście, kazałam mu wyjść przez okno.

Dopiero teraz chłopiec skojarzył, że podobnie mówiła, kiedy ojciec szedł do więzienia. Powiedziała wtedy: „Jakoś to będzie, ale wracaj szybko”. Uśmiechała się wtedy, ale wyglądała na dziesięć lat starszą. Była zrezygnowana. To chyba odpowiednie słowo. Zrezygnowana jak teraz. Dlaczego? Czyżby jej nie uwierzyli? Co było po drugiej stronie ścianki? Czego nie widział?

– Sprawdź kuchnię – padło spokojne polecenie.

– Nie podoba mi się moje życie.

Rzygi mocniej przycisnął ucho do ściany, bo wydawało mu się, że się przesłyszał. Człowiek z Teczką mówił teraz ciszej. Jakoś tak smutno.

– Studiowałem ekonomię. Byłem naprawdę dobry. Na trzecim roku miałem najlepszą średnią. Myślicie, że to ma jakieś znaczenie? Po studiach moi koledzy, którzy ledwo przechodzili egzaminy, załapali się do pracy w poważnych firmach... Korporacjach... – Zza ściany dobiegł odgłos głośnego westchnienia żalu. – Tylko dlatego, że mieli układy. Pochodzili z bogatych rodzin. Ich ojcowie załatwili dzieciom posady, zanim jeszcze poszły do szkoły. niesprawiedliwość potrafi kształtować charakter dużo bardziej niż najlepsze wzorce. A kiedy spotka się kilku zdolnych ludzi, pokrzywdzonych przez los, cóż... – Znowu głębokie westchnienie. – Mogą naprawdę, jak to się teraz mówi, sporo namieszać.

– Wygląda na to, że baba nie kłamie. – Chrapliwy głos zgrzytnął na cichych zwierzeniach jak paznokciec po tablicy.

– Nie baba, tylko pani Elżbieta. – „Skąd znał imię mamy?” – Jesteś pewien?

– Okno otwarte.

– To niedobrze – zmartwił się absolwent ekonomii.

– Czego od niego chcecie? – znów ten znudzony głos mamy.

– Myślę, że jesteśmy sobie winni szczerość. Mam nadzieję, że mnie zrozumiecie. Pracuję w specyficznej branży. Są w niej naprawdę duże pieniądze. A wszędzie tam, gdzie są duże pieniądze, jest duża konkurencja.

Rzygi poczuł, że krople potu zaczęły spływać z czoła małymi strumykami. We wnętrzu nie było gorąco. Było coraz duszniej.

– Można to porównać do branży filmowej – kontynuował monotonicznie Człowiek z Teczka. – Tam też najważniejszy jest prestiż. Wiecie, że gwiazdy filmowe spierają się o to, czyje nazwisko ma się pojawić pierwsze w napisach?

Nikt nie odpowiedział.

– W świecie show-biznesu nikt nie może sobie pozwolić na utratę wizerunku.

Ponownie nastąpiła dłuższa przerwa, w czasie której Rzygi wyjadał z wnętrza resztki tlenu.

– Długo pracowałem na swoją pozycję. Ale nic nie jest dane na zawsze. Bardzo bym chciał, żeby o tym, co się stało tamtego wieczoru na dworcu, nie dowiedział się nikt.

Chłopiec oddychał coraz płycej i szybciej. Koszulka przykleiła mu się do pleców.

– Niestety tak się nie stało.

– Nikt o tym nie wie – wtrącił szybko tata.
– Proszę pana... To, że żadne z was nie rozpowiada o tym, co kradnie i komu, to jeszcze nic nie znaczy. Żyjemy w czasach permanentnej inwigilacji.
Rzygi cicho osunął się na podłogę, wkładając głowę między kolana.
– Wasz niewinny numer sprawił, że stałem się pośmiewiskiem.
– Jak możemy panu pomóc? Zrobimy wszystko, co każecie.
Gorączkowy głos ojca docierał do chłopca jak przez mgłę.
– Jest tylko jeden sposób na odzyskanie twarzy. Nauka na przyszłość.
– Nauka...
– Wszyscy muszą wiedzieć, że każdy, kto próbuje mnie oszukać... Zostaje ukarany. Jest mi bardzo przykro...
Rzygi nie słyszał tego, co nastąpiło potem. Szczęśliwie stracił przytomność.

Ocknął się pół godziny później, kiedy we wnęce nie było już tlenu i musiał z niej wyjść albo się udusić. To, co zobaczył w pokoju, sprawiło, że zwymiotował. Rodzice leżeli ułożeni pod ścianą. Nie żyli. Nie było śladów przemocy. Nie było krwi. Ktoś zabił ich z wielką wprawą. Chłopiec trząsał się jak w gorączce. Wiedział, że nie może tu zostać. Mordercy będą go szukać. Możliwe, że czają się w pobliżu. Wszedł do kuchni i ostrożnie wyjrzał przez otwarte okno, dzięki któremu jeszcze żył. „Kiedy mama wpadła na ten pomysł?” – przemknęło mu przez myśl i nowy strumień łez wypłynął na policzki. Podwórko wyglądało znajomo i spokojnie, ale Rzygi nie zdecydował się wejść w jego opiekuńcze ramiona. Zamiast tego cicho jak dym przekroczył prowizorycznie zamknięte drzwi. Pobiegł schodami na górę. Na strychu było wyjście na dach, po którym lubił biegać w pogodne wieczory. Dachami można było dostać się na sąsiednią ulicę. Tak robi. A potem...? Potem pójdzie na dworzec. Znał każdy jego zakamarek. Może tam go nie znajdą.

*

Przytulny gabinet pachniał lawendą, ulubionym zapachem Lidii. Brzoskwiniowe ściany zdobiły reprodukcje sławnych impresjonistów. Nad obrotowym fotelem o wyprofilowanym oparciu wisiał dyplom dla najlepszej apteki w mieście. Delikatne dźwięki fortepianu umilały pracę właścicielce gabinetu, sącząc się z niewielkich głośników zawieszonych pod sufitem.

Lidia przeglądała rachunki. Przychody były satysfakcjonujące. Nowo

otwarta filia apteki wychodziła na prostą. Uśmiechnęła się ironicznie. Roman starał się ją odwieść od pomysłu otwierania apteki w biednej dzielnicy, ale nie miał szans. „Beze mnie nie trafiłby z palcem do nosa” – pomyślała, a ironię w uśmiechu zastąpiła opiekuńcza czułość. Prowadziła go za rękę jeszcze na studiach. To dzięki niej zaliczył egzamin z anatomii u profesora, który go nienawidził tylko dlatego, że Lidia go kochała. Roman nigdy nie zobaczył fotografii, na których jego ówczesna narzeczona siedzi nago na jego ówczesnym profesorze. Zdjęcia widzieli tylko Lidia i wykładowca.

Załatwienie Romanowi miejsca w najlepszym szpitalu w mieście było trudniejsze i zajęło półtora roku. Wyjazdy integracyjne fundowane przez firmy farmaceutyczne, na które zapraszani byli właściciele aptek i ordynatorzy szpitali, były idealnym miejscem realizowania planów Lidii.

Nadchodził czas, kiedy znów będzie musiała zaingerować w karierę męża. Sam nigdy tego nie robi i do końca życia będzie kroił ludzi, doznając uczucia spełnienia przy każdej przyszytej nodze. „On chyba przeżywa orgazmy przy stole operacyjnym” – pomyślała i zachichotała cicho, wyobrażając sobie scenę uniesienia w świetle szpitalnych reflektorów, po czym poczuła gwałtowny przypływ pożądania. Przymknęła powieki, uwalniając bujną wyobraźnię. Zastanowiła się, czy nie umówić się z Romanem na kawę. Zdarzało im się robić to w restauracyjnej łazience. Przyjemne fantazje przerwały podniesione głosy dobiegające z apteki. Poirytowana Lidia z trzaskiem zamknęła rachunki. Przygładziła spódnice, obciągnęła marynarkę i dotknęła fryzury, upewniając się, czy każdy kosmyk włosów jest na swoim miejscu. Opuściła gabinet spowity oparami erotycznych wizji.

Stała w progu i obserwowała scenę, sama będąc niewidoczna.

– Od pół roku zaopatrujemy się w leki u was. – Postawna kobieta o wyrazistych rysach poczerwieniała ze złości, opierając się serdelkowatymi palcami o apteczną ladę. – Ale jeżeli nie zależy wam na stałych klientach, to już wasz problem. – Dla podkreślenia swoich słów uderzyła otwartą dłonią w blat.

– Proszę się nie denerwować, zaraz wszystko wyjaśnimy. – Ilona, młoda i brzydka farmaceutka zatrudniona na okres próbny, starała się zapanować nad drżeniem głosu.

– Tu nie ma czego wyjaśniać. Wczoraj po południu miałam odebrać lekarstwo dla mojego ojca, niestety apteka była zamknięta. No to przyszedłem

dzisiaj. I co? Pani nic nie wie o żadnym lekarstwie. – Klientka w emocjach potrzęsła głową.

Lidia знаła tę kobietę. Pracowała w banku i opiekowała się ojcem, który często odwiedzał aptekę. Potem dostał rozległego zawału, a w aptece krążyły żarty, że serce wysiadło staruszkowi na skutek umizgów do szefowej. Rzeczywiście dziadek przychodził tu często pod byle pretekstem. Uwielbiał ucinać sobie pogawędki, śliniąc się i komplementując Lidię. Teraz leżał przykuty do łóżka, a Lidii trochę brakowało jego zachwyków.

– Dzień dobry – powitała klientkę Lidia uśmiechem bez śladu serdeczności.

– Nie, nie jest dobry. – Kobieta o grubych palcach nie zamierzała niczego udawać. – Może mi pani powiedzieć, dlaczego wczoraj apteka była nieczynna?

– Myli się pani.

Młoda farmaceutka Ilona rzadko miała okazję obserwować tak wyraźny kontrast między spokojem a roztrzęsieniem.

– Apteka została zamknięta punktualnie o godzinie osiemnastej. Jak zawsze.

– To ciekawe, bo byłam tu o siedemnastej pięćdziesiąt pięć i nikogo nie zastałam.

– Następnym razem musimy zsynchronizować zegarki. – Pogodna kpina w głosie Lidii doprowadzała do furii, która pleniła się bujnie, podlewana bezradnością.

– Nie będzie następnego razu! – wykrzyknęła córka staruszka, który często miewał sny, w których naga Lidia zmywała podłogę.

– Jak pani sobie życzy. Czy mam przygotować kardiomyceum po raz ostatni? – spytała z nieszczerą obojętnością.

– Za godzinę mam zebranie w banku i nie będę miała czasu, żeby...

– W takim razie proszę poczekać pięć minut. – Lidia nie miała ochoty wysłuchiwać tej kretynki. Starła się nie patrzeć na obfity kształtny biust, który wyraźnie rysował się pod włochatym sweterkiem.

– Ilona, zaproponuj pani herbatę, może kawę...

– Dziękuję. Nie skorzystam. – Klientka usiadła na krzeselku pod ścianą i zaczęła studiować ułożone na stole ulotki reklamujące lekarstwa.

Lidia porozumiała się wzrokiem z Iloną i wyszła do laboratorium. Przygotowanie leku zajęło jej dwie minuty. Gdyby ktoś zajrzał do pracowni, zdziwiłby się bardzo, a nawet nie rozpoznał Lidii, której spokój prysł jak bańka mydlana. Zdecydowanymi ruchami mieszała składniki kardiomyceum,

a jej twarz wykrzywiała nienawiść. Gdyby mogła, dosypałaby do leku strychniny i z przyjemnością obserwowała, jak starszy pan zdycha, wijąc się w swojej – z całą pewnością świeżo wykrochmalonej – pościeli. Byłaby jednak oczywistym tropem dla policji. Po krótkim namyśle dodała do mieszanki roztwór przeczyszczający. „Ta kurwa będzie się mogła wykazać miłością do starego ojca, sprzątając zasrane łóżko” – pomyślała i wybuchła śmiechem.

Incydent z klientką zaburzył leniwy rytm pracy apteki. Ilona zerknęła na szefową spod oka w oczekiwaniu na reprimendę, ale Lidia nie przerywała milczenia.

– Dzięki, że stanęła pani po mojej stronie – wykrztusiła wreszcie dziewczyna o twarzy pokrytej okruchami pryszczu. Miała duży mięsisty nos i małe oczka wciśnięte głęboko w policzki. Kompleksy wynikające z braku urody zajadała czekoladą, co sprawiło, że była całkowicie pozbawiona talii.

– Dlaczego wyszłaś przed szóstą? – Pytaniu nie towarzyszyło spojrzenie, Lidia przeglądała szuflady z lekarstwami. – Nie powiesz mi chyba, że umówiłaś się na randkę.

– Nie... – szepnęła Ilona. – Nie było klientów, a jakbym wyszła za dziesięć, to zdążyłabym na wcześniejszy autobus i... Obejrzałabym serial. Bo tak to zawsze oglądam powtórki w niedzielę.

Lidia spojrzała na dziewczynę i odniosła wrażenie, że pryszczu stały się jeszcze wyraźniejsze na poblądłej twarzy.

– Powinnam cię wyrzucić – powiedziała, a Ilona tylko opuściła głowę. – Ale nie zrobię tego.

– Naprawdę?! – wykrzyknęła dziewczyna z nadzieją, a Lidia twierdząco przymknęła powieki.

– Mama chciała, żebym zawsze mówiła prawdę. Ona mówi, że szczerść popłaca. Ma rację, jak Boga kocham, bo... – wpadła w słowotok podekscytowana Ilona, jak zwykle przy takich emocjach.

– Po prostu jesteś zbyt brzydka, żebym miała z ciebie rezygnować. – Lidia wzruszyła ramionami, a jej pracownica zamilkła zdumiona i nieszczęśliwa.

Tadzio

– Musimy porozmawiać, synku – powiedziała mama.

Tadzio, ośmioletni chłopiec, siedział przy stole i niepewnie zerkał na rodziców spod burzy niesfornych włosów okalających twarz o regularnych rysach. Przypominał dziecko z seryjnie produkowanych obrazów sprzedawanych na bazarach.

– O czym? – zapytał. Miał złe przecucia, odkąd tylko zasiedli do kolacji.

Mama z tatą ostatnio wspólnie nie jadali. W dodatku tego wieczoru byli dla siebie niezwykle mili. Tata podał mamie cukiernicę. A przecież dwa dni temu nazwał ją głupią kurwą (choć tak nie wolno mówić), która do niczego się nie nadaje. Może się pogodzili? Tadzio bał się słuchać głosu nadziei. Ilekroć mu zaufał, potem dostawał kopniaka.

– O rodzinie. O nas – włączył się do rozmowy tata.

Oboje mieli dziwne uśmiechy, które kojarzyły mu się z makijażem. Może po kolacji mama z tatą pójdą do łazienki i zmyją swoje uśmiechy, tak jak mama zmywała sobie tusz z rzęs. Obrazek taty zmywającego makijaż rozśmieszył chłopca. Rodzice zauważyli to i wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Widzisz... Mamusia i ja... – kontynuował tata, ale szło mu jak po grudzie. Zwykle potrafił mówić dużo i ciekawie.

Tadek uwielbiał jego bajki. Nigdy się nie przyznał (nawet przed sobą), ale zdecydowanie wolał jego opowieści od nudnych i zawsze takich samych historyjek mamy, w których nie było nic strasznego.

– Postanowiliśmy się rozstać – dokończyła mama, a tata obdarzył ją spojrzeniem pełnym wdzięczności, zupełnie jakby powiedziała coś fajnego.

– Dlaczego? – Tadzio miał osiem lat i prawo do zadawania pytań wprost.

– Dlatego, że już się nie kochamy. – Mama uśmiechała się do niego słodko, tak jak wtedy, kiedy przynosił do domu dobre stopnie.

Tadzio był dobrym uczniem.

– Musisz to zrozumieć – dodał tata.

Przez ostatni rok Tadek marzył o tym, żeby rodzice przestali się kłócić, a kiedy wreszcie zaczęli mówić zgodnie, poczuł się oszukany.

– I pamiętaj, że ani ja, ani tatuś nigdy nie przestaniemy kochać ciebie. – Mama położyła rękę na jego dłoni.

– I co teraz będzie? – Chłopiec przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą.

– Tak naprawdę niewiele się zmieni – powiedział tata. – Tyle tylko, że nie będę mieszkał z mamusią.

- A gdzie będziesz mieszkał?
- Wyjeżdżam. – Tata zajął się starannym mieszaniem herbaty, którą już dawno zamieszał.
- Gdzie? – zadrżał głos chłopca.
- Nie mówi się „gdzie”, tylko „dokąd” – powiedziała mama.
- Daleko, ale nie martw się. Kupiłem przytulne mieszkanie. Na pewno ci się spodoba...
- Nie podejmij za niego decyzji – warknęła mama tonem, jakim zwracała się do męża przez ostatni rok.
- Przepraszam. Nie to miałem na myśli... – mruknął tata, pocierając policzek, z którego nie zeszły jeszcze strupy po paznokciach mamy.
- Do stołu dosiadła się cisza, chociaż nikt jej tu nie chciał.
- A ja...? – zapytał cicho Tadzio.
- No właśnie o tym chcieliśmy z tobą porozmawiać. – Mama znowu uśmiechała się dobrotliwie.
- Doszliśmy z mamusią do wniosku, że jesteś już na tyle duży, że sam możesz zadecydować, czy zostaniesz z nią, czy ze mną.
- Nagle, mimo że na stole stał budyń czekoladowy – na samą myśl o takim leciała chłopcu ślinka – Tadzio poczuł mdłości.
- Oczywiście bez względu na to, kogo wybierzesz, będziesz mógł się spotykać również z tatą.
- To było nieuczciwe – głos taty stał się zimny jak kłamka.
- Masz rację – odezwała się przepraszająco mama, ale w jej wzroku nie było widać skruchy.
- W każdym razie traktujemy cię jak dorosłego chłopca i nie chcemy, żeby o twojej przyszłości decydował sąd – stwierdził tata.
- W gardle chłopca pojawiła się kwaśna zapowiedź wymiotów.
- Nie musisz decydować od razu. – Mama widziała, co się z nim dzieje.
- Masz czas do końca tygodnia – zakończył tata i wstał od stołu.
- Tadzio długo wymiotował w łazience. Robił to cicho, żeby nikt nie usłyszał.

Sześć dni później Tadek leżał w swoim pokoju i gapił się na plakat wiszący nad łóżkiem. Przedstawiał on ciężki od mokrej zieleni krajobraz jurajski. Wielkie paprocie, strzeliste drzewa, pomiędzy którymi triceratops szedł w kierunku prześwitującego między krzakami jeziora. Nie widział, że tuż za nim skrada się drapieżny allozaur. Tadzio wiele razy zastanawiał się, czy

triceratops usłyszał wreszcie kroki dinozaura, który chciał go pożreć. Patrząc na ten plakat, zawsze odczuwał ulgę, że nie jest w skórze poczciwego roślinożercy. Aż do dziś. W tej chwili chętnie zamieniłby się z triceratopsem. Byle tylko nie musieć decydować.

Zacisnął powieki, aż zapiekły. W głowie pojawił się zapamiętany obraz.

Mały Tadzik wraca z zerówki do domu. Szkoła jest na sąsiedniej ulicy, a on bardzo chce być samodzielny. Na klatce schodowej z windy wysiada pijany typ. Tadzio poznaje sąsiada z trzeciego piętra. Stara się zejść z drogi, ale jest za późno. Został zauważony, a pan Jurek nie ma dobrego humoru. Chłopiec chce uciekać, ale wielka łapa łąduje na jego dzieciennym ramieniu i zatrzymuje w miejscu. Tadzio z przerażeniem patrzy w przekrwione oczy pijanego mężczyzny.

– Poczekaj, gnoju... – cedzi tamten, a odór wódki drażni nozdrza chłopca. – Mam ochotę na piwo. Pewno dostajesz od starego kasę na gumę do żucia, co?

– Mam tylko... – Tadzik zaczyna się jąkać, gorączkowo przypominając sobie stan własnej kieszeni, i wtedy pojawia się tata. Ma na sobie lekką szarą kurtkę i sprane džinsy. Pamięta to doskonale. Nie tylko ubranie. Pamięta twarz taty. Jest skupiony. Wygląda trochę jak wtedy, kiedy ogląda ważny mecz.

– Zabieraj łapy, skurwysynu, albo zaprowadzę cię na policję – mówi jak nie jego tata, a sąsiad odsuwa się przestraszony.

Tadzik wie, że nie wolno mówić „skurwysynu”. Pan Jurek zapewnia, że tylko żartował. Dzieciak kocha ojca jak nigdy dotąd. Wtedy po raz pierwszy uświadamia sobie, że przy nim nigdy nie stanie mu się krzywda.

Tadzio otworzył oczy i uwolnił łzy, które spłynęły na boki i łaskotały uszy. W nosie pojawił się katar. Chłopiec gwałtownie odrzucił kołdrę. Podeszedł do okna, za którym noc zmasała ze świata kolor. Oparł gorące czoło o szybę. Kolejne wspomnienie...

Ma cztery lata i bawi się z koleżanką z naprzeciwka. Bardzo lubi tę dziewczynkę. Kiedy patrzy na jej śmieszne warkoczyki, ma ochotę ją głaskać. Wyglupiają się w pokoju. Dziewczynka umie robić śmieszne miny. Tadzio śmieje się jak szalony. Nie może złapać tchu. Z całej siły zaciska nogi. Żałuje, że wcześniej nie poszedł do łazienki. Nie może się dłużej powstrzymać. Ciepła struga płynie po rajtuzach i barwi spodnie na ciemniejszy kolor. Tadzik jest przerażony. W tle widzi mamę, która weszła do pokoju z dwiema szklankami soku jabłkowego. Mama podchodzi szybko i potykając się, wylewa sok wprost na spodnie chłopca.

– Ależ ze mnie niezdara! – krzyczy mama. – Musisz się przebrać, synku...

– Dobrze, mamusiu – odpowiada Tadzio i grzecznie idzie do łazienki, ale tak naprawdę chciałby się przytulić do kobiety, która zna jego myśli.

A teraz musi wybrać.

– Nie chcę tak! – krzyknął w ciemność, a oddech zmatowił szybę. Przez chwilę czekał, aż któreś z rodziców zaalarmowane krzykiem przyjdzie sprawdzić, co się dzieje. Nikt się nie pojawił. Mama pewnie zażyła tabletki na sen, a tata wypił butelkę wódki. Ostatnio właśnie tak zasypiali. W oddzielnych pokojach...

– Nie mogę – szepnął i dodał: – Nie chcę. – I jeszcze ciszej: – Nie umiem...

Błogosławieństwo wyboru było dla niego przekleństwem.

– Co robić? – zapytał się bezdźwięcznie i szepnął: – Uciekać.

Poczuł ulgę i zaczął się pakować, żeby nie myśleć, co będzie później.

*

Cisza sali operacyjnej od pięciu godzin była przerywana tylko krótkimi komendami Romana pochylającego się nad uspiętym pacjentem. Zabieg był bardzo skomplikowany, a stan pacjenta najlepiej określił lekarz dyżurny, stwierdzając krótko: grzechotka. Samochód pogruchotał całą prawą stronę ciała. Sama noga była złamana w czterech miejscach. Pacjent stracił sporo krwi, ale Roman był dobrej myśli. Miewał trudne przypadki w swojej karierze chirurga. Konsekwentnie rekonstruował kości, przywracając im pierwotną formę. Na stoliku leżały narzędzia, które od narzędzi montera odróżniała tylko błyszcząca srebrem czystość.

– Szpik – rzucił polecenie lekarzowi asystującemu, który miał pobrać szpik z biodra.

Zalewanie ran roztworem z krwi i szpiku pacjenta sprawiało, że kości zrastały się szybciej i lepiej. Młody lekarz nachylił się nad nieprzytomnym, a Roman wykorzystał chwilę przerwy i nadstawił zroszone potem czoło pielęgniarce czuwającej po jego prawej stronie.

Często analizował to, co nastąpiło później, bo tego dnia wszystko się zmieniło.

– Ciśnienie spada – zaalarmowała pielęgniarka.

Rzut oka na monitor sprawił, że dla odmiany ciśnienie w żyłach Romana momentalnie podskoczyło.

– Adrenalina – wyszczekał polecenie, a pielęgniarka sięgnęła drżącą dłonią po strzykawkę. Roman pomyślał, że pielęgniarka, której trzęsą się ręce, nie jest mu potrzebna.

– Anestezjolog – warknął.

– Pan dyrektor wyszedł do toalety – powiedział lekarz asystujący i mimo że był odwrócony tyłem, Roman był pewny, że spuścił wzrok.

– Na tej sali jest anestezjologiem, a nie dyrektorem – szwy nerwów Romana zaczęły pękać. – Reanimujemy – podjął decyzję i pielęgniarka wsunęła mu w rękę dwie elektrody.

Suche trzaski wyładowywanego napięcia, konwulsyjne podskakiwanie umierającego ciała i pot, którego nikt nie miał czasu ocierać...

Pół godziny później Roman wszedł do swojego gabinetu. W głowie mu szumiało. Stężałe mięśnie nie chciały się rozluźnić. Z szafki wyciągnął butelkę koniaku. Rozejrzał się za kieliszkiem, a ponieważ zobaczył go na półce w przeciwległym kącie pokoju, pociągnął spory łyk z butelki. Alkohol spłynął do żołądka gorącą strugą. Lekarz poczuł lekkie odprężenie, kiedy z korytarza zaczęły dobiegać niepokojące dźwięki. Roman pociągnął kolejny łyk koniaku i zwlókł się z krzeselka.

Na korytarzu zebrała się grupka gapiów składająca się z pacjentów i personelu. Pod ścianą, w pozie małego dziecka bawiącego się na dywanie, siedziała pielęgniarka w białym kitlu i masce operacyjnej na twarzy. Płakała głośno, a szloch potrzasał jej ramionami, jakby była marionetką. Kiedy ukląkł przy niej, pielęgniarka właśnie nabierała tchu. Roman objął kobietę i próbował przytulić, ale napotkał opór. Wiotkie ciało zeszywniało i zaczęło się wrywać. Roman schwycił jej rękę i mocno przyciągnął do siebie, tak jakby zatrzaskiwał kajdanki. Pielęgniarka jęknęła i odwróciła głowę w kierunku źródła bólu. Roman zobaczył dwoje błękitnych oczu, w których było tyle cierpienia i przerażenia, że odruchowo poluzował chwyt. Nie wykorzystała tego i nie uwolniła rąk. Osunęła się na podłogę zemdlona.

Koło Romka przykucnęła siostra przełożona z zastrzykiem uspokajającym.

– Dziękuję, siostrzo. Nie będzie potrzebny.

Roman delikatnym ruchem zsunął z twarzy białą maskę, pod którą zobaczył równie białą twarz młodej dziewczyny. Biel fartucha, twarzy i jasne włosy pielęgniarki były tak intensywne, że raziły w oczy. „Śnieżka” – pomyślał

Roman.

– Kogo oni przyjmują teraz do szkół pielęgniarских, cholera jasna – utyskiwała przełożona znana z ostrego języka i zamiłowania do palenia papierosów w ubikacji.

– Nie kojarzę jej – powiedział Roman, odruchowo sprawdzając puls zemdlonej.

Był słaby, ale wyczuwalny.

– Operowała dzisiaj z panem. Pracuje u nas od paru miesięcy. Musiał ją pan widzieć. – Przełożona zerknęła na Romana z mieszaniną troski i politowania.

Wszyscy wiedzieli, że jest roztargniony. Mylił imiona współpracowników i zdarzało mu się mylić drzwi gabinetów.

– Jakoś jej nie pamiętam – mruknął w z poczuciem winy.

– Mała strata. Właśnie przestała być pielęgniarką. – Siostra przełożona nigdy nie owijała w bawełnę. – Jak ktoś tak reaguje na trupa, to lepiej niech idzie do pracy w przedszkolu.

Pielęgniarka otworzyła oczy.

– Gdzie ja jestem...? – szepnęła Śnieżka, otwierając oczy.

„Ma taki miły głos” – pomyślał i uśmiechnął się do dziewczyny, która nie umiała znieść widoku śmierci.

– Chcesz mi powiedzieć, że pacjent umarł tylko dlatego, że anestezjolog poszedł się odlać? – śmiech Lidii był dźwięczny, a twarz promieniała.

– Nie upraszczaj – mruknął.

Roman siedział na fotelu i popijał gorącą herbatę. Jeszcze nie zrzucił z siebie ciężaru, który zwałił się nań tego dnia w szpitalu. Podkrążone oczy na próżno wyglądały snu.

– Nie, mój drogi – stwierdziła sucho. – Matka Teresa nie żyje, a ja się nie zgadzam, żebyś miał ją zastępować.

Nie lubił, kiedy traktowała go pobłaźliwie.

– O przyczynach śmierci zadecyduje sekcja zwłok – powiedział, czując, że dykcja nie jest jego mocną stroną.

– Oczywiście – prychnęła dziewczęcym śmiechem, jak dwadzieścia lat temu, kiedy wbiegała do zimnego morza. – Porządek jest najważniejszy. – Poruszyła brwiami w górę i w dół, po czym kucnęła przy jego fotelu, rozsuwając satynowy szlafrok.

– Jestem potwornie zmęczony, skarbie – powiedział.

- Nic nie będziesz musiał robić. – Zglądała mu głęboko w oczy. – Chcę to uczcić.
- Co? Śmierć pacjenta? – rzadko zwracał się do niej z irytacją.
- Umarł król, niech żyje król. Dobrze wiesz, że Kozakiewicz jest skończony – mówiła, pieszcząc go coraz intensywniej.
- Ale to ja prowadziłem operację i to mnie umarł pacjent.
- „Złość i rozkosz, co za dziwaczne połączenie doznań” – pomyślał.
- Ludzie nie są nieśmiertelni – powiedziała, i to były ostatnie słowa, jakie tego dnia zamienili ze sobą.

Patryk zwany Trykiem

Patryk, zwany przez kolegów z osiedla Trykiem, a przez ojczyma skurwysynem, skoczył na pustą puszkę po piwie. Lubił słuchać zgrzytu giętej blachy. Puszka to nie samochód, który niedawno uderzył w latarnię przed blokiem, ale od czego wyobraźnia jedenastolatka. Niewysoki rudzielec ostrzyżony na jeża był silny jak na swój wiek. Różowa twarz była nieufna, a małe brązowe oczka – wiecznie rozbiegane. Od kącika ust kilka centymetrów w dół brody ciągnęła się cienka biała szrama. Pamiątka po jednej z osiedlowych przygód.

Tryku poznęcał się jeszcze trochę nad blaszonym wrakiem i wrzucił go do poplamionego plecaka. Od paru godzin włóczył się po osiedlu z mizernym skutkiem. Zasada była prosta. Jeżeli nie uzbierasz tyle złomu, żeby starczyło na żarcie – nie żresz. To nie głodu jednak bał się Patryk. W razie czego mógł ukraść ze sklepu baton albo paczkę chipsów. Bał się gniewu. Odkąd matka po raz drugi wyszła za mąż, Patryk bał się często i bardzo. Od dwóch lat strach był jego najbliższym kumplem.

Wrócił do domu zmęczony. Bolały go nogi, a ubranie śmierdziało świeżym potem, który cienką warstwą pokrył stary pot.

Znalazł matkę w kuchni. Swoim zwyczajem siedziała przy stole i drzemała zgięta wpół. Poza nią w mieszkaniu nie było nikogo. Patryk zajrzał do lodówki. Kilka podsuszonych parówek, oślizła mielonka i niewielka kostka sera nie zachwyciły, ale był zbyt głodny, żeby zawracać sobie głowę smakiem. Wziął dwie parówki i opustoszały słoik podejrzanie żółtego majonezu

i z premedytacją głośno zamknął drzwi lodówki. Matka nie drgnęła i chłopiec zrozumiał, że piła. Brudne widelce smętnie podzwaniały w odrapanym zlewie. Przetarł jeden z nich o krótkie spodenki, tak brudne, że trudno było określić ich kolor.

Wszedł do swojego pokoju i usiadł na zimnym rozgrzebanym łóżku, pod którym zebrała się spora sterta wiórów płyty paździerzowej. Zjadł parówki z majonezem i w brzuchu przestało mu burczeć. Zapatrzył się w okno, a jego myśli zawisły w próżni pomiędzy odrażającym światem, w którym żył, a tym, o którym marzył. Lubił ten moment.

Okna wychodziły na śmietnik, po którym spacerowały gawrony. Tryk zamknął oczy. Pokój zamienił się w jacht. Szarość sufitu zblękitniała, a gawrony przemówiły mewim głosem. Patryk stał na mostku, z leniwą rutyną opierając dłoń na kole sterowym. Był sam na sam z potęgą przestrzeni, która go przerażała i którą kochał.

Przez kilka następnych godzin Patryk walczył z rekinem ludojadem, ratował rozbitków i przeżył kilka sztormów. Grzmot jednego z piorunów złał się z trzaskiem drzwi wejściowych. Chłopiec otworzył oczy. Za oknem gawrony zdążyły roztopić się w ciemności. Patryk nasłuchiwał dochodzących z pokoju stołowego dźwięków kłótni. Głos niski dominował. Piskliwy się bronił. Bełkotliwie i bez przekonania. Coś kazało Patrykowi wstać ze względnie bezpiecznego łóżka i wyjść z pokoju. Może ciągle jeszcze był kapitanem ratującym rozbitków z wodnej topieli.

Wraz z otwarciem drzwi hałas stał się bardziej wyraźny i selektywny. Chłopiec ostrożnie wsunął głowę do pokoju stołowego. Matka chwiała się na nogach, opierając o parapet. Przed nią stał ojczym – chudy, żylasty człowieczek, który trzymał kobietę za szyję i potrząsał tak, że głowa dudniła o szybę.

– Jesteś moją żoną, kurwo... – syczał. – Kto mi da, jak nie ty?

Ojczym był odwrócony do niego tyłem, ale Patryk wiedział, jak wygląda w takich chwilach. Mrużył oczy i uśmiechał się jedną stroną twarzy. Druga była nieruchoma, jakby sparaliżowana.

– Odejdź... – wychrypiała matka i jej głowa mocniej zderzyła się z szybą.

„Wybije szybę i będziemy marznąć” – pomyślał Patryk.

– Coś ty powiedziała?

Matka, nie robiąc sobie nic z dłoni uciskającej jej gardło, opluła męża. Odskoczył jak oparzony. Zdążył jeszcze wymierzyć mocny cios i bez tego

osuwającej się na podłogę kobiecie. Stał nad nią jak rozczarowany zepsutą zabawką chłopiec. Rozejrzał się, a Patryk nie zdążył uciec przed jego wzrokiem.

– Chodź no tu, skurwysynu. – Dziwny półśmiech wrócił na twarz mężczyzny.

Przestraszony Patryk odskoczył od framugi i pobiegł do swojego pokoju. Ucieczka nie miała sensu, ale nie umiał ustać w miejscu.

Wpadł do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi, co było kolejnym pustym gestem.

Czekając na wyrok, rozglądał się w poszukiwaniu pomocy, która nie mogła nadejść. „Może tym razem nie przyjdzie” – pomyślał zrozpaczony. Mylił się. Marek Ratoń wszedł do pokoju krokiem zdobywcy. Był wściekły. Nie dlatego, że jego stara po raz kolejny okazała się do niczego. Misterny plan, który przygotowywał przez dwa tygodnie, nie wypalił. We czterech próbowali ukraść kawałek trakcji kolejowej, ale nie ukradli ani centymetra, w dodatku jeden z nich doznał porażenia prądem.

Patryk pociągnął nosem i czekał na cios, na który mógłby zareagować. Po pierwszym uderzeniu zwykle zwijał się w kłębek i chował głowę w ramiona. Oprawcę szybko zniechęcał brak oporu. Ojczym stał niezdecydowany. Wreszcie prychnął i usiadł na krześle przy obdartym biurku.

– W sumie czemu nie... – mruknął, a kilkuniedniowy zarost zachrząścił pod jego dłonią. – Na pewno nie jesteś brzydszy od swojej starej – powiedział głośniej.

– W kuchni są puszki. Zgniotłem i zapakowałem do worka foliowego, tak jak kazałeś. – Patryk zaczął wierzyć, że tym razem nie dojdzie do bicia.

Marek Ratoń wstał z krzesła i zbliżył się do chłopca na wyciągnięcie ręki. Patryk wcisnął się w ścianę, czując na plecach jej zimną chropowatą fakturę. Ręka ojczyma niczym macka włochatej ośmiornicy wypełzła mu na spotkanie. Chłopiec zasłonił twarz. Ręka zamiast uderzyć, dotknęła jego łydki. Delikatnie. Patryk nie odważył się rozluźnić mięśni.

– Spokojnie, mały... – Głos ojczyma był cichy i chrapliwy.

Ręka zaczęła wędrować w górę. Patryk wstrzymał oddech. Poczł mrowienie między nogami. Chwilę później do mrowienia dołączyła męska dłoń.

– Co robisz? – zapytał ostro.

W osłupieniu przyglądał się, jak ojczym drugą ręką rozpina pasek, po czym

rozsuwa zamek rozporka. Zdecydowanym ruchem odrzucił łapę macającą go po jajach.

– Spierdalaj! – wrzasnął.

Ratoń wybuchnął ordynarnym śmiechem. Grdyka biegała mu z góry na dół, a oczy błyszczały chorobliwą ciekawością. Coraz bardziej podobał mu się pomysł zerznięcia tego upartego skurwysyna. Nigdy nie miał skłonności homoseksualnych, ale zawsze najwięcej satysfakcji sprawiał mu brak satysfakcji partnerki, więc powinno być nieźle.

Patryk został spowity żelaznym chwytem męskich ramion tak mocno, że uszło z niego powietrze. Ratoń cisnął chłopca na łóżko i przewrócił na brzuch. Z rozbawieniem stwierdził, że jest gotowy. Opadł na kolana, sadowiąc się między niedomytymi nogami pasierba.

Tryk gorączkowo młócił rękami dookoła. Zachowywał się, jakby tonął. I tak się czuł. Usłyszał dźwięk rozdieranego materiału szortów. Podjął ostatnią próbę odwrócenia się na plecy, ale silny cios w ramię przywrócił go na miejsce. W głowie pojawiła się rezygnacja. Kusiła kojącym tonem: „Przestań, to długo nie potrwa”. Wtedy wyczuł pod palcami coś zimnego leżącego obok łóżka. Widelec. Cztery szpikulce usmarowane zjełczonym majonezem. Z całej siły zacisnął pięść na rękojeści tego niespodziewanego koła ratunkowego i na oślep wykonał pchnięcie za siebie. Wrzask odbił się od pustych ścian małego pokoju. Patryk czuł, jak ostrze wciska się w ciało, pokonując warstwy skóry, tłuszczu, mięsa. Uścisk ramion zelżał, co chłopiec natychmiast wykorzystał, wyslizgując się spomiędzy nóg oprawcy. Nie mógł oderwać wzroku od klęczącego na łóżku ojczyma. Widelec drżał wbity w jego podbrzusze tuż nad wzwiedzionym członkiem. Patryk syknął z bólu. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy poczuł empatię do ojczyma.

„Ma dwa kutasy” – pomyślał jeszcze i o mało nie wybuchnął śmiechem.

Nie czekał, aż Ratoń ochłonie, i w podartych spodenkach wybiegł z mieszkania.

*

Roman spotkał ją dwa tygodnie później. Na tym samym szpitalnym korytarzu, na którym pierwszy raz zwrócił na nią uwagę. Była ubrana w ciemnozieloną kurtkę i dzinsy. Twarz miała lekko zaróżowioną od chłodnego wiatru, włosy w nieładzie. I tylko oczy miała takie jak wtedy.

– Dzień dobry, panie ordynatorze – uśmiechnęła się na jego widok.

Miał wrażenie, że szczerze.

– Dzień dobry – odpowiedział, przyglądając się jej z przyjemnością.

– Niech się pan nie martwi. Przyszłam tylko po dokumenty. – Wzruszyła ramionami.

– Słyszałem, że pani już u nas nie pracuje – bąknął.

– Łagodnie pan to nazwał. – Śmiech również miała miły. – Po prostu wywalili mnie na zbity pysk, zresztą mieli rację. Nawet gdyby tego nie zrobili, nie zostałam tu nawet minuty dłużej.

Roman zerknął na zegarek. Dochodziła piętnasta. Miał wolne półtorej godziny.

– To ciekawe.

– Ba, ja wiem...? – Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, co interesującego może być w jej słowach.

– Głodny jestem, da się pani zaprosić na obiad?

Natychmiast spoważniała, a on nie wiedział, czy to dlatego, że pierwszy raz otrzymała tego typu propozycję, czy otrzymywała je zbyt często.

– Oczywiście nie chcę zabierać czasu – powiedział, kiedy cisza stała się kłopotliwa.

– Mam bardzo dużo czasu – rozwlekała sylaby, jakby chciała zyskać na czasie przed podjęciem decyzji.

– W takim razie pójde zrzucić szpitalne ciuchy. Jeżeli zdecyduje pani na „tak”, proszę czekać przed wejściem głównym. Jeżeli na „nie”... – Uniosła brwi zaciekawiona. – Mam nadzieję, że następnym razem zmieni pani zdanie – dokończył zadowolony, że wybrnął z humorem.

Czekała na niego oparta o jeden z dużych klombów ustawionych wokół szpitala. Ucieszył się bardziej, niż myślał, że się ucieszy na widok osoby, którą świadomie widział drugi raz w życiu.

– Tu niedaleko jest niezła włoska restauracja. Podają pyszne risotto. Co pani na to?

– W sprawach restauracji zdaję się na pana – powiedziała, zerkając na niego.

„Bez fartucha muszę być dla niej intrygujący jak kosmonauta bez skafandra” – pomyślał.

– Nie lubi pani jeść? – starał się podtrzymać lekki ton rozmowy.

– Nie stać mnie na chodzenie po knajpach. – W jej głosie nie wyczuł żalu.

Raczej stwierdzenie faktu.

Restauracja „La Busola” nie była duża. Ściany zdobiły stare czarno-białe fotografie Włoch. Od ośnieżonych szczytów Alp po spalone słońcem sycylijskie doliny.

Zamówił im risotto à la milanese i sobie stek z tuńczyka.

– Na pewno nie chce pani wina? – upewniał się, obserwując pałaszującą ze smakiem dziewczynę.

– Sama nie będę piła.

– Ja wracam do pracy, a pani... – zawiesił głos.

– A ja wracam do domu – spojrzała na niego wyzywająco. – Kawalerka, dwadzieścia pięć metrów. Ani śladu faceta. Ani kobiety... Nawet kotów nie ma – dodała nieco łagodniej.

– Nie chciałem być natrętny.

– A jest pan? – wydawała się zaintrygowana.

– W pewnym sensie przyczyniłem się do utraty przez panią pracy. – Frywolny nastrój zniknął.

– Nieprawda. Poza tym już powiedziałam. Nie nadaję się do tego. – Wzięła spory łyk wody z cytryną.

– Zorientowała się pani dopiero teraz? – Czuł coraz większą potrzebę dowiedzenia się czegoś o tej dziewczynie.

– W szkole pielęgniarskiej przygotowywali nas do tego. Ale co innego jest słuchać, jak to jest, kiedy ktoś umiera, a co innego jest być przy tym. Blisko...

– Wbiła wzrok gdzieś ponad jego ramieniem, a Roman odruchowo podążył za jej wzrokiem.

Nie zobaczył nic poza ścianą, na której wisiało zdjęcie wąsatego gondoliera.

– Wyobraziłam sobie jego dzieci, które dowiadują się, że ojciec zmarł w czasie operacji. – Twarz byłej pielęgniarki znowu zaczęła nabierać barwy świeżego śniegu.

– Skąd pani wiedziała, że ma dzieci? – zapytał nieśmiało.

– Dzieci, żona, matka, wszystko jedno! – podniosła głos, aż kelner zbierający naczynia dwa stoliki dalej zaczął im się przyglądać. – Musiał mieć kogoś, kogo ta wiadomość... – na chwilę umilkła i dodała już całkiem cicho: – Jak sobie to uświadomiłam, zrobiło mi się gorąco, potem słabo, a potem... – Jej wzrok ponownie wpadł na tory jego spojrzenia, biegnąc w przeciwnym kierunku.

– Nie da się przejść życia bez strat – powiedział, a słowa zabrzmiały mu koślawo i pretensjonalnie.

– To samo mówił mój tato. – Uśmiechnęła się łagodnie, a uspokojony kelner poszedł do kuchni.

– Twierdził, że jestem kompletnie nieprzystosowana.

– Są dziedziny, w których wrażliwość się przydaje.

– Poszukam ich, panie ordynatorze – powiedziała oficjalnie.

– Roman – powiedział nie tylko dlatego, że nie przyzwyczaił się jeszcze do tytułu, ale przede wszystkim nie chciał, żeby ona tak do niego mówiła.

Nie była już pracownikiem szpitala i wszelka hierarchia nie dotyczyła ich relacji.

– Anka – wyciągnęła do niego rękę przez stół. Miała małą, delikatną dłoń bez pierścionków. – Obiad był przepyszny – rzuciła, odsuwając od siebie wyjedzony do czysta talerz.

– W takim razie nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy tego powtórzyć – powiedział szarmancko.

– Dlaczego? – zapytała po prostu, a według Romana najtrudniej było zadać proste pytanie.

– Dlatego, że miłe momenty nie zdarzają się znowu tak często.

Prosta odpowiedź sprawiła, że Anka zamrugała powiekami. Proste odpowiedzi też potrafią sprawić kłopot. Roman wyciągnął wizytówkę i położył ją na serwetce. Zawahała się, ale wzięła ją i schowała do małej torebki z frędzelkami. Miał nadzieję, że dostanie jej numer telefonu, ale nie dostał.

– Zadzwoń, gdybyś potrzebowała... – zastanowił się nad doborem słowa. – Czegokolwiek.

– Dzięki – zakończyła ich pierwszy wspólny obiad.

Tej nocy koszmar powrócił. Właściwie to nie był koszmar, tylko wierne odwzorowanie tamtego dnia. Ze wszystkimi szczegółami. Trudno zapomnieć coś, co powraca, a sen nawiedzał ją często. Od piętnastu lat towarzyszył jej wierny niczym pies.

Mała Ania siedzi na fotelu, na którym piętrzy się starannie ułożona i przykryta kocem pościel. Jest miękka i pachnąca. Mama bardzo dba o czystość, a Ania uwielbia mościć sobie w niej gniazdo i całe dni spędza z książkami. Czyta

dużo. Jak na siedmioletnie dziecko nawet bardzo dużo, chociaż jej rówieśnicy dopiero poznają litery. Majowe powietrze przesycone jest zapachem białego bzu, który sąsiadka z parteru zasadziła pod oknami. Najmocniej pachnie tuż przed wieczorem. Ania czyta właśnie „Szatana z siódmej klasy”. Cieszy się, że Adam Lisowski zakochał się we fiołkowych oczach bratanicy profesora. Trochę żałuje, że jej własne oczy są po prostu niebieskie. Trochę też zazdrości Wandzie, bo Adaś to fajny chłopak. Nie taki jak jej koledzy z klasy, z którymi nie da się pogadać. Nad gniazdem wisi stary drewniany zegar z kukułką, który rodzice dostali w spadku po dziadkach. Kukułka po raz szósty wyskakuje ze swojej drewnianej klatki, a ostatnie kuknięcie zlewa się z dzwonkiem do drzwi. Ania jest zaniepokojona. Rodzice pojechali do znajomych na imieniny i tato powiedział, że wrócą późnym wieczorem. „Nie będziesz się bała, Anulku?” – pyta, dotykając palcem jej noska. Ania zapewnia, że nie. W końcu jest już duża. Chodzi do szkoły. Mama zostawia jej kolację w lodówce. Na deser jest sernik. Taki z rodzynkami, Ania go uwielbia, ale obiecuje, że najpierw zje kolację. Ania nigdy nie oszukuje rodziców. Dzwonek powtarza się, ale nie jest natrętny. Zupełnie jakby ktoś za drzwiami miał nadzieję, że nikt mu nie otworzy. „A może ktoś się pomylił” – myśli Ania, gramoląc się z pościeli. Starannie zaznacza zakładką miejsce w książce. Małe stopy wciska w kapcie z miękkiego pluszu i idzie do drzwi. Za oknem szczeka pies. Ania poznaje, że to Perełka sąsiadów. Kiedy dochodzi do drzwi, dzwonek odzywa się jak teatralny gong, po raz trzeci.

– Kto tam? – pyta Ania, zastanawiając się, co by było, gdyby to był jakiś złodziej.

Przecież nie powiedziała by jej, że jest złodziejem, bo złodzieje są kłamczuchami. Tyle że złodzieje też nie dzwonią do mieszkań, tylko się do nich włamują. „A jeżeli wiedzą, że jestem sama?” – to ostatnia myśl, jaka przebiega jej przez głowę, zanim otworzy drzwi.

– Wujek Staszek – odzywa się charakterystyczny głos wujka, którego nie można pomylić z żadnym innym głosem.

Ania przekręca zasuwę i wita wujka szczerym dziecięcym uśmiechem. Do jej serca wkrada się niepokój, bo wujek Staszek nie odwzajemnia uśmiechu. Wygląda zupełnie jak nie wujek Staszek. Wygląda raczej jak dziadek. Stoi na progu i nie rusza się. „Złodziej, przebrał się za wujka Staszka” – pojawia się paniczna myśl.

– Mogę wejść, Aniu? – wujek wreszcie się odzywa.

To dobrze. Jak mówi, jest bardziej prawdziwy. Wujek lubi dużo mówić. Ania odsuwa się i wujek wchodzi. Nie oglądając się, idzie do pokoju. Ania drepcze za nim, przesuając po wzorzystej tapecie palcem. Kiedy wchodzi do pokoju, wujek już siedzi na fotelu. Oddycha ciężko. Ania już wie, że za chwilę wydarzy się coś złego. Nie wie skąd, nie wie co, ale wie, że na pewno. Czuje, że nie ma od tego ucieczki. Nogi stają się bardzo ciężkie i nie chcą jej słuchać. Dlatego stoi w progu i patrzy. Już nie chce, żeby wujek mówił. Wtedy jak na złość on się odzywa.

– Twój rodzice mieli wypadek. – Nie patrzy na nią. Ogląda swoje pozótkłe od papierosów palce. – Nie żyją.

Ania wie już o istnieniu śmierci. Mama jej opowiadała o aniołach i niebie. Słyszała o wypadkach, w których umierają ludzie. Ale nie jej rodzice. Jej rodzice muszą przyjechać, bo ona ich kocha i jest mała. Tata często mówi, że wujek opowiada głupoty. Lubi się z nim droczyć. „Zasnęłam”, myśli Ania. Często jej się to zdarza, kiedy dużo czyta. „Muszę się obudzić”. Ania zaciska powieki. Czuje na sobie ciężką rękę. Niemal z wdzięcznością otwiera oczy. Ale sen nie znika. Ręka należy do wujka.

– Co się stało? – Ania słyszy swój głos, jakby dochodził z drugiego pokoju. „Mama musi mnie czasami tak słyszeć, kiedy ją wołam, bo nie chce mi się do niej iść”.

– Ciężarówka nie zatrzymała się na zielonym świetle – powiedział wujek, marszcząc czoło.

– Aha... – Ania kiwa głową, która nagle staje się za mała.

Zupełnie jak jej szuflada, do której nawpychała za dużo zabawek i zatrzasnęła na siłę. Popękały ścianki i tata musiał je naprawiać. Ten sam tata, który teraz leży zgnieciony w samochodzie. Razem z mamą. Trzymali się za ręce, kiedy to się stało? Odkąd tata kupił samochód z automatyczną skrzynią biegów, zawsze się trzymają. Ania uwielbia wtedy na nich patrzeć. Nagle z chaosu dźwięków i obrazków, beładnie wypełniającego głowę, na pierwszy plan wychodzi słowo NIGDY.

Dorośla Ania budzi się zwykle w tym momencie. Mała dostaje ataku hysterii i zostaje odwieziona do szpitala. Potem nie odzywa się całymi miesiącami.

Anka siadła na łóżku. Przetarła twarz dłońmi. Znała procedury. Zapaliła górne światło i poszła do łazienki. Zmyła resztę snu, jakby był błotem. Znacząc kroplami wody ścieżkę, przeszła do kuchni. Szklanka soku pomogła jej

przełknąć tabletki uspokajające. Wróciła do łóżka i ze zdumieniem stwierdziła, że myśli o ordynatorze. Samotność nigdy jej nie doskwierała. Tak jak nie doskwiera kotom. Samotność była jej partnerem i rozumieli się doskonale. W takim razie dlaczego pomyślała o tym lekarzu...? Czy to ważne? Poczuła, że powieki robią się coraz cięższe, a myśli poruszają się w zwolnionym tempie. Krążyły po jakimś pustkowiu, którego jeszcze nigdy nie odwiedziły. Krajobraz był niepokojący. Nie wiedziała, czy jej się podoba, ale chciała iść w głąb. Nieznane rozmyło się i zapadła w nicość.

Krystian zwany przez matkę Pupuniem, a w przyszłości Wieprzem

– Nie rozpakujesz prezentu, Pupuniu? – zapytała matka, przysiadając na antycznym szezlongu obok ojca Krystiana.

– Rozpakuję – odpowiedział tłusty dziesięcioletni chłopiec o rumianych policzkach, które zaczerwieniły się jeszcze bardziej po słowie „Pupuniu”. Krystian nienawidził, jak matka mówiła do niego „Pupuń”. Ubrany w biały dziecięcy garnitur siedział przed dużym pakunkiem, na którego czubku pulsowała czerwienią gruba kokarda.

– Synku, może wykazałbyś więcej entuzjazmu. – Ojciec uśmiechał się, ale głos miał karcący. „Przynajmniej dla niego nie jestem żaden Pupuń”.

– Tatusz ma rację. Nie kupujemy ci byle czego, a zapewniam cię, że wszyscy twoi koledzy marzyliby o takich prezentach, jakie dostajesz.

– Nie pozwalacie mi się z nikim kolegować – burknął Krystian.

– Po prostu w twojej szkole nie spotkaliśmy jeszcze nikogo, kto byłby dla ciebie odpowiedni – mówiła poważnym tonem mama, poprawiając Krystianowi grzywkę odrywającą się od wrytego grzebieniem przedziałka. – Wychowujemy cię na wartościowego człowieka i nie możemy pozwolić na to, żeby byle jakie towarzystwo zniweczyło naszą pracę.

– Niech otworzy wreszcie ten prezent, nie czas na kazania. – Ojciec wymownie spojrział na zegarek. Pewnie spieszył się do pracy. Zawsze spieszył się do pracy.

– Masz rację, kochanie. To w końcu jego święto – przyznała matka

i rozsiadła się wygodnie, jak przed spektaklem. Krystian wspiął się na palce i pociągnął za koniec wstęgi opasującej pakunek. Zdjął ozdobny papier, starając się go nie rozerwać. Wiedział, że niszczenie czegokolwiek jest barbarzyństwem, a jego rodzice nie chcieli mieć w domu barbarzyńcy. Prezent był ciężki i chłopiec do otwarcia pudełka potrzebował pomocy ojca.

Oniemiały patrzył na samochodzik na akumulator, błyszczący w świetle rozłożystego żyrandola. Był wiernym odwzorowaniem ferrari, tyle że dużo mniejszym. Dumni z siebie rodzice obserwowali reakcję syna.

– Jest mój? – Żadne mądrzejsze pytanie nie przyszło mu do głowy, a czuł, że musi coś powiedzieć.

– Oczywiście, Pupuniu. Dzisiaj są twoje urodziny. – Mama promieniała.

– Poza tym żadne z nas nie zmieściłoby się w tym samochodzie – zażartował tata, po czym dodał, zerkając na mamę: – Nawet twoja szczupła mama.

– Super! – krzyknął Krystian.

– Ej, ej... – Mama pogroziła chłopcu palcem. – Tyle razy prosiłam, żebyś wyrażał się poprawnie.

– Znaczy się, chciałem powiedzieć... – Krystian zastanowił się nad odpowiednim słowem. – Wspaniale – zakończył, ale już bez entuzjazmu. – Mogę wsiąść?

– Synku, to twój samochód. – Tata rozłożył ręce w szerokim geście przyzwolenia.

Krystian wcisnął swoje pulchne ciało na siedzenie i nacisnął klakson. Z zadowoleniem stwierdził, że miniaturowy samochód hałasuje zupełnie jak prawdziwy.

– Przestań! – krzyknęła matka, zasłaniając sobie uszy dłońmi. – Kochanie, trzeba będzie coś z tym zrobić. Ten dźwięk jest nie do wytrzymania – powiedziała do męża.

– Wystarczy rozłączyć przewody – zgodził się ojciec.

– Gdzie będę jeździł? – Krystian nie mógł się doczekać pierwszej przejażdżki. Gdyby tak na boisku szkolnym. Chłopakom oko by zbielało z zazdrości i może przestaliby go nazywać tłustym maminsynkiem. A jakby tak pozwolił im się przejechać, może wreszcie zaczęliby go traktować jak kumpla.

– Na razie nigdzie. Ewentualnie, gdy będziesz grzeczny, popcham cię trochę po salonie. – Ojciec składał tekturowe pudełko, w które zapakowany był samochodzik, aż zaczęło przypominać akordeon.

– Jak to? – Krystian nie był pewny, czy tata nie żartuje. Mama mówiła o nim

„żartowniś”, co tata bardzo lubił. „Ciekawe, czy lubiłby, gdyby mówiła na niego Pupun”.

– Na razie jesteś jeszcze za mały na jeżdżenie samochodem – powiedziała mama.

– Z jakiegoś powodu prawo jazdy można wyrobić sobie po ukończeniu siedemnastego roku życia – dodał ojciec. – Dlatego akumulator zostanie wymontowany.

– Żebyś sobie nie zrobił krzywdy, Pupuniu. – Czuły uśmiech powrócił na twarz mamy.

– Ale po co mi samochód, który nie jeździ? – pisnął załośnie Krystian.

– A od czego wyobraźnia? – Ojciec przykucnął przy otwartym ferrari i pogładził czerwone drzwi. – Ja w twoim wieku budowałem samochód z kilku krzesel. Nakrywałem je kocem i brałem pokrywkę, która udawała kierownicę. Nie masz pojęcia, ile razy wygrałem Rajd Safari.

– Ale ja... – Krystian wreszcie postanowił powiedzieć, że ma tego dosyć. Ma dosyć tego, że mając wszystko, nie ma nic. Ma dosyć zakazu grania w piłkę, chociaż miał stroje piłkarzy wszystkich najlepszych drużyn futbolowych. Miał dosyć słuchania muzyki, na którą każdy chłopak w jego wieku mówił „pitolenie na skrzypkach”, miał dosyć garniturów i miał dosyć jedzenia zdrowych posiłków, które nie miały smaku. Miał dosyć...

– Nie ma żadnego „ja”, synu. – Ojciec zmierzwił mu czuprynę, którą matka tak pieczołowicie ulizała. – Jesteśmy my. Rodzina, która wie, co jest dla niej najlepsze.

Krystian spojrzął na poważne oblicze ojca. Zerknął na mamę zgodnie kiwającą głową. Wiedział, że nic nie powie. Wiedział też, że dopóki niczego nie zrobi, będzie miał coraz bardziej dosyć.

*

Roman spoglądał na Lidie, której jedna ręka przewracała strony żurnala z bielizną, a druga po omacku sięgała po truskawki. Wsuwała je do ust i odgryzała od szypułki, następnie szypułka lądowała w popielniczce. Szypułki wysypywały się już na stolik, a Roman się cieszył, że żona zamieniła papierosy na owoce.

– Podoba ci się? – Lidia postawiła pismo pionowo, żeby mąż mógł zobaczyć długi czerwony peniuar z prześwitującego materiału.

– Bardzo ładne – mruknął zgodnie z prawdą.

Lidia przewróciła kolejną stronę i sięgnęła po kolejne truskawki.

– Jak idzie z nową apteką? – zapytał niby od niechcenia, chociaż przygotowywał się do tej rozmowy od kilku dni. Efekt był marny, bo Lidia zsunęła okulary do czytania na czubek nosa i przestała interesować się żurnalem. Nie cierpiała tych okularów.

– Co, nie mogę się zapytać? – usprawiedliwiał się.

– Możesz – odparła.

– No więc...?

– Wszystko w porządku. Czy to ci wystarczy? – Truskawka zniknęła w jej ustach, a Roman poczuł się jak dziecko proszące matkę o kupno zbyt drogiej zabawki.

– Chciałbym, żebyś zatrudniła kogoś – powiedział i dla podkreślenia obojętności przeciągnął się i ziewnął.

– Zawsze byłeś przeciwnikiem kumoterstwa – udała zdumienie.

– Nadal jestem. – „Co za idiotyzm – pomyślał. – Zupełnie jakbym robił coś złego”. – Nigdy bym ci nie polecił kogoś, gdybym nie był pewny jego kwalifikacji.

– Mhm. W takim razie kim jest ów tajemniczy ON? – Lidia wyraźnie złagodziła ton, a Roman wiedział, że robi to tylko po to, żeby go ośmielić.

– Pielęgniarka, która odeszła ze szpitala po śmierci pacjenta, pamiętasz, opowiadałem ci.

– Czyli tajemniczy ON zamienił się w tajemniczą NIA. – Posłała mu uśmiezek chochlika.

– Straciła pracę tylko dlatego, że jest nadwrażliwa – ciągnął z powagą. – Ale to bardzo rzetelna dziewczyna. Myślę, że miałabyś z niej pociechę.

– O ile dobrze pamiętam, wyrzucili ją dwa miesiące temu. – Lidia położyła wyraźny nacisk na słowo „wyrzucili”.

– No tak – przyznał.

– I ty nagle po dwóch miesiącach przypominasz sobie o jakiejś panience, która mdleje na widok trupa? Dlaczego? – Na jej twarzy widać było tylko zainteresowanie. Była dużo lepszą aktorką niż on.

– Bo wiem, że otworzyłaś kolejną aptekę – wzruszył ramionami.

– Oczywiście. – Powiedziała to po długim namyśle. – Niech przyjdzie. Muszę ją sobie obejrzeć. – Uśmiechnęła się do Romana i wróciła do wertowania żurnala.

Oglądała ją dwa dni później, a spojrzenie ciemnych oczu onieśmiało Ankę, która uśmiechem starała się pokryć zmieszanie.

– Praca asystentki w aptece nie jest trudna – odezwała się wreszcie Lidia.

– W takim razie powinnam sobie poradzić. – Anka skromnie wzruszyła ramionami, zadowolona, że milczące badanie dobiegło końca.

– W takim razie pracować może tutaj każdy. – Koniuszek języka wypełził z ust Lidii i niczym ślimak przewędrował z lewej strony na prawą, zwilżając uszminkowane wargi.

– Pewnie tak – mruknęła Anka, po czym dodała głośniejszym głosem: – Skoro pani tak uważa.

– Dlatego musimy ustalić, dlaczego akurat ty.

Spotkanie odbywało się na zapleczu nowo otwartej apteki, na parterze kamienicy, dwie przecznice od mieszkania wynajmowanego przez Ankę. To był jeszcze jeden powód, dla którego słysząc propozycję pracy, rzuciła się Romkowi na szyję. Pierwszym był zaległy czynsz, który mogłaby zapłacić.

Od wspólnego obiadu we włoskiej knajpce widywali się co jakiś czas. On dzwonił, kiedy miał okienko w szpitalu. Po pewnym czasie Anka ośmieliła się i zaprosiła go na urodziny. Spędzili je, spacerując po parku, karmiąc wiewiórki i kaczki. Roman był pierwszym człowiekiem, któremu opowiedziała o swoim dzieciństwie i o dniu, w którym się skończyło.

– Roman powiedział, że szuka pani kogoś i...

– Roman. – Lidia podniosła brwi, a czoło pozostało gładkie.

Ance przemknęło przez myśl, że to efekt wstrzykniętego botoksu.

– Jak długo i jak dobrze się znacie? – Spokojny ton nie zwiódł Anki. W czasie długich rozmów Roman niewiele mówił o swojej żonie, ale kiedyś wspomniał, że jest osobą specyficzną. Kiedy poprosiła, żeby jej wytłumaczył, co oznacza owa „specyficzność”, stwierdził, że czasami ludzie czują się zdenerwowani w jej towarzystwie.

– Pracowałam w szpitalu, w którym pan Roman jest ordynatorem.

– Roman czy pan Roman? – W oczach Lidii pojawiły się złośliwe iskierki.

– Niedawno przeszliśmy na ty. Nie wiedziałam, że to coś złego. – Fala gorąca rozlała się po policzkach Anki.

– Ależ nie. – Uśmiech odsłonił klawiaturę śnieżnobiałych zębów Lidii. – Ja tylko lubię wiedzieć, z kim pracuję.

Jakby na potwierdzenie swoich słów wzięła do ręki teczkę, w której Anka

przyniosła swoje CV.

– W tej teczce znajdzie pani informacje na mój temat – powiedziała Anka.

– Nie obchodzi mnie, kiedy się urodziłaś i jak nazywa się twoja matka – powiedziała obojętnie Lidia, ale Anka dopatrzyła się w jej słowach pogardy.

– W takim razie niech mi pani powie, co panią obchodzi. Konkretnie. Będzie nam łatwiej. – Głos jej drżał.

– Odkąd ze sobą sypiacie? – Lidia powiedziała to jak największą oczywistość. Bez cienia pretensji. – Tylko nie zbywaj mnie. Interesują mnie wszystkie szczegóły. Gdzie cię pieprzy i jak cię pieprzy. Co mówi, gdy dochodzi. – Nawet teraz jej głos był spokojny, jego niski tembr mógł koić. Gdyby ktoś nie rozumiał znaczenia słów.

Rumieniec, który jeszcze niedawno panoszył się na policzkach Anki, zamazała trupia bladość.

– Przestań odgrywać niewiniątko. – Lidia wygodniej rozparła się na fotelu. Jej palce zakończone krwistoczerwonymi paznokciami stukały w teczkę.

– Zanim stąd wyjdę, proszę mi powiedzieć, jakim prawem posądza mnie pani o takie rzeczy? – Anka trzęsła się tak bardzo, że musiała chwycić kant stołu. Ścisnęła go mocno.

– Jestem jego żoną, skarbie. – Uśmiech Lidii dorównywał serdecznością jej głosowi.

Anka oddychała jak po długim forsownym biegu, aż zakręciło się jej w głowie. „Hiperwentylacja” – pomyślała. Sięgnęła po teczkę i zdecydowanym ruchem wyszarpnęła dokumenty.

– Nie rozumiem, dlaczego taki ktoś jak Roman zadaje się z taką wredną pindą jak pani – wyrzuciła z siebie i poczuła ulgę. Lidia zeszywniała na moment, co sprawiło Ance przyjemność. – Możliwe, że ma pani coś, czego mu potrzeba, na szczęście ja nie muszę z panią rozmawiać.

– Czyżby nie uczyli cię, jak zachowywać się w czasie rozmowy kwalifikacyjnej? – Lidia wracała do swobodnego sposobu bycia.

– Nikt nigdy nie mówił, że będę się starała o pracę u ropuchy. – Anka wstała i zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju. Słyszała za sobą dźwięczny śmiech Lidii, w którym było coś tak odrażającego, że skurczył jej się żołądek.

Gdyby Anka знаła Lidię lepiej, wiedziałaby, że dźwięk, który wyprowadził ją z apteki, nie miał nic wspólnego z tym, co zwykle się nazywało śmiechem.

Roman wpatrywał się w animowaną słuchawkę, która drżała na wyświetlaczu

jego telefonu nad napisem „Ania”. Słuchawka zniknęła, a cyfra w rogu ekranu poinformowała o ósmej nieudanej próbie połączenia. Odłożył telefon na biurko w zasięgu wzroku, jakby się obawiał, że nie usłyszy, gdyby Anka wreszcie oddzwoniła. Zawsze oddzwaniała. Pociągnął spory łyk kawy, ale mu nie smakowała. Dolał mleka, co zmieniło tylko jej kolor. Cieszył się, że tego dnia nie ma operacji. Przy stopniu koncentracji, jakim w tej chwili dysponował, mógłby pomylić nogi z rękami. Lekkomysłna część duszy odpowiedzialna za to, że ludzie nie popełniają samobójstwa, podpowiadała, że Anka dostała nową pracę, a jako osoba poważnie traktująca obowiązki zwyczajnie nie ma czasu na rozmowy z... No właśnie, kim dla niej jest? Lubił myśleć, że przyjacielem, ale to mogła wiedzieć tylko ona. Czy aby na pewno był przyjacielem? Czy istnieje przyjaźń między kobietą a mężczyzną? Oczywiście, uśmiechnął się do swoich szczeniackich myśli. Łatwo to sprawdzić. Jeżeli po roku znajomości przyjaciel nie wie, jaki kolor oczu ma przyjaciółka i nigdy nie wyobraził jej sobie nago, jednocześnie nadal lubi się z nią spotykać, można założyć, że są przyjaciółmi. Tyle że Roman doskonale wiedział, jakie oczy ma Anka, a wyobraźnia podsuwała mu coraz śmielsze obrazy. A znał ją zaledwie trzy miesiące.

Zastanowił się, czy nie zadzwonić do Lidii, ale szybko uznał pomysł za absurdalny. Wcześniej niż zwykle udał się na obchód, poinstruował personel i wyszedł z pracy godzinę przed czasem, wymawiając się bólem głowy. Na ulicach trafił na godziny szczytu i w roztargnieniu o mały włos nie przejechał staruszki, która z uporem Syzyfa pokonywała przejście dla pieszych. W radiu nadawali wiadomości o siedemnastej. Jechał do pustego domu. Lidia nie wróci przed siódmą. Anka pewnie też nie skończy pracy wcześniej. Nie zadzwoni do niej po przyjściu żony, a o tym, jak poszło w nowej pracy, wolał się dowiedzieć od Anki.

Z pierwszej ręki. Pierwszych ust.

Skręcił z głównej drogi i podjechał do miejskiego parku z fontanną w kształcie muszli podtrzymywanej przez cztery nagie syreny. Lubił tu porządkować myśli, które ostatnio szamotały się po jego głowie jak ślepe kanarki.

Nagle, pewnego poranka, dziwny niepokój wyszarpał ze snu dobijającego czterdziestki mężczyznę. Było to wkrótce po tym, gdy został ordynatorem renomowanego szpitala, jego konto bankowe puchło jak ciasto w piekarniku, a obok leżała piękna kobieta, która go kochała. Wtedy po raz pierwszy zadał

sobie pytanie: „Dlaczego jestem nieszczęśliwy?”. Dla odpędzenia głupich jego zdaniem rozterek egzystencjalnych uciekł w świat fantazji. Nie były oryginalne. Nie podróżował po nieznanach krainach ani nie ujeżdżał nowoczesnych samochodów. Ponadto wiedział, że jego fantazje spełnią się nazajutrz. Był umówiony z Anią na obiad. „No i co, kurwa, z tego?” – Roman nawet w myślach rzadko przeklinał. „To dobra, wrażliwa dziewczyna, której się w życiu nie powiodło. Widocznie mam potrzeby ojcowskie, a córkę będę miał, gdy ją sobie sam urodzę! W tym związku tylko ja nie boję się rozstępów”. Gdyby miał córkę, chciałby, żeby była taka jak Ania. Zachwycało go, jak pogodnie, nie będąc przy tym idiotką, znosi przeciwności losu. I nikt jej nigdy nie pomógł. Roman postanowił to zmienić. Nawet kosztem złośliwych docinków Lidii. Poza tym był pewny, że żona będzie miała pociechę z Ani. Dziewczyna była rzetelna, pracowita i oddana. Pracując w aptece, można nieść pomoc bez obcowania ze śmiercią.

Uspokoił się trochę i nawet zwrócił uwagę na harce sikorek buszujących wokół fontanny. Podał grzechotkę małemu dziecku, które upuściło ją z wózka, czym naraził się na wdzięczny uśmiech atrakcyjnej szatynki z karmiącym biustem, i postanowił wrócić do domu.

Zanim doszedł do samochodu, ponownie zadzwonił do Ani. Bez odbioru.

Bolek zwany Lolkiem

Bolek, na którego wszyscy mówili Lolek, był drobnym chłopcem o za dużych oczach. Dzięki nim jego buzia zdawała się wiecznie rozmarzona i pewnie dlatego dziewczyny bardzo lubiły z nim rozmawiać. Dziesięcioletniemu Lolkowi (czy też Bolkowi) nigdy to nie przeszkadzało.

Lolek patrzył na ojca, który od godziny siedział przy stole bez ruchu. Chłopiec próbował różnych forteli. Najpierw wchodził i wychodził z pokoju. Bezskutecznie. Potem zaczął udawać kaszel, po czym naprawdę się rozkaszał, aż z oczu pociekły mu łzy. W dawnych czasach tata na pewno poklepałby go po plecach i powiedział: „No, stary, krztusisz się jak prawdziwy facet”. Lolek uwielbiał, jak tata tak do niego mówił. Byli kumplami. Kiedyś w tajemnicy przed mamą tata dał mu się napić piwa. Było okropnie gorzkie, ale Lolek nawet się nie skrzywił. Taki to był ten jego tata, którego zazdrościli mu

wszyscy koledzy (i niektóre koleżanki).

Gdy kaszel nie poskutkował, chłopiec poszedł na całość i upuścił szklanę. Szkło rozbiło się na kawałki, hałasując, jak to zwykły czynić tłukące się szklanki. Ojciec odwrócił wzrok w jego kierunku, ale jego oczy były jak ciemna piwnica, do której kiedyś zabrał Lolka, żeby pomógł mu naprawić światło. „Bez ciebie na pewno nie dam sobie rady” – powiedział wtedy tata.

A teraz siedział i zachowywał się tak, jakby go nie znał. Zdeterminowany chłopiec zdobył się na odwagę i przestał szukać podstępów.

– Tatusiu... – powiedział ich umówione hasło i czekał na odzew. Wreszcie się doczekał.

– Synuś. – Ojciec zrobił dziwny grymas, który miał naśladować uśmiech.

– Dlaczego nic nie mówisz? – Lolek był zadowolony, zmiana taktyki się opłacała.

Ojciec przyglądał mu się długo.

– Dlaczego nic nie mówisz? – powtórzył.

– Bardzo cię kocham, chłopie. – Duża mocna dłoń opadła na jego drobną rękę i pogładziła ją szorstko.

– Wiem. – Lolek wzruszył ramionami.

– To dobrze. – Ojciec poważnie kiwał głową. – Mam nadzieję, że zawsze będziesz to wiedział.

– Pewnie. – Na razie to Lolek nie wiedział, dlaczego o tym rozmawiają.

– Muszę ci coś powiedzieć... – W głosie ojca pojawiło się napięcie. – Poznałem twoją mamę, gdy miałem tyle lat co ty.

– A jak ja się zadaję z dziewczynami, to się ze mnie śmiejesz – oburzył się Lolek.

– Gdy miałem dziesięć lat, to się z nią nie zadawałem. – Tym razem uśmiech był trochę bardziej znajomy. – Patrzyłem sobie tylko i... nawet nie wiedziałem, jak do niej zagadać.

– Mama mi kiedyś mówiła, że byłeś ciapciakiem – przyznał niechętnie. – Ale ty nie jesteś ciapciakiem.

– Spędziliśmy razem bardzo fajny czas. Wyobraź sobie czternaście lat wakacji z Kubą.

– To by było super. – Lolek rozpromienił się na samą myśl. Kuba był jego najulubieńszym przyjacielem. Po tacie, ma się rozumieć.

– Wiedziałem, że nawet w najgorszej sytuacji usiądziemy i razem coś wymyślimy. Nigdy nie zawiodła. Rozumiesz mnie? – Ojciec spojrzał na syna

oskarżycielsko, jakby wiedział, że ten go nie rozumie.

– To dlaczego nas zostawiła? – Lolek poczuł do matki żal tak mocny jak pół roku temu, kiedy wyjechała z wujkiem.

Nastąpiła długa cisza, a chłopiec zaczął się martwić, że rozmowa się skończyła.

– Może dlatego, że jednak nie przestałem być ciapciakiem – powiedział wreszcie.

– Nie jesteś! – Głos Lolka zapiszczał dziecinnym oburzeniem.

– Bycie razem ma sens tylko wtedy, gdy się nie wyobraża bycia bez tego kogoś.

– Jak to? – Chłopiec nie rozumiał.

– Nie mogę jej opowiedzieć o tym, co się ze mną dzieje, bo to, co się ze mną dzieje, dzieje się przez nią. Kurwa!

Lolek oniemiały patrzył na tatę, który nieoczekiwanie zerwał się z krzesła. Upadło na puszysty dywan, na którym grywali w kapsle.

– Ale... – pisnął niepewnie.

Ojciec stanął nad nim i zgiął się w pół. Twarz, która do niego przemawiała, wykrzywiła się jak twarze złych postaci w bajkach. Lolek widział wyszczerzone zęby spięte nitkami gęstej śliny.

– Nie ma żadnego „ale”, słyszysz, gnoju?! Nie ma! Lolek czuł kiszony oddech gorączki.

– Może kiedyś zrozumiesz, co teraz czuję. Wiesz, co czuje facet, kiedy sobie wyobraża, że jego... – Zachłysnął się i kaszlał dłuższy czas. Lolek miał nadzieję, że to go uspokoi. Mylił się. Ojciec mówił znacznie ciszej, ale zaciśnięte zęby były bardziej złowieszcze od wyszczerzonych.

– Moja żona... Twoja matka pieprzy się teraz z tym skurwysynem, a ja nie mogę nic zrobić. Rozumiesz? Nie mogę nic zrobić. Nie mogę jej błagać, nie mogę jej zabić, nie mogę zapomnieć. Nie mogę nic.

Przycisnął dłonie do twarzy i kilkakrotnie pociągnął nosem, jakby miał katar. Chłopiec stał jak sparaliżowany. Wreszcie delikatnie dotknął dłoni taty. Reakcja była gwałtowna i niespodziewana. Ciężka dorosła dłoń spadła na jego głowę z taką siłą, że chłopiec przeleciał kilka kroków i uderzył o ścianę. Szumiało mu w głowie. Lolek zobaczył, że ojciec nie ma kataru, tylko płacze. Nigdy nie widział płaczącego taty. W jednej chwili zapomniał o bólu.

– Nie płacz, tatusiu... – Wbrew prośbie broda ojca zadrżała, z gardła wydobyło się dziwne westchnienie, po czym ojciec zdecydowanym krokiem

poszedł do łazienki. W ciszy mieszkania suchy trzask zamka wystrzelił jak pistolet.

Lolek podniósł się z podłogi, rozmasowując głowę i plecy. Nasłuchiwał, ale z łazienki nie dobiegał żaden dźwięk. Podszedł do drzwi i przystawił ucho. Zapukał.

– Mogę wejść? – Tata musiał słyszeć. – Chce mi się siku. – Dopiero jak to powiedział, poczuł, że naprawdę potrzebuje wejść do łazienki. Zdenerwowany żołądek dawał o sobie znać. Chłopiec nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły, więc zaczął naciskać ją raz po raz, by wkrótce z pasją wieszać się na niej całym ciężarem swojego drobnego ciała. Kiedy i to nie przyniosło efektu, Lolek z pasją kopał drzwi, dopóki zmęczony nie osunął się na podłogę.

Chłopiec ponawiał próby przez dwa dni. Nie wychodził z domu. Myślał o tym, żeby wezwać pomoc, ale się bał. Bał się, że pomoc wcale mu nie pomoże. Tak naprawdę coraz bardziej bał się otworzyć drzwi. Rankiem trzeciego dnia śpiącego pod drzwiami chłopca obudził dziwny odór snujący się przez szczelinę łazienki. Lolek nie znał tego zapachu, ale przeraził się tak bardzo, że włosy zjeżyły mu się na całym ciele. Już nie chciał wejść do środka. Zresztą tata na pewno wie, co robi. Zawsze wiedział...

*

Wyobrażenia o tym, co by było, gdyby się zdarzyło, sprawdzają się rzadko. Co zrobi dziecko, kiedy dostanie wymarzony prezent? Jak zachowa się narzeczony, przyłapując swoją dziewczynę w łóżku z innym facetem? „Co zrobię, kiedy doktor powie mi, że mam raka i umrę za kilka miesięcy?”

Wyobrażenia nie kreuje rzeczywistości, za to często ją wypacza. Gdybyśmy o tym pamiętali, wszystko byłoby inaczej.

Lidia wróciła do domu wpół do dziesiątej wieczorem i zastała Romana ściskającego szklanę z sokiem pomarańczowym. Jedno spojrzenie w stronę odkrytego barku pozwoliło wywnioskować, że sok jest dodatkiem, szklanka opróżniona do połowy jest czwartym albo piątym drinkiem.

Romek z kpiącym uśmiechem podązał za jej wzrokiem. Alkohol nie przyniósł mu ulgi, a niewinne na początku pulsowanie w skroniach właśnie zamieniało się w tępy ból.

– Cześć, kochanie. – Lidia bezceremonialnie wpakowała mu się na kolana.

– Stęskniłeś się za swoim skarbem? – spytała, wkładając mu język do ucha. Roman odsunął głowę jak dziewczynka, o którą otarł się chrabąszcz.

– Dlaczego nie odbierałaś moich telefonów? – Surowy ton nie pasował do pozy, w jakiej się znajdowali.

– Byłam bardzo zajęta – odparła lekko.

Roman spróbował podnieść się z fotela, ale żona rozparta na jego udach przewiesiła nogi przez oparcie i filuternie nimi zamachała.

– Zejdź. – Ponownie spróbował wstać.

– Przytul mnie – wyjęczała, udając (tego był pewny) podniecenie.

– Wstań, do cholery! – Z wysiłkiem dźwignął Lidie, podnosząc się z fotela. Zatoczył się, ale złapał równowagę. Lidia zapiszczała jak podszczyrywana nastolatka, a Roman posadził ją na zwolnionym fotelu, zrzucając przy okazji niedopitego drinka. Szkło rozprysło się po ciemnej podłodze, a jego drobinki odbijające światło żyrandola wyglądały jak gwiazdy na nocnym niebie.

– Nie zapytasz: „Czym byłaś zajęta, kochanie”? – Drugą część zdania powiedziała, naśladując jego głos.

– A odpowiesz mi? – Roman potarł skronie, ból nasilał się z każdą chwilą.

– Oczywiście. Przecież nie mamy przed sobą tajemnic – odparła Lidia. Rozsiadła się wygodnie, rozpuściła włosy, po czym jej dłoń zanurkowała w stanik i poprawiła pierś, co rozdrażniło go jeszcze bardziej.

– Zjadłam kolację z twoją kochanką – porozumiewawczo zmrużyła oko.

Roman przymknął oczy i zacisnął zęby. Postanowił, że nie da się sprowokować.

– To dlatego nie odbierała moich telefonów – zgodnie pokiwał głową. Zauważył grymas nienawiści, który przez moment rozregulował rysy twarzy Lidii. To było miłe doznanie.

– Widocznie okazałam się dla niej równie atrakcyjna jak ty. – Lidia również starała się trzymać nerwy na wodzy. Roman się roześmiał, całkiem udanie naśladując własny śmiech.

– Wybacz, kotku, ale to niemożliwe – powiedział, nie przestając się śmiać.

– Bo co? – Znalazła się przed nim w ułamku sekundy, odbijając się od oparcia fotela jak sprężyna.

– Ania nie jest lesbijką. – Powiedział to słodko, zdając sobie sprawę z konsekwencji. Głuchy grzmot przetoczył się po wnętrzu jego czaszki. Lidia użyła pięści tak mocno, że głowa Romana odskoczyła jak piłka.

– Nie rób tego nigdy więcej – szepnął.

– Przepróś mnie – odezwała się głosem, o jaki w tych okolicznościach nigdy by jej nie posądził. – Słyszysz? – W osłupieniu zobaczył łyzy wypełniające jej oczy. Nie potrafił jej współczuć. Był jak przechodzień gapiący się na ofiarę wypadku. Nie mógł na nią patrzeć, jednocześnie nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Drogę do Anki przebył pieszo. Wypity alkohol został wchłonięty przez adrenalinę, ale nie chciał wsiadać do samochodu. Nigdy nie przestawał być lekarzem. Chłodne wieczorne powietrze przyjemnie studziło rozpaloną emocjami głowę. „Co się tam musiało wydarzyć?” Poczucie winy toczyło myśli jak nowotwór. Przypominał sobie fragmenty wydarzeń ostatnich kilkunastu lat.

Impreza noworoczna dla pracowników szpitala. Roman natyka się w holu na zapłakaną Bożenę – lekarzkę na stażu. Dziewczyna przeżywa dramat osobisty. Właśnie się dowiedziała, że jej matka dostała udaru. Roman może jej tylko wysłuchać... Przytulić. Magiczna chwila, w której obcy ludzie próbują sobie pomóc, zostaje gwałtownie przerwana. Lidia wyrywa młodą lekarzkę z objęć Romana i mocno przyciska do ściany. Dziewczyna jest tak rozbita, że nawet nie protestuje. Roman odciąga żonę i długo ją przekonuje, że między nimi do niczego nie doszło, co jest kłamstwem. Bożena nigdy nie zapomni tego, co jej wtedy powiedział. Intymność, jaka rodzi się między cierpiącym a pocieszającym, zostaje w obojgu na długo. Czasem na zawsze.

Następne wspomnienie dotyczy Magdy – pierwszej miłości Romka z prehistorycznych czasów szkoły podstawowej, kiedy szczytem uniesienia było skrzyżowanie spojrzeń. Po latach spotkali się na zakupach w supermarkecie. Wymienili grzecznościowe „Co tam u ciebie?”, i każde poszło w swoją stronę. W domu odbyła się długa rozmowa. Lidia miała pretensje, że nie wiedziała o istnieniu Magdy. Takich przygód było więcej. Romanowi czasem schlebiała zazdrość żony. Uważał, że dopóki Lidka ma świra na jego punkcie, dopóty jest kimś nadzwyczajnym. A chciał być nadzwyczajny. „Czy to możliwe, żeby męska próżność i potrzeba posiadania władzy nad drugą osobą sprawiły, że stałem się jej niewolnikiem?” Z tym pytaniem stanął przed drzwiami klatki schodowej kamienicy. Na jej poddaszu mieszkanie wynajmowała dziewczyna, która doprowadziła do pierwszej poważnej awantury z Lidią. „Bzdura” – skarcił się w myślach. „Za to, co się dzisiaj stało, odpowiadasz tylko i wyłącznie ty. Znasz Lidię jak nikt, i mimo to

posłałeś do niej Anię. Na co liczyłeś?” Podszedł do domofonu, ale się zawahał. Kilka razy zdarzyło mu się odprowadzić Ankę, ale rozstawali się w tym miejscu. „Skoro nie odbiera moich telefonów, dlaczego miałyby mnie wpuścić?” Wątpliwość wydała mu się usprawiedliwiona i nie zadzwonił. Czekał dziesięć minut, aż ktoś wreszcie wyszedł z klatki, z czego skorzystał. Szybko pokonał schody na poddasze, a zadyszka, której się przy tym nabawił, niekoniecznie oznaczała, że ma kiepską kondycję. Odpoczywając, przyczesał włosy. Od dziecka wpojono mu zasady savoir-vivre’u, więc sprawdził, czy pora nie jest zbyt późna na wizytę. „Nie zwykłą wizytę, tylko pierwszą wizytę, i nie u zwykłej osoby, tylko u przyjaciółki, która... Którą...” – no właśnie. Była 23.15, więc zdecydowanie za późno, a on nie miał ze sobą kwiatów. Zapukał, jakby się bał, że dzwonek może obudzić śpiącą lokatorkę, chociaż chciał ją obudzić, gdyby spała. Są chwile, w których emocje niszczą pragmatyzm. Nikt nie otwierał, więc ponowił pukanie, tym razem głośniejsze. „Mój Boże, zabiła ją” – pomyślał i mimo że była to przerażająca myśl, najbardziej przeraził go fakt, że gdyby tak się stało, wcale by się nie zdziwił. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły, a Roman znalazł się w miejscu, które często sobie wyobrażał...

Ciemny przedpokój z wieszakiem i rozklekotaną szafką na buty prowadził do rozwidlenia. Po lewej stronie znajdowała się niewielka kuchenka, a po prawej był pokój. Mieszkanie tonęło w ciemnościach, ale wzrok Romana dostosował się do nich na tyle, że nie potykał się o meble. Wszedł do pokoju i zobaczył ją od razu. Leżała na materacu ułożonym pod samym oknem. Roman włączył lampkę nocną w kształcie krasnala. W każdym innym przypadku taka lampka wydałaby mu się szczytem złego gustu.

Anka leżała bez ruchu, a listek leków na taborecie obok sprawił, że żołądek Romka podskoczył do gardła i tam pozostał. Usiadł przy niej i wprawnie zbadał puls. Był słaby, ale równomierny. Dziewczyna nie chciała się zabić. Z listka ubyły tylko trzy tabletki xanaxu. „Rano będziesz miała kaca jak po dobrej bani” – pomyślał, delikatnie gładząc jej dłoń. Anka otworzyła oczy. Uśmiechnął się do niej.

– Śpij... – powiedział cicho.

Dłoń Anki uciekła z jego ręki i razem z drugą powędrowała do oczu. Przetarła je i zdecydowanym ruchem odrzuciła koc.

Roman nie bez żalu stwierdził, że jest kompletnie ubrana.

– Nie możesz tu przychodzić – powiedziała pośpiesznie. W jej głosie nie

było serdeczności.

– Muszę wiedzieć, co się stało. – Uznał, że zabrzmiało to zbyt oficjalnie. Najchętniej po prostu by ją przytulił.

Anka objęła rękami nogi podpierające brodę. W małym pokoju było duszno, chociaż wcześniej jakoś tego nie zauważył.

– Nie możemy się spotykać – powiedziała, kiedy zamierzał ją ponaglić. Jakby znała granicę jego cierpliwości.

– Co się stało? – Roman robił się natarczywy.

– Dlaczego mi o niej nie powiedziałeś? – Dopiero teraz spojrzała mu w oczy.

– Mówiłem...

– Mówiłeś, jakie ma włosy i co robi. Wiem, jak się poznaliście i co jej zawdzięczasz. Nigdy nie wspomniałeś, że jest chora.

– Nie wiedziałem. – Jeżeli myślała, że będzie zaprzeczał, to się pomyliła.

– Nie znam cię, ale wiem, że nie jesteś głupi.

– Może to tylko kwestia oświecenia – mruknął, zastanawiając się nad tym, jak jej wytłumaczyć to, co właśnie mu przyszło do głowy.

Patrzyła na niego, jakby zaczęła podejrzewać, że on również jest chory. A jemu bardzo zależało na tym, żeby myślała o nim dobrze.

– Pamiętam nasze pierwsze mieszkanie. – Uśmiechnął się bezwiednie. – Było tylko trochę większe od tego.

Oboje synchronicznie rozejrzeli się po pokoju, co w innych okolicznościach na pewno wydałoby im się zabawne.

– Nie mieliśmy pieniędzy na remont. Starczyło tylko na farbę.

– Wiem. Wybrała kolor łososiowy – wtrąciła sucho.

– Na ścianie wyglądał świetnie – odparł i ponownie zapadło milczenie.

– W dzień. Przy sztucznym świetle tracił cały urok. Delikatnie pomarańczowy posmak robił się mdły. Nie mogłem zrozumieć, jak mogliśmy wybrać coś takiego.

– Nigdy jej o tym nie powiedziałeś, prawda? – zapytała, nie oczekując odpowiedzi, więc jej nie odpowiedział.

– Według ciebie jestem czymś w rodzaju sztucznego światła... – powiedziała z goryczą.

Wstała i zaczęła starannie składać pled.

– Musisz już iść.

– Dlaczego?

Stała przed nim. Czuł jej zapach.

– Nie dzwoń więcej – mówiła cicho, ale stanowczo.

– Dlatego że jest Lidia?

– Dlatego że jest Lidia – powtórzyła jak echo.

– To się zmieni. – Dopiero kiedy to powiedział, zrozumiał, że gdzieś w zakamarkach swojego umysłu rozważał to od tygodni.

– Po prostu nigdy więcej nie oglądaj jej w sztucznym świetle. – Nieprzyjemne słowa złagodziła łagodnym uśmiechem.

– Za późno. – Jej nieustępliwość obudziła w nim odwagę.

– Nigdy nie jest za późno. – Zastanowiła go dziwna surowość, z jaką powiedziała to zdanie.

– Kocham cię – wyrwało mu się.

„Nie tak powinno się to mówić za pierwszym razem” – pomyślał.

– Jesteś pierwszym facetem, w którym mogłabym się zakochać. – Nie zastanawiała się długo nad odpowiedzią.

– Mówisz tak, jakbyś miała na to jakiś wpływ.

– Masz rację – przyznała. – Będzie mi trudno.

– Dlaczego chcesz z tym walczyć? – Tym razem jej nieustępliwość zaczęła go irytować.

– Unieszczęśliwiłabym ją. – Patrzyła mu w oczy, szukając zrozumienia.

– Jeżeli już, to tylko ja – wtrącił.

Rozmowa zaczęła odwracać się w stronę, która mu się nie podobała.

– Ja bym ją unieszczęśliwił.

Anka skwitowała to smutnym uśmiechem i odsunęła się od niego.

– Gdybym wiedziała, jaka jest, nigdy w życiu nie spotkałabym się z tobą – powiedziała, a on jej uwierzył.

– Przestań, do cholery, robić z siebie świętą męczennicę! – Nie wytrzymał.

– Dlaczego?

– A jeżeli Lidia zniknie? – Zmienił front.

– Co to znaczy „zniknie”?

– Nie wiem. Ludzie umierają.

– Nie mów tak. – Usłyszał nutę strachu w jej głosie.

– Odezwij się, jak zmienisz zdanie.

Melodramatyzm tej sceny nagle stał się nie do zniesienia. Roman odwrócił się na pięcie i wyszedł, mając nadzieję, że Anka go powstrzyma. Nie zrobiła tego.

Wraz z nim wyszedł jej spokój i zdecydowanie. Stała, pocierając dłonią łokieć, na którym wyczuła gęsią skórkę. Wstrząsnęły nią dreszcze. Zerknęła na tabletki uspokajające i odruchowo obliczyła, na jak długo jej wystarczą. Bo to nie minie prędko. Co do tego nie miała wątpliwości. „Na co liczyłaś?” – pytanie zadane zostało przez złośliwą, ale szczerą część jej osobowości. „Na to, że zyskałam kogoś bliskiego” – odpowiedź nieporadnej wersji Anki była równie szczerą. „Przecież go nie straciłaś” – głos w głowie brzęczał kpina. „Wystarczy, że zadzwonisz i powiesz: Pomyliłam się, Romku. Przepraszam. Przytul mnie...” Anka podeszła do starego krzeselka, które nie pasowało do żadnego innego mebla w mieszkaniu, ale było względnie wygodne, i ciężko opadła na obite gąbką siedzenie. „A on mnie przytuli” – szepnęła. Myśl przyniosła ulgę, ale zaraz potem pojawiło się ukłucie wstydu. „Nie jestem wyrachowana” – pomyślała. „Po prostu sprawy zaszły za daleko. Nie mogłam wiedzieć, że jego żona jest wariatką”. Na dworze zerwał się wiatr, więc wystawiła głowę przez małe okno. Zbierało się na deszcz i powietrze pachniało wilgocią. „Wariatką może i jest – mruknięło bezlitosne pragmatyczne Ja – ale przyznasz, że wyczuła pismo nosem”.

– Nie! – krzyknęła w noc.

Podobało jej się to, jakim Roman jest człowiekiem. Podobały jej się wartości, które wyznawał, i zasady, według których żył. Imponowało jej to, że jest dobrym mężem. A potem się w nim zakochała i jak każdy zakochany chciała, żeby odwzajemniano jej uczucie. A kiedy zrozumiała, że i on się w niej zakochał, poczuła radość spełnienia i bolesny zawód. Pocieszenie, że Roman złamał swoje życiowe zasady dla niej, było żałosne, a paradoks, w którym się znalazła, sprawił, że poczuła się oszukana.

Teraz była już tylko małą bezradną dziewczynką. Płakała bezgłośnie. Nad tym, że nigdy nie będzie więcej wtorków. Ich wtorków. Podczas których chodzili na spacer i słuchali się wzajemnie. Kiedy znajdzie kogoś, komu przyzna, że w dzieciństwie chciała być saksofonistką? Teraz dopiero zrozumie, jak bardzo lubiła słuchać jego obaw, lęków i nadziei, do których przyznawał się z chłopięcą ufnością. Nie dostanie SMS-a po zakończonej operacji z krótkim, ale jakże pięknym: „Jeszcze raz mi się udało, Anku”.

„Dlaczego?” – pytała, a poczucie krzywdy zżarło poczucie winy.

W przypiływie impulsu wyciągnęła z torebki telefon. Palec zawisł nad przyciskiem oznaczonym zieloną słuchawką. Wtedy na wewnętrznym ekranie

w jej głowie ktoś wyświetlił znany film. Wujek Staszek stoi przed nią, unikając jej wzroku. Jest posłańcem złej nowiny. Kierowca ciężarówki zabił jej rodziców, ale to wujek Staszek uosabia śmierć i ból. W jakimś sensie to wujek Staszek jest... Mordercą.

Ręka Anki wolno odkłada telefon na biurko.

– Tak nie wolno – mówi na głos popękanymi ustami.

Anka wie, że nie cofnie decyzji. Nie chce być kierowcą ciężarówki. Nie chce, żeby Roman był wujkiem Staszkiem.

Drżącą dłonią wysupłuje ze srebrnego listka tabletkę. Po namyśle dodaje do niej drugą i łyka, pomagając sobie wodą. Gardło ma wysuszone, jakby cała wilgoć organizmu spożytkowana została na wyprodukowanie łez. Zaśnie. Jutro będzie nowy dzień. Tak jak po dniu, w którym przyszedł wujek Staszek.

Wracał do domu tą samą drogą, a jego refleksje w czasie spaceru można streścić w dwóch słowach: „Głupia cipa”. Pod koniec marszu zmoczyła go rześista ulewa. Deszcz był chłodny i Roman zaczął szczękać zębami. Jeszcze wczoraj zapytany o Ankę odpowiedziałby całkiem szczerze, że to świetna dziewczyna, której bardzo chciałby pomóc. Pewnie opowiadałby jakieś farmazony, że jest dla niego trochę jak córka i takie tam. Gdyby jeden z jego kolegów lekarzy zasugerował, że to być może coś więcej (z tego powodu nikomu o Ance nie mówił), wyśmiałby go ze spontaniczną szczerością czterolatka. Będzie się musiał nauczyć żyć bez niej. Tak jak żył parę miesięcy temu, kiedy nie miał o niej pojęcia.

Problem polegał na tym, że nic już nie było takie jak parę miesięcy temu. I zaraz się o tym przekona. Z tą myślą przekroczył próg swojego domu.

Włączyła wszystkie światła. Zauważył, że świeci się nawet najmniejszy piętnastowatowy kinkiet, który Lidia kupiła ze względu na intrygujący ją kształt, a nie walory użytkowe, i nigdy go nie włączała. Każdy dom ma swój charakterystyczny zapach, a Romek zawsze twierdził, że jego najbardziej rozwiniętym zmysłem jest węch. Od progu wyczuł słodko-kwaśną woń. Zaniepokoiło go to.

Wszedł do kuchni, w której odnalazł źródło zapachu. Stół zapaprany był szczątkami brzoskwiń. Sok skapywał na podłogę, na której utworzyło się kilka małych schnących kałuż. Błat pokrywały zmiażdżony miąższ i pestki. Widok ten nie mógł go uspokoić. Zmusił się, żeby skierować kroki do sypialni. W przeciwieństwie do rozświetlonego domu było w niej kompletnie ciemno,

więc kiedy tam wszedł, zwężone źrenice sprawiły, że poczuł się jak ślepiec.

– Lidia...?

Na pamięć odszukał kontakt i włączył lampę. To, co zobaczył, sprawiło, że skóra na całym ciele skurczyła się nieprzyjemnie. Na wielkim łożu leżała Lidia, chociaż nie od razu ją rozpoznał. Była całkiem łysa. Wokół na pościeli walały się pukle czarnych włosów. Lidia ubrana była w gruby szary golf okrywający nawet dolną część jej twarzy. Roman zauważył, że poza golfem żona nie ma na sobie nic więcej. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w zakrwawione podbrzusze i uda. Za paznokciami jej wypielegnowanych dłoni zbrzyliły się skrzepy.

Miała zamknięte oczy, ale oddychała nierówno. Nie spała.

– Co tu się stało? – wyszeptał, robiąc krok w kierunku leżącej.

Otworzyła oczy tak gwałtownie i szeroko, że stanął w miejscu.

– Czyżbyś był niedorzęnięty? – wychrypiała, obnażając swoje piękne zęby w odrażającym uśmiechu. – Czyżby twoja nowa dupa okazała się niewystarczająco dobra? – Zwinnie podniosła się do pozycji siedzącej.

– Trzeba się zająć twoimi ranami – powiedział, starając się opanować.

– Tak, zajmij się nimi – mruknęła zmysłowo i opadła na czworaki, wypinając pośladki w jego stronę. – Na co czekasz, skarbie? – zakręciła biodrami, a jemu zakręciło się w głowie. Poczuł, że nadchodzi fala wymiotów. Wybiegł z sypialni i długo klęczał w łazience, targany bolesnymi spazmami. Po pięciu minutach bolały go mięśnie brzucha, miał nadwyreżony język i potwornie paliło go w gardle. Po kwadransie ciężko opadł na posadzkę, mrużąc oczy przed jasnością spływającą z sufitu. Jeszcze nie dawno sam go malował. Teraz nie miał wątpliwości, że patrzy na niego po raz ostatni.

Lidia słyszała odgłosy wymiotowania. Potem człapanie w różnych częściach mieszkania pozwoliło jej się domyślić, że Romek pakuje swoje rzeczy. Była pewna, że tak zrobi. Co prawda uważała, że tchórzostwo każe mu zrobić to podczas jej nieobecności albo – co jeszcze bardziej prawdopodobne – przyśle ekipę. Ale co do tego, że się wyniesie do tej małej kurewki, nie miała wątpliwości. Głupiec myślał, że ma do czynienia z idiotką.

A ona wiedziała. Wiedziała o wszystkim. On był ostrożny, ale dziwki, z którymi się zadawał, przeciwnie. Ta suka, którą przedstawił jej jako koleżankę z liceum. Naprawdę uważał, że się nie zorientuje? Znała każdy jego gest. Zauważyła, jak bardzo się zmieszał, kiedy spotkali ją w sklepie. A tamta?

Sutki sterczały jej spod żółtej bluzki jak dwie truskawki i nawet nie próbowała tego ukryć. Potem pewno zlizywał z nich czekoladę, a ona jęczała. Głupia kurwa!

Albo ta młoda lekarka na stażu, która patrzyła w niego jak w obrazek. „Jest pan dla mnie niedoścignionym wzorem” – powiedziała na jednym z bankietów. „Moim marzeniem jest asystować panu w czasie operacji”. Od kiedy nazywają to operacją? – prychnęła Lidia. Dotąd uważała męża za nieporadnego, a ten okazał się skończonym kretynem. Na co liczył, prosząc, żeby zatrudniła jego flamę? On – facet, który nie potrafił załatwić nic. Gdyby nie ona, prawdopodobnie do dzisiaj byłby stażystą w przychodni dla żebraków. Jak bardzo musiała go zaślepić, że postanowił odkryć brzuszek. Nie będzie idylli z małą wrażliwą dziewczuszką. „Nie przeprowadzisz jej przez życie, kochanie. A wiesz dlaczego? Dlatego, że jej życie wkrótce dobiegnie końca. Nie wyrwie już żadnego żonatego faceta”.

Obrazy, które wyświeciła jej przed oczami rozgorączkowana wyobraźnia, były podniecające. Prawa ręka wsunęła się pod włochaty sweter, podpełzła do piersi i zaczęła ją ugniatać. Mocno, coraz mocniej. Kiedy paznokcie przecięły skórę, Lidia syknęła z bólu. Z zalem odsunęła rękę. Sięgnęła do srebrnej patery stojącej za łóżkiem. Namacała brzoskwinie i ścisnęła, a raczej wdrapała się w nią całą siłą. Słodki sok ściekał po jej ręce, wpłynął pod luźny rękaw swetra, aż wypełnił zagłębienie pachy. Patrzyła na ciemnożółtą materię przeciskającą się między palcami. Uspokajała się powoli. Poczwała się potwornie zmęczona i senna. Wszystko miała obmyślane. Jedyne, czego potrzebowała, to odpoczynku. Jutro się wszystkim zajmie. To będzie ekscytujące. Dużo bardziej niż to pierdolone prowadzenie apteki.

Po prostu Pcheła

Pcheła doskoczył do kozłującej piłki. Kątem oka zobaczył, że jest najbardziej wysuniętym zawodnikiem swojej drużyny. Nie miał do kogo podać, więc ruszył w stronę bramki Jędrzeja, grubasa, który nie umiał bronić, ale jeszcze gorzej biegał. Minął tyczkowatego obrońcę i przyspieszył. W sprincie nikt nie miał z nim szans. Piłkę mógł mu odebrać tylko jeden z dwóch chłopców, którzy nadbiegali z naprzeciwka. Pcheła puścił się wzdłuż linii pola karnego,

tak że jednego z przeciwników miał teraz po prawej ręce, a drugiego z tyłu. Ten bliższy pędził, żeby go dogonić, kiedy Pcheła stanął w miejscu, pozwalając, żeby zaskoczony obrońca przemknął dalej. Teraz skierował piłkę we właściwą stronę. Zastanawiał się, czy strzelać z daleka, ale ryzyko było zbyt duże. Do końca meczu zostało pięć minut, a oni przegrywali dwa do jednego. Grubasa wykiwa bez problemu i doprowadzi do remisu. „Ratuję nam dupę” – pomyślał Pcheła z dumą i poczuł uderzenie w pieszczel. Biegł szybko i nie miał szansy, żeby zachować równowagę. Lecąc, ujrzał twarz Białego, który podstawił mu nogę, po czym runął na ubitą, wysuszoną słońcem ziemię, wzbijając tumany kurzu. Leżał na brzuchu otumaniony upadkiem. Kolana i łokcie zaczęły go piec. Z jękiem przewrócił się na plecy. Dookoła zbierali się zawodnicy jednej i drugiej drużyny.

– Karny – powiedział, oglądając otarcia.

– Gównno – prychnął Biały. Jasny blondyn przewyższający go o głowę stał pochylony, opierając ręce na udach, i starał się uspokoić oddech. – To był czysty wślizg.

– Nawet nie dotknąłeś piłki. – Pcheła delikatnie otrzepywał kurz mieszający się na skórze z krwią.

– Wszyscy widzieli, że atak był w porządku. – Biały wyzywająco powiódł po twarzach chłopców.

Koledzy z drużyny przytakiwali, a przeciwnicy unikali wzroku. Biały cieszył się złą sławą, no i miał starszego brata, który był postrachem sierocińca.

– Srały muchy, będzie wiosna. – Pcheła wstał z ziemi, a skóra na prostujących się kolanach zapiekła jeszcze bardziej. Poszedł pod płot, pod którym leżała piłka. Podniósł ją, nonszalancko zakręcił na palcu, po czym starannie ustawił na jedenastym metrze od bramki. Zaczął się cofać do rozbiegu, kiedy piłka zniknęła mu z oczu, mocno kopnięta przez Białego.

– Gruby zacznie od wybicia z bramki – wycedził.

– Jeśli obroni karnego. – Pcheła przyjął groźne spojrzenie Białego i dodał, wzruszając ramionami: – Jeśli nie, to zaczniemy od środka. – Nie chciał przedłużać tego, co było nieuniknione, więc dodał: – Siwy fiutku.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie, ale Pcheła widział wszystko dokładnie. Kiedyś czytał, że mucha postrzega czas w zwolnionym tempie, dlatego kiedy wznosi się nad nią packa, potrafi dokończyć posiłek, rozejrzeć się i dopiero odlecieć. Pcheła miał podobnie wyczulone zmysły. Zobaczył, jak

Biały wznosił pięść do błyskawicznego – jak mu się zdawało – prawego prostego. Pcheła zerknął na swoich kolegów. Patrzyli na niego z mieszaniną żalu i niechęci. Przez niego poczują się jak szmaty. „Bo są szmatami” – pomyślał z goryczą, po czym przekręcił ciało o dziewięćdziesiąt stopni w bok, jak policjant kierujący ruchem. Cios Białego był wymierzony w twarz, a siła, jaką w niego włożył, naprawdę duża, dlatego kiedy ręka nie napotkała żadnego oporu, Biały stracił równowagę i poleciał do przodu. Pcheła wykorzystał moment i pchnął cięższego o dziesięć kilogramów przeciwnika. Biały upadł na boisko w tym samym miejscu, w którym nie tak dawno leżał on sam. Pcheła był zwinny, ale bił się rzadko. Nie chciał otwartej bójki. Poczekał, aż rywal zacznie się gramolić do pionu, i kiedy był na czworakach, wymierzył mu kopniaka w brzuch. Tak, żeby nie było śladów. Cios był silny, bo Pchełę rozboleły palce stopy, a Biały przewrócił się na plecy. Zebrani na boisku piłkarze zamienili się w kibiców. Wrzaski musiały sprowadzić opiekuna. Na to liczył Pcheła. I nie przeliczył się. Pan Marczewski szybko zbliżał się do rozwrzeszczanej grupy.

– Co tu się dzieje? – zapytał nieufnie, z góry zakładając, że nie usłyszy prawdy.

– Będzie karny – powiedział Pcheła, a opiekun wskazał głową na leżącego na ziemi Białego.

– Podciął mnie i upadliśmy razem – spokojnie kontynuował Pcheła. Marczewski kucnął przy Białym.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Spoko. – Chłopiec mrugał oczami, próbując złapać oddech. Ból rozlewał się po wnętrznościach, ale był niczym w porównaniu z nienawiścią, która wypełniła go tak, że mało nie eksplodował. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie rzucić się na tego gnoja, nie zwracając uwagi na wychowawcę, ale rozmyślił się. Przecież nie musi się spieszyć. Ciekawe, co zrobi brachol, gdy się o tym dowie.

Pcheła nie strzelał karnego. Był zbyt obolały. Z ławki obejrzał dogrywkę, którą wygrali, dzięki czemu ich pokój zakwalifikował się do półfinałów. Po meczu nikt mu nie gratulował. Nikt nie okazywał radości. Chłopcy poszli do szatni, a Pcheła odwiedził higienistkę, która zdezynfekowała mu kolana i łokcie. Wychodząc, natknął się na Marczewskiego. Stał oparty o ścianę i stukał w nią palcami. Pcheła nie miał ochoty na rozmowę, ale opiekun go zatrzymał.

– Uważaj – powiedział poważnie.

– Na co?

– Zrobię wszystko, żeby cię przypilnować, ale... – Marczewski przestał stukać w ścianę. – Sam wiesz, jak to jest.

– Jasne. – Pcheła pokiwał głową i ruszył do pokoju, który zajmował razem z dziewięcioma chłopakami. „Ciekawe, co mam niby zrobić? Wynająć ochronę?”

W pokoju nikt nie komentował tego, co zaszło na boisku.

Przez następny tydzień Pcheła prawie nie spał. Z niespokojnej drzemki budził go najmniejszy szelest. Dwunastoletni chłopiec zapoznawał się z koszmarem wyczekiwania. Białego widywał na stołówce. Nie rozmawiali ze sobą, ale Pcheła czuł, że jest obserwowany. Raz Biały przesłał mu gest podrzynania gardła wraz z serdecznym uśmiechem.

Pcheła mieszkał w pawilonie B przeznaczonym dla młodszych chłopców. Starsi zajmowali pawilon A. Tam też mieszkał siedemnastoletni brat Białego, na którego mówiono Szmulik. Szmulika bali się wszyscy, i Pcheła wiedział, że to on wykona na nim wyrok. Przechodzenie w nocy z pawilonu do pawilonu było zabronione, ale... Wiadomo, jak to jest.

Od czasu pamiętnego meczu był traktowany jak trędowaty. Zadawanie się z chłopakiem, na którego wydano wyrok, nie było rozsądne, a sierociniec uczył rozsądku. Pewnego ranka pod talerzem z owsianką znalazł zwiniętą kartkę. Siedział przy stoliku sam, więc nikt nie przeszkadzał mu w przeczytaniu wiadomości. Informacja była krótka i mówiła o tym, że ktoś połamie mu rękę. Opis procesu łamania został nakreślony sugestywnie, z chirurgiczną precyzją, i zajmował pół strony zapisanej maczkiem. Pcheła nie dowiedział się, kiedy to nastąpi. Dowiedział się natomiast, że nie może dłużej czekać. Był już bardzo zmęczony.

*

Anka usłyszała trzask drzwi. Właściciele wyszli, zostawiając dom w jej władaniu. Lubiła pracować w samotności. Nie musiała się martwić, że pot plami bluzkę, nie musiała wysłuchiwać rodzinnych plotek, udając, że ją to interesuje. Nie znosiła spoufalania. Kobiety wynajmujące ją do sprzątania uwielbiały powierzać jej swoje tajemnice. Czuła się jak ksiądz albo barman i nie podobało jej się to.

Dom Kolmanów pełen był bibelotów i rodzinnych pamiątek. Historia chełpiła się, wyzierając z każdego kąta, a to dyplomem sprzed czterdziestu lat, a to pucharem zdobyty w jakimś prestiżowym zapomnianym turnieju brydżowym. Trudno było się połapać, co jest na swoim miejscu, a co trzeba na nie odłożyć. „Przydałoby się zdjęcie, na którym widać te wszystkie rzeczy w idealnym porządku” – pomyślała, wyciągając odkurzacz ze schowka pod schodami.

Od dwóch miesięcy sprzątała domy. Zmieniła i tak niewielkie wynajmowane mieszkanie na osiemnastometrową klitkę. Pani Kolman doceniła jej pracowitość, dyskrecję i to, że zawsze ubierała się skromnie. Według niej w luźnych ciuchach i z włosami związanymi w koński ogon Anka nie stanowiła pokusy dla bogatego męża, którego sama traktowała jak konia wyścigowego. Dbała, żeby miał wszystko, czego mu potrzeba do wygrywania gonitw, ale nie wypuszczała go z luksusowego boksu bez nadzoru. Ponieważ była plotkarą mającą tabuny koleżanek równie leniwych i bogatych jak ona, Anka otrzymywała coraz więcej ofert pracy.

Roman nie skontaktował się z nią od czasu pamiętnej nocy, co ją cieszyło i smuciło równocześnie. Nie była pewna własnych uczuć, ale coś zostało zasadzone. Wypuściło pędy. Mróz zniszczył roślinę, ale korzenie tkwiły głęboko. Może gdyby aura była lepsza...?

Wyłączyła odkurzacz, żeby przenieść go na piętro, i tylko dlatego usłyszała dzwonek swojego telefonu. Ktoś dzwonił z zastrzeżonego numeru.

– Słucham...? – powiedziała, starając się o miłe brzmienie głosu. To mógł być przyszły klient.

– Dzień dobry, czy mam przyjemność rozmawiać z panią Anią? – Chrapliwy głos należał do człowieka, którego natychmiast sobie wyobraziła. Barczysty brunet o mocnej kwadratowej szczęce, którą granatowił niemożliwy do całkowitego usunięcia zarost.

Anka pomyślała, że rozmówca bardzo się starał, żeby odniosła dobre wrażenie. „Zupełnie jak ja – uśmiechnęła się. – Tyle że ja nie mam dla niego pracy”.

– Tak, to ja. W czym mogę panu pomóc?

– Chciałem wynająć pomoc domową. Słyszałem o pani same dobre rzeczy – powiedział, jakby recytował lub czytał z kartki.

– Bardzo mi miło – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Do pani obowiązków należałoby utrzymanie domu, właściwie to

posiadłości. Mam nadzieję, że nie ma pani problemu z psami? – W jego głosie nie było obawy.

– Lubię psy – odpowiedziała i dodała, chcąc ocieplić sztywną rozmowę: – Mam nadzieję, że one również lubią mnie.

– To dobrze. – Po raz kolejny wydało jej się, że rozmówca prowadzi z góry przewidziany dialog. – W domu nie ma żadnych dzieci – dodał.

– Dzieci mi nie przeszkadzają – wtrąciła i zawsze, kiedy mówiła o dzieciach, widziała dzieci bądź o nich słyszała, zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek będzie miała własne. Instynktownie pragnęła dziecka, ale panicznie bała się odpowiedzialności. – Ich brak również nie. – Kolejna próba żartu. I kolejny brak reakcji.

– To znaczy, że się pani zgadza?

– No... – Zawahała się, bo ciągle nie umiała rozmawiać o pieniądzach.

– Oczywiście co do pieniędzy, na pewno się dogadamy – zastrzegł głos, jakby wiedział, że Anka nie umie rozmawiać o pieniądzach.

– Też tak sędzę – powiedziała, chociaż nie miała pojęcia, jaka będzie propozycja. Jak dotąd przyjmowała wszystkie bez dyskusji, ciesząc się, że w ogóle ktoś chce ją zatrudnić.

– W takim razie jesteśmy umówieni. – Głos był szczerze zadowolony.

– Nawet nie znam adresu – wtrąciła lekko zdumiona.

– Nie podałem go, bo pojedziemy tam razem. – Rozmówca mówił niedbałym tonem, jak mówi się o rzeczach nieistotnych.

– Nie rozumiem. – Przyjemne zaintrygowanie Anki ustąpiło uczuciu niemiłego zagubienia.

– Dom, którym pani się zaopiekuje, znajduje się trzydzieści kilometrów stąd, ale proszę się nie martwić, jest świetny dojazd. Czterdzieści pięć minut koleją. Pierwszy raz pojedziemy razem. Potem już będzie sobie pani radziła sama.

– Nie wiedziałam, że to poza miastem... – zaczęła, zła na siebie, że zgodziła się tak szybko, nie znając szczegółów. „Mam nauczkę na przyszłość”

– To naprawdę nie jest żaden kłopot – W głosie mężczyzny znów pojawił się uśmiech. – Gdy zaczynałem pracować dla państwa Śniadeckich, miałem podobne obawy – tłumaczył. – A w przyszłym miesiącu minie siódmy rok, odkąd biorę od nich kasę. – Ostatnie zdanie zabrzmiało dziwnie. Nie pasowało do reszty. Nie pasowało do postaci. Dużo lepiej za to pasowało do chropowatego głosu.

- Sama nie wiem – zawahała się.
 - Rozumiem. Podejmie pani decyzję na miejscu. Gdy już pozna pani warunki. – Wsłuchawca zapanała dłuższa cisza, po czym mężczyzna ponowił pytanie: – Zgoda?
 - Zgoda – powiedziała, nie umiejąc uciszyć niepokoju.
 - Świetnie. Będziemy w kontakcie – zakończył rozmowę tajemniczy mężczyzna.
- Anka zaniósła odkurzacz do góry, ale do końca dnia nie mogła się skupić. Miała nadzieję, że pani Kolman nie zauważy, że sprzątała po łebkach.

Aureliusz zwany Łajzą

Aureliusz, zwany przez kolegów Łajzą od tak dawna, że sam zaczął w ten sposób o sobie myśleć, stanął przed materacem gimnastycznym. Usłyszał gwizdek nauczyciela i rozłożył ręce na boki, zapowiadając wykonanie ćwiczenia, którym był przewrót w przód. Łajza zastygł w tej pozycji, jakby chciał odlecieć, a nie zrobić fikołka. Było w tym sporo prawdy, bo chłopiec marzył, żeby być teraz zupełnie gdzie indziej. Wszystko jedno gdzie, byleby tylko nikt nie kazał mu ćwiczyć.

- Długo będziemy czekać? – Pan wuefista znał go od dwóch lat i wiedział, że nie będzie łatwo, toteż starał się ukryć irytację.
 - Muszę? – zapytał Łajza, opuszczając ręce.
 - Tak – padła spodziewana odpowiedź. Wuefista tarł ręką czoło.
 - Dlaczego? – indagował Łajza, a nauczyciel przeniósł dłoń z czoła na kark, nie przestając trzeć.
 - Dlatego, że jesteś w czwartej klasie. Na lekcji wychowania fizycznego. A program obejmuje zajęcia z gimnastyki.
 - Nie umiem gimnastyki – wzruszył ramionami Łajza.
 - Dziecko, nie każę ci robić potrójnego salta, tylko zwykły przewrót w przód. – Nauczyciel zmusił się do zaprzestania tarcia karku, ale ręce wciąż miał niespokojne.
- Łajza martwił się, bo wcale nie chciał doprowadzać wuefisty do apopleksji. Lubił tego człowieka, chociaż martwiło go to, że dorosły mężczyzna zajmuje się zmuszaniem dzieci do tarzania się po podłodze.

– A nie mógłbym tego jakoś odpracować?

Gdyby pan Gajewski wiedział, jak bardzo chłopcu zależy na tym, żeby się nie denerwował, to może by się nie zdenerwował. Ale nie wiedział.

– Ćwiczysz?! – wrzasnął i jakby chciał pokazać wszystkim, że panuje nad sobą, dodał dużo ciszej: – Czy nie...?

– Zróbmy tak – zaczął Łajza pojednawczo. – Ja sobie dzisiaj popatrzę, jak inni to robią. Potem popróbuję w domu i na następną lekcję przyjdę już przygotowany.

– Na następnej lekcji będziemy skakać przez kozła. – Nauczyciel wskazał stojący w kącie przyrząd, który bardzo się Łajzie nie spodobał.

– Łajza prędzej połknie tego kozła, niż go przeskoczy! – krzyknął jeden z chłopców.

Rozległy się chichoty, ale był to śmiech serdeczny. Łajza był maskotką klasy. Był wybitnie utalentowanym matematykiem, a koledzy zawsze mogli na niego liczyć. Dzięki niemu klasa IV B miała najlepszą średnią ocen. Łajza tłumaczył matkę lepiej niż nauczyciele. Cierpliwością nikt mu nie dorównywał. A gdy nie było wyjścia (jak w przypadku Stefaniaka, który ledwo dodawał do dziesięciu), Łajza opracowywał nieprawdopodobnie pomysłowe sposoby ściągania.

Pan Gajewski zgromił śmiech surowym spojrzeniem.

– Ćwiczysz czy mam ci postawić pałę? – zapytał krótko, żeby przerwać tę kretyńską sytuację, zanim sam stanie się śmieszny.

– Jeżeli mam wybierać między oceną niedostateczną a możliwością złamania kręgosłupa na odcinku potylicznym, zdecydowanie wybieram to pierwsze. – Łajza spuścił wzrok, mając nadzieję, że dzięki temu słowa będą brzmiały bardziej przepraszająco niż przemądrzale.

– W porządku. – Wuefista konsekwentnie udawał, że sprawa go nie obchodzi, chociaż czuł na sobie rozbawiony wzrok bandy jedenastolatków. – I zapewniam cię, że na następnych zajęciach wrócimy do tego ćwiczenia – zagroził.

– Dobrze – potulnie zgodził się Łajza i usiadł na długiej niskiej ławce ustawionej pod ścianą. Po drodze zbierał przyjazne kuksańce od kolegów, zupełnie jakby zdobył bramkę na wagę mistrzostwa szkoły.

Taki to już był ten ich Łajza.

Następnego dnia uzbrojony w karimatę i zdjęcia kolegów robiących fikołki

wyruszył do starego ogrodu otaczającego rozpadającą się rudere. Łajza uwielbiał to miejsce, tak samo jak pijacy z pobliskiego osiedla. Tego dnia miał szczęście. Ogród był pusty. Wewnątrz szczątków domu jedno pomieszczenie było względnie czyste. Zachowała się w nim nawet podłoga. Łajza rozłożył na niej karimatę i po raz kolejny przestudiował fazy ruchu, które wykonuje ciało w czasie przewrotu w przód. Wszystko było zrozumiałe na poziomie teorii. W praktyce Łajza nie był w stanie zmusić się do przerwania środka ciężkości tak, aby zrobić przewrót.

Był chłopcem średniego wzrostu i na tym kończyła się jego średniość. Kończyny miał nieproporcjonalnie długie, a ich cienkość potęgowała wrażenie długości. Zgrubienia kolan i łokci przywodziły na myśl głodujące dzieci. A Łajza odżywiał się znakomicie. Do jedzenia również podchodził z naukową precyzją i co miesiąc przedstawiał rodzicom dietę, jaką dla siebie zaplanował. Matka, na początku nieufna, po konsultacji z zawodowym dietetykiem uspokoiła się i chętnie karmiła syna według jego uznania. Nie zmieniało to faktu, że Łajza przypominał niepełnosprawnego pająka pozbawionego połowy odnóży. Twarz miał wesołą, a kręcone włosy układały mu się tak, jak chciały, bez względu na to, czy był po wizycie u fryzjera, czy przed nią.

Łajza stanął prosto, przepisowo rozłożył ręce i pochylił się do przodu, opierając dłonie na karimacie. Postanowił zrobić ćwiczenie jak najszybciej, bo wiedział, że dłuższe zwlekanie sprawi, że zacznie myśleć o idiotyzmie przedsięwzięcia, a gdy już zacznie myśleć, to żadna siła nie zmusi go do zrobienia fikołka. Jeszcze raz przywołał w pamięci zdjęcia kolegów i ruszył...

Nogi oderwały się od podłoża, natomiast głowa nie zrobiła uniku, żeby zmieścić się między rękami, przenosząc ciężar ciała do przodu. Łajza, przerażony możliwością zetknięcia się głowy z podłogą, zrobił wszystko, żeby ją od tego uchronić. Ojciec powiedział mu kiedyś, że najważniejsze u mężczyzny jest to, co ma w głowie. I Łajza dobrze to sobie zapamiętał. Sekundę po podjęciu heroicznej próby zrobienia przewrotu Łajza balansował ciałem na wyprostowanych słabowitych ramionach. Chłopiec nie miał pojęcia o chodzeniu na rękach, dlatego rozchwiane ciało przechyliło się tak, że Łajza poczuł ból w kręgosłupie. Pojawiła się panika, więc wykonał jakiś nieokreślony ruch rękami, który sprawił, że zszedł na nich z karimaty, po czym runął głową w dół, uderzając o twardą podłogę. Rozległ się dźwięk, który w głowie Łajzy zabrzmiał jak potężne dudnienie armaty, a w rzeczywistości

przypominał stukot drewnianego naczynia zrzuconego na posadzkę. Blask oślepił go, mimo że chłopak miał kurczowo zaciśnięte powieki, i był ostatnim wrażeniem, które zarejestrował.

Ocknął się dwie godziny później. Słońce wydłużyło cienie. Promienie wpadały przez okno pozbawione szyby i rozpałały purpurę pod powiekami leżącego na podłodze chłopca.

Łajza poruszył nosem niczym królik zabierający się do marchewki i otworzył oczy, po czym je zamknął. Reszta ciała również wracała do świata żywych. Palce poruszyły się w mimowolnym skurczu. Chłopiec dotknął czubka głowy i syknął. Powrót do pozycji pionowej zajął mu kilka minut. Kręciło mu się w głowie i było mdło. Oparł się o resztki kamiennego parapetu i popatrzył na otaczający świat. Dominowała w nim ognista kula wisząca tuż nad zdziczałymi jabłonkami.

– Słońce – szepnął przez spierzchnięte wargi. – Gwiazda centralna Układu Słonecznego, oddalona od Ziemi o sto pięćdziesiąt milionów kilometrów. Leży w ramieniu Oriona galaktyki Drogi Mlecznej.

To pamiętał. Nie miał pojęcia, jak się nazywa i skąd się tu wziął. Chwiejnym krokiem opuścił ruderę i zagłębił się w obcy świat. Świat, o którym wiedział wszystko, ale nie miał o nim pojęcia.

*

– Tak długo kazałeś mi na siebie czekać. – Z lustra wyzierała blada twarz o wyrazistych, podkrążonych makijażem obłędu oczach.

– Nie mogłem się wyrwać. – Głos obniżył się o pół tonu.

– Czego chciała od ciebie ta idiotka? – Ton znów był zalotny, a twarz Lidii przybrała przesadnie miły wyraz.

– Musiałem pojechać z nią po lodówkę.

– Ha, ha, ha! – Śmiech brzydko wykrzywił jej wargi, odsłaniając zbielełe dziąsła. – Obiecuję ci, że przy mnie nigdy nie będziesz zajmował się takimi duperelami.

– Nie...? – Lidia zmysłowo i po męsku zmodulowała głos. – W takim razie czym będę się zajmował? – wymruczała, całkiem nieźle naśladowując głos Romana.

– Mną. – Głowa zbliżyła się do lustra na kilka centymetrów. – Nie będzie

żadnych lodówek... pralek... ani odkurzaczy...

– Związek bez użycia AGD – mruknęła.

– Zrobisz dla mnie coś? – Palec wskazujący dotknął lustra w miejscu, w którym odbijało czoło, i przesunął się w dół. Wzdłuż nosa aż do ust.

– Wszystko.

Lidia rozcapierzyła palce i odbicie zostało zasłonięte. Przymknęła oczy.

– Powiedz jej, żeby mnie zatrudniła – wyszeptwała.

– Po co? – Podrapała się małym palcem z boku głowy, jak zwykł to robić zdziwiony Romek.

– Chcę ją poznać. – Lidia odwróciła się od lusterka.

– Opowiadałem ci o niej. – Usiadła na brzegu wanny, wolno rozpinając guziki bluzki.

– To nie to samo. Jestem ciekawa, jaka jest twoja żona. Chciałabym z nią porozmawiać... – Zdecydowanym ruchem wyszarpnęła rozpiętą bluzkę ze spódnicy.

– Ona nie ma nic ciekawego do powiedzenia. – Lidia przekręciła spódnicę, żeby łatwiej było rozpiąć zamek błyskawiczny.

– Nie rozumiesz. – Poruszyła biodrami i spódniczka zsunęła się na kafelki. – Chcę słuchać, jak mówi o tobie. Patrzyć na nią, jak mówi: „Mój pyszczek zaprosił mnie wczoraj na kolację przy świecach”. – Wprawnym ruchem zdjęła biustonosz, odsłaniając zablizniające się rany na piersi.

– A potem opowie mi, jak ją pieprzyłeś. Kobiety uwielbiają sobie opowiadać takie rzeczy, wiesz? – Lidia odwróciła głowę, jakby jej rozmówca usiadł na wannie obok niej. Zaczęła rolować w dół pończochę.

– Obiecałem ci, że jej nie tknę. – Ponownie odwróciła głowę, wcielając się w Romka.

– No i co z tego? – Głos stał się ostry. W tej wersji nie naśladował już nikogo. Był głosem Lidii. – Takie kurwy jak Lidia nie przyjmują tego do wiadomości. Nawet jakbyś się wykastrował, rozpowiadałaby na prawo i lewo, jak jej dogadzasz.

Druga pończocha spadła na podłogę, tworząc na niej czarną kałużę jedwabiu.

– Chcę patrzeć, jak o tym mówi. Chcę widzieć, jak się ślini swoim kłamstwem. – Chwyciła skąpe majtki i zsunęła je. – A ja będę taka niewinna. Będę się czerwieniła i pozwalać, żeby starsza kobieta opowiadała mi o swoich doświadczeniach. Chcę wiedzieć, jak chciałyby być rżnięta. Na pewno się

podnieci, kiedy będzie o tym mówiła. Może nawet w to uwierzy. Może pewnego razu znajdzie w jej torebce silikonowego przyjaciela. – Oczy Lidii rozblęły chorobliwym blaskiem. Usta drżały. – A potem się zaprzyjaźnimy i pewnego razu Lidia opowie mi smutną historię, w której mąż przestał się nią interesować. – Lidia ponownie podeszła do dużego łazienkowego lustra. – „Nie wiem, co się z nim dzieje... – powie mi ze łzami w oczach. – A kiedyś był taki namiętny”. – Lidia przymknęła oczy i głośno zaciągnęła się zapachem kosmetyków i wilgotnego powietrza łazienki.

– Wtedy powiem jej, że nadal jest namiętny. – Lidia wyzywająco potrząsnęła peruką, która zakrywała odrastające włosy. – Powiem, co ze mną robisz. Powiem, jak mnie dotykasz... Całujesz... Pieścisz. – Metodycznie zaczęła przesuwać dłońmi po nagim ciele. – Powiem jej, jak jęczysz, kiedy cię liżę. Powiem jej, jak krzyczysz w uniesieniu moje imię... Ania! – Zachrypnięty wrzask odbił się od ścian i zadźwięczał w uszach. Lidia raz po raz powtarzała okrzyk, aż nagle znieruchomiała, ciężko dysząc.

Odkąd odszedł Roman, zaspokajała się nienawiścią. A wywołane przez nią spełnienia były nie mniej intensywne od miłosnych.

Odkręciła kran i długo przemywała spoconą i rozpaloną emocjami twarz. Po odejściu Romka zatrudniła prywatnego detektywa. Znała rozkład dnia swojego męża i zdecydowanie jej się nie podobał. Romek wprowadził się do mieszkania w spokojnej dzielnicy niedaleko szpitala. Większość czasu spędzał w pracy. Mieszkał sam i nikt go nie odwiedzał. Ale Lidia nie była idiotką. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Najpierw będą cierpieli, potem zaczną szukać pretekstu. Być może pewnego dnia Roman zadzwoni do niej, żeby zapytać, czy przypadkiem nie zostawił u niej zegarka. Albo ona „przypadkowo” wpadnie na niego w szpitalu, do którego zgłosi się na rutynowe badanie cycków. Nie, nie... Nic się nie skończyło. I nigdy się nie skończy. Chyba że...

Prywatny detektyw za ciężkie pieniądze dał jej namiar na Ryja. Recydywistę, którego wielokrotne więzienie nie zresocjalizowało. Za dwadzieścia tysięcy Ryj zgodził się na ostateczne rozwiązanie sprawy byłej pielęgniarce, która przepoczwarzyła się w sprzątaczkę. „Kurwa, mąż rzucił mnie dla sprzątaczkę” – jęknęła Lidia.

Od tygodnia wyczekiwała informacji od Ryja. Zapłaciła mu pierwszą ratę – dziesięć tysięcy złotych – i zaczynała się obawiać, że wziął kasę i zniknął. Wtedy zadzwonił telefon i Ryj powiedział, że wszystko jest na dobrej drodze.

Zaczęła lepiej sypiać.

Co będzie potem? Spotka się z Romanem? Nadal będzie go śledziła? Przeżyje orgazm w towarzystwie drugiego człowieka?

Nie знаła odpowiedzi na żadne z pytań. Teraz ważne było tylko to, żeby kurwa, która chciała się z nią zaprzyjaźnić tylko po to, żeby się nad nią pastwić, zdechła. Myśli o tym, co przeżyje ta mała zdzira – od niepokoju do strachu... potem przerażenie, a na końcu ból – poprawiały jej humor. Potem się zobaczy. Marzyła, żeby Roman błagał ją o wybaczenie, ale na razie sama nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby do tego doszło. Być może zajmie się tym w swoim czasie. Nie wszystko naraz.

*

Anka obudziła się zmęczona. Całą noc dręczyły ją koszmary z gatunku serialowych, jak je nazywała. Budziła się zrana potem, zasypiała, a sen wracał dokładnie w momencie, w którym został przerwany. Rano nie pamiętała, co było w nim przerażającego. Długo leżała, śledząc plamki wysyłane przez jej wzrok w szary świat za oknem. Deszczowa pogoda utrzymywała się od tygodnia. Anka policzyła do trzech i zsunęła stopy z łóżka. Pamiętała, żeby prawa jako pierwsza dotknęła podłogi. Dochodziła ósma. Spotkanie miała o dziesiątej. Pod prysznicem (długim i chłodnym jak zawsze rano) zastanawiała się, co na siebie włożyć, co ją rozdrażniło. „Jakie to ma znaczenie, co na siebie włożę? Nie idę na randkę, tylko do pracy”. Ostatecznie założyła niezbyt obcisłe dzinsy (na wszelki wypadek, żeby jej tyłek nie wydawał się wyzywający) i całkiem luźną bluzkę w zielone paski. Włosy spięła w koński ogon i uznała, że nie wygląda na dziewczynę, która stara się przypodobać.

Jogurt truskawkowy popijany kawą z dużą ilością mleka smakował wybornie. W przenośnym radiu puszczała kawałki, które jej się podobały, i nocne zmęczenie ustąpiło dobremu nastrojowi. Nieprzyjemne zdenerwowanie przed nieznanym zamieniło się w całkiem miłe zaciekawienie. „Kto wie, może od dzisiaj wszystko się zmieni. Dostanę świetnie płatną pracę i przestanę się martwić” – pomyślała, zakładając wygodne sportowe buty. „Może dzięki tajemniczemu wysłannikowi państwa Śniadeckich zostanę sprzątaczką roku”. Parsknęła śmiechem i wyszła z mieszkania.

Umówili się na dworcu, przy kasie numer jeden. Anka nie cierpiała się

spóźnić, dlatego na spotkania przychodziła przed czasem. Najwyraźniej jej nowy znajomy wyznawał tę samą zasadę, bo za piętnaście dziesiąta był już na miejscu. Tak bardzo różnił się od jej wyobrażeń, że nie potrafiła powstrzymać rozbawienia.

– Pani Ania? – zapytał głosem stanowiącym dysonans dla reszty. Mężczyzna był bardzo niski i przeraźliwie chudy. Rzednące włosy zostały starannie zaczesane na bok. Kojarzył jej się z nauczycielem fizyki.

– Z czego pani się śmieje?

Jak taki gruby głos mógł powstać w tak wątlwym ciele?

– Przypomniało mi się coś – machnęła ręką.

– Robert Kraj. – Skłonił lekko głowę, a Anka zauważyła, że jego mimika jest bardzo uboga. W zasadzie ruchoma była tylko żuchwa. „Całkiem jak w kiepskich kreskówkach” – przebiegło jej przez myśl.

– Chodźmy – powiedział chropowatym jak tarka głosem i wskazał kierunek.

– Bilety...

– Kupiłem – pokazał dwa zadrukowane arkusiki, jakby się obawiał, że mu nie uwierzy. „Wygląda na to, że bardzo się stara – pomyślała, wdychając silny zapach wody kolońskiej. – Na pewno ubierał się dłużej niż ja” – nieznacznie lustrowała towarzysza idącego po jej lewej stronie, zerkając w dół. Uznała, że ma dobry gust. Spod długiego popielatego płaszcza (dla niego pewnie wszystkie płaszcze były długie) wyglądała kremowa koszula zapięta pod szyją. Ciemnobrązowe buty stukwały o posadzkę. „Aż dziwne, że nie nosi kapelusza. Wyglądałby na wyższego” – znowu się uśmiechnęła. Wszystkie obawy wydały jej się niepoważne.

– Jeżeli podpiszemy umowę, kupię pani bilet miesięczny – mówił Kraj.

– Jeżeli podpiszemy umowę, sama sobie kupię sieciówkę – stwierdziła. – Mam nadzieję, że będzie mnie stać – dodała zadowolona, że w delikatny sposób udało jej się skierować rozmowę w stronę finansów.

– Jestem pewny, że będzie pani zadowolona – przytaknął, podchodząc do podstawionego na peronie pociągu.

Wsiedli do prawie pustego wagonu. O tej porze dnia większość pasażerów obierała przeciwny kierunek. Z przedmieść do centrum. „Po południu będzie odwrotnie – pomyślała, zajmując miejsce przy oknie. – Tyle że po południu ja będę znowu jechała pod prąd”. Wizja niejeżdżenia przeładowanymi pociągami wydała jej się pociągająca.

W przedziale byli sami.

– Niech mi pan powie coś więcej o tej pracy – poprosiła, nie chcąc dopuścić do krępującej ciszy.

– Dom znajduje się w lesie. Działka ma trzy i pół hektara. Gospodarze przyjeżdżają tam na weekendy i wakacje.

– Pan tam mieszka? – Jakoś nie umiała sobie wyobrazić tego małego człowieka w lesie.

– Nie. – Uśmiech dziwnie wykrzywił mu twarz. – Prowadzę interesy pana Śniadeckiego w biurze. Jestem jego asystentem od wszystkiego.

– A czym się zajmuje pan Śniadecki? – indagowała Anka.

– Jest prezesem firmy handlującej nieruchomościami.

Anka oglądała krajobraz przesuwany się za oknem i szukała tematów do rozmowy. Robert Kraj rozsiadł się wygodnie i patrzył na ręce oparte na kolanach.

– Jeżeli przyjeżdżają tam tylko na weekendy, a pan tam nie mieszka, to kto tam mieszka? – przerwała milczenie.

– Nikt – wzruszył ramionami.

– Wspominał pan coś o psach? – wtrąciła, a on cicho się roześmiał.

„Nie powiedziałam nic śmiesznego – zdumiała się, a Kraj pokręcił jeszcze głową. – Zachowuje się tak jak ja na lekcjach polskiego, kiedy nie przeczytałam lektury. Robiłam wszystko, żeby zyskać na czasie”.

– Pies. Nie psy. Doberman – powiedział wreszcie. – Pilnuje posiadłości. Sąsiad go dokarmia. Na pewno panią polubi – powiedział, a Anka mu nie uwierzyła.

Nie miała pojęcia dlaczego, ale poczuła, że mały człowiek kłamie. Wrażenie było tak natrętne, że chciała wysiąść z pociągu na najbliższej stacji. „Nie bądź głupia – przestrzegła się. – Facet nie zrobił nic złego. – Fakt. – Zresztą jest tak mały, że nawet jakby postanowił cię zgwałcić, zabić i poćwiartować, w dowolnej kolejności, musiałyby poprosić o pomoc konduktora”. Uśmiech przespacerował wolno po jej ustach, co nie uszło uwagi nowo poznanego. Poczuła na sobie igielki przenikliwego spojrzenia jego bardzo niebieskich oczu.

– Od dawna zajmuje się pani sprzątaniami? – Tym razem to on przerwał milczenie.

– Odkąd zrozumiałam, że nie nadaję się na pielęgniarkę – odpowiedziała, mając nadzieję, że nie będzie drążył tematu. Sama wystarczająco często zastanawiała się nad własną przyszłością. – Skąd ma pan mój numer telefonu?

– Mówiłem, że dostałem od ludzi, u których pani pracuje.

Kłamał. Od jego telefonu minęły cztery dni, w tym czasie Anka rozmawiała ze swoimi pracodawcami. Nikt z nich nie znał państwa Śniadeckich. Anka rozklejała ulotki, więc gdyby mały odpowiedział, że znalazł jej numer na słupie, uspokoiłaby się. „Dlaczego uważasz, że ten knypek kłamie, a nie ci, u których sprzątasz? – zrugła się w myślach. – Tacy ważniacy zwykle nie zwracają uwagi na takie drobiazgi jak sprzątaczką, zresztą po co miałyby kłamać?! Opanuj się!” Tym razem głos w jej głowie wrzeszczał. W czasie tego wewnętrznego monologu musiała stroić dziwne miny, co nie uszło uwagi współpasażera. Już miała zapytać, kto konkretnie dał mu namiary na nią, żeby rozwiać swoje głupie wątpliwości, kiedy telefon, który położył na stolniczku przy oknie, zaczął wibrować. Robert Kraj zerknął na wyświetlacz i odrzucił połączenie. Trwało to kilka sekund, ale wystarczyło, żeby Anka zrozumiała. Sytuacja z dzwoniącym telefonem w ciągu ostatniego roku powtarzała się bardzo często. Kiedy spotykała się z Romanem, jego telefon również dzwonił. I Romek również odrzucał połączenie. No i numer był identyczny... dzwoniła Lidia. Ręka Anki odruchowo powędrowała do ust w prastarym geście zaskoczenia. Nie miała pojęcia, czego chce od niej żona Romka, ale poznała ją na tyle, żeby nie spodziewać się niczego dobrego. Nagle przypomniała sobie ostatni sen. Lidia stoi przed nią całkiem naga i pyta: „Oj, Aneczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie?”. Anka nie jest w stanie odpowiedzieć ani oderwać wzroku od gnijącego ciała, po którym wolno przesuwają się oślizłe robaki. Dreszcz wstrząsnął nią tak samo jak w czasie minionej nocy.

– Jestem okropnie niewyspana. – Spróbowała zatuszować gest zasłaniania ust. Instynkt podpowiadał jej, że nie powinna się przyznać, że rozpoznała numer. „Dlaczego nie wstaniesz i nie wysiądziesz na najbliższej stacji?” – zadała sobie proste pytanie. „A jeżeli mnie nie wypuści, to co?” „To palniesz kurdupla tak, że przeleci przez pół pociągu”. Ostatecznie postanowiła poczekać na konduktora.

– Wciągnęłam się w książkę i nie mogłam przestać – starała się być najbardziej naturalna. „Zachowujesz się jak pijany, który chce udowodnić, że nic nie pił”. Nigdy nie umiała dobrze kłamać.

– Tak to z książkami bywa – rzucił Robert Kraj w roztargnieniu.

Widocznie niczego nie zauważył i jakoś stracił zainteresowanie rozmową. Z ulgą zobaczyła konduktora idącego po korytarzu. Drzwi przedziału rozsunęły

się, a Anka postanowiła poprosić o pomoc. Kolejarz dobiegał do czterdziestki, był duży, z brzuchem piwosza. Nie powiedziała mu jednak o swoich obawach, ponieważ zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, jej nowy znajomy błyskawicznym ruchem wyciągnął paralizator, który przystawił konduktorowi do szyi. Zaatakowany przewrócił oczami, zacharczał i osunął się na podłogę. Gwałtowność ataku sprawiła, że głos uwiązł jej w gardle. Wiedziała tylko, że jeżeli natychmiast czegoś nie zrobi, to za chwilę będzie za późno. Wagon był prawie pusty, a drogę do wyjścia blokował bandyta i zwaliste cielsko nieprzytomnego konduktora. Pociąg pokonywał rozjazdy na torach i hałas był bardzo duży. Nie usłyszą krzyków.

– Bądź grzeczna – powiedział kurdupel, który okazał się niezwykle sprawnym kurduplem.

– Co pan wyprawia? – próbowała zyskać na czasie.

– Chciałaś się zwierzyć naszemu grubemu przyjacielowi, prawda? – Jego uśmiech przypominał nieprzyjemny grymas i odsłonił zęby zbyt równe, aby były naturalne. – Niestety nie powiedziano mi, że masz taką świetną pamięć do numerów.

– Czego ode mnie chcesz? – Głos jej drżał, a serce nieprzyjemnie uciskało tchawicę.

– Zawiozę cię na spotkanie – powiedział łagodnie.

Nie uwierzyła mu. Nie po tym, co zrobił z konduktorem. Nagle pociąg gwałtownie zwolnił, rozległ się pisk lokomotywy. Anka siedziała, więc nie straciła równowagi. Bandyta jednak zatoczył się na ścianę. W dodatku jego nogi trafiły na leżącego na podłodze kolejarza, a ponieważ był niski, nie zdołał się chwycić półki na bagaże i upadł. Zrozumiała, że drugiego prezentu od losu nie dostanie. Sprężyście gibnęła się do tyłu, podkurczając nogi, po czym przeniosła ciężar ciała do przodu, jednocześnie rozprostowując nogi. Uderzenie w szybę było potężne i szkło zasypało przedział drobnymi okruchami. Pociąg zwolnił, ale nie na tyle, żeby skok był bezpieczny. Gdyby zaczęła się zastanawiać nad tym, co zamierzała zrobić, pewnie nigdy by się na to nie odważyła. Wstający w podłogi bandyta dodał jej odwagi. Błyskawicznie wspięła się na ramę okna. Pęd wiatru wepchnął jej powietrze do gardła. Poczwała jego rękę na swojej kostce i skoczyła...

Przytomność wróciła jej, kiedy nad głową przetoczył się pociąg ze składem złomu. Jechał wolno, jakby chciał się nacieszyć zgrzytliwym rumorem, którym

wypełniał okolicę. Z trudem rozkleiła powieki. Wydawało jej się, że gdyby nie hałas pociągu, usłyszałyby, jak rozrywane drobiny kleju młazszą. Leżała w krzakach pod wysokim na kilka metrów nasypem kolejowym. Pamięć nie od razu ujawniła jej powód tego dziwnego przebudzenia. Najpierw pojawił się ból. Promieniował z kostki, a jego szpilki docierały aż do pachwiny. Anka ostrożnie usiadła i przy akompaniamencie syków i jęków obmacała nogę. Była spuchnięta, ale mogła nią poruszać. „Co najwyżej zwichnięta” – pomyślała była pielęgniarka. Dopiero teraz umysł wyświetlił jej w głowie kronikę wydarzeń z ostatnich godzin. Chyba godzin... „Wyskoczyłam z pociągu... – pomyślała z dumą. – Kto by przypuszczał?” Zanim przyznała sobie order za bohaterstwo, doszła do wniosku, że z pociągu jest w stanie wyskoczyć każdy. Wystarczy odpowiedni impuls. Leciła nie dłużej niż sekundę, może dwie, a zdążyła sobie wyobrazić, że jej się nie uda. Pamiętała stuprocentowe przekonanie, że za chwilę umrze. Potem nastąpiło zetknięcie z uciekającym podłożem. Została porwana tym pędem. Zwinęła się w kłębek i poddała ciało działaniom praw fizyki. Nie robiła tego świadomie, po prostu wykorzystwała resztki instynktu przodków. „Jakich przodków? Widział ktoś kiedyś homo sapiens wyskakującego z pociągu?” Turlała się długo. Całą wieczność czekała na ból, który nie nadchodził. A potem wszystko ucichło. Zupełnie jakby odjeżdżający pociąg zabrał ze sobą wszystkie dźwięki.

Stała, przenosząc ciężar na zdrową lewą nogę, i rozejrzała się po okolicy. Z tej strony nasypu rozciągała się pofałdowana łąka z rozrzuconymi gdzieniegdzie zagajnikami. Równinę dzielił rząd słupów wysokiego napięcia, biegnących jak po sznurku aż po horyzont. „Miasto musi być po drugiej stronie nasypu. Nie odjechaliśmy daleko” – stwierdziła i ruszyła ostrożnie wzdłuż torów w kierunku, skąd przyjechała. Po kilkunastu krokach przystanąła. „Po co ci miasto? Tam grasuje obłąkane babsko, które kazało cię zabić jakiemuś świrowi w wydaniu kieszonkowym tylko dlatego, że jej facet się w tobie zakochał”. Nie udało jej się teraz, uda jej się następnym razem. Policja... Co policja? Dostanie całodobową ochronę? Akurat. Może od razu poprosić o zmianę danych i status świadka koronnego. No i zmianę twarzy. To przede wszystkim.

Nie wiedziała, czy głowa zaczęła ją boleć z powodu mętlika, który w niej panował, czy z powodu kaskaderskich wyczynów. Co za różnica? Robiło się coraz zimniej, więc postanowiła iść. Szczęśliwie zaniezione chmurami niebo nie zdecydowało się na deszcz. Ból w nodze tępił ból głowy – i na odwrót. Co

parę minut robiła sobie coraz dłuższe postoje. Szła długo i zaczął zapadać zmierzch. Wreszcie nasyp obniżył się i wędrówka wzdłuż torów stała się wygodniejsza. Teraz też zobaczyła światła miasta – siedziby psychopatki i jej podręcznego trolla. „Dojdę do dworca i muszę stąd wyjechać” – stwierdziła kategorycznie. W końcu aptekarka to nie KGB. Nie znajdzie jej.

Potknęła się o wystający podkład i krasnoludki dotąd jednostajnie piłujące jej kostkę odłożyły piły i wzięły się za kilofy. Wrzasnęła. Kilka minut zajęło jej przekonanie maluchów, żeby nie pracowały na akord. Pojawił się pociąg. Silne reflektory przecinały ciemności, demaskując snującą się po ziemi mgłę. Zobaczyła go dopiero, kiedy był kilkadziesiąt metrów od niej. Dziwne, bo takie mocne światła powinna była widzieć z daleka. „Albo wyjechał z za zakrętu. Albo z tunelu” – pomyślała.

Wkrótce doszła do czarnej bezzębnej paszczy tunelu i przystanęła. Wewnątrz było przeraźliwie ciemno. Jak długi był tunel? Pociąg przejeżdżał przez niego w kilkadziesiąt sekund, może minutę... A kulawa dziewczyna? Jednak to właśnie tunel prowadził do peronów, dworca, ludzi... Ostrożnie zajrzała do środka, żałując, że w czasie swoich kaskaderskich wyczynów zgubiła komórkę, której mogłaby użyć jak latarki. Oparła plecy o zimną ścianę i przesunęła się w stronę przełyku kamiennego stwora. Ściana znajdowała się w odległości jakichś trzech metrów od najbliższej szyny, a zakładając, że tak jest w całym tunelu, Anka mogła się po nim poruszać w miarę bezpiecznie. Po krótkim namyśle przytuliła się plecami do cuchnącej stęchlizną ściany i zaczęła iść bokiem jak jakiś gatunek krabów, które widziała w telewizji. Uszła kilka kroków, kiedy usłyszała stukot. Narastał szybko, a dźwięk uwięziony w kamiennym pudełku rozdarł jej uszy. Zatkanie ich dłońmi przyniosło niewielką ulgę. Odruchowo zacisnęła powieki i otworzyła usta. Czują na sobie pęd powietrza brutalnie odepchniętego przez wielotonowego kolosa, który przetaczał się w odległości metra od niej. Gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć. Dzwoniło jej w uszach jeszcze jakiś czas po tym, gdy pociąg odjechał. Ruszyła dalej wzdłuż ściany i po kilku krokach nadepnęła na coś miękkiego. Coś wydało z siebie pisk. „Szczur!” – Anka odskoczyła z odrazą, odsuwając się od piszczącej przeszkody. Przy okazji potknęła się o szynę i upadła. Błyskawicznie zabrała ręce z podłoża, które mogło kryć więcej futerkowych, a może i oślizłych niespodzianek. Zwichnięta noga znowu przypominała o sobie ze zdwojoną energią. Umysł, korzystając z całkowitej ciemności, bezkarnie podpowiadał jej własne wizje. Według niego

znajdowała się na torowisku, po którym chodziły stada brudnych, spasionych szczurów, zbyt leniwych, by biegać. Niektóre z nich konsumowały właśnie swoich mniej zaradnych pobratymców.

„Zwariowałam – stwierdziła. – Albo jestem blisko”. Podniosła się i po omacku odszukała ścianę – jedyny kierunkowskaz. „Dlaczego ludzie boją się szczurów? – zastanowiła się bardziej po to, żeby zbagatelizować swoje lęki, niż żeby ją to naprawdę interesowało. – Wyglądają jak duże chomiki z ogonami. W takim razie może to kwestia rozmiaru. Albo długości ogona – mruknęła, żeby usłyszeć swój głos. – Z drugiej strony, jakby tak było, to dlaczego lubimy bobry. Czy jakaś kobieta piszczała kiedyś na widok bobra? Szczury są brudne i roznoszą choroby”. Niezależnie od okoliczności prędzej czy później do głosu dochodziła pragmatyczna wersja Anki. „Tak samo jak brudne naczynia, a jakoś nie wpadamy w panikę, patrząc na niedomyte szklanki”.

Szurając nogami, żeby nie nadepnąć żadnego stworzenia mieszkającego w tunelu (już wołała je kopnąć), zauważyła światelko. Ucieszyła się jak dziecko, znajdujące prezent pod poduszką. Przyspieszyła kroku na tyle, na ile to było możliwe ze zwichniętą nogą. Okazało się, że tunel dzieli się na dwie części – oświetloną i nieoświetloną. Na ich pograniczu panował półmrok, ale w jego mdłym świetle dostrzegła rudobrazowe ściany. Były nierówne, w niektórych miejscach porośnięte czymś wilgotnym, przypominającym mech. „To pewnie wilgotny kurz. Przez tyle lat nikt tu nie sprzątał”. Od części, w której pod sufitem zamontowano żółte lampy, dzieliło ją jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, kiedy jej dłonie posuwające się wzdłuż ściany wyczuły zmianę faktury. Nie był to już zimny kamień. Anka odwróciła się przodem do ściany. Była prawie pewna, że dotyka drewna, chociaż z wyglądu do złudzenia przypominało rudoszare, jakby zardzewiałe kamienie. Błądząc dłońmi wzdłuż ściany, metr dalej natrafiła na łączenie drewna z kamieniem. Nacisnęła i jedna z powierzchni się poruszyła. Usłyszała nadjeżdżający pociąg i automatycznie przytuliła się do ściany, która ustąpiła na dobre, i Anka wpadła do środka.

Krzyknęła, a potem leżała bez ruchu i czekała na dalsze niespodzianki. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność, do której po odjeździe pociągu dołączyła cisza, tak samo jak do bólu nogi i głowy dołączył ból barku, którym wyrznęła o podłogę. Ostrożnie wstała i zrobiła kilka niepewnych kroków po omacku. Jej dłonie biły powietrze. Pomieszczenie nie było małe. Posuwając się małymi

kroczkami, zderzyła się z twardą powierzchnią na wysokości ud. Mógł to być stolik. Ręce natychmiastabrały się do przeczesywania jego zawartości. Przy akompaniamencie przewracanych rzeczy, nienaturalnie głośno hałasujących w ciszy, natrafiła na jakiś sporych rozmiarów przedmiot. Wyczuła palcami przycisk i snop światła pożarł kawałek czarnego powietrza, dobiegając do przeciwległej ściany.

Anka znajdowała się w dziwnym kamiennym pomieszczeniu wielkości pokoju. Na podłodze przy wejściu leżało coś, co mogło być drzwiami, gdyby miało zawiasy. Drzwi pasowały do otworu w ścianie prowadzącego na torowisko. Prawdopodobnie znajdowała się w zapomnianym pomieszczeniu dla robotników, którzy dawno temu budowali ten tunel. Ustawiła prowizoryczne drzwi przy ścianie. Na stole zauważyła brzydki plastikowy świecznik. Obok świecznika leżała zapalniczka, więc zapaliła świecę i obeszała pokój. W kącie stała koślawa półka mieszcząca w sobie wyszczerbione kubki, talerzyki, z których żaden nie był podobny do drugiego. Posuwając się ostrożnie, potrąciła nogą koszyk na śmieci. Na śmieci tylko z nazwy, bo w środku znajdowało się jedzenie. Kilka czerstwych bułek, puszka sardynek i dwa opakowania topionego sera. Obok stało kilka butelek z wodą. Anka poczuła głód, jakby żołądek dopiero teraz uznał, że warto dawać o sobie znać. Wzięła bułkę i łapczywie wgryzła się w pachnące stęchlizną pieczywo. Topiony ser jeszcze nigdy jej tak nie smakował. Pośrodku ściany przeciwległej do wejścia znajdował się wyłom prowadzący do kolejnego pomieszczenia. Po krótkiej walce strach przegrał z ciekawością. Trzymając w jednej ręce świecznik, a w drugiej butelkę, nieśmiało zbliżyła się do czarnego prostokąta w ścianie. Mdłe i drżące światło odkryło pomieszczenie mniejszych rozmiarów, w którym jedynym sprzętem były porzucane po podłodze materace i karimaty. „Sypialnia” – przebiegło jej przez myśl. Posłań było siedem.

Napełnienie żołądka w połączeniu z ogromem nieznanych przeżyć zaowocowało zmęczeniem. Anka usiadła na materacu i nagle jedyną rzeczą, której zapragnęła, był sen. Rozsądek rozwrzeszczał się w jej głowie, protestując stanowczo, ale w tym przypadku był na straconej pozycji. Anka osunęła się na materac. Zamykając oczy, jeszcze raz zobaczyła skrót wydarzeń minionego dnia i zapadła w sen bez snu, który jest bratem letargu i krewnym śmierci.

Nie usłyszała zbliżających się głosów. Snopy latarek dzieliły ciemność na nieregularne kawałki. Do mieszkania w ścianie weszło siedmiu chłopców. Jedni trzymali siatki, inni mieli plecaki, dwóch najwyższych niosło na grubym kiju dwa wiadra pełne wody. Wszyscy byli zmęczeni i umorusani.

Tryk i Pcheła postawili wiadra w kącie.

– Bolek-i-Lolek, zapal świeczki – z wdziękiem sierżanta polecił Rzygi.

– Nie – padła sucha odpowiedź.

– Bo co?

Bolek, zwany kiedyś Lolkiem, a teraz Bolkiem-i-Lolkiem, wzruszył ramionami i wskazał głową pusty koślawy stolik.

– Ile razy mówiłem, że świecznik ma zawsze stać na stole? – Rzygi powiódł wzrokiem po twarzach kolegów, które oświetlił po kolei swoją latarką.

– W tym tygodniu dwanaście – odpowiedział Łajza, który nie pamiętał, że ma na imię Aureliusz. W nowym życiu Łajzą został niezależnie od poprzedniego. Mały Tadzik prychnął śmiechem, który połknął pod karcącym spojrzeniem przywódcy.

– W zeszłym tygodniu powiedziałaś nam o tym dwadzieścia jeden razy – śmiertelnie poważnie kontynuował swój wykład Łajza. – Dziś mamy dopiero czwartek, więc można założyć, że do poniedziałku wspomnisz o tym jeszcze dziewięć razy. Oczywiście uwzględniając rachunek prawdopodobieństwa, trzeba...

– Zamknij ryja – przerwał mu Tryk, po którego twarzy spływały strugi wody utoczonej z kolejowej pompy stojącej na końcu jednego z peronów.

– A świecznika nie ma. – Pcheła również zanurzył twarz w wiadrze. Rozległo się siorbanie, chlupanie i prychanie.

– Ktoś mi wyjadł serek! – Gruby Krystian, często nazywany przez kolegów Wieprzem (co zdecydowanie podobało mu się bardziej niż maminy Pupuń), przyglądał się szczerbatemu opakowaniu, z którego wybito dwa ząbki topionego sera.

– Sam żeś wpierdolił, a zwalasz na innych. – Patryk, czyli Tryk, chlapnął Krystiana wodą z wiaderka.

– Nie wolno mówić „wpierdolił” – wtrącił mały Tadzio, rozcierając sobie bolące stopy. Cuchnęły.

– Poza tym to nie był twój serek, tylko nasz – dodał Rzygi.

– Wszystko jedno. – Pcheła lubił podsumowania. – Sera nie ma, a rano był.

– Cicho... – Tryk podniósł do góry palec, jakby był wyłącznikiem dźwięku.

Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziło jakieś równomierne mruczenie. Chłopcy wbili pytający wzrok w Rzygiego, który ich tu zebrał i zorganizował. Tylko Tryk nie czekał na reakcję wodza. Z kąta wyciągnął nogę od starego krzesła i ruszył w stronę tajemniczych pomruków. Cała szóstka ostrożnie podążyła za nim, oświetlając drogę promieniami latarek.

Tryk, który w społeczności tunelowych chłopców zajmował się zbieraniem złomu, na czym znał się jeszcze z poprzedniego życia, przekroczył nieistniejący próg ich sypialni i stanął jak wryty. Na jednym z materaców leżała dziewczyna. Zwinięta w kłębek przypominała embriony, jakie widywali w książkach od biologii w czasach, kiedy chodzili do szkoły. Chrapała cicho, z nieśmiałością. Snopy światła przesuwają się po niej, jakby leżała na scenie. Jeden z promieni zatrzymał się na wypiętych pośladkach śpiącej. Chłopcy zerknęli na małomównego Bolka-i-Lolka, który uśmiechnął się głupkowato.

Stali nad nią i żaden nie wiedział, co zrobić. Nauczyli się już, jak zdobywać jedzenie. Jak bronić się przed napastnikiem. Jak uciekać policji. Ale nie mieli pojęcia, co robić z nieproszonym gościem. Mętnik siedmiu głów zjednoczył się w jeden wielki znak zapytania, który rósł z każdą chwilą i stawał się nie do zniesienia. Nie było nikogo, kto by im poradził. Pomrukiwanie śpiącej mieszało się z pajęczyną świszczących oddechów i wypełniło pokój, który uważali za swój azyl.

Nic w czystej postaci wypełniało jej głowę. Nic, które pochłonęło dźwięki, zapachy i kolory. Nic, które jak woda wypełniło mózg, przyjmując jego kształt. Po raz drugi w ciągu kilku godzin była nigdzie, i jak przystało na bycie tam – nie miała o tym pojęcia. Powrót nastąpił nagle. Dźwięk był pierwszym zmysłem, który przebił się przez powłokę niczego i wlał do środka coś. Początkowo słaby i niezrozumiały był tylko świadectwem istnienia, a dopiero później sensu.

– To weź ją, kurwa, i obudź. – Głos kipiał zniecierpliwieniem.

– Nie wolno mówić „kurwa”. – Drugi głos był piskliwy i rozsmakował się słowem „kurwa”.

Anka podniosła rękę do twarzy. Poczucie jednoczesnego dotyku na dłoni i czole podziałało uspokajająco. Otworzyła podpuchnięte snem oczy. To, co ujrzała, sprawiło, że zwątpiła w przebudzenie. Otaczało ją siedmiu ludzików. Na ich twarzach migotały błyski zaciekawienia i świateł.

– Dzień dobry – powiedziała, nie bez trudu otwierając usta.

Chłopcy popatrzyli po sobie. Rzygi wzruszył ramionami i warknął.

– Co ty tu robisz?

– Śpię. – Anka wzięła głęboki oddech i usiadła, podkurczając nogi.

Krótki pojedynczy śmiech przeciął ciszę jak głos nocnego ptaka. Anka spojrzała w jego kierunku. Wysoki szczupły chłopiec nie zdążył jeszcze ukryć rozbawienia. Pcheła został zgromiony wzrokiem przez Rzygiego.

– A jak tu weszłaś? – krępy blondyn budził respekt.

– Nie było zamknięte. – Tym razem parsknęło kilka głosów.

– Rzygiemu chodzi o to, że kobiety nie chodzą po tunelach kolejowych – rzeczowo wtrącił chłopiec o pałakowatych kończynach. W grubych okularach przypominał archetyp mózgowca z kreskówki.

– Rzygiemu? – Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Ja tu zadaję pytania – z komiczną powagą inspektora wtrącił Rzygi, a Anka zrozumiała, że był ich szefem.

– To długa historia – powiedziała i jednocześnie zastanowiła się, czy na pewno.

– Nam się nie spieszy. Opowiedz i idź sobie – rozkazał Rzygi.

Anka opowiedziała im wszystko, a oni słuchali tak, jak potrafią słuchać mali chłopcy. Powoli otwierały im się usta, a oczy nabierały blasku. Kiedy skończyła, żaden z nich nie chciał, żeby sobie poszła.

Minęło kilka dni od czasu, kiedy Anka zamieszkała z chłopcami w Chatce, jak sami nazywali zapomniane pomieszczenie po budowniczych tunelu. Początkowo chciała tylko odpocząć i wracać do domu. Potem uświadomiła sobie, że nie ma domu i nie ma do czego wracać. W dodatku na powierzchni czaiła się nienawiść. Nawet tutaj czuła jej lepkie macki.

Potem zaintrygowali ją jej mali gospodarze. Instynkt macierzyński rozwinął się z kłęбка i potoczył po nierównym podłożu, a chłopcy rzucili się nań jak kocięta. Opowiedzieli jej o sobie. Z wyjątkiem Łajzy, który nic nie opowiedział, bo nic nie pamiętał. Stopniowo otwierali się przed nią jak zakurzone podziemne kwiatki.

– Nie możecie tu siedzieć w nieskończoność – powiedziała poruszona ich dramatami.

Tryk przewrócił oczami, aż zabłyśły białka.

– Dlaczego? – zapytał Rzygi.

– No bo... – Zawahała się, widząc wpatrzony w siebie ufny spójrzanie. –

Świat jest wielki... Ciekawy.

– Nie – krótko stwierdził Bolek-i-Lolek, ale jego oczy były bardziej rozmowne.

– No i co z tego, że jest wielki i ciekawy, jak jest chujowy? – Pcheła rozczesywał sobie palcami wiecznie spocone włosy.

– Nie wolno mówić „chujowy” – wtrącił mały Tadzio.

– Tobie też się jakoś nie spieszy – dodał Tryk, a Anka zaczęła podejrzewać, że sarkazm jest na stałe przypisany do jego postaci.

– Nie zostanę tu do końca życia.

– A do kiedy? – spytał Krystian Wieprz, z uczuciem wpatrujący się w przeterminowany batonik pokryty białym nalotem.

– Nie wiem. – Z kilku odpowiedzi, które przysły jej do głowy, wybrała szczerą.

– Zjadłbym tort – mruknął Krystian, mlaskając starą czekoladą.

– Skąd macie jedzenie? – odważyła się wreszcie spytać, domyślając się odpowiedzi.

– Pracujemy. – Ramiona Rzygiego poruszyły się w górę i w dół.

Anka przyglądała się siedmiu potakującym głowom, które przywodziły na myśl pieski stawiane w samochodach.

– Trzeba zrobić pranie – stwierdziła, rezygnując z umoralniającej pogadanki.

– Po co? – Patryk wziął w ręce swoją koszulkę, która kiedyś prawdopodobnie była błękitna.

– Bo śmierdziejecie.

Chłopcy zaczęli zabawnie pociągać nosami. Małe chrapki poruszały się jak u chomików.

– I trzeba kupić parę rzeczy.

– Nie mamy pieniędzy – powiedział Tadzio.

– Przecież pracujecie. – Podeszła do najmniejszego z chłopców, a ten delikatnie złapał ją za dłoń. Ciepło jego ręki wypełniło ją nieznanym uczuciem.

– Kodeks pracy nas nie obejmuje – powiedział Łajza. – Jesteśmy czymś w rodzaju ludu zbieracko-łowieckiego.

– Opowiecie mi o tym? – spytała, starając się zderzyć z ramion Tadka pasiastą koszulkę przyklejoną mieszanką czasu i potu.

Żaden nie odpowiedział. Z małego plecaka wyciągnęła portfel. Pieniądzy

nie było dużo. Kątem oka zauważyła, że stanęli na palcach, żeby lepiej widzieć. Wyciągnęła banknot i po krótkim namyśle dała go chłopcu, na którego mówili Rzygi.

– Kupisz proszek do prania.

Cygan kiwnął głową.

– Pastę do zębów i mydło. Powinno wystarczyć.

Namyślali się długo. Każdy z nich oddzielnie. Widziała wyraźnie, jak siedem zespolonych umysłów się rozdzieliło.

Nadchodziła zmiana, z którą każdy musiał poradzić sobie sam.

Cygan ich zorganizował. Zanim do nich trafiła, żyli razem od kilku miesięcy. Każdy z nich starał się być przydatny dla reszty. Każdy z nich czuł się potrzebny. Stworzyli stado zdolne do przetrwania w trudnym środowisku. Rzygi koordynował oddział i doskonalił się w swoim fachu złodzieja. Numer z padaczką wychodził mu perfekcyjnie. Rodziców zastąpili chłopcy. Najczęściej Bolek-i-Lolek, rzadziej Krystian, który był zbyt gruby. Pewnej nocy, uciekając z podręcznym bagażem zabłąkanego w dworcowym labiryncie wędrowca, przewrócił się i został złapany. Na szczęście dla niego nadjechał pociąg i niedoszła ofiara porzuciła zemstę. Od tamtego czasu Krystian bardzo chciał pomagać kolegom, a oni bardzo nie chcieli, żeby im pomagał. Tak to właśnie Krystian, zwany przez mamę Pupuniem, a przez nowych przyjaciół Wieprzem, stał się drobnym złodziejaskiem batonów, które znosił do kryjówki ponadgryzane, ponieważ nie mógł powstrzymać żarłoczności.

Pcheła korzystał ze swojej prędkości. Kiedy wypatrzył ofiarę, którą najczęściej była kobieta na wysokich obcasach, rozpędzał się i w pełnym biegu wyszarpywał jej torebkę. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Pcheła był daleko. Na akcje zakładał ubranie Krystiana, który był dwa razy grubszy od niego. Pod wiszącą na nim bluzą ukrywał torebkę, którą potem wybebeszał w zacisznym miejscu. Zabierał tylko pieniądze.

Małemu Tadzikowi Rzygi kazał żebrać. Dzieciak był blady i proszącym wzrokiem dosłownie zatrzymywał przechodniów, wzbudzając w nich poczucie winy. Jego problemem były starsze panie chcące znaleźć mu opiekuna. Wtedy pojawiał się Łajza i jego zadaniem było przekonać kobietę, że Tadzio ma cudownych rodziców, tyle że lubi żebrać i nie można go upilnować. Łajza podawał się za jego starszego brata, co było odważnym pomysłem. Na tym, że obaj mieli po dwie ręce i po dwie nogi, podobieństwa się kończyły. Innym

pomysłem Łajzy na zdobywanie pieniędzy było otwarcie prywatnego oddziału dworcowej informacji. Korzystając ze swojego niezwykłego umysłu i fotograficznej pamięci, Łajza nauczył się rozkładów jazdy, połączeń z przesiadkami i wszystkiego, czego tylko może potrzebować zdezorientowany pasażer. Nie zarabiał dużo. Mało kto decydował się zaufać dwunastolatkowi z tabliczką „Informacja” na szyi. Łajza ze stoickim spokojem znosił docinki i kpiny. Był do tego przyzwyczajony.

Bolek-i-Lolek, kiedy tylko nie pomagał Rzygiemu w akcjach „padaczkowych”, prezentował przed holem głównym autorski program artystyczny, to znaczy grał na śmieciach. Polegało to na tym, że tłuł dwoma patykami po wygrzebanych ze śmietnika odpadkach wydających dźwięki.

Patryk lubił chodzić swoimi ścieżkami. Zbierał puste puszki, butelki i wszystko, co dało się zebrać i zanieść do skupu. Jego życie nie zmieniło się bardzo. Nie było tylko ojczyma, który chciał go zgwałcić. Tryk od miesiąca przygotowywał plan rozmontowania fragmentu bocznic. Znajdowała się tam niewielka pętla kolejowa o średnicy dwudziestu metrów, gdzie kiedyś nawracały lokomotywy. Szyny przeżarte rdzą rdzą były dowodem na to, że od lat nie zaznały kół. Pomysł Tryka był dalekosiężny. Był też kością niezgody między nim a Rzygim, który uważał, że nie są w stanie niepostrzeżenie wynieść z bocznic kilku ton metalu. Tryk musiał się z nim zgodzić, ale ambicja, którą Cygan w nim obudził, trawiła mu wewnątrz i podsuwała coraz to nowsze pomysły.

– Nie możecie kraść – powiedziała Anka, kiedy pewnego dnia zostali z Cyganem sami.

– Musimy – stwierdził obojętnie.

– Prędzej czy później policja was złapie, wiesz o tym, prawda?

– Nie złapie. – Rzygi powiedział to zbyt szybko i zbyt pewnie, więc dodał:

– A co mamy robić?

Anka podeszła do maszynki gazowej, na której bulgotała zupa, i zamieszała ją drewnianą łyżką poczerniałą od mieszania.

– A gdybym postarała się o opiekę? – Oblizła łyżkę i dosypała odrobinę soli z foliowej torebki. Rzygi nie odpowiedział od razu, chociaż Anka spodziewała się ataku. Przez dwa tygodnie wspólnego mieszkania poznała go i wiedziała, że lubi panować nad wszystkim.

– Dałoby się tak załatwić? – Zaskoczył ją jeszcze bardziej.

- Nie wiem. Ale chciałabym spróbować. Są rodziny zastępcze...
- Nie masz stałej pracy. Nikt ci nie da opieki nad nami.
- Pewnie, że najpierw musiałabym zaopiekować się sobą.
- Nie wszyscy jesteśmy sierotami – powiedział Rzygi, błędząc po uprzątniętym pomieszczeniu niewidzącym wzrokiem, jak człowiek bardzo głęboko skupiony.
- Nigdy nie dostanę opieki nad Krystianem, Tadzkiem ani nad Łajzą – zgodziła się z nim, chociaż nikt (na czele z Łajzą) nie wiedział nic o tym, czy Łajza ma rodzinę, czy nie.
- Pójdziemy razem albo wcale – stwierdził stanowczo.
- Dokąd tak będzie? – Kucnęła przy nim, a on rozejrzał się na boki, upewniając się, że nikogo nie ma, i pozwolił, żeby zmierzwiła mu włosy czułym gestem.
- Co będzie za rok, dwa, pięć?
- Nie obchodzi mnie to. – Patrzyli sobie prosto w oczy.
- Nieprawda. – Mówiła najłagodniej, jak umiała.
- Idź sobie stąd. – Zdecydowanym ruchem odsunął jej rękę.
- Myślisz, że was zostawię? – Uważała, że tak myśli.
- Jeśli chcesz z nami być, to bądź. Ale bez numerów. – W głosie chłopca zabrzmiała groźba.

Anka sypiała coraz gorzej. Strop zdawał się opuszczać coraz niżej. W mdłym świetle mozaika pęknięć, jakimi był pokryty, była wyraźna i obca. Najpierw przyzwyczajała się do tego miejsca, a kiedy jej się udało, zaczęła mieć go dosyć. Nigdzie nie wychodziła. Nawet gdy chłopcy szli rano „na polowanie”, jak to nazywał Rzygi, i „na balety”, jak mówił Patryk. Nie nudziła się. Przy siedmiu małych ludzikach zawsze było co robić. Nie zmieniało to jednak faktu, że kryjówka stała się dla niej więzieniem.

Tego ranka strop był stanowczo za nisko. Zupa została z poprzedniego dnia. Pieczara sprzątna regularnie nie wymagała pracy. Anka dopiła kawę zaparzoną na niebieskim płomyku wyplutym przez czerwoną butlę gazową. Znała procedury wychodzenia z kryjówki. Starannie zastawiła otwór wejściowy, tak że wtopił się w ścianę tunelu, i ruszyła w kierunku, w którym szła kiedyś. Dawno temu. W czasie, kiedy nie знаła ludzi, z którymi mieszkała i za których dziś czuła się odpowiedzialna. Tunel zakręcał po kilkuset krokach. Nie minął jej ani jeden pociąg, kiedy zobaczyła jasny punkt, który był

dosłownym światełkiem w tunelu. Punkt rósł w oczach, aż wreszcie przestał być tylko światłem. Zbliżała się do krańca jednego z peronów. Pora była wczesna i po посадке włączyło się tylko kilka spasionych gołębi. Na jednej z ławek drzemał śmierzący osobnik, z którego sączyła się strużka cieczy. Anka przyspieszyła kroku i nie zwracając niczyjej uwagi, dotarła do ruchomych schodów prowadzących na wyższą kondygnację. „Galeria handlowa” – głosił napis nad strzałką. Piętro wyżej zaczęli pojawiać się ludzie. Zaspasane twarze o nieobecnych oczach. Pasażerowie. Wydawało jej się, że wszyscy przyglądają się tylko jej, ale wiedziała, że to bzdura. Cierpiała na syndrom uciekiniera. Nagle przyszło jej do głowy, żeby zwyczajnie wyjść z tego podziemnego labiryntu i pojechać do mieszkania. Co się z nim stało? Czy ktoś jej szukał? „Pewnie, że tak – mruknęła. – Jedna pani bardzo chciałaby się z tobą zobaczyć”.

„Nie mam dokąd wracać – pomyślała po raz nie wiadomo który. – Nie mam do kogo wracać” – ta myśl wydała jej się gorsza.

Stała przy balustradzie, z której roztaczał się widok na perony. Galeria słupów i ścian. Na końcu jednego z peronów zauważyła chłopca w towarzystwie rośłego mężczyzny w odblaskowej kamizelce. Chłopiec wykonywał jakieś dziwne ruchy. Kiedy się zbliżyli, zobaczyła, że chłopiec próbuje się wyrwać z uścisku strażnika ochrony kolei. Następnie odkryła, że chłopcem jest Patryk. Szybko zbiegła ze schodów. Ostatnio nie ruszała się wiele, więc dyszała ciężko, kiedy dobiegła do mężczyzny prowadzącego Patryka za kołnierz.

– Co pan mu robi? – wysapała.

– Gówniarz pobił dwóch kolegów.

– To nie byli żadni koledzy. – W głosie chłopca nie było strachu ani skruchy. – Chcieli mnie okraść.

– Z czego niby? – parsknął mężczyzna.

– Dlaczego nie zatrzymał pan tamtych, tylko... Mojego syna...? – Pauza była na tyle krótka, że strażnik jej nie zauważył, a kłamstwo na tyle duże, że Patryk przestał się szarpać i utkwiał wzrok w Ance.

– To jest pani syn?

– A co w tym dziwnego? – Nie wolno mu było dać czasu do namysłu. Miała dwadzieścia cztery lata, a Patryk dwanaście.

– Co się stało, kochanie?

Anka stanowczym ruchem wyjęła kołnierz Patryka z ręki mężczyzny.

– Dwóch cweli chciało mi zabrać blachę – odpowiedział.

– Blachę? – jak echo powtórzył strażnik.

– Zbierałem puszki. Na torach leży pół worka. Ten większy go upuścił, gdy uciekali. – Patryk mówił coraz wolniej, bo rozumiał, że jej nie pomaga.

Strażnik przeniósł pytający wzrok na Ankę. Ta się uśmiechnęła, całkiem nieźle udając zażenowanie.

– Zbiera pieniądze na wakacje. Jestem samotną matką... Wie pan, jak to jest. – Pokiwała głową, a mężczyzna odpowiedział jej tym samym, chociaż nie wiedział, jak to jest być samotną matką. Żadne z nich nie wiedziało.

– No dobrze, ale żebym cię tu więcej nie widział – powiedział, starając się napawać resztką władzy ulatniającej się w oparach kobiecej opiekuńczości.

– A co to, pana dworzec? – Tryk reagował instynktownie. Strażnik, który już odwracał się na pięcie, przystanął.

– Obiecuję panu, że to się więcej nie powtórzy. – Anka obdarzyła strażnika najśłodszym uśmiechem, na jaki było ją stać.

– No ja myślę – mruknął Strażnik, dochodząc do wniosku, że ma za mało szans na wygranie sporu, żeby w niego wchodzić. – Na pani miejscu dałbym mu zdrowo po dupie. Dupa nie szklanka, nie potłucze się – dodał.

Anka mocno ścisnęła ramię Patryka, dając mu do zrozumienia, żeby się nie odzywał. Poskutkowało.

– Ma pan rację – powiedziała i ruszyła, ciągnąc za sobą Patryka.

Chłopiec szedł, nic nie mówił i cały czas na nią patrzył. Uśmiechnął się, ale nie zwracała na niego uwagi. Ciągle jeszcze grała rolę zdenerwowanej matki. Patryk jeszcze nigdy nie zauważył, że jest ładna. Owszem, parę razy, podobnie jak inni, próbował zajrzeć jej za dekolt, ale teraz wydało mu się to okropne. Chciał ją za to przeprosić, ale nie wiedział jak. Chciał zrobić coś, żeby się uśmiechnęła. Chciał, żeby go lubiła. Chciał, żeby wiedziała, że on też ją lubi. Ale nie była to prawda. Tryk kochał ją wtedy z całych sił. Nie zdawał sobie z tego sprawy, bo po raz pierwszy w życiu kochał drugiego człowieka.

Rzygi siedział na barierce oblażącej z farby jak liniejący wąż. Tryk zwołał naradę na błoniach rozciągających się między kłębowiskiem dworcowego labiryntu a centrum miasta. Punktualnie przyszli wszyscy oprócz Tryka. Czekali. Rzygi przyglądał się psu znaczącemu od słupka do słupka teren, na który wtargnęli. Tuż obok Krystian opychał się czerstwą bułką z serem. Grubas co pewien czas oglądał bluzę, zbierał okruszki i pakował je sobie do

ust. Czynność ta działała Cyganowi na nerwy. Odwrócił głowę i zobaczył Pchełę, który bez najmniejszego wysiłku przeskakiwał barierkę w tę i z powrotem. Bolek-i-Lolek położył się na trawie i przymknął swoje za duże oczy. Łajza musiał robić w myślach jakieś rachunki, bo co pewien czas przeliczał coś na palcach. Zmarszczki skupienia pokreśliły jego czoło, nadając dziecięcej buzi niedorzecznego wyrazu. Mały Tadzik rysował butem w świeżo odgrzebanej darni. Regularnie pociągał nosem, dzięki czemu glut chował się i pojawiał jak jojo.

Po kwadransie Rzygi wypatrzył Tryka idącego od strony dworca. Szedł z pustymi rękami, co tylko wzmoгло niechęć Cygana. Tryk od dawna łąził na bocznicy i nic z tego nie wynikało. Teraz nie dość, że zwołała naradę, na którą się spóźnił, to jeszcze się nie spieszył. Szedł, kopiąc kamyk. Poświęcał tej czynności całą swoją uwagę.

– Tryku idzie – powiedział Tadzik i głośno zaciągnął się katarem. Rzygi nawet nie spojrział na dzieciaka.

– Poważnie? – sarknął.

– Tak. – Tadzio nie wiedział jeszcze, co to sarkazm.

– Czekamy na ciebie od pół godziny – odezwał się Rzygi, zanim Patryk dotarł do barierki obwieszanej chłopcami. Tryk wziął krótki rozbieg i z całej siły posłał kamyk w stronę wyimaginowanej bramki. Musiał trafić, ponieważ odtańczył taniec zwycięstwa, zakładając sobie na głowę przód koszulki.

– Gooooo!!! – wrzasnął Pcheła, a kundel obsikujący teren podskoczył jak oparzony.

Tryk podszedł do Krystiana pogryzającego posiwiąłego ze starości batona i odłamał kawałek, narażając się na spojrzenie pełne wyrzutu, na które nie zwrócił uwagi.

– Mam plan – powiedział, mlaszcząc. – Gruba sprawa.

– Wreszcie się odpieprzyłeś od bocznicy, cieszę się – mruknął Rzygi.

– Właśnie że nie. – Tryk połknął kęs batona i strzyknął przez zęby brązową śliną, która poplamiała chodnik kształtem rozgniecionego owada.

– Znalazłem gościa ze sprzętem – powiedział, nie patrząc na Rzygiego.

– Pojechało cię? – zirytował się Rzygi i pogroził pięścią Tadziovi, który już chciał zastrzec, że tak się nie mówi.

– Nie znasz naszego prawa? – Rzygi podszedł do Tryka. Byli podobnego wzrostu, ale Cygan był znacznie potężniejszy.

– Znam. Każdy robi wszystko, żeby zdobyć kasę. – Tryk spokojnie patrzył

w oczy kolegi. – No to robię. Wiesz, ile możemy zarobić na tym złomie?

– Gównu mnie to obchodzi! – wrzasnął Rzygi. – Nigdy nie wpuszczamy obcych.

– Już wpuściliśmy – wtrącił Bolek-i-Lolek, który przyglądał się scenie z przyjemnością. Miał nadzieję, że się pobiją. Denerwowali go od dawna.

– Ania jest z nami od dwudziestu czterech dni siedmiu godzin i... – Łajza obliczał minuty, patrząc na zegarek.

– Zamknij się – syknął Rzygi.

– Nie tak ostro, chłopaku – odezwał się Pcheła, który bardzo lubił Łajzę.

– Bo co? – Rzygi odwrócił się od Tryka w stronę kolejnego zagrożenia.

– Bo nie jesteś dyrektorem szkoły – odezwał się Krystian, a reszta parsknęła śmiechem. Krystian nie umiał żartować, dlatego jego żarty bawiły najbardziej.

– Ja was zebrałem. Ja wam dałem chatę. – Rzygi miał dwanaście lat, ale już wiedział, że wymienianie swoich zasług jest dowodem słabości. – Ja jestem waszym szefem – zakończył, wodząc groźnym wzrokiem od twarzy do twarzy.

– Już nie – za słowami Patryka czało się okrucieństwo.

– Jak ci się coś nie podoba, to możesz odejść – odezwał się wreszcie Rzygi. Tym razem cicho.

– Kto jest za tym, żebym odszedł? – zapytał Tryk. Nikt nie podniósł ręki, więc Cygan też tego nie zrobił.

– Kto jest za tym, żebym został? – Patryk chciał smakować zwycięstwo.

Wszyscy poza Cyganem podnieśli ręce. Zapadła cisza. Rzygi czuł, że nogi mu drżą. Nie podnosił głowy, żeby nikt nie zobaczył zbyt błyszczących oczu.

– Dobra... Co to za plan...? – wykrztusił wreszcie i wszyscy odetchnęli z ulgą. Nikt z nich nie wiedział, że on też ma swój plan. Plan, którego nikomu nie zdradzi. Nigdy.

Nauczyła się nie zwracać uwagi na łoskot przejeżdżających pociągów, od którego wszystko się trzęsło. Głowa zaakceptowała ten hałas jako bezpieczny, więc nawet już jej nie budził. Zbudziły ją jęki. Kiedy otworzyła oczy, było jej duszno. Ktoś nie przestawał jęczeć. Anka odrzuciła koc i usiadła na materacu. Ciemność rozpraszał płomień grubej świecy. Ognik wtopił się na kilka centymetrów w głąb stearynowego ciała i dawał mało blasku. Chłopcy spali w malowniczych pozach. Mały Tadzik leżał na brzuchu z pośladkami wypiętymi do góry. Bezpieczeństwo zapewniał mu kciuk spoczywający w ustach, co rozczuliło dziewczynę. Wstała i bezszelestnie lawirowała

w kierunku rozścielonej przy wejściu do „salonu” karimacie. Rzygi przewracał się z boku na bok. Oddychał ciężko, a jego twarz nawet w tym umownym świetle błyszczała od potu. Usiadła przy nim i dotknęła dłonią wilgotnego czoła. Nie wyczuła gorączki, więc zaczęła uspokajająco głaskać skołtunione włosy. Cygan uspokoił się, po czym wydał stłumiony krzyk i usiadł, wodząc nieprzytomnym wzrokiem. Poza nim nikt się nie obudził.

– Już dobrze, miałeś zły sen – szepnęła.

– Mama...? – Nadzieja, jaką usłyszała w jego głosie, skaleczyła jej serce mocno i precyzyjnie.

– Spokojnie... – Nie mogła powiedzieć nic innego.

Rzygi wypłynął na powierzchnię rzeczywistości i odsunął się od jej ręki, jakby go parzyła.

– Przyniosę ci wody.

– Nie chcę.

– Miałeś koszmary – mówiła łagodnie.

– Skąd wiesz? – Jego głos był natarczywy.

– Zamknij się, bo chcę spać... – jęknął Pcheła i przewrócił się na drugi bok.

Anka chwyciła Cygana za rękę i posługując się drugą jak czujnikiem dotyku, wyprowadziła go do drugiego pomieszczenia.

– Możesz mi powiedzieć, co ja ci takiego zrobiłam? – spytała.

Rzygi patrzył jej prosto w oczy, o czym mogła się przekonać dzięki kinkietowi na baterie stojącemu na stoliku.

– Nie jesteś moją matką – burknął.

– Nie jestem.

– Dla nich może tak, ale nie dla mnie.

– Masz do mnie pretensje, że się o was martwię?

– Bez łaski – powiedział to z bliska i poczuła, że znowu nie umył zębów.

– Porozmawiamy rano, dobrze? – Nie chciała wszystkich pobudzić.

– O czym? – Agresja, która wylazła z klatki, nie chciała wracać.

– Jeżeli uznacie, że jestem wam niepotrzebna... – Zastanowiła się, czy na pewno jest na to gotowa, ale dodała: – Pójdę sobie.

Jej spokój i zrozumienie drażniły go. Chciał, żeby go uderzyła. Albo chociaż skrzyczała. Tymczasem miał przed sobą smutną twarz.

– Nie będziemy o niczym rozmawiać – syknął i ruszył w kierunku wyjścia do tunelu.

– Rzygi – powiedziała za nim, a on wiedział, że nie cierpiała jego ksywki.

Nie chciał się odwracać, ale to zrobił.

– Nie jestem matką. Ani twoją, ani niczyją. – Mówiąc to, odgarnęła sobie kosmyk jasnych włosów z czoła i założyła go za ucho. Ten gest już zawsze będzie mu się z nią kojarzył. – Ale bardzo was kocham – powiedziała i spuściła wzrok gdzieś na spękany starannie wyszorowany beton.

Rzygi wybiegł z kryjówki. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Miał nadzieję, że nadjedzie pociąg i nie będzie musiał niczego wiedzieć. O niczym pamiętać. Pociąg nadjechał, ale później, w czasie, kiedy chłopiec szwendał się już po ulicy. Ocknął się na starym podwórku pośród odrapanych kamienic. Śmierdziało zgnilizną i kocim moczem. W jednym z rogów stały plastikowe kubły na śmieci. Były zielone i nie pasowały do otoczenia. Rzygi wcisnął się pomiędzy nie i zaczął płakać. Płakał długo i namiętnie. Płakał, aż zabrakło mu łez. W głowie czuł pulsowanie. Oczy piekły, ale serce się uspokoiło. Przez prostokątny otwór prowadzący z dna podwórka aż do nieba zaczęło wpadać światło. Ciemne myśli jakby sprzężone z odchodzącą nocą ustępowały miejsca wierze. Naiwnej wierze niewprawnego umysłu, który sądził, że wszystko można odkręcić. Regułę „co się stało, to się nie odstanie” przyswaja się wolno, bo nikt jej nie lubi.

Rzygi ruszył w stronę mieszkania, w którym był już poprzedniego dnia. Bał się panicznie. Kobieta, którą odwiedził, śniła mu się w nocy. Jej wstrętne twarz patrzyła na niego, gdy tylko zamykał oczy, ale to dobrze. Cieszył się, bo bardzo chciał odkupić winy. Potrzebował kary. Surowej. To, co zrobił, musi kosztować. Im bardziej się będzie bał, tym bardziej odkupi winy. Z tego samego powodu wierzył, że jego tata i mama są w niebie. Wierzył, że Bóg ma właśnie takie zasady, chociaż nie wierzył w Boga.

Było jeszcze za wcześnie, żeby skorzystać z autobusu, dlatego całą drogę przebył szybkim marszem. Miał czas, żeby się zastanowić, co powie. Kiedy wreszcie wymyślił historyjkę, w której nie widział słabych punktów, okazało się, że mieszkanie jest puste. Upewnił się, stojąc na wycieraczce prawie cały dzień. Z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki. Nikt do niego nie wszedł ani nikt nie wyszedł. Pod wieczór Rzygi wolno ruszył w stronę dworca, marząc o wynalazkach, które mogłyby cofnąć czas. „Jak łatwo by się wtedy żyło...” Z tą myślą wszedł do kryjówki i wpadł w ramiona roztrzęsionej jego nieobecnością Anki.

Czas jest sprawcą. Czasem oprawcą. Bywa rozjemcą i lekarstwem.

Wyrozumiały dla duszy, surowy dla ciała. Leczy rany i wysysa życie. Czas jest Bogiem.

Dla Lidii okazał się Bogiem okrutnym. Zabrał jej wszystko, nie dając w zamian nic. Nie ugasił bólu. Balon nienawiści napompowany wewnątrz wypełnił ją bez reszty i był bliski eksplozji. Jej dusza była wspaniałą glebą, która przez lata oczekiwała na sprzyjające warunki. Doczekała się. Zasiano dobre ziarno. Warunki zewnętrzne dopisały i zapewniły urodzaj. Tak się czasem zdarza. Wtedy powstają wielkie dzieła.

Rozkwitu albo zniszczenia.

Lidia nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Długie tygodnie beznadziejnych poszukiwań. Nieprzespane noce trawione gorączką parującej nadziei. Ratunek przyszedł niespodziewanie. W nieoczekiwanym momencie. Z nieoczekiwanej strony.

Rozejrzała się. W jej mieszkaniu nie było bałaganu, nikt nie poprzewracał mebli. Tyle że z każdego kąta wyzierała martwa pustka. Ściany od dawna nie słyszały ludzkiej mowy. Rzeczy pokrył kurz. Na kuchence stała patelnia z jedzeniem, a pod jej przykrywką białe robaki utworzyły własny mikroświat. Śmierdziało rozkładem. Zapach był pierwszym wrażeniem, którego doświadczyła po odrodzeniu. Podeszła do wielkiego lustra, zwielokrotniającego powierzchnię sypialni, w której od dawna nikt nie sypiał. Srebrna tafla zmatowiała od kurzu, jakby chciała oszczędzić jej widoku. Przejechała po niej dłonią, robiąc łuk wypełniony kolorami niczym tęcza. Patrzył na nią humanoidalny stwór odziany w szlafrok. Kiedyś dopasowany, teraz zwisał na niej jak jedwabny wór. Rozchełstany nie osłaniał piersi, które zamieniły się w dwa fałdy sflaczałej skóry. Obraz przekazany za pośrednictwem lustra ujrzała oczami schwytanymi w głębokie pułapki oczodołów. Twarz obciągała warstwa cienkiej skóry. Popękane suchością i bezruchem usta odsłoniły poczerniałe zęby. Brak witamin spustoszył piękny kiedyś uśmiech. Całymi tygodniami żywiła się cukrem wygrzebanym z szafki. Kiedy się skończył, zastąpiła go mąką. Zapadnięte policzki naznaczone były bruzdami blizn wątrobianego koloru. W najgłębszych skaleczeniach zbierała się miodowa materia. Szerokość blizn pasowała do szerokości jej paznokci.

Oglądając się w lustrze, Lidia poczuła ulgę. Nie była ładna. Była potwornie brzydka, a to sprawiło, że zrzuciła brzemię dźwigane przez całe życie. Niemal usłyszała rumor walącego się lęku wyrażającego się w trzech słowach: „Jak długo jeszcze...?”. Skończyło się. Nie było od tego odwrotu, a to właśnie było

źródłem, z którego chłęptała spokój. Tak jak dziecko oddycha z ulgą, kiedy jego ciężko chora matka wreszcie przestaje być ciężko chora i staje się zwyczajnie martwa.

Zafascynowana widokiem samej siebie z trudem oderwała wzrok od lustra i spojrzała na zegar. Był kwadrans po południu. Poczeka do wieczora i wtedy odwiedzi jedną ze swoich nieistniejących już aptek. Tam nikt nie będzie jej przeszkadzał.

Spędziła w laboratorium kilka godzin. Jeszcze nigdy sporządzanie preparatów nie sprawiało jej tyle radości. Tyle że od dawna nic nie sprawiało jej przyjemności. Do pewnego momentu – nic. I od pewnego momentu – wszystko. Rozum roi się od granic, których przekraczanie sprawia, że wszystko się zmienia. Są doskonale widoczne, ale nikt ich nie widzi.

Potrząsnęła menzurką. Przezroczysta ciecz była efektem połączenia kilkunastu związków chemicznych. Wyglądała niewinnie. Lidia zanurzyła igłę w szklanej fiolce i pociągnęła za tłoczek. Płyn przeniósł się z naczynia do naczynia. Podniosła strzykawkę pod światło. Będzie musiała dokonać próby. Wszystko powinno działać, ale sprawa była zbyt poważna, żeby ryzykować. Drugiej szansy nie będzie. Na osiedlu nie brakowało bezdomnych psów gotowych na eksperyment za kawałek kiełbasy.

– Wszystko dobrze? – zapytał Rzygi, rozglądając się po kryjówce, jakby z góry nie wierzył w odpowiedź, którą usłyszy.

– Tak. – Anka zauważyła, że ostatnio chłopiec stał się bardzo nerwowy. – A co miałyby być niedobrze?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami, przyjmując obojętną pozę.

– Gdzie reszta?

– Porozłazili się. Kombinują.

– Kradną. – Starła się, żeby w jej głosie nie było oskarżenia.

– Może i tak...

Spodziewała się ataku, tymczasem Cygan podszedł do stolika i nalał sobie wody. Pił na przymus.

– Chciałabym porozmawiać z kimś w waszej sprawie – powiedziała ostrożnie, chcąc wykorzystać chwilę.

– Z kim? – I tym razem nie zareagował agresją.

– Znam pewnego lekarza...

– Od leczenia psycholi? – przerwał jej gwałtownie. – Widziałaś, żeby któryś z nas miał świra? No może Łajza, ale...

– Uspokój się. – Anka przerwała mu, tyle że łagodnie. – Ten lekarz nie jest psychiatrą i nie będzie was leczył. Może coś poradzi.

– Dlaczego akurat on?

– Bo nie mam nikogo innego – odpowiedziała.

– To ten facet, o którym nam opowiadałaś? – W opowieści Anka nie wspomniała o tym, że Romek jest lekarzem. Nie wydawało jej się to istotne.

– Tak.

– Nie jest na ciebie obrażony? – Dzieci zwykle nazywają rzeczy po imieniu. Ance nie przyszło do głowy, że Roman mógłby być na nią obrażony, a przecież mógłby. Zrujnowała mu życie i usprawiedliwianie wszystkiego okolicznościami miało sens, ale nie zmieniało faktu.

– Mam nadzieję, że nie – stwierdziła bez przekonania.

– Jeśli mu każesz nas adoptować, to się wkurzy – powiedział Rzygi z miną człowieka, który wiele razy proponował swojemu byłemu przyjacielowi adopcję siedmiorga dzieci.

– Myślałam raczej o znalezieniu wam rodzin zastępczych. – Nie potrafiła ukryć uśmiechu.

– Gadaliśmy o tym. Niektórzy z nas mają starych.

– Wiem. I myślę, że niektórzy z was powinni wrócić do rodziców. Oni też się czegoś nauczyli.

Rzygi rozważał jej słowa, zakręcając i odkręcając butelkę.

– Myślisz, że reszta jest gotowa na taką rozmowę? – Zagryzła wargę, w napięciu czekając na odpowiedź.

– Skąd ja mogę wiedzieć...? – Odstawił butelkę.

– A ty?

– Ja mogę.

– W takim razie reszta też. – Odetchnęła.

– Czemu?

– Bo wszyscy ciebie słuchają.

Zdumiała ją ta nagła kokieteria. Nie pasowała do niego.

Rzygi tylko kiwał głową, na przemian potakując, na przemian zaprzeczając. Musiał prowadzić pełen sprzeczności dialog wewnętrzny.

– Idę – powiedział wreszcie.

– Myślałam, że już wróciłeś – zdziwiła się Anka.

– Zobaczą, jak sobie radzą.

Nie chciał być z nią sam na sam. Nie teraz.

– Tylko nie wpuszczaj nikogo – powiedział.

– Kiedy ostatni raz widziałeś kogoś w tym tunelu? – Jego nagła troska o nią wydawała jej się urocza i zabawna. Na pewno nie podejrzana.

– Nieważne.

– Chodzi o ten sen?

– Skąd wiesz? – Wiedzący zwykle budzą nieufność.

– Wiem dużo o koszmarach.

Pokiwał głową uspokojony i wyszedł.

Anka usiadła na koślawym taborecie wygrzebanym z jakiegoś śmietnika. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Przygotowywała się do tej rozmowy, ale nie przypuszczała, że tak szybko nadarzy się niewymuszona okazja zostania z Cyganem sam na sam, a już na pewno nie liczyła, że chłopak zaakceptuje jej plan.

„Poprosić o pomoc Romka”. Chciała pomóc chłopcom czy go zobaczyć? Pewnie jedno i drugie. Przyłapała się na tym, że wstydzi się, jeżeli robi coś dla siebie. „On na pewno jej pomoże. Im pomoże – pomyślała. – Nam pomoże” – dodała w myśli. Nie pierwszy raz zorientowała się, jak głęboko wrosła w społeczność małych ludzi. Społeczność, którą trzeba będzie rozerwać. Nie było innego wyjścia. Krystian, Bolek-i-Lolek, Tadzio, no i pewnie Łajza też, mieli swoje rodziny i tam było ich miejsce. Co do pozostałej trójki... Zrobi wszystko, żeby znaleźli dla siebie przestrzeń. Tak jak ona znalazła. Dzięki spotkaniu z nimi przekonała się, co chce robić w życiu. Tym razem była pewna, że się do tego nadaje.

Postanowiła zrobić spaghetti, które uwielbiali. Z dużego pudła po telewizorze, które udawało spiżarnię, wyciągnęła dwie paczki makaronu, siatkę przejrzałych pomidorów (powąchała, czy na pewno jeszcze są jadalne), cebulę i paczkę mielonego mięsa, które kupiła w czasie swojego wypadu na powierzchnię. Przeniosła butlę gazową na środek. Nie była ciężka, co oznaczało, że wkrótce trzeba będzie ją napełnić. Niebieski płomyk precyzyjnie przeszedł przez otwory palnika. Postawiła na nim zdezelowaną patelnię, na której roztopiła trochę oleju, marudząc, że lepsza byłaby oliwa. Cebula skwierczała na patelni, a Anka zastanawiała, co się dzieje z Romanem. Czy w ogóle będzie chciał z nią rozmawiać? „W końcu nie zrobiłam mu nic złego” – przekonywała samą siebie. W każdym razie chłopcom nie odmówi pomocy. A potem się

okazuje. Wszystko zależało od tego, czy jest sam, czy z kobietą, która kazała ją zamordować. Czy Romek o tym wiedział? Niemożliwe. W takim razie czy powinien się dowiedzieć? Na pewno. Choćby dla bezpieczeństwa. Jej, jego. Wszystkich.

Cebula stała się przezroczysta i Anka wrzuciła na patelnię mięso, rozgniatając drewnianą łyżką sklezione grudki. Zapach był przyjemny, ale zaczął przepełniać pomieszczenie pozbawione wentylacji. Chciała odsunąć płytę pilśniową, odgradzącą od świata, kiedy usłyszała głośnie, nieregularne pukanie. Zamarła z łyżką w ustach. Stukot powtórzył się, po czym zastąpił go szmer, jakby ktoś przesuwiał materiałem po drewnie. Odsunęła prowizoryczne drzwi. Do pomieszczenia wczołgała się dziwna postać. Była przeraźliwie chuda, łysa czaszka kiwała się na wszystkie strony, kiedy szła na czworakach. Jej grzbiet zafalował pod wpływem spazmatycznego kaszlu. Sukienka, którą miała na sobie, była luźna i zamiatała podłogę.

– Co się stało? Kim pani jest? – W chwilach zaskoczenia rzadko zadaje się inteligentne pytania, ale kiedy nieznajoma przechyliła głowę na bok, groteskowo zadzierając ją do góry, Anka już nie musiała pytać. Przed nią widać było karykaturę kobiety, która kazała ją zabić. W niczym nie przypominała pewnej siebie aptekarki, która kiedyś patrzyła na Ankę z dziwnym grymasem. Ten grymas uznała wtedy za drwinę, ale okazał się dziką nienawiścią. Zdradziły ją oczy. Anka nigdy ich nie zapomniała. Zimne i czarne jak ścięte lodem bagno.

– Jak mnie tu znalazłaś? – szepnęła.

W odpowiedzi usłyszała kolejną salwę kaszlu. Na ustach zapieniła się różowa ślina. Anka nie musiała być pielęgniarką, żeby wiedzieć, że sprawa jest poważna. Lidia próbowała się podnieść. Przerzuciła swój nieznaczący ciężar na jedną rękę, która go nie udźwignęła i załamała się pod nią.

– Umieram... – jęknęła, a oczy wpiły się w Ankę, jakby były mackami duszy, która za wszelką cenę chce pozostać. Ciałem kobiety, która kiedyś była Lidia, wstrząsnęły konwulsje. Jedną nogą potrafiła butlę gazową i niedoszły sos wylądował na podłodze. Patelnia hałasowała i ucichła dopiero, kiedy znieruchomiała.

Anka nie wiedziała, co robić. Wpatrywała się w charczącą i dławiącą się postać. Zbyt mało czasu upłynęło od momentu, kiedy przestała być pielęgniarką, i zbyt długo była człowiekiem, żeby mogła na to patrzeć w spokoju. Mimo że cudzej śmierci bała się bardziej niż swojej, uklękła przy

umierającej. Mocno uciskała zapadłą klatkę piersiową, która była kiedyś podłożem dla pięknych piersi. Kropelki potu spływały od nasady włosów do czubka nosa. Nagle Lidia szerzej otworzyła oczy i wywróciła białkami. Zrozpaczona Anka zapomniała, kogo ratuje, pochyliła się i swoimi ustami nakryła cuchnące gorączką usta chorej. Nabrała powietrza, żeby wtłoczyć tlen do wysychających płuc. Wtedy czarne zęby Lidii zacisnęły się na wargach Anki. Potworny ból eksplodował pod czaszką. Odruchowo szarpnęła głową do tyłu, ale zęby, chociaż spróchniałe, trzymały mocno. Gorąco wypływające z Anki kapało na twarz leżącej kobiety, która wpiła się w jej włosy szponami wychudzonych palców. Trwało to kilka długich sekund i Ance zrobiło się słabo. Wtedy szczęki się rozwarły. Uwolniona Anka upadła na bok, uderzając głową o butlę z resztką gazu. Pulsujący ból zaczął powoli ustępować dziwnemu odrętwieniu, podobnemu do znieczulenia u dentysty.

Lidia gramoliła się po ścianie jak trujący bluszcz, którym była. Stała, ciężko dysząc. Kiedy wgryzła się w twarz dziewczyny, poczuła przyjemne mrowienie skapujące z kręgosłupa do brzucha i potem coraz niżej. Teraz wulgarne swoją jednoznacznością pożądanie opanowało całe ciało, rywalizując z postępującym paralizem. Trucizna, którą sobie wstrzyknęła pół godziny wcześniej, pustoszyła organizm. Ale nie tylko jej. Wraz ze śliną przedostawała się właśnie do krwi Anki. „Jestem jadowita – pomyślała Lidia. – Całkiem jak czarna wdowa”. Roześmiała się bezdźwięcznie, po czym wyszła z pomieszczenia prosto pod nadjeżdżający pociąg. Umarła, przeżywając najpotężniejszy w życiu orgazm.

Anka leżała nieprzytomna, a krew, która pokrywała twarz, była już brunatnym strupem. Znaleźli ją wszyscy, bo wrócili do kryjówki razem. Bo Rzygi zapowiedział ważną naradę. Nie chciał im powiedzieć, w jakiej sprawie. A potem już nikogo to nie obchodziło.

Pierwszy zareagował Patryk zwany Trykiem.

– Kurwa mać – szepnął.

Tadzio nie oponował. Pisnął tylko i się rozplakał. Głośno, jak małe dziecko, które żąda pociechy. Wokół jego krocza rozprzestrzeniła się ciemna plama, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy stali jak zdekompletowane meble niepasujące do wnętrza.

Wreszcie Łajza kucnął przy Ance i sprawdził puls. Nie pamiętał skąd, ale dokładnie wiedział, jakie tętno powinien mieć człowiek zdrowy, chory albo

umierający.

– Jeszcze żyje – powiedział rwącym się głosem, szczęśliwy, że może przekazać dobrą nowinę.

– Trzeba znaleźć lekarza – wysapał Pcheła jak ktoś, kto długo wstrzymywał oddech.

Rzygi nie słuchał tego, co mówią. Ruszył, gdy tylko odzyskał władzę w zdrętwiałych przerażeniem nogach. Teraz to samo przerażenie dodawało mu sił. Pędził po torach, bo tak było szybciej. Nie oglądał się za siebie. Na peronach roztrącał podróżnych. Jakaś kobieta przewróciła się, a jej torebka zatoczyła łuk w powietrzu.

Cygan wypadł na ulicę rozświetloną blaskiem późnego popołudnia. Biegł w stronę szpitala, o którym mu powiedziała. Kiedy poczuł bolesną kolkę przeszywającą bok, przyspieszył kroku. W ustach pojawił się metaliczny posmak. Zaczynało brakować mu oddechu. Teraz biegł jeszcze szybciej. Miał wrażenie, że nogi nie nadążają. Były takie niezdarne. Łomot serca był tak wyraźny, jakby biło w czaszce. Do szpitala było jeszcze daleko, kiedy zaczął widzieć ciemne plamy przed oczami. Zacisnął zęby. Musi zdążyć. Albo umrzeć. „Jak umrę, to ją uratują” – myślał. Wierzył, że Bóg tylko wtedy mu daruje. Wierzył, że Bóg, w którego nie wierzył, ma bardzo jasno sprecyzowane zasady.

— Zazdrość – wycedził Maksymiuk, kiedy Strawiński umilkł. – Uczucie, które potrafi tylko niszczyć.

Maksymiuk wstał i zaczął się przechadzać po pustym holu. Kiedy nauczał, lubił chodzić.

– Ileż to istnień ludzkich pochłonęła ta choroba?

– Bardzo wiele – wtrącił Strawiński.

– Bardzo wiele – powtórzył Maksymiuk. – Ile to wojen wybuchło z powodu zazdrości?

– Bardzo wiele – stwierdził Strawiński.

– Bardzo wiele – powtórzył Maksymiuk. – Zazdrość to straszna choroba. Rodzi się w sercu i rozlewa na wszystkie części ciała.

Strawiński zastanowił się, czy aby na pewno. Nie wyobrażał sobie oddziaływania zazdrości na stopy, ale nie chciał przerywać.

– Człowiek zazdrosny nie myśli, a ja na pewno nie mogę sobie na to pozwolić. Jestem odpowiedzialny za projekt. A projekt to ludzie. Czy ty wiesz, co by się stało, gdybym nie myślał? – Maksymiuk wycelował w niego palec wskazujący.

– Wtedy nie myślelibyście oboje – odparł Strawiński, a Maksymiuk nie zrozumiał.

– Jak to?

– Pana narzeczona mi powiedziała, że nie lubi się zastanawiać. Gdyby pan przestał myśleć, w waszym związku nikt by nie myślał. Nie tworzylibyście wtedy harmonii, tylko raczej takie unisono.

– Chodziło mi o to, że gdybym pozwolił sobie na brak myślenia, tłum ludzi w tej firmie odczułby to na własnej skórze. Bo ten projekt nazywa się Wiktor Jędrzej Maksymiuk. Ten projekt to ja.

– Aha – powiedział Strawiński.

– Byłem głupi, przyjacielu. – Maksymiuk kucnął przy siedzącym na ławce Strawińskim. – Byłem strasznie głupi – powtórzył. – A gdyby nie ty, byłbym jeszcze głupszy – dodał.

– Nie ma sprawy – Strawiński potrafił być skromny.

– Na szczęście jestem czujny. – Maksymiuk powiódł wzrokiem dookoła, ale choć był czujny, nie wypatrzył niczego. – Myślisz, że powinienem z nią zerwać? – zapytał nagle.

– Nie. Jest bardzo ładna.

– Boję się, że interesuje ją tylko moja sława i pieniądze.

– Zainteresowała się też mną, a ja nie jestem ani sławny, ani bogaty.

– Czyli jest rozwiązła.

– Trochę.

– Mogę jej dać ostatnią szansę.

– To jest bardzo dobry pomysł.

– I ty mi w tym pomożesz.

– Dobrze.

– Wsiądziecie do windy, która się zatnie. Tylko że tym razem zatnie się na półtorej godziny – snuł swój szatański plan Maksymiuk, a oczy mu błyszczały.

– Jeżeli się opanuje, wybaczę jej i wszystko będzie po staremu.

– To znaczy po staremu jak wczoraj – upewniał się Strawiński, ponieważ czuł na sobie ciężar odpowiedzialności.

– Tak. Jeżeli nie... – Maksymiuk tylko smutno zawiesił głos.

– Ale co ja mam konkretnie robić?

– Nic. Masz stać i nie robić nic.

– Ale czy mam coś mówić?

– Gdy cię zapyta, to masz odpowiadać. Sytuacja ma być naturalna, jak przy zwyczajnym zacięciu windy.

– Dobrze.

– Żadnych prowokacji.

– A jak mi wsadzi język do ucha?

– To go natychmiast wyjmiesz i wepchniesz jej z powrotem.

– Tylko że wtedy próba będzie wymuszona – zmartwił się Strawiński.

– Masz rację – westchnął Maksymiuk. – Wszystko musi potoczyć się normalnie. W takim razie nie ma wyjścia. Niech się dzieje, co ma się dzieć. A ty potem wszystko mi opowiesz.

– Dobrze – zgodził się Strawiński.

Jeszcze tego samego dnia zaciął się w windzie z narzeczoną szefa i po półtorej godziny, skrajnie wycieńczony, został odwieziony do szpitala, gdzie na oddziale intensywnej terapii opowiedział przełożonemu, jak się sprawy

maja.

Ciąg dalszy nastąpi...

Dobra Literatura poleca



Piotr Adamczyk

Poządanie mieszka w szafie

Po świecie mediów i męskich uniesień prowadzi nas Piotr Adamczyk, mężczyzna o nazwisku popularnego aktora. W wyniku szeregu pomyłek przychodzi mu zmierzyć się z blaskiem nie swojej sławy i zainteresowaniem nienależnych mu kobiet.

Pełna humoru, liryzmu, ale i erotyki opowieść o totalnym pożądaniu i zagubieniu. O pożądaniu kobiet, sławy, sukcesów, a także codziennych przedmiotów. O zagubieniu w świecie zewnętrznym – w nadmiarze, który przytłacza, nie dając dobrej możliwości wyboru, lecz także o zagubieniu w świecie wewnętrznym, we własnych słabościach.



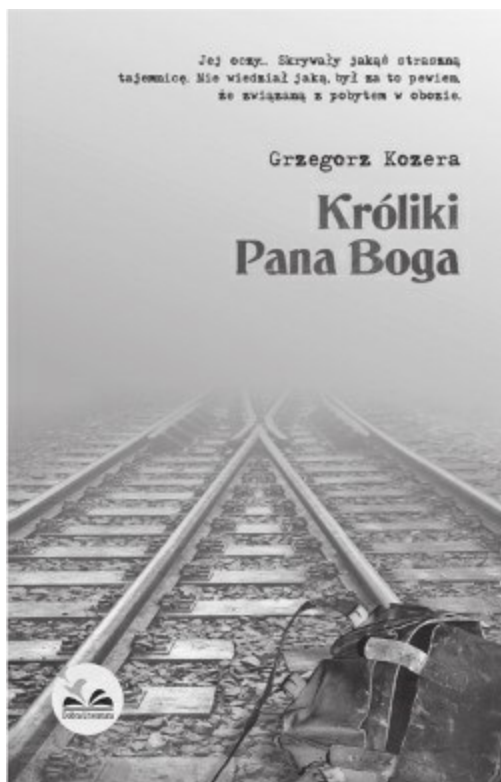
Grzegorz Kozera

Berlin, późne lato

Berlin, późne lato to historia o miłości teoretycznie niemożliwej, między dwojgiem ludzi, których dzieli wszystko. Opowieść o trudnych decyzjach i ich konsekwencjach, poświęceniu, zaufaniu i bezsilności jednostki wobec totalitaryzmu.

Berlin, sierpień 1943 rok. Otto Peters, 45-letni wdowiec, którego syn zginął na froncie wschodnim, stara się wieść spokojne życie. Niegdyś był pisarzem, ale gdy naziści doszli do władzy, zamilkł. Pracuje w księgarni, mieszka samotnie, chce jedynie dotrzeć do końca wojny. Jednak Trzecia Rzesza o nim nie zapomniała – otrzymuje propozycję pracy nad scenariuszem filmu, który ma służyć hitlerowskiej propagandzie. Wkrótce potem w jego życiu pojawia się Polka, poszukiwana przez gestapo uciekinierka z obozu koncentracyjnego.

Peters, wbrew rozsądkowi, decyduje się pomóc Halinie...

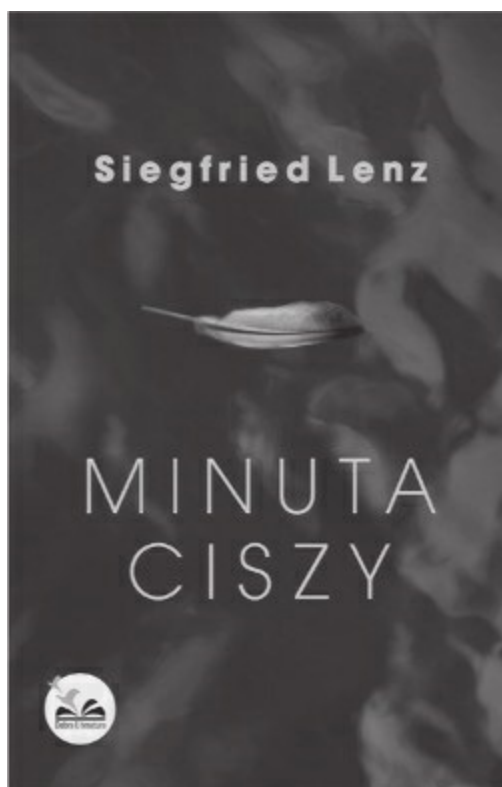


Grzegorz Kozera

Króliki Pana Boga

Poruszająca opowieść o przyjaźni, miłości, cierpieniu i potrzebie bliskości.

Maj 1945. Adam, Halina i Honza – rozbitkowie, którzy ocalili z wojennej hekatombi – próbują wrócić do Polski. Niemcy skapitulowały, lecz wojna tak naprawdę się nie skończyła, a świat poukładanych wartości dawno runął. Bohaterowie niejednokrotnie przekonują się o tym podczas swojej wędrówki.



Siegfried Lenz

Minuta ciszy

Niemcy, lata 70. XX wieku. W szkole średniej małej nadbałtyckiej miejscowości trwa ceremonia żałobna ku czci Stelli, zmarłej tragicznie młodej nauczycielki języka angielskiego. Dyrektor szkoły prosi 18-letniego Christiana, syna miejscowego „rybaka kamieni”, by w imieniu nauczycieli oraz swoich koleżanek i kolegów wyraził żal po stracie lubianej i szanowanej przez wszystkich Stelli. Christian odmawia. Śmierć 30-letniej kobiety dotknęła młodzieńca w szczególny sposób – stała się jego osobistą tragedią, końcem jego pierwszej wielkiej miłości.

Minuta ciszy to opowieść o dorastaniu. To również wyraz tęsknoty za trwałością oraz bliskością ukrytą między słowami a dwuznacznymi gestami. To chwila ugięcia się pod ciężarem pytania o sens istnienia, o istotę miłości

i sposób na przezwycięzenie straty.



**Dobra Literatura – wydawnictwo
i księgarnia internetowa**

Literatura oparta na faktach, beletrystyka,
publicystyka popularnonaukowa
oraz poradnikowa z dziedziny psychologii.

Znajdziecie u nas książki, które warto przeczytać,
które inspirują i dają do myślenia,
pozostawiając po sobie cenne ślady.

Zapraszamy do wspólnej wędrówki!

Książki wywołujące burzę emocji

www.dobraliteratura.pl

www.literaturainspiruje.pl